REPORTAŻ

Cezary Łazarewicz

ŻEBY NIE BYŁO ŚLADÓW

Sprawa Grzegorza Przemyka

W serii ukazały się ostatnio:
Anthony Shadid *Nadciąga noc. Irakijczycy w cieniu amerykańskiej wojny*
Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen*
Iza Klementowska *Samotność Portugalczyka*
V. S. Naipaul *Poza wiarą. Islamskie peregrynacje do nawróconych narodów*
Drauzio Varella *Ostatni krąg. Najniebezpieczniejsze więzienie Brazylii*
Ewa Winnicka *Angole*
Michał Olszewski *Najlepsze buty na świecie*
Norman Lewis *Głosy starego morza. W poszukiwaniu utraconej Hiszpanii*
Grzegorz Szymanik *Motory rewolucji*
V. S. Naipaul *Maska Afryki. Odsłony afrykańskiej religijności*
Karolina Domagalska *Nie przeproszę, że urodziłam. Historie rodzin z* in vitro
Pin Ho, Wenguang Huang *Uderzenie w czerń. Morderstwo, pieniądze i walka o władzę w Chinach*
Liao Yiwu *Pociski i opium. Historie życia i śmierci z czasów masakry na placu Tiananmen*
Marcin Wójcik *W rodzinie ojca mego*
Frances Harrison *Do dziś liczymy zabitych. Nieznana wojna w Sri Lance*
Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki *Wilki żyją poza prawem.*
Jak Janukowycz przegrał Ukrainę
Peter Hessler *Dziwne kamienie. Opowieści ze Wschodu i z Zachodu*
Jenny Nordberg *Chłopczyce z Kabulu. Za kulisami buntu obyczajowego w Afganistanie*
Magdalena Kicińska *Pani Stefa*
Andrzej Muszyński *Cyklon*
Swietłana Aleksijewicz *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* (wyd. 2)
Filip Springer *Miedzianka. Historia znikania* (wyd. 3 rozszerzone)
Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju*
Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie* (wyd. 4)
Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja*
Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 2)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość*
Mur. 12 kawałków o Berlinie pod red. Agnieszki Wójcińskiej
Jean Hatzfeld *Englebert z rwandyjskich wzgórz*
Marcin Kącki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*
Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku*
Anna Bikont *My z Jedwabnego* (wyd. 3)
Martin Schibbye, Johan Persson *438 dni. Nafta z Ogadenu i wojna przeciw dziennikarzom*
Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 2)
Dariusz Rosiak *Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan*
Piotr Lipiński *Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa*
Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki*
Paweł Smoleński *Zielone migdały, czyli po co światu Kurdowie*
Wolfgang Bauer *Przez morze. Z Syryjczykami do Europy*

W serii ukaże się m.in.:
Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu*

Cezary Łazarewicz

Żeby nie było śladów

Sprawa Grzegorza Przemyka

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2016

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt układu typograficznego Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce pochodzi z archiwum rodzinnego
Wybór zdjęć Katarzyna Bułtowicz

Copyright © by Cezary Łazarewicz, 2016

Redakcja Grażyna Lubińska
Korekty Bernadeta Stępień / d2d.pl, Kamila Zimnicka-Warchoł / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Sandra Trela / d2d.pl
Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-251-6

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto
Wstęp

Część 1

Maj 1983
Barbara. Urodzona przy Boulevard Ney
Czerwiec 1983
Barbara. Paryżanka
Lipiec 1983
Barbara. Adres zapisany na Powszechnej deklaracji praw człowieka
Sierpień 1983
Grzegorz
Wrzesień 1983
Barbara. Z plecakiem przez sale sądowe
Październik 1983
Piotr
Listopad 1983
Igor
Grudzień 1983
Jakub
Styczeń 1984
Michał Wysocki. „Nikt” dla świata
Luty 1984
Maciej Bednarkiewicz. Adwokat, którego bał się Kiszczak
Marzec 1984
Czarek
Kwiecień 1984
Barbara. Wilczyca z wyrwanym płodem

Maj 1984
Barbara. Rzeczy złożone, kroplówki odstawione
Czerwiec 1984
Barbara. Sztandary jej już nie chcą
Lipiec 1984

Część 2

Matactwa
Kto zabił?
Kiszczak i inni
Leopold Przemyk. Ojciec
Cichy z Czerkasów

Podziękowania
Bibliografia
Przypisy
Źródła fotografii
Kolofon

Moim dzieciom:
Martynce, Maksowi, Kaziowi i Stasiowi

Kłamstwa nie chodzą w pojedynkę.
Kłamstwa chodzą stadami.
Stadami uporządkowanymi.
Kłamstwa układają się w system.

Piotr Wierzbicki, *Struktura kłamstwa*

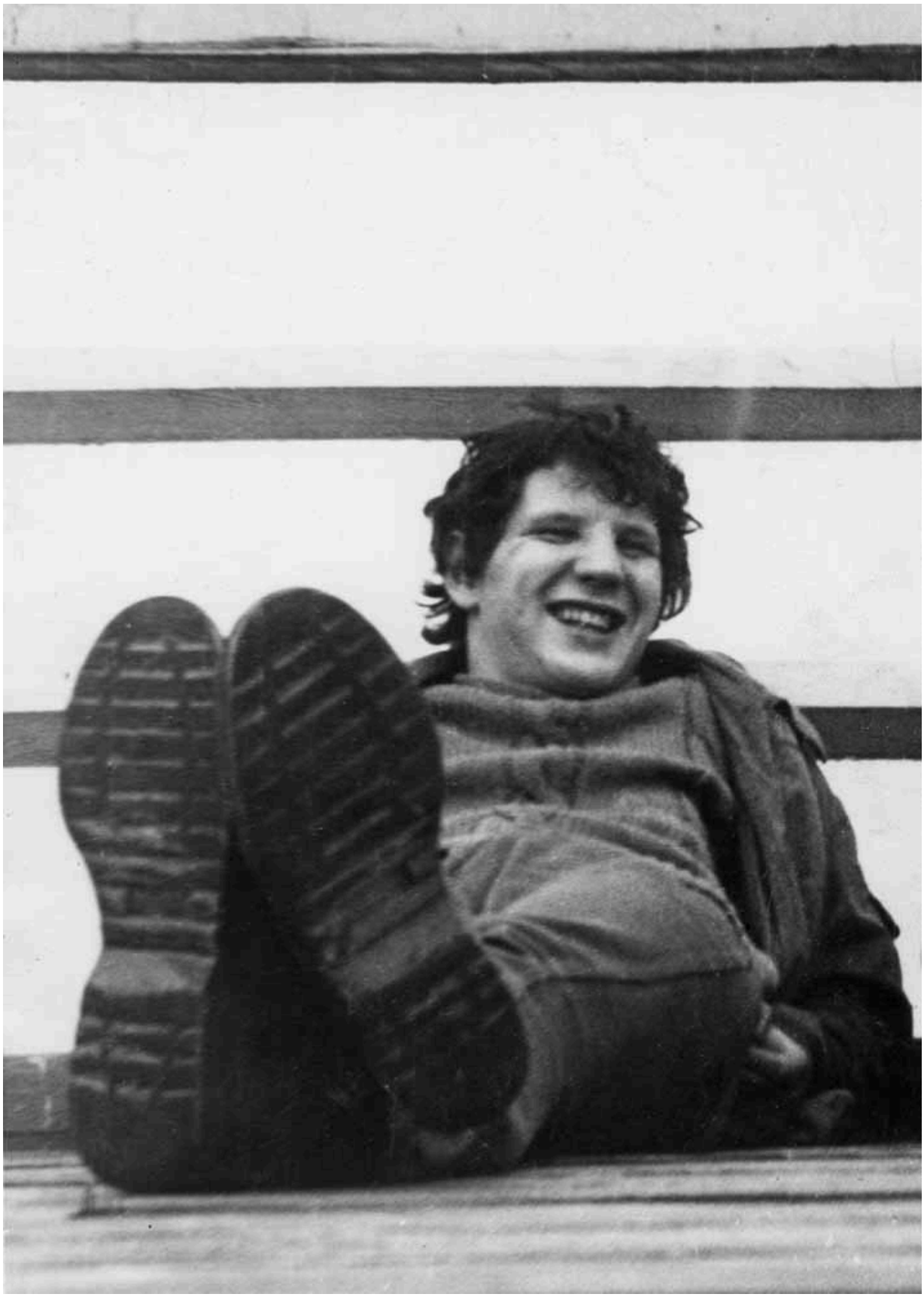

[^] Grzegorz Przemyk

Wstęp

List napisany przez Barbarę Sadowską, poetkę, której nie znałem osobiście, dotarł do mnie dopiero po dwudziestu dziewięciu latach. Znalazłem go i przeczytałem w czytelni Sądu Okręgowego w Warszawie, gdy wertowałem akta sprawy śmiertelnego pobicia jej syna, Grzegorza Przemyka. Chciałem napisać artykuł w trzydziestą rocznicę jego śmierci.

Czytałem wystukane przez nią na starej maszynie do pisania słowa: „Ludzie o miedzianym czole, utożsamiający milicję z władzą, postanowili poświęcić prawdę dla swoich doraźnych korzyści, skompromitować wymiar sprawiedliwości w Polsce cynicznymi manipulacjami, które będą kiedyś książkowym przykładem niesprawiedliwości.

Nie przypuszczam, żeby nastąpiło to prędko. Będzie to w takich czasach, kiedy systematyczne bezczeszczenie grobu mojego świętej pamięci syna Grzegorza będzie już tylko haniebnym znakiem dzisiejszej rzeczywistości”.

Poczułem, że te trzy zdania skierowane są do mnie.

Zgodnie z jej przewidywaniami nikt przez lata nie odpowiedział na apel, choć miała wielu przyjaciół wśród dziennikarzy i pisarzy.

Nie chcieli się z tym babrać? Brakło im siły? Było na to za wcześnie? Padło na mnie – pomyślałem.

Część 1

Maj 1983

12 maja, czwartek

Na łóżku leży chłopiec zawinięty w śpiwór. To w zasadzie nawet nie łóżko, tylko piankowy materac rozłożony na podłodze i przykryty grubym kocem. Chodzą po nim dwa rude koty: Sabina i Rózia. Przy legowisku śpi zwinięty w kłębek kundel, trochę przypominający szpica. To Gaś.

Przez okno wpadają poranne promyki wiosennego słońca. Jest ciepło i sucho.

W pokoju stoi pianino (prezent od ojca), oparta o ścianę gitara, biurko zarzucone książkami i okładkami płyt. Na ścianie wisi tablica z przypiętymi pineskami portretami: patronki Francji – świętej Teresy z Lisieux, geniusza wszech czasów Alberta Einsteina w pozie szaleńca z wywalonym na wierzch wielkim językiem i guru medytacji transcendentalnej Maharishiego Yogi. (To nie Maharishi, ale Krishnamurti – upiera się dziś przyjaciel chłopca, Igor. – I wszystkie te foty wisiały w pokoju Basi, a u niego tylko John Lennon – dodaje).

Nad pianinem na ścianie wykaligrafowany zieloną kredką wiersz Rafała Wojaczka *Modlitwa bohaterów*:

Na brednię naszą i na naszą nędzę
Na zatwardziałość w naszym szaleństwie

I na naszego głodu głośny krzyk
Na dom nasz który opuściły sny

Na naszą mowę wielce bełkotliwą
Na rozpaczliwie niedorzeczną miłość

I na znikomość wszelkich naszych prac
Na koszmar nocy i na bezsens dnia

Na naszych mistrzów bezradnych i smutnych
Oraz na sędziów ponuro okrutnych

Na biedne matki dogorywające

Przez nasze winy chcące i niechcące

Na nasze serca obrzękłe wątroby
Na nasze wargi popękane szorstkie

Na roztrzęsione fatalnie ręce
Obraz na mózgi w daremnej męce

I na te płuca co bez powietrza
Na strach bezsenny Na koszmarny zegar

Na wszystko co jest udziałem naszym
Błagamy wzgląd miej ironiczna Pani.

W pokoju znajduje się jeszcze ogromna mapa świata z zakreśloną przez chłopca trasą jego wielkiej podróży, która się już nie zdarzy.

To ostatni dzień z przyszłością w jego dziewiętnastoletnim życiu. I ostatni radosny dzień w mieszkaniu na jedenastym piętrze wieżowca w centrum Warszawy. Za kilka dni, kiedy będzie już bardzo sławny, przyjdą oglądać jego pokój zagraniczni dziennikarze. Będą pytać matkę, czy miał jeszcze inne marzenia oprócz podróży.

– Tak – odpowie. – Chciał zdać maturę i dostać się na studia.

* * *

Dziesiąta. Do drzwi puka Czarek F. – przyjaciel rodziny, który przyjechał w odwiedziny z Radomia.

Zapamiętał, że Grzesiek, bo tak ma na imię chłopiec, był uśmiechnięty i zadowolony. I już od wejścia mu się pochwalił, że świetnie mu poszła pisemna matura. Przedwczoraj z polskiego, wczoraj z historii. Dziś umówili się, by uczcić ten sukces, bo przed nim kilka dni luzu. Potem wystarczy zaliczyć egzaminy ustne i droga na studia otwarta.

Zaraz zapuka do drzwi Igor, kolega jeszcze z podstawówki, i Kuba, który do niedawna mieszkał z rodzicami w Nigerii.

Igor pójdzie do sklepu po wino, postawi butelki w pokoju mamy. Bo w mieszkaniu jest jeszcze mama Grześka – Barbara – i jej dużo starsza przyjaciółka, sanitariuszka z powstania, Hanna Staszkowska. To ona zauważa butelki i bardzo jej się to nie podoba. Wyglądała na

skonsternowaną – zapamiętał Igor. Denerwują ją te młodzieżowe obyczaje. Chłopcy się dąsają, bo są przecież dorośli, pakują butelki i wychodzą z domu.

Czy pili z kubków, czy z kieliszków, czy szybko, czy raczej wolno, kto i gdzie kupił wino, kto za nie zapłacił, skąd mieli pieniądze i jak był ubrany Grzesiek, gdy wychodził z domu. Za kilka dni wszystkie te szczegóły staną się ważne. Będą o nie pytali prokuratorzy, zachodni dziennikarze, przyjaciele Barbary, próbując odtworzyć ten dzień minuta po minucie.

Grzesiek ma brązowe sztruksy, zarzuconą na ramiona szarawą niezapiętą koszulę, a na bosych stopach skórzane klapki (gdy jest ciepło, skarpetek nie nosi).

Wychodzą z mieszkania około piętnastej. Pod blokiem, w pasażu Wiecha, spotykają Piotrka Kadlčika, który uczył Grześka gry na gitarze. Kręci się bez celu, czekając na seans polskiego horroru *Wilczyca* w pobliskim kinie Atlantic. Nie trzeba go długo przekonywać, by ruszył z nimi na Stare Miasto. Dlaczego tam? Grzesiek mówi, że tam oblewają maturę jego koledzy z klasy.

Po drodze opowiada o planowanym w wakacje wyjeździe do Dębek nad morze. Nie dojdzie do niego, bo szeregowy Ireneusz Kościuk z XIII Kompanii Operacyjnej ZOMO[1] rozpoczął już służbę na Starym Mieście. Na odprawie w jednostce dowiedział się, że dziś rocznica śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, która może posłużyć działaczom zdelegalizowanej Solidarności do przypomnienia o sobie. Mogą wznosić wrogie okrzyki, że Solidarność żyje albo że WRON-a[2] skona. Dlatego zomowcy muszą być dziś bardzo czujni. Kościuk ma patrolować teren wokół placu Zamkowego, a napotkanych wrogów porządku zatrzymać.

* * *

Pod kościół Świętej Anny dojeżdżają autobusem. Pełno tajniaków i mundurowych. Idą przez plac Zamkowy, Świętojańską koło bazyliki Jana Chrzciciela, na rynek staromiejski. Kolegów z klasy Grześka nigdzie nie widać, więc snują się po uliczkach bez celu.

W drodze powrotnej przy wejściu na plac Zamkowy Grzesiek wskakuje Czarkowi na plecy. Wygląda to komicznie, gdy Czarek, chwiejąc się na swoich chudych nogach, dźwiga na plecach dryblasa. W końcu potyka się, traci równowagę i upada. Leży. Obok Grzesiek.

Wtedy podbiega do nich zomowiec – szeregowy Ireneusz Kościuk, niewiele starszy od Grześka. Szarpie go za rękaw i domaga się dowodu osobistego.

– Nie mam – śmieje się chłopak, gdy za jego plecy podjeżdża już radiowóz.

Potem akcja przyspiesza. Kościuk popycha Grześka w kierunku milicyjnej nyski, a gdy ten zapiera się rękoma w drzwiach, zomowiec wyjmuje pałę i tłucze go po plecach tak długo, aż wpadnie do środka. Zanim samochód odjedzie, zdąży wskoczyć do niego jeszcze Czarek. Po chwili radiowóz znika za rogiem.

Kuba chowa skórzane klapki zostawione na placu przez kolegę, a Piotrek biegnie odnaleźć Barbarę, by powiedzieć jej o zatrzymaniu syna przez zomowców.

Kuba z placu Zamkowego idzie pod znajdujący się za rogiem komisariat na Jezuickiej. Staje na dziedzińcu i nasłuchuje. Dobiega do niego dziki skowyt Grześka. „Biją go” – myśli. Boi się, że gdy wejdzie do środka w tym momencie, to i on oberwie. Czeka, aż krzyki ustaną, po czym uchyla ciężkie drewniane drzwi komisariatu. Za nimi widzi skulonego na posadzce Grześka. Ma zamknięte oczy i jęczy z bólu.

Kuba prosi dyżurnego, by wypuścił kolegę.

– Nic złego nie zrobił. Chciał tylko uczcić zdaną maturę – tłumaczy.

– Dobrze by było – odpowiada milicjant – by zjawiła się tu jego matka, zanim zabierze go karetka.

Karetka pod komisariat zajeżdża około siedemnastej.

– To jakiś wariat – mówią do kierowcy karetki rozzłoszczeni milicjanci.

Kierowca patrzy na drobnego bruneta, który stoi w cywilu wśród umundurowanych zomowców, i wyzywa ich od najgorszych, a oni potulni

nawet pałką nie ruszą. „Dlaczego na coś takiego pozwalają” – zastanawia się kierowca.

W karcie wyjazdu dyspozytor napisał „psychiczny”. Ten brunet na normalnego rzeczywiście nie wygląda. Bo kto ośmieliłby się tak besztać milicjantów?

Dyżurny sierżant wskazuje sanitariuszom tego drugiego. Skulonego na krześle bosego chłopaka, w rozdartych na kolanach spodniach i rozchełstanej koszuli. Dopiero teraz kierowca go dostrzega. Ma potargane włosy, twarz pokrytą kurzem i nieobecne oczy. Nie można z nim złapać kontaktu. Nie odpowiada na pytania, tylko się trzyma za brzuch i buja na krześle.

– W oczach miał strach i przerażenie – zapamiętał kierowca Michał Wysocki.

Sierżant mówi, że to narkoman, ale gdy Wysocki podwija mu rękaw koszuli, nie widzi na rękach nakłuć po igłach.

Chłopak nie może wstać o własnych siłach, iść też nie może. Wysocki zarzuca jego rękę na swoją szyję, łapie pod bok i wolno, krok za krokiem, wyprowadza z komisariatu. Grzesiek ledwo powłóczy nogami. Z pomocą sanitariusza – Jacka Szyzdka – sadzają go na tylnym siedzeniu karetki. Droga do pogotowia na Hożą zajmie im tylko sześć minut i cztery sekundy (tak wykaże późniejszy eksperyment). Przez ten czas chłopak wybełkocze tylko jedno zdanie:

– Na Hożej ja byłem.

W czasie jazdy próbuje złapać sanitariusza za włosy. Wysocki zatrzymuje karetkę, chwyta go za ręce, przytrzymuje chłopaka dla opamiętania i dopiero wtedy ten się uspokaja.

Karetka parkuje pod samymi schodami. Pacjent nie reaguje. Trzeba go wynieść z auta. Szyzdek z Wysockim biorą go pod ramiona, niosą do holu, wiozą windą na pierwsze piętro, holują pod drzwi gabinetu psychiatrycznego numer 108. Kładą go na posadzce i idą szukać lekarza.

Psychiatra Paweł Willmann złości się, że znów mu przywieźli nieprzytomnego pacjenta. We trójkę sadzają Grześka na krześle w gabinecie

psychiatry. Chłopak siedzi skulony z opuszczoną głową, trzymając się za brzuch. Wtedy wpada do gabinetu zdyszany Czarek. Mówi, że kolegę przed chwilą pobili milicjanci, ale Willmann puszcza to mimo uszu. Chce odesłać pacjenta na oddział psychiatryczny szpitala przy ulicy Nowowiejskiej.

– Tam mu zrobią płukanie żołądka i stanie na nogi – tłumaczy Czarkowi.

Na nic się zdaje tłumaczenie Cezarego, że płukanie żołądka nic nie pomoże, bo to nie zatrucie, tylko pobicie.

Grzesiek bełkoce, że chce do toalety. Na parter sprowadza go Czarek, namawiając po drodze do ucieczki. Mają się niepostrzeżenie ulotnić przez małe okienko w ubikacji. Tylko że Grzesiek nie ma sił, by ustać na nogach, a co dopiero wspiąć się do okna. Upada. Czarek z sanitariuszem pakują go na wózek i odstawiają do poczekalni na parterze, gdzie czeka na transport do psychiatryka.

Matka zjawia się, gdy Grześ wymiotuje już krwią. Próbuje z nim rozmawiać, ale syn nie odpowiada. Jęczy tylko i osłania brzuch rękami. Jakby jej w ogóle nie poznawał.

Do gabinetu wchodzi w białym kitlu Willmann, wręcza matce skierowanie do szpitala.

„Turlał się po placu Zamkowym i odmówił wykonania poleceń milicjantów” – czyta Barbara i upiera się, że zamiast do szpitala odwiezie syna do domu. Willmann w końcu mięknie.

– Wiem, w jaki sposób traktowani są chorzy psychicznie i jakim zabiegom są poddawani – tłumaczy później Barbara. – Gdyby mój pobity syn został poddany takim zabiegom, spowodowałoby to nieodwracalne skutki. Sądziłam, że wydobrzeje w domu po pobiciu i będzie mógł przystąpić do dalszych egzaminów, co byłoby niemożliwe, gdyby został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym[3].

Około dziewiętnastej karetka odwozi bezwładnego Grześka do mieszkania przy Hibnera (dziś ulica Zgoda). Sanitariusze nie mogą jednak wwieźć go na jedenaste piętro, bo nosze nie mieszczą się w windzie. Muszą transportować chorego na przywiezionym z mieszkania krześle. Kładą go

w tym samym łóżku, z którego wstał dziś rano. Tam na moment odzyskuje świadomość. Prosi o ciepłą kąpiel, która ukoi ból brzucha. Potem zasypia.

O trzeciej Grzesiek budzi się z letargu. Opowiada matce o biciu. Mówi z trudem. Pamięta, że zanim stracił przytomność, usłyszał, jak jeden z milicjantów wołał do drugiego: „Bij go w brzuch, żeby śladów nie było”.

Przez całą noc przy łóżku syna czuwa Barbara. Moczy ręczniki w zimnej wodzie i przykłada mu do bolącego brzucha. To trochę pomaga, bo po każdej zmianie Grzesiek przestaje na chwilę jęczeć.

– Barbara niewiele mówi – zapamiętał towarzyszący jej tej nocy Czarek. – Jest jak człowiek, który dostał obuchem w głowę.

13 maja, piątek

Rano Grzesiek czuje się nadal fatalnie. Barbara dzwoni na Hożą do pogotowia, tłumacząc dyspozytorowi, że pobity syn ma problem z oddawaniem moczu. Około ósmej przyjeżdża karetka. Ich pech polega na tym, że dyżur ma dziś doktor Bronisław Jasicki. Koledzy nazywają go Zgonkiem.

O jego nieudolności, niekompetencji, braku wyobraźni krążą od lat legendy.

Jasicki pobieżnie bada Przemyka, daje zastrzyk przeciwbólowy (pyralgina z papaweryną), a obolały brzuch zaleca nagrzewać poduszką elektryczną. Nie wie, że to tylko może pogorszyć stan pacjenta.

– I żeby chłopak na przyszłość trzymał się z dala od milicji – radzi przed wyjściem lekarz.

Barbara mu nie ufa. Gdy tylko zamknie drzwi, dzwoni do rejonowej przychodni lekarskiej przy Rutkowskiego 12, prosząc o wizytę domową.

Grzesiek jest już blady jak ściana, dziwnie wyciszony, całkiem opada z sił.

– Wyglądał jak trup – zezna potem Kuba, który odwiedził go tego ranka.

Lekarka Aurelia Dunaj zjawia się po południu około siedemnastej trzydzieści. Nie może już nawet zmierzyć choremu ciśnienia krwi, podejrzewa pęknięcie wątroby. Wzywa karetkę reanimacyjną.

Przed wyjazdem Grzesiek prosi Kubę, by wsunął mu na nogi jego ulubione skórzane klapki.

– Grześ jest pobity – łka do słuchawki Basia. Prosi Elżbietę Ficowską zwaną przez przyjaciół Bietą, odpoczywającą w domu pracy twórczej w Oborach pod Warszawą, by natychmiast do niej przyjechała.

– Rzucam wszystko, wsiadam w samochód, jadę – opowiada Bieta.

Gdy dojechała do Warszawy, Grzesiek był już w szpitalu na Solcu.

O dziewiętnastej zostaje przyjęty na oddział chirurgiczny z rozpoznaniem ogólnego wstrząsu. Podczas rutynowego wywiadu odpowiada z trudem na pytania, mówi pojedynczymi słowami.

– Bili pięścią w brzuch, aż straciłem przytomność – wyjaśnia doktorowi Filipowi Grzejszczykowi[4].

W izbie przyjęć pacjent dostaje krwiozastępczy dekstran w kroplówce i przeciwzapalny hydrokortyzon. Pielęgniarki pobierają krew, by oznaczyć właściwie jej grupę – na wypadek ewentualnej operacji[5].

O dwudziestej trzeciej wwożą Grześka na blok operacyjny. Jest jeszcze przytomny.

Doktora Grzejszczyka łatwo rozpoznać po niewielkich, wychuchanych dłoniach.

– Byłem wtedy prawie chirurgiem – uśmiecha się spod wielkiego wąsa, gdy spotykam go trzydzieści lat później. Sadowską poznał w klasztorze przy Piwnej, gdzie razem pracowali w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Tylko że on w aptece, a ona w dziale prawnym. Więc na Piwnej się głównie mijali.

– Wiedziałem tylko, że jest poetką – mówi. – Ale że ma syna, dowiedziałem się dopiero tej nocy.

14 maja, sobota

Operację przeprowadza doktor Leszek Karpiński, asystują Filip Grzejszczyk i Marek Bagniewski. Kwadrans po północy doktor Karpiński

rozcina brzuch chłopca i dostaje się do jamy otrzewnowej. Jest przerażony. Jelita pacjenta wyglądają jak durszlak, są poszarpane i podziurawione.

– Najchętniej bym teraz zemdlał – mówi do pielęgniarki.

– Operacja była bardzo krótka – opowiada dziś Grzejszczyk. – Otwarcie i zamknięcie brzucha. Bo nic więcej nie mogliśmy już zrobić.

Około pierwszej jest już po wszystkim. Uchylają się drzwi sali operacyjnej, wychodzi doktor Grzejszczyk, ale nawet nie patrzy na Barbarę. Daje tylko ukradkiem znak Ligii Urniaż-Grabowskiej, lekarce, przyjaciółce Barbary, która przed chwilą do niej dołączyła, żeby podeszła, ale tak, by rozmowy nie usłyszała Sadowska.

– Rzeź i miazga – szepce jej chirurg do ucha. – Jego brzuch to bagno. Dziurawe jelita. Nie ma jak tego załatać.

Milknie, bo głos mu się łamie i więźnie w gardle.

– Lidka – mówi do Urniaż-Grabowskiej – nic nie można zrobić. On umrze.

Łzy płyną mu po policzkach[6].

– Nie miałem żadnych wątpliwości, że ten chłopak wkrótce umrze, a my nic nie możemy zrobić – mówi wolno, zastanawiając się nad każdym słowem. – Byłem wstrząśnięty nieuchronnością tej śmierci. Dojmująca była świadomość, że to nie jest ktoś anonimowy, ale syn naszej koleżanki, na którym, jak wtedy sądziłem, zemściła się Służba Bezpieczeństwa.

(Dwanaście lat później Grzejszczyk powie w sądzie:

– Wiele razy operowałem osoby z urazami jamy brzucha, lecz takich obrażeń nigdy nie widziałem. Takie uszkodzenia powstają na skutek dociśnięcia jelit do kręgosłupa. Tu wyglądały, jakby przez brzuch tego chłopca przejechał samochód).

O trzeciej piętnaście nieprzytomnego Grześka pielęgniarki przewożą na oddział intensywnej opieki medycznej. Podłączają do kroplówek i aparatury podtrzymującej życie. Sterczą z niego sączki, wenflony, gazy, bandaże i plastry.

– Żył jeszcze, ale nadziei już żadnej nie było – mówi doktor Urniaż-Grabowska. – Tylko Baśka niczego się nie spodziewa. Jest spokojna. Wierzy, że ten zły sen zaraz się skończy, Grześ się obudzi, wstanie z łóżka,

ubierze się i pójdzie z nią pod rękę do domu. Nikt nie ma odwagi powiedzieć jej prawdy.

Barbara sprawia wrażenie zaprogramowanego robota. Chodzi po korytarzu i powtarza w kółko: „Powiedzcie, co się tam stało? Dlaczego ta operacja?”.

Podchodzi do niej doktor Grzejszczyk.

– Nie mogłem jej dalej ignorować – mówi.

Nie pamięta dokładnie, co jej wtedy powiedział. Pewnie coś uspokajającego i podtrzymującego na duchu: że nie jest tak źle albo że jest młody, to powinien z tego wyjść.

– Bałem się tej rozmowy, kiepski jestem w kłamaniu – opowiada. – Jak usłyszy prawdę, to tego nie przeżyje, pomyślałem. Umrze na tych schodach, na których stoi.

Sadowska wślizguje się na oddział intensywnej opieki medycznej. Grzesiek leży wiotki, blady, ma wielką zacerowaną pręgę na brzuchu. O tym, że wciąż żyje, świadczy tylko drgająca w rytm skurczów serca kropka na monitorze. Barbara siada przy łóżku, tuli pokłutą igłami dłoń i coś do syna szepce[7]. Czuwa przy nim do rana.

O dziewiątej lekarski obchód. Doktor Jerzy Domalski zwraca uwagę na niezwykłą bladość chłopca i bardzo płytki oddech. Nie może wyczuć tętna obwodowego. To znak, że zostało niewiele czasu. Prosi matkę, żeby opuściła salę. Przy łóżku rozpoczyna się masaż serca, dotlenianie, wstrząsy elektryczne. Reanimacja trwa tak długo, aż kropka na monitorze znów zaczyna rytmicznie drgać. Grzesiek żyje, ale tylko według wskazań aparatury medycznej. To jedynie urzędowe życie.

Marzena Urban, dziewczyna Przemyka: „Ogromne wrażenie na mnie zrobił jej spokój i zdyscyplinowanie. Że potrafiła się wziąć w garść, uszanować pracę tych lekarzy i widziała ich trud, i to, że się starają. Nie chciała im przeszkadzać. Jak mówili, żeby wyszła, bo trzeba jakiś zabieg przeprowadzić, to Basia wychodziła, mimo że to były właściwie ostatnie chwile Grzesia i chciała być wtedy z nim”[8].

O dwunastej czterdzieści serce się zatrzymuje. Znów masaż, zastrzyki, sztuczne oddychanie. Walka trwa trzydzieści pięć minut. O trzynastej piętnaście lekarze odchodzą od łóżka. W rubryce „przyczyny śmierci” wpisują: „tępy uraz brzucha, rozlane kałowe zapalenie otrzewnej, przedziurawienie wstępnicy, wstrząs, niewydolność krążeniowo-oddechowa”[9].

W rubryce „wywiad”: „pobity przez funkcjonariuszy MO”[10].

O śmierci matkę ma poinformować doktor Jacek Albiński, dziś znany warszawski onkolog. „Niestety, nie pamiętam prawie nic z tego, co się owego dnia wydarzyło” – pisze w e-mailu.

(Z dokumentacji medycznej wynika, że pielęgniarki podały matce środki uspokajające). Po jakimś czasie spokojnym głosem powiedziała do Marzeny: „Grześ od nas odszedł”. „Przytuliła się do nas. Była cicha, czuła i ciepła. Czuliśmy, że jest silna, spokojna i zamknięta w swojej rozpaczy. Bardzo rzeczowo rozmawia z lekarzami i pociesza nas” – tak zapamiętała ten moment Marzena Urban[11].

– Była w jakimś stuporze. Jakby to wszystko nie dotyczyło jej ani jej ukochanego dziecka, ale kogoś innego – wspomina Bieta Ficowska.

Ze szpitala na Powiślu wracają pieszo: Barbara, Bieta i Marzena.

Przed blokiem na Hibnera spotykają Czarka F. Barbara mówi mu, że Grzegorza już nie ma.

Kilkanaście minut wcześniej z tą samą informacją Bieta zadzwoniła ze szpitala do męża. Jerzy Ficowski uruchamia łańcuszek informacyjny, dzwoniąc także do przyjaciela Sadowskiej, znanego poety Wiktora Woroszylskiego.

„Nie mogłem powstrzymać łez” – zanotował w swoim dzienniku Woroszylski.

Po południu informacja o śmiertelnie pobitym maturzyście krąży już pocztą pantoflową wśród przyjaciół i znajomych Sadowskiej. Ciągną ze wszystkich stron miasta na Hibnera, by podtrzymać ją na duchu. Windą na jedenaste piętro. Potem długim, ciemnym korytarzem, oświetlanym tylko

przez świetlik, do drzwi z numerem 94. Za nimi w dwóch maleńkich pokoikach dziesiątki ludzi. Wszyscy na stojąco, bo nie sposób usiąść.

– Jedni wchodzą, inni wychodzą. Istny młyn – opowiada Ficowska.

Woroszylski notuje w dzienniku: „Różni ludzie, między innymi: Lilka G. [Grabowska] z córką, zapłakana Marzena – dziewczyna Grzesia, drobna, smukła, bardzo delikatna, jacyś chłopcy. Jeden z nich w stanie amoku, powtarzający, że pójdzie i ich pozabija, zemści się albo sam się zabije. To Czarek, ten, który był z Grzesiem, kiedy wszystko się stało".

Dominuje jeden temat: Kto jest winny tej śmierci?

Sprawa wydaje się oczywista. Grzesiek przecież wszystkim, którzy mieli z nim kontakt od czwartku wieczorem, powtarzał, że pobili go milicjanci z Jezuickiej.

– Nie miał powodu kłamać – mówi dziś Filip Grzejszczyk. – Nie planował przecież swojej śmierci, by nią obciążyć milicjantów i w ten sposób się na nich zemścić.

Z opowieści Basi, Ligii Urniaż-Grabowskiej i jej córki oraz Czarka F. próbują ułożyć jakiś spójny obraz tego, co się wydarzyło dwa dni temu. Pojedyncze obrazy zaczynają składać się w sekwencję zdarzeń.

Najwięcej do powiedzenia ma Czarek, który teraz ze szczegółami opowiada, co zdarzyło się w komisariacie.

Po wyjściu z nyski chwilę stali przy dyżurce. Czarek pokazuje swój dowód osobisty, a Grzesiek się stawia.

– Stan wojenny jest zawieszony, więc nie muszę nosić dokumentów – mówi milicjantowi. Ten bije go w twarz.

– My cię tutaj nauczymy, że będziesz nosił – straszy.

Czarek staje w obronie Grześka. Prosi, żeby nie bili kolegi, że zaraz przyjdzie tu jego matka z dokumentami i wszystko wyjaśni. Ale jest już za późno, bo od stolika zrywa się kolejny milicjant i cedzi przez zęby:

– Trzeba nauczyć gówniarza.

Wtedy ten blondyn, który zatrzymał ich na placu Zamkowym, próbuje uderzyć Grześka pałką, ale on chwyta ją i przez chwilę się szamocą. Drugi milicjant dopada ich z pałą, by wspomóc kolegę. Tłucze Grześka, aż ten zaczyna krzyczeć z bólu. Hałas wywabia dyżurnego z klitki przed

wejściem. Wychodzi na korytarz, z niesmakiem patrzy na wirującą nad głową chłopaka pałkę i krzyczy do zomowców:

– Bijcie tak, żeby nie było śladów!

Wtedy jeden z milicjantów wykręca Grześkowi ręce do tyłu, a drugi z całych sił wali go łokciem w brzuch. (Czarek dokładnie ich zapamiętał: ten pierwszy, blondyn, około dwudziestu pięciu lat; ten drugi, ciemny blondyn).

Po każdym ciosie łokciem w brzuch Grzesiek wydaje z siebie przerażające okrzyki, które słychać nawet na zewnątrz budynku. Upada bezwładnie na posadzkę. Wtedy zaczynają go kopać. Ale tego Czarek dokładnie już nie widzi, bo gdy chciał udzielić pomocy koledze, powstrzymał go inny milicjant, zasłaniając mu widok w korytarzyku.

Na koniec półprzytomnego Grześka milicjanci wciągają na krzesło. Chłopak zwija się w kłębek, jęczy, trzyma się za brzuch. Tak pozostaje aż do przyjazdu karetki.

Czarek nie potrafi przekonywająco wyjaśnić zebranym, dlaczego Grzesiek został tak dotkliwie pobity. Bo miał za długie włosy? Bo był boso? Bo nie chciał okazać zomowcowi dowodu osobistego, który trzymał w kieszeni?

Wątpliwości budzi dotkliwość obrażeń. Czy tak okrutne pobicie mogło być przypadkowe? A może jednak ktoś je zaplanował? Czy kilkanaście ciosów w brzuch może zabić młodego mężczyznę?

W swoim dzienniku Woroszylski zadaje jeszcze inne pytania: „Czy Grześ stał się przypadkową ofiarą tylko dlatego, że należy do gatunku znienawidzonego przez uzbrojonych podludzi? […] Czy też ma to coś wspólnego z pogróżką, jaką usłyszała Basia, kiedy rok temu wypuszczano ją z Rakowieckiej? »Dobierzemy się do twojego syna«. I z ciągiem wydarzeń: rewizja, wzięcie Basi i Grzesia przed pierwszym maja na czterdzieści osiem godzin, obicie Basi w Świętym Marcinie. Lub z innym jeszcze, zaledwie zapoczątkowanym ciągiem aktów terrorystycznych, mających doprowadzić do dużych zaburzeń społecznych, a na ich fali, do jakichś przetasowań w ekipie rządzącej?”.

W innym miejscu dziennika Woroszylski zapisał: „Basia spokojna i nieskończenie zdziwiona: dlaczego on, dlaczego mnie to spotkało? […] Pokazuje wiersze Grzesia, własnoręcznie przez niego wydane w zeszyciku.

Mówi, że nie popełni samobójstwa, ale będzie błagała Boga, żeby zabrał ją jak najszybciej. (Dłoń ze złamanym palcem ma wciąż obandażowaną, na drugiej ręce jeszcze bolesny krwiak po incydencie w kościele Świętego Marcina)”[12].

Ten obandażowany palec widać na filmie, który zachował się w archiwach Video Studio Gdańsk. Barbara udziela wywiadu jakiejś ekipie telewizyjnej. Joanna Pacana z Video Studio Gdańsk napisała mi, że film ten został nakręcony dla amerykańskiej telewizji ABC. Ale nie wie, kto go nagrywał.

Obraz kręcono w mieszkaniu przy Hibnera, dwa dni po śmierci Przemyka. Barbara w turkusowej koszuli siedzi na tle wielkiego regału z książkami. Na szyi kobiety wisi na długim rzemieniu czarny skórzany krzyż. Sadowska mówi wolno, bardzo spokojnie. Żadnego użalania się, żadnej słabości, żadnej oznaki bólu.

Film trwa dziesięć i pół minuty i jest to jedyne filmowe nagranie, które po niej zostało.

– Moje dziecko było bardzo pogodne i jasne – mówi, nie patrząc w kamerę. – Miało swoje życie. Samo się wychowało, dlatego że nikt nikogo nie może wychować. Bardzo żeśmy się kochali. Bardzo był piękny, pogodny.

* * *

Zapada zmrok. Pod blok na Hibnera zjeżdżają dziesiątki milicjantów. Snują się po pasażu Wiecha, krążą wokół bloku i zatrzymują każdego, kto chce wejść do klatki z numerem 3. Żeby przedrzeć się przez ten kordon, trzeba pokazać dokument i powiedzieć, do kogo się idzie. Trwa polowanie na przyjaciół Sadowskiej. Milicjanci w notesach zapisują nazwiska tylko tych, którzy udają się do lokalu numer 94.

Barbara zjeżdża windą w dół i próbuje rozmawiać z mundurowymi:

– Nie ma we mnie nienawiści ani żalu – mówi milicjantom, którzy są niewiele starsi od pobitego na śmierć syna. – Jesteście tylko narzędziami. Nie można gniewać się na narzędzia. Jeżeli chcecie być milicjantami, a nie bokserami, to musicie odwrócić się od bandytów, od ludzi bestii[13].

Nie wdają się z nią w dyskusję.

W nocy Barbarę budzi hałas na korytarzu klatki schodowej. Podchodzi do drzwi, spogląda przez judasza i widzi, że stoją tuż za progiem. Całe piętro jest obstawione milicją, a Gaś właśnie domaga się wyjścia na spacer. Tylko jak się przedrzeć przez kordon zomowców? O drugiej w nocy Barbara dzwoni do swojej przyjaciółki, Biety Ficowskiej. Mówi, że jest coraz gorzej. Na piętrze zrobiło się niebiesko od mundurów, nie wie, czy może bezpiecznie wyjść z psem na spacer.

– Boję się – wyznaje cicho do słuchawki.

Bieta Ficowska wspomina:

– Byłam dla niej czymś w rodzaju pogotowia, do którego można było w każdej sprawie zadzwonić i poprosić o pomoc.

Ficowska telefonuje w nocy do Karola W. Małcużyńskiego, dziennikarza pracującego we wschodnioeuropejskim biurze BBC. Mówi mu, że mieszkanie Sadowskiej otoczyła milicja.

– Być może – sugeruje Małcużyńskiemu – jak pokażesz im swoją legitymację prasową, żeby uniknąć rozgłosu za granicą, odejdą i dadzą jej spokój.

Z Wiejskiej, gdzie mieszka Małcużyński, do mieszkania Sadowskiej jest kilkanaście minut piechotą. Milicjanci sztywnieją, gdy dziennikarz pokazuje swoją legitymację prasową BBC, i zaraz znikają. Od tej pory obserwacja lokalu 94 prowadzona jest dyskretnie.

„Na dole przed domem Basi na ławeczce siedzi »zakochana para«, bardziej niż sobą zajęta wejściem do gmachu. Być może fotografują?” – zauważa następnego ranka Wiktor Woroszylski.

– To właśnie tej nocy poczułam, że władze będą tuszować sprawę – opowiada Ficowska. – Fakt, że milicjanci w tak dużej liczbie pojawili się pod jej drzwiami, świadczył o tym, iż zrobią wszystko, by prawda nie wyszła na jaw. Zaczęli od zastraszania Baśki.

15 maja, niedziela

Rano Karol W. Małcużyński wychodzi na spacer z psem. Zaczepia go sąsiad. Pyta, czy słyszał o tym chłopaku śmiertelnie pobitym w komisariacie.

– Wtedy przekonałem się o sile zagranicznych rozgłośni – mówi Małcużyński.

Dzień wcześniej o Przemyku dowiedział się od pisarza Gustawa Gottesmana. Gdy przyszedł do niego, Gottesman zaciągnął go wprost do łazienki, zatrzasnął drzwi i odkręcił wodę w prysznicu.

– Powiem ci teraz coś bardzo ważnego – wyszeptał.

Późnym popołudniem Małcużyński wraz ze swoim szefem Kevinem Ruane'em z warszawskiego biura BBC pojawili się u Ficowskich, by dopytać o szczegóły. Wieczorem Ruane nadał z Warszawy w świat pierwszą telefoniczną korespondencję o śmierci chłopca. Informacja od razu trafiła do światowego serwisu BBC, a stamtąd do innych agencji, zagranicznych gazet, rozgłośni radiowych, dzienników telewizyjnych. Cały świat mówił o bestialsko pobitym przez milicję dziewiętnastolatku. Tylko polskie, cenzurowane media o tym milczały.

W niedzielę rano Małcużyński z Ruane'em odwiedzają Barbarę Sadowską, by uzupełnić newsa. Zapewne powiedziała im to samo, co zarejestrowała na taśmie telewizyjna ekipa ABC.

„Widziałam, że boli go brzuszek. Myślałam, że oberwał jak większość młodzieży u nas – w splot słoneczny albo w podbrzusze. Myślałam, że to sam ból. Powiedziałam doktorowi Willmannowi, że nie zgadzam się na przewiezienie do szpitala psychiatrycznego na płukanie żołądka. Na opiekę psychiatryczną. Że chcę go zabrać.

Mówiłam, że Grześ jest pobity, a on, że musi iść na konsultację psychiatryczną. Bałam się, że zrobią mu elektrowstrząsy, że go pasami związą. To było intuicyjne. Po prostu się bałam.

I wtedy już wspaniali chłopcy z pogotowia, sanitariusze, stali gotowi i obiecali mi go przenieść. Widzieli, że on nie miał władz, nie miał siły. Powiedzieli, że mi go zawiozą do domu i wniosą na noszach. Podpisałam

dokument i Grześ wrócił tutaj na noc. Pomagałam mu, jak mogłam. Bardzo go bolało. Bardzo był inny. Przepraszał mnie, że mnie fatyguje, że mu noszę mokry ręcznik na brzuszek. Wiedział, że mam te dwie ręce nieczynne. Od 3 maja pomagał bardzo, bo tu zostałam uderzona, a tu miałam ten gips. On wiedział, że nie mogę prać. Więc przeprosił mnie, że nie wyprał mi spódniczki na dzień następny. Prosił mnie, żeby dać mu coś przeciwbólowego. Płakał, że nie może się wysiusiać. I tak byliśmy razem.

Potem raniutko, mimo wszystko, mimo rozmowy z Willmannem, którego bałam się jak diabła, zadzwoniłam do pogotowia".

„[…] Pamiętam zeszłoroczne pogróżki. Usłyszałam bezsilność, nie wiem, czy milicji, czy Służby Bezpieczeństwa, kiedy mi powiedziano: »was, Sadowska, nie możemy ruszyć, ale syna wam załatwimy«. Skoro on jest taki humanista, skoro potrafi im grać na gitarze piosenki Víktora Jary[14], gdy przychodzą na rewizję, to myślałam, że go wsadzą do wojska, wezwą do milicji, zamieszają w aferę kryminalną. Ja nie myślałam o zabiciu. Może to później przyszło do głowy jakiemuś choremu człowiekowi. Oni nas znali i wiedzieli, że ani Grześ się nie boi, ani ja. To zawsze budzi w ludziach bezsilność".

„Po wizycie w niewielkim mieszkaniu, które chłopiec dzielił z matką, dwoma brązowymi kotami i pieskiem – notuje Kevin Ruane – można powiedzieć tylko tyle: śmierć Grzegorza Przemyka była ważna dlatego, że stał się on po prostu następną niewinną ofiarą systemu represji wprowadzonego przez generała Wojciecha Jaruzelskiego wraz z ogłoszeniem stanu wojennego w grudniu 1981 roku".

* * *

Dzięki BBC, Radiu Wolna Europa, Głosowi Ameryki i przyjaciołom Sadowskiej o śmiertelnym pobiciu jej syna wie nie tylko Warszawa, ale i cała Polska.

Po południu w niedzielę, dzień po śmierci Przemyka, kapitan Milicji Obywatelskiej Konstanty Machnowski, kierownik komisariatu przy Jezuickiej, w którym milicjanci skatowali Grzegorza, znalazł się przy

kwiatowym krzyżu ułożonym na chodniku przed kościołem Świętej Anny przy placu Zamkowym. Od wielu miesięcy spotykają się tu przeciwnicy stanu wojennego. Modlą się, śpiewają pieśni religijne i ostentacyjnie unoszą w górę palce w geście zwycięstwa. Wymieniają się podziemnymi drukami. Patrole milicyjne mają obowiązek też sprawdzać, czy wśród kwiatów ktoś nie ukrył ulotek. Dziś kapitan Machnowski znalazł tylko jedną wykaligrafowaną kartkę: „W dniu 14 maja 1983 zmarł uczeń liceum ogólnokształcącego (maturzysta) Grzegorz Przemyk, który 12 maja 1983 roku został bestialsko pobity przez funkcjonariuszy w komendzie MO na Jezuickiej".

„Zainteresowanie treścią tej kartki było mierne" – zanotował Machnowski[15] w swoim raporcie, ale chyba przesadził, bo tego samego wieczoru do komisariatu zatelefonował jakiś dziennikarz, pytając o pobitego chłopca. „Mówił, że matką tego Grzymek czy Przymek Grzegorza jest Barbara Sadowska, należąca do Związku Literatów Polskich" – co też Machnowski odnotował.

* * *

Na Hibnera u Sadowskiej znów pełno ludzi.

„Basia drugi czy trzeci dzień nic nie je – notuje w dzienniku Woroszylski. – Odwiedzał ją ksiądz P. [Popiełuszko?], zapowiadając, że sprawy pogrzebowe bierze na siebie. Poznałem Jacka i Hanię Fedorowiczów, bardzo miłych, którzy odwieźli mnie następnie do domu, po drodze informując, że Basia zgadza się rozmawiać z dziennikarzami zagranicznymi (»żeby obronić inne dzieci«), i prosząc, żebym któregoś przysłał, jeśli potrafię".

Wieczorem Woroszylski w swoim żoliborskim mieszkaniu na Mickiewicza siada przed maszyną i wystukuje na niej list do swojego dawnego znajomego z czasów dziennikarstwa, Mieczysława Rakowskiego. Rakowski ma ogromną władzę – jest wicepremierem w rządzie stanu wojennego.

„Piszę ten list nie, żeby szydzić z Twojego »świata realnego«, który przeciwstawiasz naszemu »światu wyimaginowanemu«, ale żeby z całą

powagą zapytać, co Ty i Twoi współrządzący zamierzacie uczynić dla położenia kresu bestialstwu.

Nie sądzę, żeby sprawiało trudność wykrycie i ukaranie w majestacie prawa morderców syna mojej nieszczęsnej przyjaciółki, syna tego umęczonego kraju, tego zdesperowanego społeczeństwa.

Chociaż nic naturalnie nie wskrzesi zamordowanego i nie ukoi cierpienia Matki, chcę wiedzieć, czy Ty osobiście użyjesz wszystkich swoich wpływów, żeby przynajmniej tym razem stało się zadość elementarnej sprawiedliwości.

I co zostanie uczynione, żeby ludzi wiadomych służb wyzuć z prawa do okrucieństwa, z jakiego zdają się coraz zuchwalej korzystać? Co zostanie uczynione, żeby młodzież polska, nasze dzieci, przestano wreszcie traktować jak wroga numer jeden tego państwa, tropioną zwierzynę, cel kaleczących i zabijających ciosów na ulicach miast i za nieprzeniknionymi murami?

Od odpowiedzi na te pytania więcej dziś zależy niż od czczych deklaracji, mów i polemik, którymi usiłuje się zagłuszyć jęki torturowanych i mordowanych”.

16 maja, poniedziałek

Rano Rakowski dostaje list Woroszylskiego, ale nie zamierza odpowiadać. „Na mój gust to kolejna prowokacja – notuje wicepremier w swoim dzienniku. – Pani Sadowska należy do opozycji, przed pierwszym maja wraz z synem została zatrzymana na czterdzieści osiem godzin i można założyć, że upatrzono sobie chłopaka i postanowiono dać mu nauczkę”.

Tak też myśli podziemna Solidarność i wszyscy znajomi Barbary.

To zemsta na matce chłopca za jej zaangażowanie, wspieranie Solidarności i podziemia. Od lat jest znana jej niechęć do socjalizmu, sympatia dla KOR[16] i podziemnych wydawnictw. To chyba nie przypadek, że pobito jej syna?

„Sam fakt, że właśnie Grzegorz Przemyk, a nie ktoś inny z grupy zatrzymanych przez MO kolegów padł ofiarą tego kolejnego milicyjnego

samosądu, nie był i nie mógł być tragicznym przypadkiem”[17] – informuje Radio Wolna Europa. „Faktem budzącym największą odrazę i oburzenie jest właśnie bezkarność oprawców, bezkarność funkcjonariuszy państwowych organów ścigania wykazujących zdziczenie, a często bezprzykładny sadyzm w znęcaniu się nad bezbronnymi ludźmi, nie wyłączając młodzieży, kobiet i ludzi starszych”.

Grzegorz Przemyk nie jest pierwszą ofiarą stanu wojennego. Podczas pacyfikacji kopalni Wujek w grudniu 1981 roku zastrzelono dziewięciu górników, trzech kolejnych zginęło od strzałów w Lubinie w sierpniu 1982 roku, w Nowej Hucie funkcjonariusz SB postrzelił śmiertelnie dwudziestoletniego elektryka. Znacznie więcej osób zmarło wskutek pobić przez milicję, ale zwykle nie było świadków, więc te sprawy władze szybko wyciszały lub tuszowały. W przypadku Przemyka od początku było to trudne – dramat rozegrał się przecież na oczach jego kolegów, którzy potwierdzą, co widzieli w komisariacie. Więcej: on sam, kiedy jeszcze żył, opowiadał, gdzie i kto go pobił. Sama sekwencja zdarzeń najbardziej pogrąża milicjantów – przecież chłopak wszedł do komisariatu o własnych siłach, a wyjechał karetką. Sprawa wydaje się przesądzona. Tym razem zomowcom nie uda się wywinąć od odpowiedzialności. Zbyt dużo świadków, zbyt dużo dowodów.

* * *

Na Hibnera trwają dyskusje, gdzie Grześka pochować, gdzie ma być odprawiona msza i przez kogo. Msza pogrzebowa powinna się odbyć w kościele parafialnym, czyli w Świętym Krzyżu przy Krakowskim Przedmieściu, w samym sercu Warszawy.

„Zorganizowałem uroczystości na Żoliborzu pomimo różnych opinii profesora Jana Józefa Lipskiego i profesora Szaniawskiego” – notuje w swoim kalendarzu ksiądz Jerzy Popiełuszko.

– Czy wiecie, czym się to może skończyć? – pytają przerażeni profesorowie Lipski i Szaniawski, gdy dowiadują się, że msza ma się odbyć w kościele Świętego Stanisława Kostki. Ten kościół to symbol oporu

i buntu. Na msze za ojczyznę organizowane przez księdza Popiełuszkę walą tłumy. Profesorowie boją się zamieszek, burd i kolejnych ofiar.

– Młodzi byli w nastroju bardzo bojowym – opowiada przyjaciółka Barbary, Ligia Urniaż-Grabowska. – Szykowali butelki z benzyną, chcieli iść podpalić komendę na Jezuickiej. Byłam przekonana, że jedyną osobą, która może opanować sytuację, jest ksiądz Jerzy. Miał ten dar, charyzmę i młodzież go słuchała. Przyszedł do Baśki i oznajmił, że osobiście odprowadzi Grześka. Wszystkim innym też obiecał się zająć. Potem usiadł w fotelu i ją przytulił. I tak siedzieli objęci w milczeniu. Trwało to bardzo długo. Na koniec zrobił jej znak krzyża na czole i wyszedł. Takie gesty pozwalały jej przetrwać.

17 maja, wtorek

Rano Barbara przeciera oczy ze zdumienia, czytając „Życie Warszawy". O sprawie, którą od dwóch dni żyje świat i cała Polska, jest tylko niewielka notka u dołu strony. To pierwszy oficjalny, milicyjny komunikat dotyczący jej syna.

„Funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej zatrzymali na placu Zamkowym dwóch nietrzeźwych, awanturujących się mężczyzn: Cezarego F., lat 23, i Grzegorza P., lat 19. Ze względu na nienaturalnie agresywne zachowanie się Grzegorza P. oraz posiadane przez niego obrażenia funkcjonariusze wezwali do zatrzymanego karetkę pogotowia. Grzegorz P. został przewieziony do siedziby pogotowia przy ul. Hożej. W czasie jazdy awanturował się w karetce i załoga zmuszona była do zastosowania siły dla jego uspokojenia".

Kłamstwo na kłamstwie. Jakich awanturujących się mężczyzn? Jakiej agresji? Na placu Zamkowym? W karetce? I dlaczego milicyjny komunikat pomija zupełnie pobyt chłopca w komisariacie przy Jezuickiej?

To pierwszy ważny sygnał, że władza idzie w zaparte. Może szykuje grunt, by uchronić milicjantów przed odpowiedzialnością?

Tego samego dnia mundurowi pojawiają się w liceum Przemyka przy ulicy Elektoralnej i zdzierają wielką czarną flagę, którą po śmierci chłopca

jego koledzy zawiesili na maszcie. Wzburzonej dyrektorce szkoły wyjaśniają, że w ten sposób chcą zapobiec ewentualnym próbom wywołania niepokojów społecznych.

* * *

Dziś dwa ważne wydarzenia związane z Grzegorzem. W Zakładzie Medycyny Sądowej przy ulicy Oczki w Warszawie odbywa się jego sekcja zwłok (śmierć następstwem urazów tępym narzędziem, które spowodowały masywne wylewy krwawe krezki, prowadzące do dalszych powikłań), a w mieszkaniu przy Hibnera – jego dziewiętnaste urodziny.

Już po śmierci mama kupiła mu urodzinowy prezent, amerykańską metalową zapalniczkę Ronsona, o której od dawna marzył. Teraz podziwiają ją jego koledzy, których większość sam zdążył jeszcze zaprosić na swoją dziewiętnastkę. Za dwa dni, tuż przed pogrzebem, matka wsunie mu ten prezent do trumny razem z paczką gauloise'ów.

Na pół godziny przed północą mieszkanie pustoszeje. Zostaje garstka najwierniejszych przyjaciół. Wtedy ktoś dobija się do drzwi.

„Otworzyłam – zanotowała Sadowska[18]. – Stało przede mną trzech cywilnych funkcjonariuszy Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, a za ich plecami na całym moim piętrze było niebiesko od milicyjnych mundurów. Odpowiedziałam, że rozmawiam tylko z prokuratorem, i zatrzasnęłam im drzwi. Pozostali na miejscu i spisywali dane personalne wszystkich gości opuszczających mieszkanie. Na moją uwagę, żeby się wynosili, jeden z cywilnych funkcjonariuszy zwrócił się do mnie ze słowami, że dadzą mi spokój, kiedy wydam im Cezarego F.".

Cezary F. to od dwóch dni najbardziej poszukiwany człowiek w Polsce. Szuka go cała warszawska i radomska milicja oraz Służba Bezpieczeństwa. Komunikaty o poszukiwanym ważnym świadku drukuje lokalna prasa.

Dzięki jego relacji zachodni korespondenci wiedzą, co dokładnie wydarzyło się w komisariacie przy Jezuickiej. Już w niedzielę rano złożył obszerne zeznania w kancelarii zaprzyjaźnionego z Sadowską mecenasa Macieja Bednarkiewicza, obrońcy w procesach politycznych. Tylko on może pogrążyć milicjantów. Więc musi zniknąć.

– Dla własnego bezpieczeństwa – tłumaczy mu Barbara.

„Żeby jako niepożądany świadek nie mieć »nieszczęśliwego wypadku«” – notuje w swoim dzienniku Woroszylski.

Przez następny tydzień akcją ukrywania Cezarego F. kieruje z parafii na Żoliborzu ksiądz Jerzy Popiełuszko. To on decyduje, w którym mieszkaniu F. będzie nocował, jak długo i gdzie go przerzucić.

– Czarek był bardzo przestraszony, nie wiedział, co z nim będzie. Jasne było, że to nie przelewki, skoro szuka go cała bezpieka – opowiada Ficowska, pomagająca ukrywać F. – Nie jest prawdą, że wszyscy nas wtedy chętnie wspierali.

Pamiętam, że Jurek zaprosił mnie na plebanię, przedstawił Czarka i powiedział: „Musisz znaleźć mu jakieś bezpieczne miejsce” oraz wskazał klasztor Dominikanów w Dolinie Służewieckiej. Zawiozłam go tam. Przez całą drogę leżał na tylnym siedzeniu, by go nikt nie zauważył. Mówię zakonnikowi, że chłopaka trzeba szybko ukryć, bo grozi mu niebezpieczeństwo, a on wysłuchał i pyta: „A w zasadzie kim on jest dla pani? Ktoś z rodziny? Brat?

– Byłam wściekła, bo go w końcu nie przyjęli. Ze łzami w oczach relacjonowałam całe zajście Jerzemu. Jeszcze w kilku takich uduchowionych miejscach szukałam bezskutecznie pomocy.

[^] Nekrolog Grzegorza Przemyka, 14 maja 1983 roku

18 maja, środa

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (MSW) przygotowuje dla dziesięciu najważniejszych ludzi w państwie codzienne raporty o sprawie Grzegorza Przemyka. Lądują one na biurkach generała Wojciecha Jaruzelskiego, wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, szefa Ministerstwa Obrony Narodowej (MON) Floriana Siwickiego oraz innych ważnych działaczy. Przypominają frontowe komunikaty:

„W związku ze śmiercią G. Przemyka działające w Warszawie struktury podziemne b. »Solidarności« podjęły aktywne przygotowania do zorganizowania manifestacji w dniu jego pogrzebu. O fakcie zgonu G. Przemyka podziemie planuje poinformować szkoły średnie, uczelnie i większe zakłady pracy” – ostrzega MSW.

Służba Bezpieczeństwa donosi o dwudziestu tysiącach ulotek, które mają być rozrzucone w Warszawie, i o liście napisanym przez kolegów Przemyka z liceum Modrzewskiego, krążącym wśród uczniów warszawskich szkół:

W dniu 14 maja 1983 roku odszedł ode mnie niespodziewanie mój Syn

Ś. † P.

GRZEGORZ PRZEMYK

ur. 17.V.1964 r.

Msza św. żałobna zostanie odprawiona dnia 19 maja 1983 r. o godz. 13.30 w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

Pogrzeb odbędzie się po mszy św. na Cmentarzu Powązkowskim — od IV bramy.

matka

W-454837-1

[^] Nekrolog prasowy, maj 1983 roku

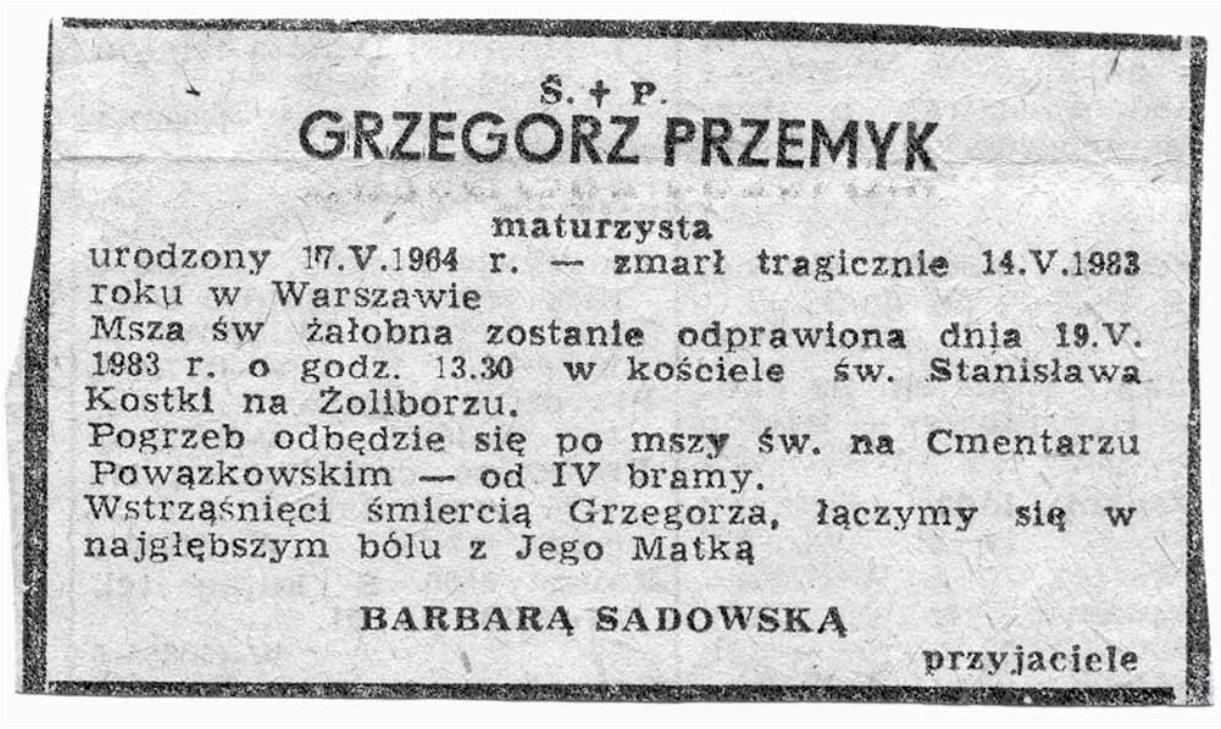

Ś. † P.

GRZEGORZ PRZEMYK

maturzysta

urodzony 17.V.1964 r. — zmarł tragicznie 14.V.1983 roku w Warszawie

Msza św żałobna zostanie odprawiona dnia 19.V. 1983 r. o godz. 13.30 w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu.

Pogrzeb odbędzie się po mszy św. na Cmentarzu Powązkowskim — od IV bramy.

Wstrząśnięci śmiercią Grzegorza, łączymy się w najgłębszym bólu z Jego Matką

BARBARĄ SADOWSKĄ

przyjaciele

[^] Nekrolog prasowy, maj 1983 roku

W-455779-1

14 maja 1983 r. odszedł od nas

S. ✝ P.

GRZEGORZ PRZEMYK

Do zobaczenia Grzesiu

wierni przyjaciele

W-455821-1

[^] Nekrolog prasowy, maj 1983 roku

Z głębokim bólem żegnamy
naszego tragicznie zmarłego
Przyjaciela

Grzesia Przemyka

koledzy z kl. IVa
XVII L.O.

TW-454072-1

Wstrząśnięci tragiczną śmiercią

Grzesia Przemyka

jedynego Syna naszej kochanej

Basi Sadowskiej

łączymy się z Nią w bólu i żalu

przyjaciele

TW-454146-1

[^] Nekrolog prasowy, maj 1983 roku

„Bestialstwo i wyrafinowanie, jakim wykazali się funkcjonariusze MO, budzi zgrozę. Istnieje obawa, że taka metoda walki politycznej może stać się powszechna. Wzywamy uczniów szkół warszawskich do symbolicznego protestu i licznego uczestnictwa w pogrzebie”.

Służba Bezpieczeństwa alarmuje, że niemal we wszystkich szkołach średnich panuje przekonanie, że Przemyka zabiła milicja. Wielu uczniów i nauczycieli naciska na dyrektorów, by skrócili jutro lekcje, bo chcą wziąć udział w pogrzebie.

Resort szczególnie naganną sytuację odnotowuje w Zespole Szkół Samochodowych przy Hożej, gdzie wicedyrektorka Zofia Siekierzyna z nauczycielem Jankowskim (spokrewnionym z Tadeuszem Mazowieckim) zachęcają uczniów do masowego uczestnictwa w pogrzebie.

„Mimo tych nacisków zajęcia przebiegać będą normalnie” – zapewnia resort.

W noc poprzedzającą pogrzeb Barbara wyślizguje się niepostrzeżenie z własnego mieszkania pełnego żałobników.

Ligia Urniaż-Grabowska:

– Grzesiu był dla Baśki całym życiem. Jak go zabili, to baliśmy się, że tego nie przeżyje, coś sobie zrobi. Nagle zorientowaliśmy się, że nie ma jej w domu. Zaczęliśmy jej szukać. Spodziewaliśmy się najgorszego.

Urniaż-Grabowska pojechała swoim maluchem na Ochotę pod Zakład Medycyny Sądowej, gdzie wcześniej odbyła się sekcja zwłok. Znalazła Barbarę zmokniętą. Siedziała skulona pod zatrzaśniętymi drzwiami prosektorium.

– Powiedziała mi, że chciałaby być przez chwilę z nim sama, zanim pojawią się tłumy – opowiada Urniaż-Grabowska. – Chcieliśmy jej tego widoku oszczędzić, bo on po sekcji był cały obrzęknięty. Naprawdę strasznie wyglądał.

Udało mi się ją wtedy namówić do powrotu do domu i dopiero rano tam pojechała. Zobaczyła Grześka, gdy był już ubrany. Miał na sobie ulubione brązowe sztruksy, szarą koszulę i trapery, w których zamierzał wyruszyć w podróż swojego życia.

Podeszła do otwartej trumny, uśmiechnęła się do syna i zaczęła wkładać drobiazgi do środka. Wyprawiała go jak na długą wycieczkę w nieznane. Na koniec wsadziła mu chlebak Edwarda Stachury, który podarowała Grzesiowi Marta Kucharska, dziewczyna Steda.

19 maja, czwartek

Kościół Stanisława Kostki na Żoliborzu. Sadowska siedzi w pierwszej ławce ze złożonymi rękoma. Jasnoniebieska spódnica, granatowa bluzka. Po lewej – Marzena, dziewczyna Grześka, w czerwonej koszuli w kratkę. Po prawej – wysoki mężczyzna w grafitowym garniturze. To Leopold Przemyk, ojciec Grześka, były mąż Sadowskiej. To ostatni moment, w którym jest na pierwszym planie. Co jeszcze rzuca się w oczy? Na zdjęciach z pogrzebu widać nieprzebrany tłum młodzieży w białych koszulach, uniesione w górę palce ułożone w literę V i niewielką biało-czerwoną flagę z napisem „Solidarność", doczepioną do jasnej trumny niesionej na ramionach przez kolegów Grześka. Zaskakujące, że na żadnym zdjęciu nie widać milicjanta. Jest rozkaz, by się nie pokazywali. Mają obserwować wszystko z oddali, by nie drażnić tłumu.

„To największa manifestacja Solidarności w stolicy od siedemnastu miesięcy, gdy wprowadzono stan wojenny. Dwadzieścia tysięcy Polaków przyszło na pogrzeb młodzieńca pobitego śmiertelnie przez milicję" – pisze John Kifner w amerykańskim „International Herald Tribune". Oprócz niego są korespondenci największych światowych gazet i telewizji. Tylko w polskich gazetach ani słowa o pogrzebie.

Od rana plac Komuny Paryskiej na Żoliborzu wypełnia się strumieniami żałobników. Nie sposób dostać się do kościoła, gdzie odbywa się msza, ani na dziedziniec kościelny, ani nawet na plac przed kościołem. Kilkunastotysięczny tłum rozlewa się po uliczkach i w milczeniu słucha mszy transmitowanej przez wystawione na zewnątrz głośniki. Nad bramą kościoła biało-czerwony sztandar z czarną krepą.

[^] Pogrzeb Grzegorza Przemyka, 19 maja 1983 roku. Kościół Świętego Stanisława Kostki, na zdjęciu: Leopold Przemyk – ojciec, Barbara Sadowska – matka, Marzena Urban – dziewczyna Grześka

„Młodzież w żałobie, ze szkolnymi tarczami przepasanymi czarnymi wstążkami, gospodynie domowe, emeryci, robotnicy, naukowcy – opisuje Andrzej Krajewski, dziennikarz współpracujący z japońską gazetą „Yomiuri Shimbun". – Widziało się twarze spotykane na mszach za Ojczyznę i demonstracjach majowych, sierpniowych i listopadowych, ale także zupełnie inne. Tu była obecna cała Warszawa"[19].

„Od przystanku szedłem w gęstniejącym tłumie ludzi z kwiatami i bez, zmierzających w tym samym kierunku" – pisze w dzienniku Wiktor Woroszylski. „W kościele znalazłem się koło wpół do pierwszej, a więc jakąś godzinę przed wyznaczonym terminem mszy. Ławy pośrodku były puste, ale po bokach stali już ludzie i robiło się ich coraz więcej. Niektórzy chcieli siedzieć, ale śmigający na wszystkie strony młodzieńcy w białych koszulach z żałobnymi wstążkami energicznie ich przepędzali: to miejsce zarezerwowane dla młodzieży szkolnej. Mimo to usiadłem i oparłem się perswazjom porządkowego, zgadzając się jedynie przejść bliżej do przodu,

tam, gdzie w ławach siedziała »rodzina«. (Grono nieznanych mi pań, panów i dzieci). […]

Jak się później dowiedziałem, koło pierwszej dorosłych przestano w ogóle wpuszczać do kościoła. Kiedy przybyli licealiści (z różnych szkół, z żałobnymi wstążkami na bluzeczkach albo z tarczami przepasanymi żałobą), zajęli wszystkie ławy i przejścia pomiędzy nimi. Zrobiło się niemożliwie ciasno i duszno. Już w trakcie nabożeństwa przesunęliśmy się, wynosząc dziewczynę, której zrobiło się niedobrze. Potem jeszcze jedna źle się poczuła i ustąpiłem jej miejsca […].

Nabożeństwo bardzo podniosłe, z pięknymi śpiewami diakonów, celebrował biskup Miziołek. Ale homilię wygłosił ksiądz Dembowski i parokrotnie zabierał głos ksiądz Popiełuszko – to on przed mszą i po niej apelował o przejście na cmentarz w milczeniu, bez śpiewów i okrzyków, i ostrzegał, że kto się z tej umowy wyłamie, to prowokator.

Homilia księdza Dembowskiego bardzo piękna, tchnąca miejscami starotestamentowym patosem: biada temu, kto bił, biada temu, kto dał przyzwolenie! Ale i nowotestamentowym pocieszeniem, w nawiązaniu do Jezusowego: »To syn Twój, to matka Twoja«, tak teraz do Basi i obecnej w kościele młodzieży: »oto synowie Twoi, oto matka Wasza«. Również ksiądz Dembowski – później – odczytał telefonogram Lecha Wałęsy do Basi, z wyrazami współczucia i solidarności”.

„Zapewniam panią – pisze Wałęsa do Sadowskiej – że ofiara ta nie będzie daremna”.

Po godzinie zaczynają bić dzwony, przed kościołem robi się biało. Około piętnastej koledzy Grześka na ramionach wynoszą trumnę z kościoła. Ksiądz Popiełuszko prosi o całkowite milczenie i nieśpiewanie nawet pieśni religijnych. Milczący kondukt rusza ulicą Krasińskiego: najpierw drewniany krzyż niesiony przez księdza, za nim trumna i krocząca tuż za nią Barbara Sadowska, a potem tłumy, tłumy, tłumy.

[^] Pogrzeb Grzegorza Przemyka, 19 maja 1983 roku. Kondukt pogrzebowy po wyjściu z kościoła Świętego Stanisława Kostki, koledzy wynoszą trumnę. Przy trumnie, drugi z prawej, to Igor Bieliński, który towarzyszył Grześkowi w ostatnim spacerze na plac Zamkowy

Brakuje tylko Czarka. Nie przyszedł, bo grozi mu aresztowanie.

Jest gorąco. Pocą się chłopcy niosący trumnę i zmieniają co kilkaset metrów.

Woroszylski: „Nie mogłem uwierzyć oczom, bo naokoło stał tłum ogromniejszy, niż kiedykolwiek widziałem w życiu, wypełniał nie tylko, jak na wieczornych nabożeństwach w ostatnią niedzielę miesiąca, obszar wewnątrz ogrodzenia i plac przed kościołem, ale wszędzie, jak okiem sięgnąć, stali ludzie, a potem, kiedy kondukt ruszył, wśród majestatycznego bicia dzwonów, tłum wypełnił całą ulicę Krasińskiego, daleko z przodu i daleko z tyłu, na całą szerokość, i zrozumiałem, że to nie po prostu tysiące, lecz dziesiątki tysięcy ludzi”.

„Cała ta ogromna procesja budziła mój podziw nie tylko przez samo swoje istnienie – jaki instynkt społeczny, jaki obieg informacji zgromadził tę największą od lat manifestację Warszawy, większą też od ostatniego pierwszego i trzeciego maja? – ale przez swoje opanowanie, zdyscyplinowanie; zgodnie z apelem księdza na trasie nie padł ani jeden okrzyk, nie zaintonowano żadnej pieśni, poruszano się w spokoju, w milczeniu, wymowniejszym niż jakakolwiek manifestacja słowna” – pisze Woroszylski.

„Gdy sześćdziesiąt tysięcy ludzi wspólnie milczy na jeden temat, to jest to głośniejsze niż krzyk z tysięcy gardeł. Głos tego milczenia wzmacnia nasze serca, a może w innych obudzi drzemiące sumienia” – relacjonuje podziemny tygodnik „KOS”.

Po dwóch godzinach pod czwartą bramę cmentarza Powązkowskiego podchodzi żałobny kondukt. Czekają tu ci, którzy nie zdążyli do kościoła. Przed bramą obie grupy łączą się i robi się taki tłok, że tylko niewielkiej grupie udaje się wejść na cmentarz, rozlewając się w wąskie powązkowskie aleje. Przy grobie stoi matka, ksiądz Jerzy Popiełuszko, nauczyciele Grześka i cała klasa czwarta „a”.

Tłum zgromadzony przed cmentarną bramą jest tak wielki, że blokuje ruch na ulicy Powązkowskiej. Młodzi chłopcy wskakują na cmentarny mur. Ludzie podają im kwiaty, a oni przerzucają je na drugą stronę. Potem z rąk do rąk wiązanki wędrują aż na mogiłę.

Wiktor Woroszylski: „Nie udało nam się dojść bliżej grobu, musieliśmy się zatrzymać w dość znacznej odległości, ale chyba działały jakieś wzmacniacze głosu, bo to i owo do nas docierało – modlitwy, fragmenty przemówień, w szczególności przemówienie zapłakanej wychowawczyni klasowej, z którego utkwiło mi w pamięci zdanie: »Szkoda, że jednego, Grzesiu, nie zdążyłam cię nauczyć – żebyś był przygotowany na spotkanie z brutalnością życia«”.

[^] Warszawa, Powązki, 19 maja 1983 roku. Pogrzeb Grzegorza. Po lewej z bukietem kwiatów stoi Barbara Sadowska, obok ksiądz Jerzy Popiełuszko

Jednym z ostatnich przemawiających jest ksiądz Antoni Czajkowski, siedemdziesięcioczteroletni pułkownik, bohater powstania warszawskiego, jego kapelan i więzień stalinowski.

„Pochowałem setki żołnierzy i nigdy nie płakałem. Dopiero dzisiaj. Grzegorzu, choć nie byłeś żołnierzem, zmarłeś jak żołnierz. Ja, pułkownik Wojska Polskiego i Armii Krajowej, mianuję cię żołnierzem”.

Wieczorem Woroszylski dociera do domu i notuje, że był podniesiony na duchu rozmiarami, powagą, swoistą siłą tego pogrzebu, którego wielkości nikt nie potrafił ocenić. Następnego dnia rano napisze o tym wiersz:

Za trumną martwego Grzesia
idzie żywy Grześ
podtrzymuje matkę ramieniem
nie martw się mówi
już nie będą bili
w brzuch ani w głowę

już nie przyjdą po mnie
Idzie matka Grzesia
ma siedemnaście lat
tyle śmiechu do śmiania się
tyle płaczu do płakania
Idzie narzeczona
ma dwieście lat
tyle śniegu pod stopami
skwaru z wysokości
Idzie Grześ
na wargach ma
pierwszą kroplę mleka
pierwsze słowo
pierwszy pocałunek
pierwszą kroplę krwi
Idzie miasto Grzesia
jego ulice i obłoki
matki i bracia
wszystkie wróble i dzwony
Idzie Grześ
w gipsowym mundurze
nie nadąża za sobą
zostaje
w pojedynczej męce i śmierci
Idzie naród Grzesia
ze swoimi księżmi i poetami
z ciężkim swoim milczeniem

20 maja, piątek

Szczegółowy raport z pogrzebu trafia na biurko szefa MSW, generała Czesława Kiszczaka.

Może w nim przeczytać fragmenty kazania księdza Bronisława Dembowskiego spisane przez tajniaków: „Jak można tak bić, żeby zabić? Biada temu, kto bił, i biada temu, kto do tego dopuścił”.

Szef MSW nie może mieć wątpliwości, że tysiące ludzi żegnających wczoraj maturzystę będą domagać się sprawiedliwości i surowych kar dla

zomowców.

Pięćdziesięcioośmioletni Czesław Kiszczak jest najbliższym współpracownikiem premiera – generała Wojciecha Jaruzelskiego. Zawdzięcza mu całą swoją polityczną karierę. To on powierzył w lipcu 1981 roku nieznanemu szerzej wojskowemu spoza resortu tekę ministra spraw wewnętrznych, wywołując tym duże zaskoczenie w MSW.

Pięć miesięcy później Kiszczak staje się głównym wykonawcą planu wprowadzenia stanu wojennego i tłumienia Solidarności. W samym resorcie nowy minister, który na Rakowiecką trafił z wojskowego wywiadu, traktowany jest wciąż nieufnie. Brak mu doświadczenia, nie zna ludzi ani układów. „Ciało obce” – tak o nim mówią na Rakowieckiej. Wraz z pojawieniem się Kiszczaka resort zalewa zielona fala, czyli żołnierze – dawni współpracownicy ministra z wojska. Jednym z nich jest pułkownik Romuald Zajkowski z kontrwywiadu wojskowego. Największym jego sukcesem jest wytropienie w Ludowym Wojsku Polskim (LWP) amerykańskiego szpiega – znanego mistrza olimpijskiego, szermierza Jerzego Pawłowskiego. W marcu 1983 roku Zajkowski trafia do Głównego Inspektoratu Ministra i staje się jedną z nielicznych osób, do których Kiszczak ma pełne zaufanie. Dlatego po śmierci Przemyka powierza mu delikatne zadanie zbadania, czy resort maczał palce w śmierci chłopaka.

Zajkowski sprawdza teczki operacyjne i obserwacji Służby Bezpieczeństwa, próbuje ustalić, czy któryś z funkcjonariuszy SB był na Jezuickiej podczas zatrzymania licealisty. Po kilku dniach melduje Kiszczakowi, że Służba Bezpieczeństwa nie ma nic wspólnego ze śmiercią Przemyka.

– To nie jest polityczna sprawa – stwierdza i tłumaczy Kiszczakowi, że najlepiej byłoby odsunąć od niej milicję i dać do prowadzenia jakiemuś prokuratorowi sympatyzującemu z opozycją. – Najwyżej wykryje kilku sadystów w milicji, ale to się przecież zdarza na całym świecie.

Kiszczak wysyła Zajkowskiego do komendanta głównego milicji, by przekonał go do swojego pomysłu. Generał Józef Beim jest wściekły, gdy dowiaduje się o zamiarze poświęcenia milicjantów.

„Nie dopuszczę, by ktoś grzebał w moim aparacie” – tę odpowiedź Beima Zajkowski przekazuje ministrowi.

Trzy dni później Kiszczak na spotkaniu z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim mówi, że za pobicie odpowiedzialni mogą być nie milicjanci, ale sanitariusze z pogotowia.

„Nietrudno było dostrzec, że cały ten wywód zmierzał do wybielenia MO i SB. Obawiam się, że w tym kierunku pójdzie śledztwo, i obym był złym prorokiem, ale nie sądzę, żeby choć jeden milicjant stanął przed sądem” – zanotował w dzienniku Rakowski.

Romuald Zajkowski: „Śledztwo było nastawione na znalezienie winnych poza resortem. Wszystko szło w kierunku udowodnienia i udokumentowania, że to byli sanitariusze”.

Pułkownik otrzymuje w maju od ministra nowe zadanie zneutralizowania propagandy opozycji i staje na czele trzyosobowego zespołu, który od tej chwili będzie cenzurował każdą informację dotyczącą Przemyka, ukazującą się w polskiej prasie, radiu i telewizji.

Zajkowski: „Chodziło o wypracowanie najwłaściwszych metod przedstawienia społeczeństwu wydarzeń związanych ze śmiercią Przemyka”[20].

Wygląda to tak: gdy w redakcji powstaje tekst poświęcony Przemykowi, musi najpierw trafić do zespołu Zajkowskiego, który wprowadza w nim właściwe zmiany i akceptuje do druku. Zajkowski uskarża się, że część tekstów jest tak marnej jakości, że pisze je sam zamiast dziennikarzy.

21 maja, sobota

W „Życiu Warszawy” ukazuje się lakoniczny komunikat prokuratury: „Trwają badania sądowo-lekarskie, których celem jest ustalenie mechanizmu powstania obrażeń u Grzegorza Przemyka”.

Resort jest bardzo niezadowolony z tego tekstu. Od trzech dni kierownictwo MSW walczy, by komunikat prokuratury był zbieżny z tym, o czym wcześniej informowała milicja. Dlatego zastępca Kiszczaka – generał Władysław Ciastoń – domaga się od prokuratora generalnego

Franciszka Ruska odpowiednich zapisów. Telefonicznie instruuje go, że w tekście musi znaleźć się informacja o agresywnym zachowaniu Przemyka, o jego obrażeniach, które dostrzegli zomowcy podczas zatrzymania, awanturze w karetce i użyciu siły przez sanitariuszy. Zdecydowanie należy pominąć informację o pobycie maturzysty w komisariacie. Wiceminister Ciastoń zjawia się osobiście w gabinecie Ruska i straszy go niewyobrażalnymi konsekwencjami, jeśli opublikuje komunikat. Prokurator generalny nie ustępuje[21].

* * *

Rano ukrywający się od siedmiu dni główny świadek pobicia, dwudziestotrzyletni Cezary F., czyta komunikat prokuratury, w którym znajduje fragmenty o sobie: „Dotychczas nie zdołano przesłuchać dwóch kolegów zmarłego, którzy byli obecni przy zatrzymaniu. Jeden z nich był również z Grzegorzem Przemykiem od momentu zatrzymania aż do chwili zabrania go przez karetkę. Ich zeznania mogą mieć istotne znaczenie dla odtworzenia przebiegu zdarzeń. Do chwili obecnej nieznane jest miejsce pobytu Cezarego F.”.

Po przeczytaniu komunikatu postanawia się ujawnić.

W południe przed prokuraturą Warszawa-Śródmieście rozgrywa się scena jak z filmu sensacyjnego. Na plac Dąbrowskiego podjeżdżają trzy identyczne duże fiaty, z których wysiada po kilku mężczyzn ubranych w takie same robotnicze drelichy. Idą zwartą grupą do drzwi prokuratury, ale wchodzi tylko jeden – to Cezary F. Cała ta maskarada jest po to, by zmylić esbeków, nie dać się im przechwycić i złożyć zeznania bezpośrednio prokuratorowi.

Przesłuchanie rozpoczyna się o dwunastej czterdzieści. Czarek F. ma doskonałą pamięć. Przez siedem godzin opowiada każdy szczegół z wizyty w komisariacie, z najdrobniejszymi detalami opisując, kto i jak Grześka bił. Powtarza o trzymaniu za ręce i biciu zgiętym łokciem w brzuch. Bardzo ważne: to, co mówi, koresponduje z ustaleniami biegłych patomorfologów.

Opis uderzeń odpowiada obrażeniom maturzysty przedstawionym w raporcie z sekcji.

Zeznania F., których kopia trafi do MSW, to śmiertelny cios dla resortu. Są logiczne, spójne i bardzo szczegółowe. Trudno je obalić, zrzucić winę na kogoś innego.

24 maja, wtorek

Posiedzenie Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR[22]. Obecni: premier, ministrowie, ważni sekretarze partii. To najważniejszy ośrodek decyzyjny w państwie, rozwiązujący kluczowe problemy kraju. Dziś są dwa: przygotowania do wizyty Jana Pawła II w ojczyźnie i śmierć maturzysty Grzegorza Przemyka. Oba się ze sobą wiążą.

Papież ma przyjechać do Polski 16 czerwca. Władzy zależy, by przy okazji tej wizyty pokazać światu, że wszystko wróciło do normy, a rozpuszczane na Zachodzie pogłoski o panującym w stanie wojennym terrorze to tylko plotki. Papież jest pierwszym od osiemnastu miesięcy zachodnim przywódcą odwiedzającym Polskę. Z nim przyjadą setki zagranicznych dziennikarzy. Co zrobić, by za trzy tygodnie skupili się na pielgrzymce, a nie zabitym przez ZOMO maturzyście?

Radził o tym kilka dni temu zespół pułkownika Bogusława Kołodziejczaka, kierownika kancelarii sekretariatu KC[23] i jednego z najbliższych współpracowników premiera Wojciecha Jaruzelskiego.

Zastanawia się nad tym rzecznik rządu Jerzy Urban, który ma pomysł, jak rozegrać sprawę Przemyka. List ze swoją propozycją wysyła do Jaruzelskiego. Pisze w nim, by nie lekceważyć tej sprawy, i ostrzega, że będzie ona długo powracać. Według ministra Urbana istnieje niebezpieczeństwo, że chłopak stanie się męczennikiem, na co pozwolić nie można.

Minister proponuje więc przykryć sprawę zabicia maturzysty taśmą kompromitującą Lecha Wałęsę. Chodzi o ubiegłoroczne spotkanie braci Wałęsów w Arłamowie, gdzie został internowany przewodniczący Solidarności. Stanisław Wałęsa rozmawiał tam z Lechem o pieniądzach

i bardzo przy tym przeklinali. Nagraną rozmową dysponuje Służba Bezpieczeństwa i chce nią skompromitować Wałęsę. Więc rzecznik przekonuje premiera, że wyemitowanie jej w telewizji wywoła taki skandal, że odwróci uwagę od śmierci Przemyka. (Ostatecznie władza użyje nagrania pół roku później, gdy Lech Wałęsa dostanie Pokojową Nagrodę Nobla).

Z listu rzecznika wynika także, że dysponuje kompromitującymi informacjami dotyczącymi zmarłego chłopca, ale na razie nie będzie ich używał. „Atak na Przemyka byłby teraz fatalnie przyjęty i zaogniłby sprawę. Na to działanie przyjdzie czas później, przy okazji wycieków ze śledztwa" – pisze Urban i proponuje na razie siać zwątpienie: „Przedstawić opinii społecznej jak najwięcej znaków zapytania. Kto pobił? Gdzie pobito? Dlaczego lekarz odesłał go do domu? Czy mógłby żyć tak długo po pobiciu przez MO, gdyby miał wszystko zmiażdżone, jak twierdzą lekarze?

Głównie powinno chodzić o to, żeby opinia społeczna zaczęła dyskutować, wątpić, dostrzegać złożoność wydarzenia".

Rzecznik uważa, że konieczny jest jakiś gest, który należy wykonać, by usatysfakcjonować tych, którzy domagają się ukarania milicjantów. Urban proponuje, by ogłosić informację o tymczasowym zawieszeniu w czynnościach dwóch zomowców i komendanta komisariatu na Jezuickiej.

Rzecznik rządu premiera Jaruzelskiego przesyła list ministrowi Kiszczakowi.

„Ten zaś wściekł się – notuje w dzienniku Mieczysław Rakowski. – Powiedział, że jeśli sugeruje mu się zawieszenie w czynnościach służbowych kilku milicjantów, to »przy najbliższych rozruchach niech pracownicy KC wyjdą na ulice z kijami«".

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC Kiszczak łagodnieje:

„Omawia wszystkie szczegóły, z których wynika, że jednak MO jest bez winy. Mówi, że opozycja wydała już wcześniej wyrok na milicję, on nie dałby złamanego grosza za twierdzenie, że Przemyka nie pobili milicjanci na Jezuickiej, to jednak wpierw trzeba udowodnić. Przeprasza za nieco emocjonalny ton przedstawiania sprawy, ale w MSW jest ona mocno przeżywana"[24].

Na koniec apeluje do kolegów, by wzmocnili poczucie bezpieczeństwa w MO.

„Jeśli to nie nastąpi, to nie wiadomo, jak milicja zachowa się przy następnej awanturze” – ostrzega Kiszczak.

Biuro Polityczne odpowiada na apel ministra, zobowiązując resort do wyciągnięcia surowych konsekwencji, ale nie wobec zomowców, tylko poety Wiktora Woroszylskiego, który w liście otwartym domagał się ukarania winnych. Zdaniem najwyższego organu PZPR list Woroszylskiego był bezpodstawnym oskarżeniem władzy o niezwykle brutalne, bestialskie spowodowanie śmierci Przemyka. Biuro Polityczne staje więc murem za swoim ministrem, komendantem milicji i całym resortem. Wydaje nawet oświadczenie, w którym wyraża uznanie dla służb MSW, potępiając ataki podziemia na resort.

Zaleca przeprowadzenie kampanii propagandowej, która ociepli wizerunek milicji, ZOMO i SB w oczach społeczeństwa i w ten sposób wzmocni morale organów bezpieczeństwa.

Wyznacza też sekretarza KC Mirosława Milewskiego, by powołał specjalny zespół do koordynowania sprawy Przemyka. Jego działalność, jak wkrótce się okaże, będzie polegać na zaciemnianiu, zamulaniu i wskazywaniu fałszywych tropów.

„To potwierdza moje przypuszczenia, że wszystko zmierza do ukręcenia łba całej tej tragedii – notuje po spotkaniu Rakowski. – W moim przekonaniu będzie to fatalny błąd polityczny. Ja mam inne spojrzenie na praworządność. Generał [Jaruzelski] umocniłby swój autorytet, gdyby w takiej sprawie rąbnął pięścią w stół”.

Ale premier Jaruzelski nie ma takiego zamiaru. Przyznaje, że chłopiec był bity, ale wyjaśnia Rakowskiemu, że Przemyk był narkomanem.

– To tłumaczy jego dziwne zachowanie – mówi mu Jaruzelski.

„W tej narkomanii dojrzałem chęć osłabienia [winy] Rakowieckiej za to, co się stało” – zanotował Rakowski.

25 maja, środa

Spotkanie rzecznika Jerzego Urbana z zagranicznymi dziennikarzami.

– W toku śledztwa bliższe szczegóły nie będą ujawniane, także dlatego, by nie podniecać emocji społecznych, na czym zależy naszym przeciwnikom krajowym i zagranicznym. Chcą oni zbić na tej tragedii swój polityczny kapitał – mówi Urban.

26 maja, czwartek

Milicja bierze pod uwagę cztery najbardziej prawdopodobne wersje wydarzeń: został pobity w komisariacie, w karetce lub pogotowiu, we własnym domu lub przez przyjaciela Czarka F. Wątki bada powołana do tego celu grupa w Komendzie Głównej MO (KGMO), na której czele stoi komendant główny – generał Józef Beim. Choć z czterech wersji najbardziej możliwa jest ta z udziałem milicjantów, nie sprawdza jej nikt. A nawet milicja prewencyjnie robi wszystko, żeby nie mogła znaleźć potwierdzenia.

Inspektor Jerzy Kulczycki dostaje polecenie udowodnienia, że śmiertelny cios został zadany w karetce. To logiczne – sanitariusze sami ściągnęli na siebie winę, wpisując w karcie wyjazdu informację o agresywności pacjenta i użyciu siły. Kulczycki odnajduje kremowego fiata kombi (WAX-147K), którym przewożono Przemyka. Sadza pozoranta na noszach i próbuje zadać mu cios z zajętego przez siebie fotela kierowcy.

– To niemożliwe – melduje pułkownikowi Kazimierzowi Otłowskiemu, dyrektorowi Biura Dochodzeniowo-Śledczego KGMO. Wściekły Otłowski robi wyrzuty Kulczyckiemu:

– Nie potrafisz tego udowodnić? – pyta.

27 maja, piątek

List przebywającego w więzieniu Jacka Kuronia do Barbary Sadowskiej.

„Zdawało mi się, że 23 listopada umarłem razem z Grażynką[25], że nic nie jest w stanie zmartwić mnie ani ucieszyć. Śmierć Grzegorza i Twoje

cierpienie poraziły mnie bólem. […] Teraz jestem z Tobą i Grzegorzem tak dosłownie, materialnie i wiem, że nie ja jeden i nie ja pierwszy. Więc w nas wszystkich Grzegorz jest, a ty nie jesteś samotna.

Mówił mi Marek Edelman o wierszach Grzegorza, więc jego egzystencja będzie, jest – rzeczywistością niezaprzeczalną. Ten byt to zaledwie cień cienia Grzegorza. Ale wiem, że to jego życie po życiu jest nam wszystkim bardzo potrzebne. I to jest dla Ciebie ważny obowiązek wobec niego. Znowu masz obowiązki, tak jak przez całe lata jego życia. Ale z obowiązków składa się miłość, więc ona trwa, póki masz obowiązki".

28 maja, sobota

„Uważałem, że się na tym nie znam – tłumaczył Romuald Zajkowski – więc muszę zasięgnąć opinii specjalistów, którzy znają się na prowadzeniu propagandy".

Najwybitniejszym ekspertem, którego zna, jest profesor Włodzimierz Szewczuk, znany socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektor Instytutu Psychologii, autor podręczników akademickich, ale także doradca, który w sytuacjach kryzysowych pomaga władzy wyjść z opresji. Sprawa jest pilna. Zajkowski leci do Krakowa milicyjnym samolotem.

Zadanie profesora polega na takim zinterpretowaniu faktów, by odsunąć podejrzenia od milicjantów, a najlepiej skierować je na kogoś innego. Zadanie nie jest łatwe wobec zeznań świadków.

Profesor Szewczuk zaleca zastosowanie jednej z najstarszych technik manipulacji – pokazanie wroga w najczarniejszych barwach. Wroga, czyli Przemyka, należy tak przedstawiać, by wyeksponować pijaństwo i narkomanię w jego środowisku. W ten sposób odbierze się wiarygodność jemu i świadkom.

Natomiast pogłoski o pobiciu chłopca przez milicję przedstawić jako polityczną akcję skompromitowania MO i próbę skłócenia społeczeństwa z władzą.

Szewczuk proponuje też całą gamę działań ocieplających wizerunek milicji i Służby Bezpieczeństwa, od telewizyjnych programów

pokazujących, jak MO pomaga odnaleźć zaginione dzieci, po walkę ze spekulantami.

Jeszcze dalej idzie zespół profesora Józefa Borgosza z Wojskowej Akademii Politycznej, poproszony o naukowe wsparcie dla sprawy Przemyka.

„W dotychczasowych działaniach milicja przyjęła błędną taktykę defensywy, tym samym sugerując, iż ma nieczyste sumienie”[26] – pisze Borgosz w swojej ekspertyzie. Rekomenduje, by przerzucić winę z milicjantów na kolegów chłopca, jego matkę, sanitariuszy.

Potrzebne jest nowe spojrzenie na to, co działo się z Przemykiem na placu Zamkowym. Gdyby przyjąć, że baraszkowanie chłopców tuż przed zatrzymaniem to nie wygłupy, ale trening karate, wtedy można inaczej spojrzeć na obrażenia chłopca.

„Wyeksponować elementy siłowe – zaleca profesor. – Podkreślić, że wkraczając na plac, bili się fachowo, że wydawali okrzyki w stylu karate, że kilka razy zdarzyło się przygniecenie przyszłego denata. To wielce prawdopodobna wersja pęknięcia krezki.

Uwaga: Część opisową przed placem ubrać w jak największą liczbę szczegółów – ilość spożytego alkoholu, narkotyków, długość baraszkowania, ćwiczeń karate, stopień zaawansowania uczestników w karate”.

Dzięki zaproponowanej przez zespół profesora „wersji karate” można obalić zeznania Kuby Kotańskiego, jednego z dwóch kluczowych świadków, który stojąc pod komisariatem, słyszał krzyki bitego Przemyka. Czy byłby w stanie odróżnić krzyk bólu od okrzyku karate? Mógł się przecież pomylić.

„Działać zdecydowanie, by nie dawać do zrozumienia, że MO poczuwa się do winy” – doradza Józef Borgosz. „Można twierdzić, że uszkodzenie ciała nastąpiło w trakcie szamotania się w karetce, szpitalu czy też u matki w domu (to wszystko są punkty, w które można bić)”.

29 maja, niedziela

„Ten ból, który był zadawany przez cały maj Warszawie, dotknął w sposób szczególny moich bliskich, których znam i podziwiam. Kazanie więc będzie przepojone bólem” – notuje ksiądz Jerzy Popiełuszko.

Kościół Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu. Comiesięczna msza za ojczyznę. Tłumy.

Kazanie jest o panowaniu szatana w Warszawie, który wystawia na placu Zamkowym armatki wodne i uzbrojone w nienawiść oddziały zmotoryzowane.

– Ale to wszystko szatanowi było za mało. I dlatego posunął się do tak strasznej zbrodni, że z przerażenia oniemiała cała Warszawa. Przerwał niewinne, młode życie. W sposób bestialski zabrał matce jedynego syna. Bo nie wystarczało mu, że wielokrotnie pastwił się nad matką i jej chłopcem. […] I zapanowało w stolicy milczenie. Milczenie solidarne, które w bólu połączyło tysiące serc.

30 maja, poniedziałek

Generał Czesław Kiszczak ujawnia dziś kulisy sprawy Grzegorza Przemyka. Najpierw nauczycielom z liceum Modrzewskiego, w którym uczył się Grzegorz, potem delegatom na XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Umiejętnie rozkłada akcenty. Stosuje na przemian zalecaną przez Jerzego Urbana technikę zamulania i oczerniania, polecaną też przez profesora Włodzimierza Szewczuka.

Do nauczycieli z Modrzewskiego apeluje, żeby dostrzegli w funkcjonariuszu również człowieka („Pod mundurem kryje się przecież człowiek z krwi i kości”), a do działaczy PZPR, żeby na sprawę trupa spojrzeli jak na nowy etap walki politycznej.

– Ostrze kampanii, jaką wokół tej śmierci rozpętano, wymierzone jest w dwóch kierunkach – wyjaśnia zebranym w gmachu Komitetu Centralnego. – Po pierwsze, że do prawdziwej stabilizacji w Polsce daleko. Po drugie, wykazać zbrodniczy charakter, antyhumanitaryzm funkcjonariuszy MO i SB. Nic bardziej przekonywającego,

przemawiającego do wyobraźni niż zamordowany z premedytacją, w sposób wyrafinowany i fachowy młody, niewinny człowiek. Stąd już tylko niewielki krok do sparaliżowania działalności MSW, do wytworzenia wokół niego atmosfery ogólnego potępienia i izolacji w społeczeństwie.

Minister ujawnia aktywowi partyjnemu pikantne szczegóły z życia zabitego maturzysty, jego matki i kolegów.

Mówi, że chłopak był zaniedbany, z rozbitej rodziny, narkotyzował się, przychodził pijany do szkoły, leczył się psychiatrycznie i miał za sobą próby samobójcze. Matka podobnie: po operacji głowy, nadużywała alkoholu i wszczynała burdy.

Czy można ufać świadkom, którzy oskarżają dziś funkcjonariuszy o najgorsze bestialstwo?

– Przecież główny świadek był karany i leczony psychiatrycznie – ujawnia generał. A jakby miał ktoś jeszcze wątpliwości, to dodaje, że F. jest związany z marginesem społecznym, środowiskiem narkomanów i homoseksualistów.

Pozostali dwaj świadkowie nie są lepsi: jeden leczony psychiatrycznie, drugi narkoman.

Kiszczak chyba jeszcze nie wie o fiasku starań Kulczyckiego, więc prezentuje zebranym najbardziej prawdopodobną, według niego, wersję wydarzeń.

– Chłopak został pobity w karetce – zapewnia. Twierdzi, że sanitariusze przecież sami przyznali, że Przemyk zachowywał się agresywnie i nie mogli sobie z nim poradzić.

– Gdyby rzeczywiście był dotkliwie pobity w komisariacie miałby jeszcze tyle siły, aby agresywnie zachowywać się w karetce? – zastanawiał się minister.

Oczywiście, dodaje, komisariatu wykluczyć całkowicie nie można, ale jest to najmniej wiarygodna wersja. Dlaczego?

– Resort – tłumaczy Kiszczak – nie stosuje takich praktyk. Zaprzeczają temu wszyscy obecni w komisariacie funkcjonariusze.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – dodaje minister i powtarza główną tezę raportu profesora Borgosza. – Przemyk został pobity, zanim jeszcze

spotkał się z patrolem na placu Zamkowym. Obrażeń jelit mógł doznać albo podczas upadku, albo w czasie treningu karate.

To, że Grzesiek karate nigdy nie uprawiał, nie ma znaczenia. Wersja profesora Borgosza już obowiązuje. Dlatego wszyscy milicjanci z Jezuickiej żadnych jęków, wyć i krzyków Przemyka nie słyszeli. Zeznają zgodnie, że to były okrzyki karate.

Barbara. Urodzona przy Boulevard Ney

Z wycinków gazet, skrawków papieru, starych pocztówek, pożółkłych listów, pustych kopert, zdjęć, rysunków, zapisanych serwetek, kartek wyrwanych z kalendarza próbuję odtworzyć jej życie.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych sterta papierów trafiła do Zbiorów Ośrodka Karta w Warszawie, gromadzącego pamiątki po czasach komunizmu. Nie wiadomo nawet, kto przyniósł te wszystkie szpargały. W Karcie zostały posegregowane, podzielone na lata i zamknięte w dwóch pudłach z napisem „Barbara Sadowska”.

Wystarczy zejść krętymi schodami do ciasnej piwnicy, usiąść przy wielkim drewnianym stole i kartka po kartce zanurzyć się w życiu Sadowskiej.

* * *

Wyciąg z aktu urodzenia wydanego przez osiemnasty okręg Paryża (prefektura departamentu Sekwany):

„24 lutego 1940 roku o 10.30 urodziła się przy Boulevard Ney 170 Barbara płci żeńskiej z ojca Czesława Sadowskiego i matki Jadwigi Belczyk (jego małżonki)”.

Boulevard Ney, przy którym urodziła się Sadowska, ciągnie się na prawym brzegu Sekwany i przylega do Montmartre’u – dzielnicy malarzy i poetów. Tam ponoć mieszkała z matką.

Pod numerem 170 jest kompleks budynków z czerwonej cegły, wciśniętych między bulwary: Boulevard Ney i peryferyjny. To stary szpital Bichat-Claude Bernard. Tu się urodziła. Wchodzi się do środka przez kutą żelazną bramę, prowadzącą dziś do luksusowych loftów, które powstały z przerobionych pomieszczeń szpitalnych.

Jej matka Jadwiga przyjechała do Francji w 1935 roku, miała dwadzieścia trzy lata i szybko znalazła pracę jako instruktorka wychowania

fizycznego. Koleżance z Sosnowca wysłała wtedy kartkę z rozświetlonym jarzeniówkami młynem kabaretu Moulin Rouge. Na odwrocie napisała: „Paryż mnie oczarował”.

Wspomniany w akcie urodzenia Czesław Sadowski, który dał jej nazwisko, nigdy nie był jej ojcem. To łódzki malarz, którego Jadwiga poślubiła, zanim samotnie wyjechała do Francji.

„Nigdy go nie kochała – pisała Barbara w listach. – Wiem tylko, że był egoistą i nie mył zębów”[27].

Biologicznym ojcem Basi jest Franciszek Obrębski – Polak pracujący we francuskiej oświacie. Po wybuchu wojny związał się z francuskim ruchem oporu.

„Franciszek to największa miłość mojej matki. To cała jej Francja. I pisał do mnie listy, kiedy byłam jeszcze nieurodzona. […] Matki mojej miłość do mnie zbierała ze mnie podobieństwa do niego”.

Najstarsze wspomnienie: „Brak domu jakiegokolwiek. Jedynie Rochetaillee [mała wioska w Wogezach przy granicy z Niemcami], gdzie mało pamiętam. Jakieś winnice, naloty, wysadzanie mostu, które przyniosło upragnione szkiełka […]. Werandy, szczury, szparagi, brzoskwinie, saboty, magnolie.

I tam też wymyśliłam moją Udę, niby siostrę starszą, córkę dziadka i mojej mamy. Ona była ideałem. Miałam ją za towarzyszkę, bo wokół byli sami dorośli.

Miałam pięć lat, kiedy matka wysłała mnie do starych, obcych ludzi pod Bazyleę. To była strefa niemiecka. Nie umiałam tego języka. Tam pierwsze bicie, pierwsza nienawiść. Niszczyłam im rude kwiaty, jakieś nasturcje, czy nagietki, które z iście niemiecką dokładnością pielęgnowali.

Wtedy też pierwsze kradzieże z wzorowo prowadzonego przedszkola. Jakieś części, z których można było robić samoloty, mosty. Kradłam nie z braku, ale z namiętności, taki rodzaj ryzykanctwa.

Powrót do Francji. Bardzo krótko z matką. Ciągle po ludziach, jakiś mocny zapach moczu, prania. Bardzo wiele osób w łóżku wielkim i obowiązek budzenia młodszych, żeby nie lały pod siebie. Później obóz

PCK prowadzony przez matkę i tam spotykam rodzeństwo polskie, sieroty – Janeczka i Jarka. Mieszkali w jednym pokoiku i tam przychodziłam.

I ten Jarek kiedyś położył koc na podłodze i chciał mnie rozebrać. Dusił mnie pod tym kocem i kazał siebie dotykać. Pamiętam tylko potworny strach i że nikomu nie miałam odwagi tego powiedzieć.”

Gdy Basia ma dwa lata, Niemcy przychodzą do ich mieszkania, zakładają ojcu kajdanki i wywożą do obozu koncentracyjnego pod Hamburgiem. (Potem będzie opowiadać w szkole bajkę o tym, że jak go aresztowali, to ona gryzła jego kajdany).

Franciszek Obrębski ma dużo szczęścia, bo trafia do obozu w Neuengamme i mimo ciężkich warunków doczeka tam niemal końca wojny. Ale też i pecha, bo na dwa tygodnie przed podpisaniem kapitulacji przez Trzecią Rzeszę esesmani wypędzają więźniów z obozu, pakują na luksusowy liniowiec Cap Arcona i czekają na rozkaz, by go razem z więźniami zatopić. Te plany niweczy angielskie bombardowanie Hamburga z 3 maja 1945 roku. Niestety, bombardują też redę Hamburga i niemiecki liniowiec. Ginie osiem tysięcy więźniów, wśród nich ojciec Basi – Franciszek Obrębski.

* * *

Swój pierwszy życiorys Barbara pisze dziecięcym charakterem pisma, stalówką, fioletowym atramentem na kartce wyrwanej z zeszytu: „Do Polski przyjechałam w 1946 roku. Zamieszkaliśmy w Sopocie, po czym zaczęłam uczęszczać w 1947 roku do szkoły podstawowej w Oliwie. W 1949 roku przyjechałam do Warszawy, gdzie ukończyłam 7 klas Szkoły Podstawowej nr 133 w roku 1953. W roku szkolnym 1953/1954 uczęszczałam do Państwowego Liceum Technik Plastycznych, lecz po trzech miesiącach przerwałam naukę. Obecnie uczęszczam na wydział rzeźby i rysunku w Młodzieżowym Domu Kultury”.

W Warszawie mieszkają na Bielanach, na terenie Akademii Wychowania Fizycznego, gdzie Jadwiga wykłada, robi doktorat, tłumaczy książki z francuskiego i redaguje uczelniane pismo „Kultura Fizyczna”. Praca ją

całkowicie pochłania, aż brakuje czasu na zajmowanie się chorowitą i dorastającą córką.

„Las bielański. […] Bunkry. Nadziewanie much na trawę i puszczanie. Żaby nadmuchiwane. Dużo, dużo samotnego chodzenia. […] I przy tych męczarniach zwierząt też wyjmowanie wędzideł koniom (zakopane są w jednym miejscu chyba dwadzieścia trzy). I satysfakcja z furii woźniców. Dalej drobne kradzieże.

Pamiętam pomarańczę na Cegłowskiej. Najpierw wyjęłam koniowi wędzidło, gdy woźnica poszedł się odlać za parkan budowy. Na wozie zostawił dziecko. Weszłam do sklepu na rogu i stanęłam w kolejce tuż przy skrzyniach z pomarańczami. Patrzyłam na sprzedającą, coś mruczałam pod nosem, kręciłam się niespokojnie. Wszystko sprzęgnięte w jeden cel – pomarańcza. Jakbym była w letargu. Udało się. Dałam pomarańczę dziecku.

Później kradzież w szkole u Kenara w Zakopanem, za którą wyleciałam. To była wspólna kradzież z Magdą, grubą dziewczyną, z którą każdy chciał tańczyć w Watrze.

Byłam najmłodsza, trzynaście lat i chuda. Nikt mnie nie zaczepiał, tylko koledzy ze szkoły czasem ze mną tańczyli.

Już potem nigdy nic nie ukradłam.

Cztery lata w szkole w Warszawie [Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych przy ulicy Myśliwieckiej], gdzie [trafiła] koleżanka z Zakopanego. I lęk, że od niej wszyscy się dowiedzą. Dlatego się izolowałam od reszty.

[Jako] szesnastolatka nosiłam na obozach plecak paskami na krzyż, żeby zasłonić rosnące piersi. Wstydziłam się tych różnych zmian. Wspólne prysznice i tajemnice dziewczyńskie.

Pierwsze uczucie. Wstręt, nienawiść do seksu, do jakiegokolwiek zbliżenia. Wieczne przypominanie tej duszności, tego zapachu przedwcześnie dowiedzionego. I żadnych pragnień. Zaczęłam pisać. 1957 rok”.

* * *

Wycięty w 1957 roku z tygodnika „Nowa Kultura” jej pierwszy wydrukowany wiersz:

Matka

przycupnęłaś na brzegu fotela
cerujesz
masz śmieszny kołnierzyk
i cienkie ręce
marszczysz się mamo

dziura wielka jak melon
wymyka się
zwijasz palce kurczowo przytrzymując
na próżno
przegryzasz nitkę zębami
i ręce ci opadają

Swoje wiersze zaniosła od razu do „Nowej Kultury”, najważniejszego polskiego pisma kulturalnego. Ma szczęście, bo szybko wpadły w oko redaktorowi naczelnemu Wiktorowi Woroszylskiemu, który postanawia jeden z nich wydrukować. To ważne spotkanie dla obojga. Od tej chwili Woroszylski bierze młodą poetkę pod opiekę i prowadzi ją przez całe życie, aż do jej śmierci. Rodzi się wtedy przyjaźń.

Woroszylski to jeden z najważniejszych powojennych poetów. Jest z pokolenia „pryszczatych”. Tak starsi pisarze nazywają młodych, którzy dali się uwieść komunizmowi i opowiadają bzdury o podporządkowaniu poezji i literatury ideologii. Tylko że w 1957 roku Woroszylski „pryszczatym” już nie jest. Rok wcześniej pojechał do Budapesztu i zobaczył z bliska węgierską rewolucję. Widział płonące domy, ulice zasłane trupami i rosyjskie czołgi rozjeżdżające miasto. Zgasł w nim nagle ideologiczny żar i został krytykiem komunizmu.

Z pierwszego spotkania z Sadowską zapamiętał jej puszyste, jasne włosy spięte w koński ogon i zuchwały uśmiech. „Czuliśmy, że mamy do czynienia z kimś nieprzeciętnym, z osobowością poetycką, autentyczną w każdym swoim drgnieniu, z człowiekiem, który nie przejdzie przez życie bez śladu”[28] – pisał po latach o spotkaniu z siedemnastolatką.

* * *

Z pudła wyciągam wyciętą z „Tygodnika Powszechnego” recenzję jej drugiego tomiku wierszy *Nad ogniem*, napisaną przez Jacka Łukasiewicza:

„Wybitnych zjawisk w poezji nigdy nie jest za wiele. Trzeba więc zwracać na nie uwagę. Wybitny jest zbiór wierszy Barbary Sadowskiej *Nad ogniem*.

Zbiór Sadowskiej jest poszukiwaniem rozpaczliwym i jest to poszukiwanie absolutnie bezkompromisowe. Nie ma tu nic zbędnego. Poezja ta jest ciemna. Nie ma żadnego mizdrzenia się. W tej poezji byłoby ono niemożliwe. Czuć imperatyw spraw najważniejszych, nierozmieniania się na detale. Rozpaczliwe poszukiwanie spójni ze światem budowane jest ze strzępków związków rodzinnych. Świat tych wierszy jest autonomiczny, nie jest naśladowaniem i nie może być przez nikogo naśladowany. Ten tomik wierszy nie powinien zostać przygnieciony stosem zbiorków letnich i nijakich, pozerskich i fałszywych”[29].

[^] Zaproszenie na wieczór poezji, 1959 rok

* * *

Dwa listy Sadowskiej do Stanisława Czycza.

List pierwszy:

„Wczoraj ginekolog mi powiedział, że jestem w ciąży. Ciężko mi dosyć. Jeżeliby się miało urodzić chore lub pokraka, to nie wiem.

Matka przyjęła tę wiadomość ciepło, bo prawie zawsze jest mi oddana. Zna moje wszystkie wiersze i je rozumie”.

List drugi:

„Kilka wiadomości »cielesnych«. To nie dziecko, ale guz przy jajniku. Za trzy tygodnie będę operowana. Bardzo mi zależy, żeby to dobrze poszło, bo podobno tego rodzaju operacje grożą bezpłodnością.

Jestem mocno osłabiona. Może takie dane ci zaprezentuję: ciśnienie – osiemdziesiąt pięć na czterdzieści; temperatura – stale trzydzieści siedem, trzydzieści osiem. Plus, od sześciu lat żółtaczka, zapalenie chroniczne dróg żółciowych, plus ślepawe oko”.

* * *

List z 1960 roku napisany przez Jadwigę Sadowską do poety Janusza Żernickiego:

„U niej powoli wytwarza się kompleks na punkcie nieuctwa, taki, że zaczęła negować wszystko, co miało związek z wiedzą. To bardzo dla człowieka niebezpieczne. Dlatego życzę jej, aby jej się udało z egzaminem, który będzie zdawać. W styczniu egzamin do klasy maturalnej, a w czerwcu matura”.

Ale się nie udaje, nie podchodzi do matury i sytuacja Baśki staje się tragiczna.

Ma dwadzieścia lat, debiut poetycki w dużym Wydawnictwie Iskry, entuzjastyczne recenzje w literackiej prasie, ale nie ma jeszcze matury. Prawdę mówiąc, jest jeszcze gorzej – nie licząc podstawówki, nie ma żadnego wykształcenia, żadnego zawodu i tylko dwie propozycje pracy, ale obie nie za bardzo zadowalające.

Pierwsza – w zakładzie doświadczalnym zwierząt, przytrzymywać zwierzęta tak, by się nie wyrywały przy wiwisekcji. Druga – w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, jako osobista sekretarka inżyniera. Od siódmej do trzynastej trzydzieści. To przecież nie dla niej.

W 1962 roku Jadwiga zapisuje córkę do wieczorowego liceum na warszawskiej Pradze i daje drobne ogłoszenie w gazecie. Szuka dla niej korepetytora z przedmiotów ścisłych: fizyki, matematyki i chemii. Na anons odpowiada dwudziestodwuletni student Politechniki Warszawskiej, Leopold Przemyk. Wysoki, ciemnowłosy, krótko ostrzyżony, brodaty. Pochodzi z Ligoty niedaleko Bielska-Białej, ale już zadomowił się w Warszawie, bo jest tu od czterech lat. Studiuje na Wydziale Mechanicznym Energetyki i Lotnictwa. Mieszka w akademiku przy placu Narutowicza, narzeka na panującą tam nieziemską ciasnotę. Dwa pokoiki przy Piwnej, które od 1954 roku zajmuje Sadowska z córką, wydają mu się niewyobrażalnym luksusem.

[^] Grzegorz Przemyk z ojcem Leopoldem, 1965 rok

„Pomyślałem więc, że nie byłoby źle ożenić się z warszawianką”[30] – wspominał.

Rok 1963 jest rokiem jej wielkich życiowych zmian. W maju Baśka zdaje maturę, w sierpniu zachodzi w ciążę, w grudniu wychodzi za mąż za swojego korepetytora. Ślub jest cywilny, bo panna młoda i jej mama trzymają się z dala od Kościoła.

* * *

Karta wypisu ze szpitala przy ulicy Karowej z 1964 roku, w którym 17 maja urodził się jej syn Grzegorz. „Waga: 2900 gramów, długość: 50 centymetrów. Ciąża i poród – prawidłowe”.

„Pucołowaty, grubiutki, przylepny” – wspominał pierwsze wrażenia ojciec Leopold.

Tydzień po porodzie odwiedza Barbarę w mieszkaniu przy Piwnej pielęgniarka środowiskowa. „Warunki umiarkowanie dobre, mieszkanie czysto utrzymane – notuje. – Skóra dziecka czysta, pośladki zaczerwienione, pępuszek zagojony. Bielizna osobista i pościelowa dziecka – czysta. Leży w łóżeczku przykryte kocykiem. Karmione jest sześć razy na dobę pokarmem matki. Między posiłkami matka daje dziecku pić – wodę przegotowaną z cukrem. Chętnie rozmawia na temat dziecka”.

[^] Dwuletni Grzegorz Przemyk, 1966 rok, w tle ruiny Zamku Królewskiego w Warszawie

Pojawia się pierwszy małżeński problem. Basia nie chce ochrzcić Grzesia. Mówi, że gdy chłopiec dorośnie, sam zdecyduje, czy chce być chrześcijaninem. Sprawę rozwiązuje matka Leopolda, gdy jesienią 1964 roku przyjeżdżają do niej na wieś. Mówi synowi i jego żonie, że nie pozwoli, by jej wnuk był poganinem, załatwia wszystkie formalności i chrzci chłopca w kościele Świętego Mikołaja w Bielsku-Białej.

W Warszawie chłopcem zajmuje się zwykle Jadwiga. To ona też jeździ z nim na wakacje.

Jest sierpień 1966 roku. Babka spędza go w Kazimierzu Dolnym z dwuletnim wnukiem. Wysyła córce codzienne raporty na kartkach pocztowych:

„Energia go rozpiera, doskonale je i śpi świetnie. Jest mi z nim bajkowo dobrze i miło”.

„Jest kochany, ale nic do niego nie dociera z próśb i wymagań. – Zaraz przyjdę – odpowiada zawsze, a jak raz na sto przyjdzie, to się chwali: »Grzesio przysed«”.

„Dziś był świadkiem sceny, która go bardzo poruszyła. Na statku było koźlątko, które uciekło od mamy i przewróciło jakąś babcię i właścicielka dała koźlątku w skórę kijem. Był przerażony. Pytał dlaczego. – Nie słuchał innych – odpowiedziałam”.

* * *

Leopold po wykładach na politechnice dorabia, gdzie się da, by utrzymać rodzinę. Basia ma jeszcze mniej czasu, bo w dzień pisze wiersze, a wieczorem i w nocy rozmawia o nich w klubie Hybrydy. Tam od kilku lat spotykają się młodzi poeci: Edward Stachura, Janusz Żernicki, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Leszin, Andrzej Zaniewski, tworzący Orientację Poetycką Hybrydy. Uważają się za wybrańców bogów, bo są pierwszym pokoleniem polskich poetów wolnym od wojen, powstań i walki narodowowyzwoleńczej. Mogą oderwać się od tej patriotycznej retoryki i przemówić własnym głosem. I mówią: na wieczorkach autorskich, na domowych i knajpianych spotkaniach, na bankietach.

„Czytaliśmy wtedy to, co się powszechnie czytało – wspominał Zbigniew Jerzyna[31] – Camusa, Kafkę, Sartre’a, Eliota, francuski numer »Twórczości«. Fascynowały nas »Ryby« Buffeta, Picasso z okresu różowego, impresjoniści. Wróblewski, Nowosielski. Oglądaliśmy: Felliniego, Antonioniego (przede wszystkim »Przygodę«), Bergmana. Słuchaliśmy Berga, Bartoka, Szymanowskiego. I to był nasz udział w powszechnych fascynacjach. Ale ja zapamiętałem nasze dwie całkiem intymne lektury: »Ścieżkę pajęczych gwiazd« Italo Calvino i »Światłość świata« Laxnessa. A co Basia wtedy śpiewała? Na pewno »Only you« Édith Piaf, »Dianę« Paula Anki”.

Na co dzień jest wzajemna sympatia, obdarowywanie się tomikami wierszy, niekończące się rozmowy o poezji i wódka lejąca się strumieniami.

Fotograf Wiesław Sadurski, mieszkający dziś w Berlinie, pamięta Sadowską ze spotkań z początku lat sześćdziesiątych. Siedzą na podłodze w mieszkaniu Jarosława Markiewicza, późniejszego założyciela Kościoła Nieustającej Twórczości. Basia opowiada o wpływie orgazmu na kształt poetyckiej metafory.

– Pamiętam to dokładnie, bo zalał mnie rumieniec, a gdy to zobaczyła, to żeby mnie bardziej zawstydzić, złożyła mi propozycję podłączenia się do tych wspólnych doświadczeń – mówi Sadurski.

Młodzi poeci piją w Gwiazdeczce na Starym Mieście, gdzie stoliki są tak małe, że ledwo się na nich mieszczą kieliszki. Gdy robi się ciepło, można wyjść na zewnątrz na stare podwórko. Stąd jest blisko do mieszkania Basi, które też jest na Piwnej, ale kilkadziesiąt metrów dalej. Dom jest otwarty, więc gdy zamykają mordownie na Starym Mieście, Basia sprowadza na Piwną całe tabuny poetów, poetek, pisarzy i dziennikarzy, którzy potrafią gadać do białego rana, a potem rozpełzają się po niewielkim dwupokojowym mieszkaniu, by znaleźć jakiś kąt do spania. Leopold nie rozumie poetów i bardzo źle znosi te nocne wizyty. Nie jest w stanie zaakceptować improwizacyjnego stosunku żony do obowiązków i codzienności, a na dodatek, gdy goście idą spać, on wychodzi do pracy. „Inżynier i poetka to dwa różne światy pod każdym względem – skarży się. – Gdy ma się małe dziecko, trudno żyć jak Cyganie. Musiałem

przecież wstawać rano do pracy, często jeszcze odwozić Grzesia do żłobka, a potem go zabierać”[32].

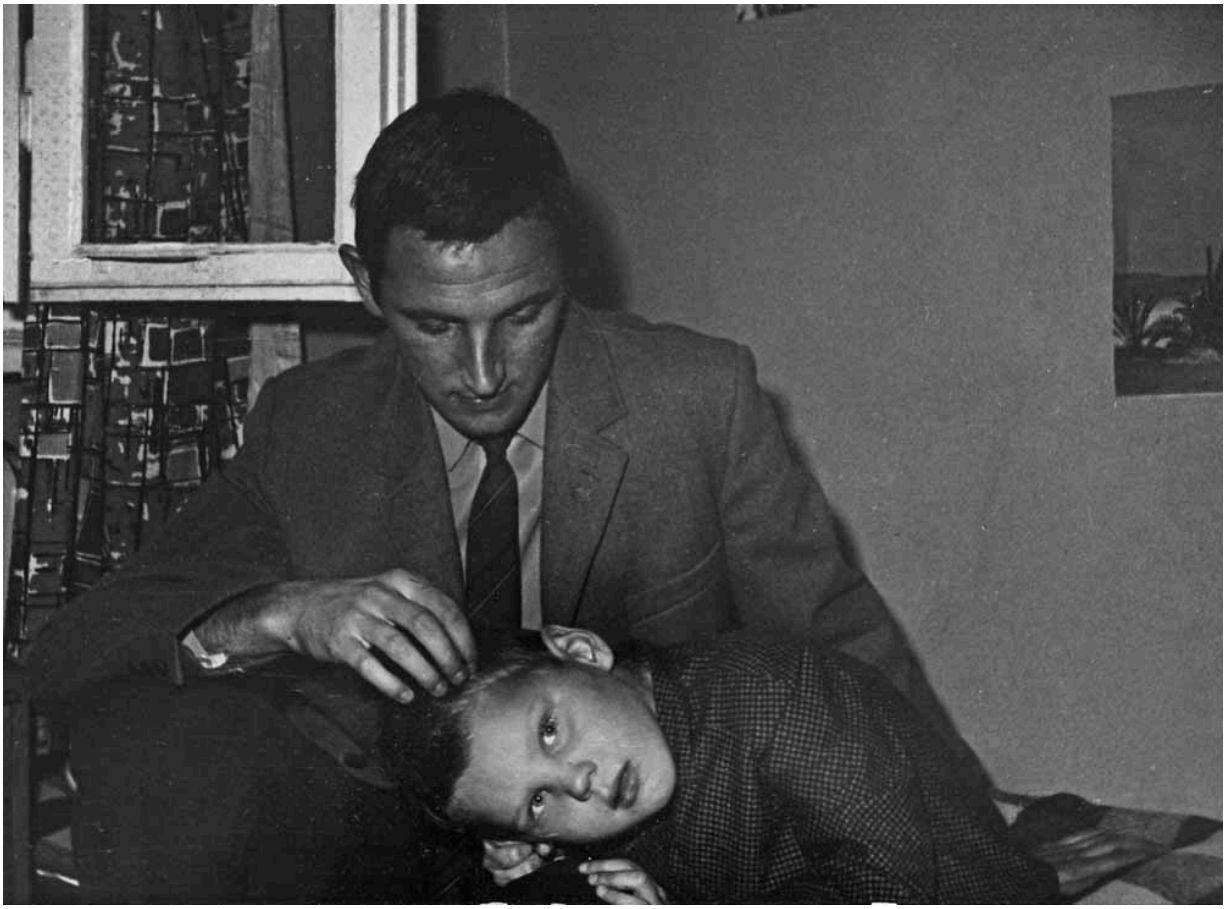

[^] Grzegorz Przemyk (5–6 lat) z ojcem Leopoldem, około 1969 roku

* * *

W papierach po Sadowskiej jest list Stanisława Macha, dyrektora Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia”, w którym od 1965 roku Barbara pracuje jako redaktor w dziale literatury dziecięcej. (To jedyna stała, pełnowymiarowa praca, jaką miała w życiu). Do pracy jeździ na siódmą, wraca po piętnastej. Wytrzymuje tak dwa lata. Tłumaczy dyrektorowi wydawnictwa, że nie jest w stanie dłużej wytrzymać w tym reżimie, bo cierpi na tym jej twórczość.

Odpowiada jej Mach: „W kwietniu zwróciła się Pani do mnie z prośbą o umożliwienie pracy na pół etatu, motywując to koniecznością pracy twórczej, czego niestety nie byłem w stanie Pani załatwić, albowiem

w redakcjach książek nie dysponujemy takimi etatami. Propozycji przejścia na pół etatu do »Młodego Technika« Pani nie przyjęła. Już wtedy Pani wspomniała o ewentualnym odejściu z wydawnictwa i, jak mi wiadomo, termin przerwania swojej pracy uzgodniła Pani z Redakcją”.

Zwalnia się z Instytutu latem 1967 roku, by – jak mówi – poświęcić się pisaniu. Od tej pory pracuje już tylko dorywczo: jeżdżąc na spotkania autorskie po całej Polsce, pisząc reportaże dla prasy, publikując wiersze w niszowych magazynach literackich. Społecznie prowadzi jeszcze dział poezji w miesięczniku „Orientacja” wydawanym przez Zrzeszenie Studentów Polskich.

– Czy masz jakieś pozapoetyckie zainteresowania? – pyta ją dziennikarz „Sztandaru Młodych”.

– Dałam życie drugiemu człowiekowi. Świat, który się otworzył, okazał się światem zwielokrotnionym, światem, który chciałabym zrozumieć, uratować. Staram się poświęcić jak najwięcej czasu wychowaniu syna Grzegorza. Radości stąd wypływającej nie zastąpi żadna nowo wydana książka – odpowiada.

* * *

Wyrok rozwodowy Sądu Powiatowego dla miasta stołecznego Warszawy z 8 stycznia 1969 roku. (Sygnatura akt: III Ic 2784/68). W pozwie napisała: „Początkowo próbowaliśmy zachować pozory, ale tego się nie dało utrzymać. Kontakty towarzyskie były bardzo luźne, ale mąż się na nie zgadzał. Nie przewidziałam komplikacji, a męża znałam krótko. Ceniłam go za charakter, lecz nie zdawałam sobie sprawy z różnic. Przyczyną ustania małżeństwa były różnice pomiędzy nami i niemożność porozumienia się we wszystkich kwestiach. Nie widzę możliwości powrotu do małżeństwa. Dziecko wychowam sama”.

Sąd opiekę nad czteroipółletnim Grzegorzem przyznaje matce, a ojca zobowiązuje, by co miesiąc płacił na jego utrzymanie siedemset złotych alimentów.

Leopold Przemyk: „Myślałem nawet, żeby o niego walczyć, ale nie miałem szans. Musiałbym się szarpać, iść na udry, wzywać świadków”[33].

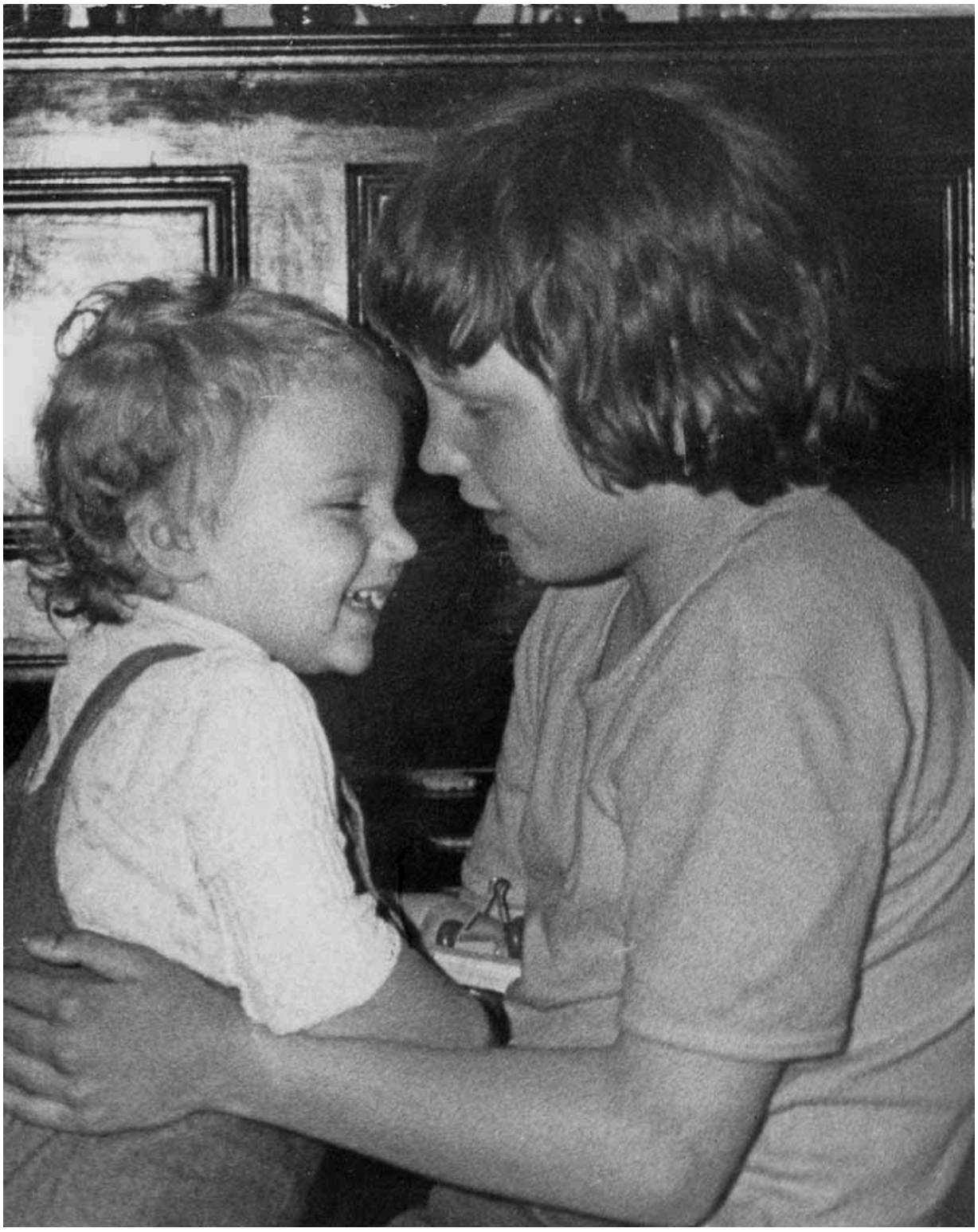

[^] Grzegorz Przemyk
z bratem Michałem,
1975 rok

Od tej pory Grześ żyje wśród cyganerii, w „przytulisku”, w którym obiad, własne łóżko wcale nie są pewne, nie są codziennością.

Barbara nie uznaje opresyjnego stylu wychowania dzieci. Podczas pobytu w liberalnej Szwecji w 1974 roku podpatrzyła, że dzieci są tu wolne i traktowane po partnersku, a nie strofowane i przymuszane. „To dotyczy sportu, nauki, pełnego uczestnictwa w życiu szkoły: od wyboru mebli, pomocy naukowych po dyskusje z kolegą nauczycielem. Chodzi mi o brak koturnowości, współdziałanie wymuszające samodzielne myślenie dzieci” – pisze w liście do matki[34].

Gdy Grześ ma sześć lat, do Leopolda dzwonią o północy sąsiedzi, że chłopiec jest sam w domu i uruchomił pralkę. Przybiegł. Grzesiek stał przy pracującej frani po kostki w wodzie.

Postanowił wtedy o niego zawalczyć. Był nawet z tym u prawnika. „Sprawa jest do wygrania” – powiedział adwokat, ale Przemyk się tego wystraszył[35].

„I tak nie oddałaby dziecka, bałem się tej szarpaniny – mówił. – Kochał matkę, a ona jego. Więc po co? Nie straciłem z nim przecież kontaktu”.

Do Izabeli, nowej żony Leopolda, Grzesiek mówi „ciociu”.

Przemykowie mieszkają przy Marchlewskiego za Żelazną Bramą, a Barbara od kilku lat po drugiej stronie Marszałkowskiej, w wieżowcu na ścianie wschodniej przy Hibnera. Grześ w mieszkaniu ojca jest częstym gościem. Lubi swoje przyrodnie rodzeństwo: Michała i Agnieszkę. W domu Leopolda znajduje to, czego brakuje mu we własnym: przewidywalność, rygor i ciepłe posiłki o określonej porze, a nie tylko luz i twórczy odlot.

Z ojcem i jego rodziną jeździ na wczasy w góry i nad morze. Tata, który pracuje w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego (WSK) na Grochowie, wysyła go co roku na kolonie z dziećmi inżynierów i robotników.

– Chciałem, żeby pobył trochę nie tylko z dziećmi poetów – mówił ojciec.

* * *

List z 1974 roku prezesa Związku Literatów Polskich Jarosława Iwaszkiewicza do prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego.

„Chciałbym polecić Jego Ekscelencji prośbę Barbary Sadowskiej, utalentowanej poetki i członka naszego związku, o umożliwienie jej przeprowadzenia operacji w Szwecji.

[^] Barbara Sadowska, lata 70. Z psem Gasiem

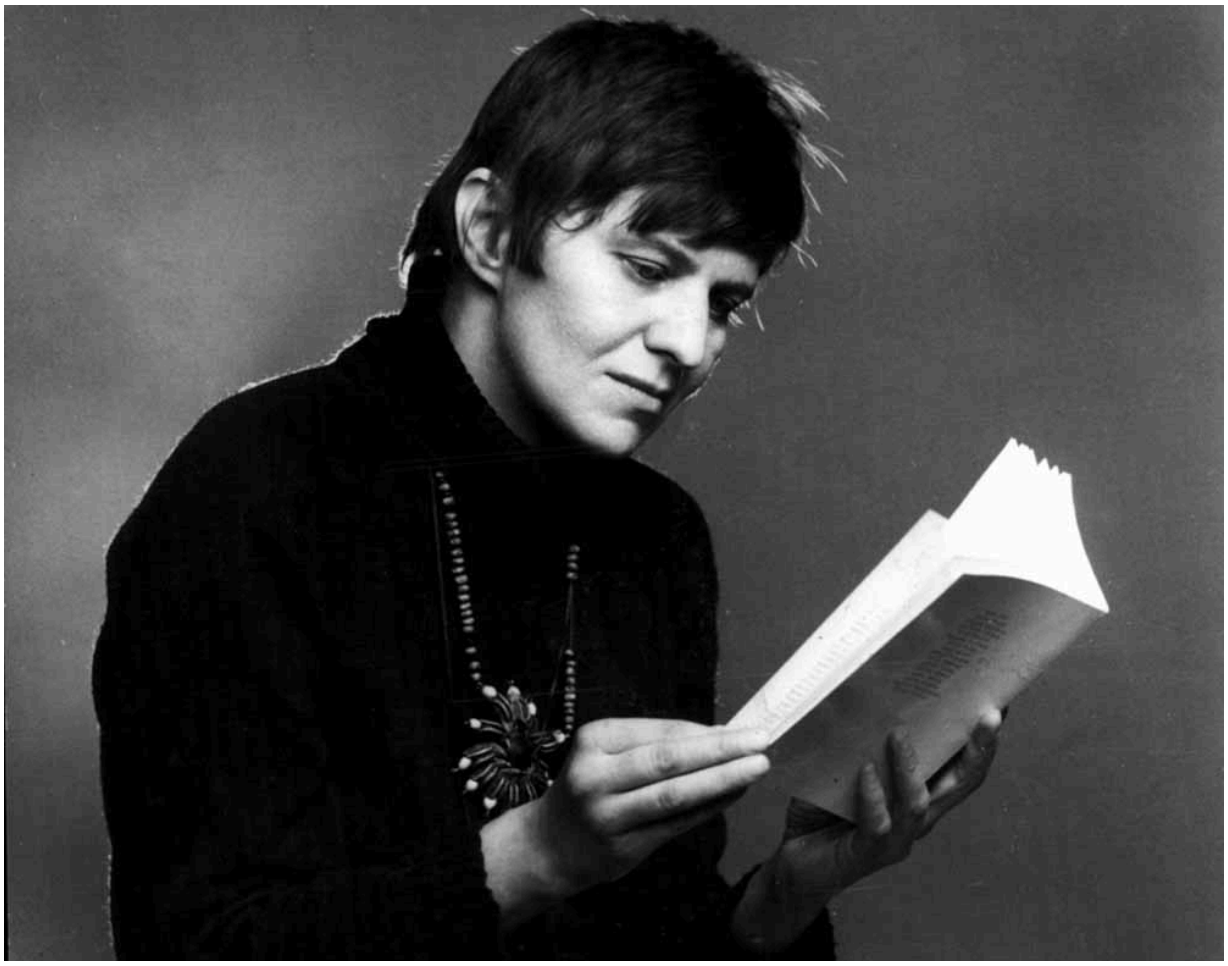

[^] Barbara Sadowska, lata 70.

Barbara Sadowska przebyła dwie bardzo poważne neurochirurgiczne operacje czaszki. Czeka ją zabieg, któremu ze względu na bardzo skomplikowany charakter przydałoby się poddać w Szwecji. Będę gorąco wdzięczny i zobowiązany Waszej Ekscelencji za okazaną życzliwość i opiekę nad wybitną polską poetką”.

Iwaszkiewicz wie, że Sadowska od lat cierpi na bóle głowy, a krajowi specjaliści są bezradni. Pomóc może tylko operacja w Szwecji, a do tego potrzebne jest wsparcie Kościoła. Prymas nie odmawia.

W listopadzie 1974 roku Barbara wyjeżdża do Szwecji. Mieszka u Marii Tatarczuk w mieście Solna pod Sztokholmem, czekając na skomplikowaną operację.

W nocy z 16 na 17 listopada pisze list do matki: „Dręczy mnie moje ciało. Te nerwobóle comiesięczne. Ale cieszy, że nie będzie przesunięć

w dacie operacji.

Trochę się zebrałam do kupy. Jakbym okrzepła i zobaczyła Was – Ciebie, Grzesia – mnie nowymi oczami. Że też musiałam tu przyjechać, żeby to zobaczyć”.

Dwa dni później notuje w szpitalu:

„Zaskoczenie zupełne, bo dziś wszystkie badania, przygotowanie, a jutro operacja. Wszystko w zupełnym spokoju i pogodnie, lekarze, łącznie z profesorem, przyjacielscy, koleżeńscy. Lęk mi się gdzieś ulotnił.

Leżę w pokoju z dziewczyną, która ma chyba wrzody żołądka. Pokoje niepodobne do żadnych, które widziałam.

Dla Grzesia wiadomość, że miłe pielęgniareczki jeżdżą tu czasem na zwykłych hulajnogach.

(Podobno będą mnie jeszcze uczyć, jak oddychać).

Bardzo tęsknię i cieszę się, że pojutrze, a właściwie jutro, będzie po krzyku.

Piszę głupie rzeczy, a myślę, jak pięknie, że Was mam. Że myślimy o sobie i czekamy”.

Dopisek: „Grzesiu kochany, najukochańszy. Tak dobrze, że nie muszę czekać, że Cię niedługo uścisnę zupełnie zdrowa i cała”.

[^] Barbara Sadowska
po operacji w Szwecji, 1974 rok

Po powrocie ze Szwecji spotkał ją fotograf Wiesław Sadurski.

– Popatrz, jaka jestem ładna – powiedziała i zaczęła prężyć się przed obiektywem. – Zrób mi portret! – poprosiła.

Czterdzieści lat temu Sadurski nacisnął migawkę, a teraz naciska klawisz komputera i wysyła mi to zdjęcie e-mailem z Berlina.

Na czarno-białej fotografii wygląda jak ofiara eksperymentów z Oświęcimia. Wychudzona, blada, z odrostem na ogolonej wcześniej na

zero głowie, na której jakby ktoś białą kredką narysował kreskę ciągnącą się od prawego ucha przez środek głowy, aż do zmarszczki czołowej. To właśnie blizna po wizycie w Szwecji.

– Była wtedy słoneczną dziewczyną – mówi Sadurski.

* * *

Kolorowe widokówki, które Basia wysyła do Grzesia z zagranicznych podróży.

Na tej z drapaczami chmur Manhattanu i przepływającym obok po rzece Hudson transatlantykiem Queen Elizabeth napisała: „Mój malutki Syneczku, posyłam Ci wielki statek z innego kraju, gdzie są wielkie domy”.

Na tej z turkusowym Adriatykiem i słonecznymi plażami: „Hvar się zachmurzył. Rzeczywistość nierealna stała się jeszcze bardziej niesamowita. Adriatyk przybrał i w ludziach budzi się maleńki strach, kiedy wieczorem kamiennym bulwarem przelewają się płachty wody. Płyniemy do Dubrownika, a stamtąd do Zagrzebia. Wszystko dobrze, prócz tęsknoty grzesiowej, która wytrąca mnie z równowagi”.

Na kartce z rozświetloną wieżą Eiffla na tle zasypiającego, ale migającego na kolorowo Paryża: „Natłok wrażeń jest ogromny. Zupełnie jakby człowiek był w środku wielkiego, barwnego młyna, którego nie potrafi zatrzymać, ale powoli zaczyna rozumieć i dostrzegać, co dla niego ważne. Bardzo mocno Cię tulę. Mama”.

Tę ostatnią pocztówkę napisała 10 maja 1975 roku podczas półrocznego stypendium ufundowanego przez francuski rząd. W tym czasie odwiedza Szwajcarię, Holandię, Belgię.

Do Polski wraca 26 sierpnia. Na Okęciu czekają już na nią celnicy, którzy dostali cynk, żeby ją dokładnie sprawdzić. Jest podejrzana o kontakty ze zwalczaną w PRL redakcją paryskiej „Kultury”. Po wyjściu z samolotu celniczka zaprasza ją na rewizję osobistą. To najbardziej poniżający sposób witania w ojczyźnie przybyszy z zagranicy. Trzeba wywrócić wszystkie kieszenie, rozebrać się do naga i pokazać anatomiczne zagłębienia, w które zagląda celniczka. Kontrabandę Sadowska szmugluje w walizce. To trzydzieści trzy książki wydane przez Instytut Literacki

w Paryżu, od *Cudownej meliny* Kazimierza Orłosia po *Śledztwo* Stefana Kisielewskiego. Informacja o zarekwirowaniu zakazanej literatury trafia od razu do Służby Bezpieczeństwa, która przystępuje do rozpracowywania wroga ustroju.

Czerwiec 1983

1 czerwca, środa

Jedenasta trzydzieści. Hala Gwardii w Warszawie. Czynności okazania.

Cezary F. ma rozpoznać milicjantów bijących Grześka.

Zadanie nie jest łatwe. Komenda bardzo starannie wyselekcjonowała pozorantów. Wybierał ich plastyk z Zakładu Kryminalistyki KGMO na podstawie zdjęć tych, którzy brali udział w biciu na Jezuickiej. Miał dobrać osoby najbardziej podobne pod względem wzrostu, wagi, budowy ciała. Dla większego utrudnienia wszyscy, niezależnie od posiadanych stopni, zostali ubrani w jednakowe mundury, podobnie ostrzyżeni i uczesani. Nawet dziś, gdy bez emocji ogląda się te zdjęcia, wszyscy są do siebie podobni. Mają jednakowe stalowe mundury, takie same czapki, czarne spodnie i buty. Stoją w jednym szeregu. I jest ich aż sześćdziesięciu. Przy każdym jest kartka z numerem.

Po wejściu do hali Czarek czuje się lekko zdezorientowany, widząc ten szpaler dublerów. Dokładnie wpatruje się w twarze. Za nim idzie milicjant z kamerą wideo. Czarek rozpoznaje tylko numer 37 i 42. Numer 37 to zomowiec Krzysztof Dalmata, który siedział przy stoliku, gdy F. z Przemykiem weszli do komisariatu. Numer 42 to sierżant Arkadiusz Denkiewicz, który prosił kolegów, by bili tak, żeby nie zostawiać śladów.

Numer 22 to Ireneusz Kościuk. Zomowiec, który zatrzymał Przemyka na placu Zamkowym, a potem brał udział w jego biciu. Czarek go jednak nie wskazał. To skąd wiadomo, że bił właśnie Kościuk?

[^] Czynności okazania w warszawskiej hali Gwardii. Cezary F. (w ciemnej koszuli). Przy nim adwokat Maciej Bednarkiewicz (w garniturze)

Trzy godziny później Czarek i ośmiu pozorantów biorą udział w wizji lokalnej w komisariacie przy Jezuickiej. Cezary F. pokazuje, gdzie siedział Przemyk, w jaki sposób był bity, ilu milicjantów brało w tym udział i który gdzie stał. Na tej podstawie prokuraturze udaje się ustalić, że osobą biorącą udział w pobiciu Przemyka musiał być Ireneusz Kościuk.

Przebieg wizji lokalnej to kolejny cios dla resortu. Czarek F. potwierdził wszystko, co wcześniej mówił podczas przesłuchania.

2 czerwca, czwartek

Dla milicji jest tylko jeden podejrzany – to Cezary F. z Radomia. Od trzech tygodni rozpracowują go setki esbeków i milicjantów, wertując archiwa, rozpytując sąsiadów, kolegów, dawne narzeczone.

Czarek F. jest podejrzewany o składanie tendencyjnych zeznań inspirowanych przez podziemie polityczne w celu skompromitowania SB

i MO. Czynu tego dopuścił się, opowiadając, jak milicja potraktowała Grześka na Jezuickiej. To oficjalny powód wszczęcia przez Służbę Bezpieczeństwa sprawy „Świadek” (potem przemianowanej na „Junior”), która ma doprowadzić do odwołania przez niego zeznań.

Pomóc ma w tym podsłuch założony trzy dni temu w mieszkaniu jego rodziców przy Fornalskiej 5 w Radomiu. Kolejny mikrofon zostanie zainstalowany wkrótce w pralni prowadzonej przez rodziców Czarka, a jego samego otoczy dwunastoosobowa grupa tajnych donosicieli. Każde jego słowo, każde spotkanie, każda podróż, a nawet zamiar jej odbycia są badane przez dziesiątki analityków, raporty dotyczące jego zachowania i planów codziennie spływają do centrali w Warszawie. Analizowany jest nawet jego nastrój, bo to ważny element, który może pomóc w złamaniu młodego mężczyzny.

– Chodzi o to – tłumaczy swoim podwładnym podpułkownik Wiesław Lewandowski, naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego KGMO – żeby tak poprowadzić tę sprawę, by poczuł się zagrożony. Wtedy zmieni zeznania.

Znaleźć haka na rodzinę F.? To nie jest trudne. Są przecież prywaciarzami, prowadzą pralnię chemiczną i fermę lisów. Tam resort szuka słabości. Nawet najbardziej banalne zaniedbanie może teraz posłużyć do szantażowania rodziny i Czarka.

Włącza się Wydział Przestępstw Gospodarczych radomskiej milicji, sprawdzając legalność posiadanego przez F. majątku, dyplomów czeladniczych, pogłosek o nielegalnym handlu złotem.

3 czerwca, piątek

W Komendzie Głównej w Warszawie spotykają się psycholodzy z Wojskowej Akademii Politycznej z milicjantami prowadzącymi sprawę. Spotkanie służy wypracowaniu taktyki postępowania resortu w sprawie śmierci Przemyka. Pułkownika Romualda Zajkowskiego, reprezentującego ministra Kiszczaka, interesują szczegóły. Pyta naukowców, jak resort powinien rozgrywać sprawę, kiedy rzucić kompromitujące Sadowską

materiały, jaką taktykę stosować wobec koronnego świadka. Czy należy się śpieszyć, czy wręcz przeciwnie?[36]

Kompromitować, ale raczej po wyjeździe papieża – uważają zgodnie naukowcy.

Spierają się o to, jak odsunąć winę od milicjantów.

Profesor Józef Borgosz proponuje bardziej uwikłać lekarzy.

– Od zatrzymania do zgonu upłynęło czterdzieści osiem godzin i w tym czasie chłopak był w rękach kilku lekarzy – przekonuje. – Gdyby pęknięcie krezki nastąpiło w komisariacie, lekarze powinni to wykryć i uratować chłopaka. To ich wina.

Ale nie tylko. Te czterdzieści osiem godzin, od wyjścia z komisariatu do śmierci w szpitalu na Solcu, obciąża też matkę – Barbarę Sadowską. Proponuje, by wykorzystać to propagandowo. Mówi, że warto o tym przypominać w telewizji, radiu i gazetach.

Przecież gdyby nie zabrała chłopaka z pogotowia, gdyby pozwoliła go przewieźć do szpitala, gdyby nie zrobiła mu gorącej kąpieli, która przyspieszyła zgon, chłopaka można by pewnie uratować.

Doktor Jerzy Krężyński stawia na technikę rozwadniania.

– Mógł się przecież poranić podczas upadków na placu Zamkowym, w komisariacie, karetce, szpitalu. Dlaczego mówi się tylko o komisariacie?

Uważa, że trzeba stanąć murem za milicją.

– Jeśli nawet – tłumaczy – ustalono by, że przyczyną śmierci było pobicie przez milicjanta, to w obecnej sytuacji politycznej nie można się do tego publicznie przyznać.

4 czerwca, sobota

Na Rakowieckiej rodzi się plan uwikłania w pobicie Przemyka trzydziestoczteroletniego Michała Wysockiego, kierowcy karetki. Dlaczego jego? Bo trenował boks, karate, a jako zawodnik klubu kulturystycznego Herkules wyróżnia się zawziętością.

Jest jeszcze jeden ważny argument. Był wcześniej karany za pobicie. Była żona, do której docierają esbecy, opowiada im o sadystycznych

skłonnościach byłego męża i zamiłowaniu do bójek. Jest idealnym kandydatem na zabójcę.

Więc teraz każdy krok kierowcy jest kontrolowany, życiorys rozkładany na czynniki pierwsze. Resort sprawdza, jak zachowywał się w podstawówce, a jak w liceum. Docierają do jego szkolnych kolegów, nauczycieli, cofają się do czasów wojska i pierwszej pracy. Kontrolowane są teczki osobowe z kolejnych zakładów pracy. Ważne jest każde spóźnienie, niesubordynacja, nagana. Wszystko, co można będzie potem wykorzystać przeciwko niemu.

Tajniacy zabierają z pogotowia karty wyjazdowe. Dzięki nim będzie można ustalić, że Wysocki od lutego do czerwca 1983 roku przewiózł swoją karetką stu trzydziestu sześciu pacjentów. Każdy z nich to potencjalny informator SB. Służby docierają do nich wszystkich, pokazują zdjęcie łysiejącego szatyna, pytają, czy był brutalny, agresywny, używał siły lub przemocy. To jak poszukiwanie igły w stogu siana. Chodzi o znalezienie choćby jednej osoby, która się na niego poskarży. Na tym polega gra operacyjna. Jeśli uda się Wysockiego przyłapać nawet na drobnym występku, resort może być uratowany.

Wystarczy, że trafi do aresztu, to da specjalistom szansę na dalszą nad nim pracę. Wtedy od udowodnienia brutalności do zabicia Przemyka droga będzie już krótka.

6 czerwca, poniedziałek

John Kifner pisze w „New York Timesie”, że kwatera numer 100 na warszawskich Powązkach, gdzie leży Grzegorz Przemyk, staje się miejscem pielgrzymek Polaków, symbolem ich niechęci do władzy.

„Składane regularnie świeże kwiaty rozlewają się na trzech sąsiednich grobach – pisze. – Pali się mnóstwo świec, których migotanie wskazuje drogę do grobu. Wśród kwiatów biało-czerwone szarfy, znaki Solidarności i informacja: »proszę nie śpiewać, ale modlić się w zadumie«. Pod koniec każdego dnia, gdy kończą pracę szkoły i zakłady, tłum przy grobie

gęstnieje. W weekendy cmentarne alejki blokowane są przez masy żałobników.

To prowizoryczne sanktuarium pokazuje, jaki wpływ na Polaków miała śmierć tego młodego człowieka”.

7 czerwca, wtorek

Liceum im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego przy Elektoralnej. Uroczyste pożegnanie maturzystów. Jest cała klasa czwarta „a”, do której chodził Grzegorz. Dyrektorka Teresa Stryjkowa zaprosiła jego mamę. Ma dla niej niezwykły prezent.

Wyczytuje teraz nazwiska kolejnych uczniów, wręcza im świadectwa maturalne.

– Grzegorz Przemyk – wywołuje nieoczekiwanie i daje matce cenzurkę syna. Z pisemnej matury z historii i polskiego Grzesiek dostał trójе. Świadectwo różni się jedynie tym od pozostałych, że w rubryce, gdzie miały być wpisane oceny z ustnych egzaminów z historii i języka francuskiego, u Grześka jest adnotacja: „zginął śmiercią tragiczną”.

Do cenzury dołączona jest charakterystyka ucznia.

„Na tle swojej klasy stanowił dużą indywidualność – piszą o nim nauczyciele. – Chłopiec był bardzo zdolnym humanistą, wyróżniał się na lekcjach języka polskiego bardzo dobrą znajomością literatury, zwłaszcza współczesnej, i szerokim spojrzeniem na kulturę. Przedmiotem jego zainteresowań i głębszej już wiedzy był film, teatr i plastyka. W szkole uczęszczał na zajęcia fakultatywne z języka polskiego i zajęć plastycznych. Poza tym miał talent poetycki, pisał wiersze liryczne […]. Wykazywał daleko idącą niezależność i umiejętność samodzielnego myślenia. Problemy z zakresu humanistyki najchętniej analizował w kategoriach moralnych.

Był akceptowany przez grupę rówieśniczą dzięki cechom swej osobowości. Odznaczał się bowiem dużą dojrzałością. W ocenach innych ludzi, także kolegów, był tolerancyjny i życzliwy. Przejęty problematyką wewnętrzną człowieka – zachował jednocześnie duży dystans do aktualnych problemów politycznych, a także szkolnych: nie była to bowiem

sfera spraw dla niego najważniejszych. Nigdy też dlatego nie angażował się ostro w jakiekolwiek krańcowe stanowiska w klasie: w grupie uczniów pełnił często funkcję mediatora. […] W zewnętrznym stylu życia przejawiał dużą obojętność wobec dóbr materialnych, nawet pewną abnegację, co było zrozumiałe ze względu na jego humanistyczną formację duchową i poetycką naturę".

Ten sympatyczny gest wobec matki nie ujdzie uwagi kuratorium. Przecież chłopiec zmarł przed ustnymi egzaminami, więc formalnie nie zdał matury, świadectwo mu się nie należy. Co najwyżej matka może otrzymać świadectwo ukończenia szkoły. Kuratorium domaga się od szkoły wyjaśnień i odebrania nielegalnie przyznanego dyplomu. Trzeba więc wezwać Sadowską i wszystko jej wytłumaczyć.

10 czerwca, piątek

Posiedzenie Rady Ministrów. Premier Jaruzelski relacjonuje przebieg rozmowy z prymasem Józefem Glempem. Opowiada, że zwrócił uwagę prymasa na niepokojące incydenty – agresywne wystąpienia niektórych duchownych. Mówił także o psychozie, jaką roztacza się wokół władzy, a szczególnie MO. Linczu moralnym na milicji, zanim zakończono śledztwo w sprawie Przemyka. Może powstać sytuacja, ostrzega Jaruzelski prymasa, w której karabin sam zacznie strzelać[37].

13 czerwca, poniedziałek

W prokuraturze Warszawa-Śródmieście zeznaje Barbara Sadowska.

– Chcę powiedzieć, że z powodu szykan ze strony milicji, jakich doznałam ja sama oraz inne osoby związane z tą sprawą, czuję się odpowiedzialna za ich los i dlatego wolałabym nie udzielać odpowiedzi na żadne z pytań. Szykany te polegają na ciągłym inwigilowaniu, dobijaniu się do mieszkania w późnych godzinach nocnych i obecności dużej liczby milicji mundurowej i cywilnej zarówno w moim budynku, jak i przed nim.

14 czerwca, wtorek

Do Sadowskiej pisze Zdzisława Bytnarowa, matka „Rudego” – Janka, bohatera Szarych Szeregów, odbitego z rąk gestapo podczas akcji pod Arsenałem.

W swoim liście przerzuca most między tymi dwoma śmierciami synów i tragedią ich matek.

„Czytałam ten list przed snem, potem zasnęłam, obudziłam się o piątej rano z myślą o nim i chciałam iść obudzić Grzesia, pokazać mu, żeby się ucieszył” – opowiada Wiktorowi Woroszylskiemu.

17 czerwca, piątek

Kościół Kapucynów na Miodowej. Twórcy czekają na spotkanie z Janem Pawłem II, który wczoraj przyleciał z drugą pielgrzymką do Polski. Są pisarze, poeci, aktorzy, reżyserzy. Papież się spóźnia, bo od rana rozmawia w Belwederze z generałem Wojciechem Jaruzelskim.

– Czekaliśmy długo – wspomina Maja Komorowska. – U kapucynów Ojciec miał spotkać się z przedstawicielami środowisk twórczych. Wielu czekających tam już nie żyje. Myślę o Oli Śląskiej, Klemensie Szaniawskim, o Basi Sadowskiej. To spotkanie związane jest właśnie z nią.

Tak opisała je w swoich wspomnieniach:

„Ktoś ze znajomych powiedział mi, że Basia jest wśród nas […]. Nikt tego nie może bardziej potrzebować niż Basia – matka Grzegorza Przemyka. Uczepiłam się myśli, że to spotkanie da jej siłę do życia.

Najpierw była droga Ojca od wejścia do ołtarza. Daleko od nas. Powitanie. Potem droga do wyjścia – to pamiętam lepiej. Posuwał się wolno od jednych rąk do drugich. Miałam wrażenie, że podajemy go sobie z rąk do rąk, jak najcenniejszy dar. Dzielimy się nim, ale wcale nie tak chętnie. Każdy chciałby zatrzymać Go przy sobie jak najdłużej.

Był już blisko […] Nagle usłyszałam swój głos: »Ojcze, Ojcze. To jest Basia… […] To jest Basia Sadowska, której zamordowali syna«. Zrobiła się wielka cisza. Czas się zatrzymał. »Ojcze, Basia nie chce żyć«. I zobaczyłam

Basię w Jego ramionach, jak zmęczone dziecko. Była jeszcze mniejsza, bardziej krucha i potrzebująca pomocy. Pomoc przyszła[38]”.

„W tym geście zbiegły się wszystkie biedy polskich kobiet, polskich rodzin, które Papież ogarniał swą miłością” – zauważył współorganizator spotkania, ksiądz Wiesław Niewęgłowski.

Maja Komorowska przysłała mi zdjęcie z tego spotkania. Ta czarna plama wciśnięta w biel ornatu to właśnie Sadowska. Na fotografii widać też aktorkę Aleksandrę Śląską, ociera łzę z oka, Jana Englerta, zakrywa dłonią usta, i Maję Komorowską, patrzącą papieżowi głęboko w oczy. Podobne zdjęcie opublikował francuski dziennik „Le Figaro” z podpisem: „Papież długo przytulał polską poetkę Barbarę Sadowską, której syn został zamordowany przez miejscową policję.”

– Papież pachnie sadem – powiedziała po spotkaniu pisarce Hannie Krall.

– Muszę tak długo żyć, żeby zdążyć się poprawić, żeby spotkać się ze swoim synem – mówi później Mai Komorowskiej.

Zaczyna znów pisać wiersze, smutne i bardzo osobiste:

dziurawe mam ręce
wypadają mi z nich
pierwsze drobne czereśnie
tego roku
nie doniosę ich chyba
do ciebie
syneczku

19 czerwca, niedziela

O twardej i nieprzejednanej postawie świadka koronnego mówi już Radio Wolna Europa. Niezłomny, który nie zgina karku – tak go przedstawia prasa podziemna. Do Radomia przychodzą listy i telegramy z gratulacjami. Na przykład takie: „Solidarność ci tego nigdy nie zapomni”.

Nie podoba się to jego rodzicom.

– Czego mu mają nie zapomnieć? Że się schlał, chodził ulicami miasta i pyskował milicji? – drwi matka.

Ze strzępków podsłuchanych rozmów Służba Bezpieczeństwa wyłuskuje jeszcze zdanie o dręczącym Czarka poczuciu winy.

– Był z nich najstarszy, powinien do tego nie dopuścić, zareagować, teraz siebie obwinia nie bez powodu – mówi ojciec.

Ojciec pełni funkcję osobistego strażnika syna. Nie dopuszcza do niego znajomych, stara się być świadkiem wszystkich jego rozmów i podąża za synem krok w krok, gdy ten tylko opuszcza mieszkanie. To ze strachu, że coś mu się stanie.

– Mogą dać mu w czapę – mówi matka.

23 czerwca, czwartek

Do psychiatry z pogotowia Pawła Willmanna dzwoni rzecznik milicji z zaproszeniem na rozmowę. Willmann jest zdziwiony i nieufny, bo od znajomego milicjanta wie, że już wkrótce może się znaleźć w kręgu podejrzanych. Odwiedza pałac Mostowskich, siedzibę stołecznej milicji. Rzecznik prosi, by Willmann udzielił wywiadu dziennikarzowi „Życia Warszawy", ale tak, by wziął w obronę milicjantów. Ma powiedzieć, że Przemyk nie mógł być pobity w komisariacie. Psychiatra odmawia, ale tekst, tyle że anonimowy, ukazuje się w gazecie. Z kontekstu wynika, że to właśnie Willmann jest źródłem informacji. To tylko pogłębia do niego nieufność współpracowników z pogotowia. Wiedzą przecież, że brat lekarza był partyjnym dziennikarzem, a żona wciąż pracuje w gabinecie ministra Czesława Kiszczaka.

Willmann próbuje dowiedzieć się o kulisach publikacji w wydziale prasy Komitetu Centralnego PZPR. Dociera do dyrektora Krzysztofa Protakiewicza, który tłumaczy mu, że partia musi bronić milicjantów. Inaczej społeczeństwo za śmierć Przemyka obwiniałoby władzę.

– My wiemy, kto to zrobił, ale nie możemy tego ujawnić – tłumaczy Protakiewicz Willmannowi[39].

28 czerwca, wtorek

W ręce SB wpadają listy i pocztówki, które Barbara wysyłała do Czarka. Są teraz analizowane w Komendzie Głównej MO. Starszy inspektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego, podpułkownik Jerzy Kulczycki, wyłapuje pojedyncze zdania, które mogą świadczyć o zaangażowaniu emocjonalnym. W swoim raporcie zwraca uwagę na zwroty: „Czarku kochany", „Czarku drogi", a także na list z 11 czerwca 1980 roku pisany na żółtopomarańczowym papierze, w którym Barbara napisała: „Próbuję sobie wyobrazić dzień, w którym się zobaczymy. Co mi powiesz, kiedy powiesz to, czego nie mówiłeś nikomu innemu".

Albo takie zdanie: „Często patrzę na Twoją fotografię, przywołuję się sama albo zwołuję dni, chwile, minuty… kiedy byliśmy razem".

„Z całokształtu omawianej korespondencji wynika, że stosunek Barbary Sadowskiej do Cezarego F. ma bardzo osobisty i intymny charakter" – zauważa inspektor.

Listy zostaną dołączone do akt sprawy. Nie mają, co prawda, żadnego związku ze śmiercią chłopca, ale posłużą MSW do udowodnienia tezy, że Sadowska była złą matką, romansującą z kolegami własnego syna.

30 czerwca, czwartek

Od kilku dni krąży między prokuraturą a ministerstwem notatka wiceprokuratora wojewódzkiego Janusza Wawrzyka, dotycząca wyników śledztwa, która bardzo nie podoba się resortowi. Zdaniem prokuratury najbardziej prawdopodobne jest założenie, że śmiertelnych obrażeń Przemyk doznał w XVIII komisariacie na Jezuickiej. Za pobicie ze skutkiem śmiertelnym prokurator chce przedstawić zarzuty szeregowcowi Ireneuszowi Kościukowi (artykuł 158 paragraf 3) i starszemu sierżantowi Arkadiuszowi Denkiewiczowi (artykuł 158 paragraf 2). Pierwszemu grozi dziesięć lat więzienia, drugiemu – osiem.

Podstawą oskarżenia są zeznania Cezarego F.

– Może jest osobą nieciekawą, ale wielokrotnie je potwierdzał – tłumaczy wiceprokurator generalny Henryk Pracki ministrowi Kiszczakowi.

Co prawda F. nie rozpoznał Ireneusza Kościuka, ale zeznając o szarpaniu Przemyka z zomowcem trzymającym pałkę, umożliwił jego identyfikację jako tego, który potem uczestniczył w biciu.

Zarzuty nieudzielenia pomocy prokurator chce postawić jeszcze dwóm lekarzom: Bronisławowi Jasickiemu i Pawłowi Willmannowi.

Trzech wyższych oficerów z KGMO i MSW na ośmiu stronach maszynopisu podważa ustalenia prokuratury[40]. (Są to oficerowie, którzy należą do grupy tuszującej sprawę).

„Preferowanie jednej wersji (komisariat) jest sprzeczne z zasadą obiektywizmu" – piszą w swoim raporcie, bo ich zdaniem jedynym dopuszczalnym miejscem pobicia może być pogotowie.

Czy dowody zebrane w pogotowiu ratunkowym nie mają znaczenia? Czy unieważnią fakt pobicia Przemyka w komisariacie? – pytają prokuratorów przedstawiciele MSW.

– Nie – odpowiada Pracki. – Prawdopodobnie podejrzanymi staną się jeszcze kierowca Michał Wysocki i sanitariusz Jacek Szyzdek z pogotowia.

„Trwa nie tylko śledztwo, ale także spór między prokuraturą a MSW"– notuje w swoim dzienniku Mieczysław Rakowski.

Barbara. Paryżanka

Kartonowa teczka związana tasiemką, numer ewidencyjny – 13686 – i kryptonim „Paryżanka”. Służba Bezpieczeństwa prowadziła w niej zapis opozycyjnego życia Barbary Sadowskiej z podziałem na tomy. Ocalał tom pierwszy, reszta została spalona po upadku komunizmu w papierni w Konstancinie-Jeziornie. Archiwiści Instytutu Pamięci Narodowej (IPN) przynoszą mi ją w białych rękawiczkach.

Dla Służby Bezpieczeństwa Sadowska staje się podejrzaną w sierpniu 1975 roku, gdy próbuje wwieźć do Polski wydawnictwa paryskiej „Kultury”. Esbecy ustalają, że książki dostała od Giedroycia i że ogólnie jest politycznie podejrzana. Zna Jacka Kuronia, który był jej nauczycielem w liceum plastycznym, przyjaźni się z „komandosami”, którzy wywołali rebelię w 1968 roku na uniwersytecie, i popierającymi ich literatami, a ponadto ma ciotkę i znajomych na Zachodzie.

28 stycznia 1976 roku razem ze stu innymi pisarzami podpisuje petycję do Sejmu, protestując przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL, ograniczającym wolność i podporządkowującym Polskę Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR). Inicjatorem listu jest przyjaciel Sadowskiej, Wiktor Woroszylski. Podpisują go najbardziej znani polscy pisarze: Jerzy Andrzejewski, Marian Brandys, Leszek Kołakowski, Ryszard Krynicki, Antoni Słonimski, Jerzy Ficowski, a także Adam Michnik i Jacek Kuroń. To pierwsze zbiorowe wystąpienie polskiej inteligencji przeciwko polityce PZPR. List niewiele zmienia, ale sygnatariusze kolejno są wzywani na przesłuchania.

Na swoją pierwszą rozmowę dyscyplinującą Sadowska zostaje zaproszona 25 stycznia 1977 roku. Podporucznik Włodzimierz Olszewski rozmowę streścił w odręcznej notatce pisanej niebieskim długopisem:

„Stwierdziła, że petycję podpisała, kierując się jedynie zdrowym rozsądkiem, mając wyłącznie na uwadze dobro kraju i narodu. Nie myślała

o tym, że może to być jakiś akt politycznie wrogi. Uważała zaś, że taka petycja będzie częściowo pomocna w rozwiązywaniu przejściowych sytuacji konfliktowych. To, że jej nazwisko znalazło się w petycji obok innych osób znanych z wrogiej i negatywnej postawy w stosunku do przemian społeczno-politycznych w naszym kraju, absolutnie nie świadczy, że ona prezentuje taki sam pogląd. Na koniec zacytowała Norwida, mówiąc, że autor musi być sumieniem narodu".

* * *

Droga Sadowskiej do opozycji wiedzie przez stolik w Związku Literatów Polskich (ZLP). W dawnej kamienicy Johna przy Krakowskim Przedmieściu, która jest siedzibą ZLP, spotyka się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych elita intelektualna kraju. Są tu tanie obiady, kawa, Szczypiorscy, Parandowscy, Stryjkowscy, Iwaszkiewiczowie, Woroszylscy. Przychodzą tu z całymi rodzinami. Przy stolikach rozmawiają nie tylko o literaturze, ale także o Polsce i komunizmie. Drzwi do tego raju otwiera tylko legitymacja Związku Literatów Polskich. Sadowska dostaje ją w 1964 roku.

Stałym bywalcem stołówki jest też kolega Baśki, założyciel grupy Orientacja Poetycka Hybrydy, Andrzej Zaniewski.

– Towarzystwo jest elitarne, atmosfera fantastyczna, a przy stolikach zaczyna się polityka. Tworzą się sympatie i antypatie. Stoliki dzielą się na lewicowe i kontestujące władzę, ale jeszcze wszyscy trzymają się razem. Można się do każdego dosiąść i porozmawiać – opowiada.

Gdzie siedzi Sadowska?

– Basia trzymała się młodych ze Stachurą na czele. Może dlatego, że on też przyjechał z Francji? Siadywała przy różnych stolikach. Dopiero po wypadkach marcowych w 1968 roku środowisko zaczyna się mocno polaryzować – mówi Zaniewski.

Z perspektywy Zaniewskiego wygląda to tak: razem trzymają się Ficowski, Herbert, Nowakowski, Zagajewski, Krynicki i Woroszylski. A przy Woroszylskim jest blisko Barbara. To ci, którzy za kilka lat będą kibicować powstaniu KOR. A im bardziej kibicują, tym trudniej wydać im

książki. Jest na nich zapis cenzury – to znaczy, że ich nazwiska nie mogą pojawić się w książkach ani gazetach wydawanych przez państwo. A innych nie ma. W styczniu 1977 roku ci wykluczeni z oficjalnego obiegu wydają „Zapis” – podziemne literackie pismo. Publikują w nim swoje wiersze, opowiadania i fragmenty książek. Sadowska pod własnym nazwiskiem publikuje dwa wiersze zdjęte przez cenzurę z tomiku *Moje*.

– Baśka przesiaduje już tylko z nimi, więc kontakty słabną, bo ja siedzę przy stoliku, jak by to dziś nazwano, bardziej reżimowym – uśmiecha się poeta Zaniewski.

* * *

W teczce są nazwiska ludzi, z którymi w połowie lat siedemdziesiątych Sadowska kontaktowała się najczęściej. Są poeci, dziennikarze, tłumacze, artyści. Większość z nich nie żyje, wyjechali z Polski albo słuch po nich zaginął.

Przy nazwisku poetki Krystyny Rodowskiej jest adnotacja: „dobra przyjaciółka, posiada maszynę do pisania niewiadomej marki, czyta »Kulturę«, lat trzydzieści dwa”.

Teraz już więcej.

Zaprosiła mnie do dawnej stołówki ZLP w kamienicy Johna przy placu Zamkowym. Dziś do restauracji Literatka wejść może każdy, ale tylko pisarze mają zniżki na obiady.

Sadowską poznała pod koniec lat sześćdziesiątych. Przyszła na jej wieczór autorski w Hybrydach. Podeszła do Rodowskiej i przedstawiła się młodszej koleżance.

– Nie była ładna, ale miała wielką siłę duchową i przyciągała młodych – mówi Rodowska. – Życiowo była kompletnie niepozbierana.

– Dlaczego?

– Miała wielu narzeczonych, zwykle dużo młodszych. Nie potrafiła się do nich przywiązać. Pamiętam jednego. Z początku lat siedemdziesiątych. Milivoj Slaviček był znanym chorwackim poetą. Jeździła do niego do Chorwacji, a on przyjeżdżał do Polski. Był od niej starszy, ale wiązał chyba duże nadzieje z Baśką. Ona jednak wolała młodszych.

Zapytałam ją kiedyś: „Dlaczego ty nie możesz się do nikogo przywiązać?”. „To przez matkę” – odpowiedziała i dodała, że gdy była dzieckiem, w Paryżu matka podrzucała ją stale do różnych przyjaciół i znajomych. „Nie miałam poczucia stabilności – mówiła – stąd moje emocjonalne problemy”.

Jej stosunek do coraz młodszych narzeczonych był dla mnie zagadką. Nigdy nie sprawiała wrażenia kobiety zakochanej i uzależnionej od mężczyzny. Była zawsze niezależna duchowo.

Ślady tych uniesień można znaleźć w listach od kolejnych wielbicieli. W Zbiorach Ośrodka Karta przechowywane są w przegródkach z kolejnymi latami: 1970, 1972, 1974, 1976. Zmieniają się tylko ich nazwiska, charaktery pisma i czułe wyznania.

Matka Sadowskiej, Jadwiga, ma nadzieję, że Basia znajdzie w końcu męża, ustabilizuje się i zacznie żyć normalnie. Normalnie – znaczy od siódmej do piętnastej w pracy, z obiadem dla męża i niedzielnym spacerem. Jadwiga pisze o tym w listach do mieszkającej w Paryżu siostry Marii, informując ją o kolejnych meteorach pojawiających się na orbicie Basi.

„Piszę to trochę dosadnie, ale wiem dobrze, jak Ciebie zmęczyły te rozmaite Basine wyskoki i czas najwyższy, żebyś mogła odpocząć – odpisuje z Paryża siostra. W 1972 roku Jadwiga musiała opisać kogoś, kto rokuje jakieś nadzieje, bo Maria reaguje entuzjastycznie: – Ucieszyłam się bardzo, że Basia trafiła na mężczyznę swojego życia, który ją weźmie w garść i zmusi do normalnego trybu życia”.

W 1977 roku pojawia się kolejny narzeczony – Zbigniew Wojtas, nauczyciel fizyki w liceum Gottwalda (obecnie Staszica).

„Prezencja średnia, abstynent, inteligentny, wrażliwy, trochę nieśmiały” – pisze o nim Służba Bezpieczeństwa.

Teresa Bogucka, jedna z organizatorek studenckich strajków 1968 roku, ma inne zdanie:

– Tknięty kompleksem niższości; nie lubił nas, chętnie wystawiał nam niepochlebne charakterystyki.

W 1968 roku Wojtas trafił do więzienia za organizowanie strajków i po wyjściu miał z tego powodu bardzo rozległe kontakty w środowisku

„komandosów”.

W 1977 roku powiedział Boguckiej, że się żeni.

– Mówił, że nastąpiła w nim przemiana, że rozpoczyna nowe życie, zapytał, czy zgodzę się być jego świadkiem na ślubie – opowiada Bogucka. – Zdradził, że chodzi o Basię Sadowską.

By omówić szczegóły, zaprosił Bogucką na spotkanie do ogródka kawiarni Hotelu Europejskiego.

– Siedzieliśmy z Basią przy stoliku, kiedy Wojtas opowiadał o ich wspólnych ślubnych planach. Ona nie była tym w ogóle zainteresowana. Przez całe spotkanie ani razu się nie odezwała, tylko bawiła się z pieskiem, karmiąc go lodami. Wiadomo, jest skryta. Tak to sobie tłumaczyłam.

Zjedliśmy lody, wypiliśmy kawę i on powiedział, że o dokładnym terminie ślubu poinformuje mnie wkrótce, żebym się mogła przygotować. Już nigdy więcej go nie widziałam. Nigdy też o tym z Basią nie rozmawiałam, bo wydawało mi się, że to dla niej nieprzyjemna historia.

Opowiedziałam potem o wszystkim Wiktorowi Woroszylskiemu. Załamał ręce: „No tak, Basia nigdy szczęścia do mężczyzn nie miała. Brała najgorszego, który był pod ręką” – powiedział.

Po wielu latach znalazłam w swoich ipeenowskich papierach donosy Wojtasa na nią oraz deklarację, że oświadczył się jej dla dobra pracy operacyjnej. Ale ożenić się nie chciał, bronił się przed tym i walczył. Pisał, że się z nią nie ożeni, a jak pytali dlaczego, to odpowiadał, że Basia mu się nie podoba.

Opiekunem Basi, przyjacielem i osobą, która wspierała ją od pierwszego spotkania w 1957 roku w redakcji „Nowej Kultury”, był trzynaście lat starszy Wiktor Woroszylski. Mówił, że ona jest zagubiona, niezborna, może jakieś głupstwa w życiu popełnić, dlatego trzeba jej pomagać. Sam załatwiał jej wieczory autorskie, polecał, gdzie mógł, i wspierał.

* * *

Przecież nie była Pawłem Jasienicą, by jej posyłać za małżonka agenta. Była tylko rencistką, samotnie wychowującą syna, autorką trzech niskonakładowych tomików wierszy, której nie chciały już drukować żadne

wydawnictwa. Polityka ją kompletnie nie interesowała. Jeśli można o niej w ogóle powiedzieć, że jest częścią politycznej opozycji, to raczej na jej marginesie, związana bardziej towarzysko niż ideologicznie.

To dlaczego podesłano jej Wojtasa?

– Była dla nich interesująca, bo miała swoje mieszkanie, prowadziła dom otwarty i znała mnóstwo osób – opowiada Teresa Bogucka. – Do Basi można było zawsze przyjść. Było tam bardzo alkoholowo i dyskusyjnie. Miała opinię osoby, która nie przestrzega, rozluźnionych już wtedy mocno, norm moralnych. Raj dla donosicieli.

Ta dziupla na jedenastym piętrze wieżowca przy Hibnera, stojącego na tyłach Domów Centrum, to najbardziej prestiżowa lokalizacja w stolicy. W bloku mieszkają poeci, literaci, dziennikarze „Dziennika Telewizyjnego", gwiazdy radia i telewizji, między innymi znany później komentator sportowy Dariusz Szpakowski.

W 1966 roku Sadowska dostaje tu przydział jako poetka samotnie wychowująca dziecko. Mieszkanie jest małe, bo jedynie dwupokojowe z ciemną kuchnią, ale niezwykle luksusowe. W bloku jest zsyp, winda i portier przy drzwiach, co się zdarza tylko w gmachu KC.

Nazywała ten skrawek podniebnym pokoikiem. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych mieszkanie z numerem 94 jest jednym z rozrywkowych centrów stolicy. Przychodzą tu poeci, robotnicy, więźniowie polityczni i kryminalni, pobici w Radomiu i Ursusie, dzieci, uczniowie, studenci i donosiciele.

Marta Kucharska przyszła tam po raz pierwszy w 1979 roku jako narzeczona zbuntowanego poety Edwarda Stachury.

(Basia była cała w brązach, od sandałków włożonych na bose stopy, przez spódnicę po sweterek. Włosy też brązowe, ścięte na pazia, do ramion. Lekko skulona, taka zafrapowana czymś cały czas. Tak ją zapamiętała Kucharska).

– Wydaje mi się, że był tam cały świat – ciągnie. – Przychodzili profesorowie i dzieci z warszawskiego pigalaka albo dworca, Basia przygarniała je do siebie, karmiła i przytulała. Pochylała się nad każdą

ludzką biedą. Pewnie i ja, po śmierci Edka, z tego klucza tam do niej trafiłam i mieszkałam przez pół roku.

Uskarżała się nieraz na te tłumy przewalające się przez dom. Mówiła, że nie pozwalają jej pracować. (Praca to były albo jej wiersze, albo tłumaczenia, najczęściej z francuskiego).

Ale nie potrafiła powiedzieć „nie”, wyrzucić kogoś, a dom nie mógł się sam obronić. Był w centrum miasta, więc każdemu się wydawało, że wstąpi do Basi, jak będzie przechodził. Zdesperowana wywieszała nieraz kartkę na drzwiach: „Nie ma mnie. Pracuję”. Ale oczywiście każdemu „przyjacielowi” wydawało się, że jego to nie dotyczy. Tłukli w te drzwi pięściami i bardzo się złościli, że nie otwiera. Pytała: „No i co ja mam zrobić?”. Potem się zrywała, biegła do wejścia, przekręcała zamek i z uśmiechem zagadywała: „Czy jesteś głodna/głodny?”. Nie czekając na odpowiedź, dreptała do kuchni i przynosiła natrętowi jakąś zupę.

– To nawet gotowała?

– Może nie robiła tego systematycznie, ale w zależności od środków i chęci Grześ, jak wracał ze szkoły, miał tam jakąś zupę przecierankę. Nie było stołu. Jadł obiad przy wielkim biurku z tradycjami, które Baśka od kogoś dostała.

To był dom otwarty. Dyskusje, mnóstwo papierosów, alkohol. W tych czasach młodzi poeci jarali i mocno popijali. Taki był koloryt tamtych dni.

Gdy Baśka wychodziła, chowała klucz na korytarzu w skrzynce z licznikiem. Jak drzwi były zamknięte, wtajemniczeni mogli skorzystać z klucza, wejść i na nią zaczekać. A że wtajemniczona była połowa Warszawy, to drzwi na Hibnera rzadko się zamykały.

Kiedyś wyjechałam do Łowicza. Basia miała wtedy gorszy nastrój, przeżywała jakieś kolejne załamanie. Najadła się prochów uspokajających, popiła winem i napisała list pożegnalny do Grzesia: „Synu, będę Ci stamtąd przysyłać najlepsze struny do gitary”.

On miał wówczas szesnaście lat. Ile takie dziecko może ogarnąć? Powiedział mi potem: „Tak bardzo chciałem wtedy przyjść do ciebie i się przytulić, ale się wstydziłem”.

Lekarstw było za mało, żeby to samobójstwo mogło się udać. To był jej krzyk rozpaczy, że wymyka jej się z rąk rzeczywistość.

Tak, piła, ale to nie były mocne trunki. Upijała się w stylu bohemy. Wińsko szło tam w dużych ilościach.

Jej ulubionym miejscem spotkań był położony blisko domu bar Kurierek przy księgarni Nike. Po południu ściągali tam straceńcy tacy jak ona.

Nie chciałabym, żeby miał pan wrażenie, że zachowałam w pamięci taką pijącą Basię. Myśmy żyły normalnym życiem, to był jednak szczególny czas. Był koniec lat siedemdziesiątych, wiał wiatr historii, Grześ dorastał, a ja miałam pęknięte serce po śmierci Edka. Do dziś nie umiem tego poukładać. Co z czego wynikało? Co było przyczyną, a co skutkiem?

Lipiec 1983

4 lipca, poniedziałek

Michał Wysocki i Jacek Szyzdek zostają wezwani do prokuratury Warszawa-Śródmieście. Mają przyjechać tą samą karetką, którą wieźli Przemyka 12 maja. Na dziedzińcu czeka na nich prokurator Sławomir Szczap. Każe umieścić na tylnym siedzeniu manekina używanego w treningach zapaśniczych. Pozoranci, siedząc na przednich siedzeniach, tam, gdzie trzy miesiące temu Wysocki z Szyzdkiem, próbują sięgnąć manekina. W zadawaniu ciosów przeszkadzają jednak samochodowe zagłówki.

Prokurator Szczap poleca następnie położyć manekina na noszach. Teraz pozoranci przesiadają się na tylne siedzenie i próbują bić w okolice brzucha, ale w zadaniu mocniejszego ciosu przeszkadza niski sufit.

Wersję pobicia w karetce pogrzebał kilkanaście dni później swoją ekspertyzą profesor Kazimierz Fidelus z warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Z jego badań wynika, że sanitariusze nie mogli spowodować tak dotkliwych obrażeń u Przemyka. Z przedniego siedzenia w ogóle nie da się zadać silnych ciosów. Musieliby zatrzymać auto, wysiąść i bić go przez otwartą tylną szybę samochodową, a i tak siła ciosu byłaby zbyt ograniczona, by zmiażdżyć wnętrzności chłopca. Za mało miejsca na bicie – orzekł biegły.

Tak ostatecznie upadła wersja pobicia w karetce.

[^] Zestaw zdjęć wykonanych 26 maja 1983 roku podczas oględzin karetki pogotowia ratunkowego nr 113 / samochód marki Fiat 125p combi nr rejestracyjny WAE-147K na dziedzińcu Pogotowia Ratunkowego przy ulicy Hożej w Warszawie

[^] Materiał poglądowy z eksperymentu przedstawiającego możliwości ewentualnego pobicia Grzegorza Przemyka w karetce pogotowia z 29 lipca 1983 roku

6 lipca, środa

Śledztwo zostaje przeniesione z prokuratury rejonowej do wojewódzkiej. To kolejny sukces MSW. Wobec niechęci prokuratorów rejonówki do zbadania lansowanej przez resort wersji pobicia w pogotowiu, MSW naciska na przeniesienie sprawy. Pretekstem są przecieki ze śledztwa, które – zdaniem Służby Bezpieczeństwa – docierają do kręgów opozycyjnych i są wykorzystywane przez wrogów PRL. Zaangażowanie bardziej doświadczonych prokuratorów, twierdzi resort, pozwoli im też spojrzeć świeżym okiem na sprawę śmierci chłopca. Zwłaszcza że będzie się nią zajmował zespół prokuratorów z wydziału śledczego prokuratury wojewódzkiej, gdzie główną rolę odgrywa uległa wobec władzy prokurator Anna Jackowska. Zespół natomiast nadzorowany jest przez prokurator Wiesławę Bardon, jedną z najbardziej mrocznych postaci lat

osiemdziesiątych. Karierę w prokuraturze zaczynała w czasach stalinowskich i rozpierała ją duma, że jest komunistką.

„Miała opinię potwora. Wielka, straszna baba, w wieku bardziej niż średnim, przed którą drżeli wszyscy podsądni” – opisywał spotkanie z nią Leszek Moczulski, więzień polityczny lat osiemdziesiątych.

To właśnie ona podejmuje decyzję o rozpoczęciu śledztwa od nowa.

„Twierdzi, że było prowadzone nieprawidłowo, bo dano wiarę świadkom, którzy byli członkami Solidarności”[41] – pisała podziemna prasa.

11 lipca, poniedziałek

Sadowska trafia do szpitala. Odwiedza ją Wiktor Woroszylski:

„Zastałem ją podłączoną do kroplówki. Jest bardzo wychudła – kości obciągnięte skórą. Nie je nawet owoców, które jej przynoszę. Na stoliku przy łóżku nietknięty obiad. Podobnie jak w domu, w szpitalu też Basię osaczają tłumy ludzi, niekoniecznie potrzebnych jej do szczęścia. Ona z kolei sama sobie wynajduje towarzystwo – tutaj znalazła więźnia z Wrocławia, przebywającego na przepustce kryminalnej, zdaje się, że miłego chłopca (wyrok pięć lat).

W pokoju leżą z nią trzy staruszki, wokół których ona się krząta, wyręczając salowe, co te oczywiście bardzo urządza. W końcu przestały w ogóle reagować na dzwonki i przychodzić do staruszek. Raz Basia podobno zdenerwowała się i zrobiła im awanturę”.

14 lipca, czwartek

Partyjno-rządowa narada na szczycie w gmachu KC PZPR w Alejach Jerozolimskich dotyczy sprawy Przemyka.

Obecni: sekretarz KC do spraw bezpieczeństwa Mirosław Milewski, minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak, dyrektor Biura Śledczego MSW Zbigniew Pudysz, zastępca prokuratora generalnego Henryk Pracki.

Kiszczak wszystko referuje z głowy, znając najdrobniejsze szczegóły sprawy Przemyka, podpiera się przy tym tylko niewielką karteczką, leżącą

przed nim na stole.

Szczególnie rani go próba wmówienia przez podziemie społeczeństwu, że to milicja i Służba Bezpieczeństwa polowały na chłopca.

– Jest to wersja absurdalna – denerwuje się generał. – Mamy dużo potężniejszych przeciwników. Nie mam sił ani środków, aby interesować się przeciwnikami pokroju Sadowskiej i Przemyka. Gdybyśmy chcieli rozprawić się z Przemykiem, wzięlibyśmy fachmanów.

– Dlaczego daje się wiarę zeznaniom F., a nie daje się wiary zeznaniom dziesięciu funkcjonariuszy MO? – pyta prokuratora Prackiego.

– Cezary F. rzeczywiście jest osobą nieciekawą – tłumaczy spokojnie prokurator – ale złożył zeznania, które następnie wielokrotnie potwierdził.

Kiszczak domaga się opublikowania przez prokuraturę komunikatu, z którego jasno będzie wynikało, że milicjanci nie mają z pobiciem nic wspólnego. Ruga Prackiego, że daje wiarę zeznaniom kolegów Przemyka.

– Homoseksualisty F., narkomana K., alkoholiczki Sadowskiej – wylicza Kiszczak. Powinniśmy pokazać sylwetki tych koronnych świadków. Niech społeczeństwo samo oceni, czy można dać im wiarę.

Nawet nie ton i buta Kiszczaka niepokoją prokuratura Prackiego, ale to, że potężny szef MSW ma tak ogromną wiedzę w tej drobnej kryminalnej sprawie. Zna nazwiska oskarżonych, najważniejszych świadków, fakty, a nawet drobne szczegóły. Jak to możliwe, że sam minister angażuje się w tak marginalną sprawę z punktu widzenia resortu?

18 lipca, poniedziałek

O grze, która toczy się na szczytach władzy, Wysocki nie ma pojęcia. Zauważa jedynie, że jest obserwowany. Wychodząc z mieszkania na Saskiej Kępie, kątem oka dostrzega zaparkowanego pod domem poloneza. Zza kierownicy łypie na niego starszy mężczyzna. Gdy tylko Wysocki zniknie za rogiem, mężczyzna zapuka do drzwi mieszkania, pokaże służbową legitymację jego żonie i teściowej i poprowadzi je na przesłuchanie do komisariatu na Londyńskiej. Ale nikt ich tam nie przesłuchuje. Mają

siedzieć w poczekalni nie wiadomo po co. Po kilku godzinach dyżurny bez słowa wytłumaczenia wypuści je na zewnątrz.

Gdy wrócą do domu, zorientują się, że ktoś próbował dyskretnie przeszukać mieszkanie. Ślady rewizji dostrzega po powrocie z pracy również Michał Wysocki.

– Chodziło im o mnie – wyjaśnia żonie i tłumaczy, że zostały wywabione z mieszkania pewnie po to, by esbecy mogli założyć tu podsłuchy. Dlatego od tej pory o ważnych sprawach nie rozmawia w domu.

Zdarzają się też prowokacje. Chociażby ostatnio – zgłoszenie o zasłabnięciu kobiety na Powiślu. Gdy karetka podjeżdża na miejsce, ekipa z pogotowia znajduje leżącą na trawniku kompletnie pijaną kobietę. Na palcach ma złote pierścionki, a obok niej z otwartej torebki wystaje gruby plik dolarów. Na oko jest tam z pięćdziesiąt miesięcznych pensji sanitariusza, a może i sto. Wysocki z Szyzdkiem pakują pacjentkę na nosze i odwożą do izby wytrzeźwień przy ulicy Kolskiej. Kiedy tylko dotrą z pacjentką na miejsce, pojawi się dwóch tajniaków szukających kobiety z Powiśla. Niby są zainteresowani jej zdrowiem, ale pytają wyłącznie o torebkę z banknotami. Potem jeden przelicza pieniądze z torebki, drugi liczy złote pierścionki na ręce.

– Tak jakby ktoś na nas polował – mówi Szyzdkowi.

Gdy Wysocki wyjeżdża karetką z bramy pogotowia, zaraz za nim rusza jakiś samochód. I tak za każdym razem, gdy opuszcza Hożą. Spisuje na kartce numery rejestracyjne samochodów, które za nim jeżdżą. Nie jest ich dużo i z czasem zaczyna je rozróżniać.

Nietrudno też było ustalić, że samochody parkują na ulicy Okrzei pod siedzibą Służby Bezpieczeństwa. Przywiózł tu kiedyś żonę, pokazał jej wozy i powiedział: „To oni mnie osaczają”[42].

23 lipca, sobota

W „Życiu Warszawy” redakcyjny komentarz miesza z błotem głównego świadka i matkę ofiary.

„W tej sprawie wyrok już zapadł. Jeszcze nie podpisano protokołu sekcji zwłok, jeszcze nie przesłuchano pierwszych świadków i nie zdołano zebrać podstawowych dokumentów, a już wszem wobec, na cały świat ogłoszono, że warszawski maturzysta Grzegorz Przemyk został bestialsko zamordowany przez milicję. W kraju i poza granicami rozległ się zadziwiająco zgodny i jak zawsze zgrany chór protestów. […] Wszystko po to, aby na jeszcze jednej polskiej tragedii zbić własny kapitał polityczny”.

Jest akapit poświęcony Barbarze: „Inny świadek złożył zeznania dopiero po miesiącu, zasłaniając się złym stanem zdrowia. Nie przeszkodziło mu to jednak w składaniu w tym czasie publicznych oświadczeń i udzielaniu wywiadów zagranicznym dziennikarzom. Oczywiście w duchu określonych oczekiwań i zapotrzebowania”.

A także Czarkowi: „Wychodzący wraz z Przemykiem z komisariatu jeden z jego kolegów powiedział do milicjanta: jeszcze mnie popamiętacie. […] Świadek ten zaprzyjaźniony nie tylko z Przemykiem, lecz i z jego matką potrzebował aż dziewięciu dni, aby zdecydować się na złożenie zeznań. Czy te dziewięć dni było mu potrzebnych do skrupulatnego przypomnienia sobie tego, co widział i słyszał?”.

Kto jest autorem anonimowego paszkwilu? Nie wiadomo. Prawdopodobnie pułkownik Romuald Zajkowski z gabinetu ministra Kiszczaka. Przyznał on w latach dziewięćdziesiątych, że resort w tamtym czasie systematycznie publikował w oficjalnej prasie komentarze udające dziennikarskie artykuły. Nie pamiętał, które dokładnie wyszły spod jego ręki.

26 lipca, wtorek

Do Komendy Głównej w Warszawie spływają dziesiątki wiadomości od informatorów, izb skarbowych, sądów, ośrodków zdrowia, szkół, przedszkoli. Są opinie, świadectwa, oceny, notatki, zdjęcia. Wszystkie dotyczą Cezarego F. i jego rodziny.

Analitycy w Warszawie szukają w dokumentach haka na rodzinę F., dzięki któremu resort będzie mógł skłonić rodziców Czarka do pomocy.

Mrówcza praca wielu funkcjonariuszy pozwala ustalić drobną rzecz, mianowicie to, że matka Cezarego – Stanisława F., prowadząc pralnię chemiczną w Radomiu, nie ma wszystkich uprawnień do tego wymaganych prawem i być może jej mistrzowski certyfikat praczki dyplomowanej został sfałszowany. Dzięki temu zakład F. będzie można zamknąć i pozbawić rodzinę źródła utrzymania. W resorcie trwają przygotowania do wytoczenia F. procesu karnego za fałszowanie dokumentów.

Potem funkcjonariusze będą wykańczać fermę lisów prowadzoną przez ojca Czarka, która jest drugą nogą rodzinnego biznesu.

W lipcu pojawia się pierwszy sygnał, że podjęte działania są słuszne i dają bardzo dobre efekty.

„Materiały operacyjne wskazują na postępujące rozluźnienie solidarności wewnątrz rodziny, które jest wynikiem naszych nękających działań operacyjnych i kontroli skierowanej na działalność gospodarczą rodziców Cezarego F.” – raportuje przełożonym major Edward Chuchnowski, naczelnik departamentu MSW zajmującego się zwalczaniem opozycji. Sugeruje, że jest duża szansa przeciągnięcia rodziców Czarka na drugą stronę.

Jednocześnie wydział analiz MSW pracuje nad portretem psychologicznym głównego świadka. Chodzi o znalezienie sposobu, by skłonić go do wycofania się ze złożonych zeznań. Szczególnie pomocne w tej pracy są podsłuchy rozmów w domu F.

Na ich podstawie major Chuchnowski odkrywa słabość, którą będzie chciał wykorzystać w dalszej grze operacyjnej: „Cezary F. wykazuje znaczną skłonność do alkoholu, przy czym szybko się upija. Pod wpływem alkoholu staje się bardziej wylewny, a także agresywny i wulgarny, również w stosunku do rodziców”.

Jednocześnie zaleca podwładnym kontynuowanie działań zmierzających do kompromitacji Cezarego F. jako świadka.

„W oczach społeczeństwa powinien on być narkomanem uzależnionym od środków odurzających oraz przedstawicielem środowiska marginesu społecznego” – zaleca major Chuchnowski.

Barbara. Adres zapisany na Powszechnej deklaracji praw człowieka

W 1978 roku po kolejnym poetyckim wieczorku w jakimś radomskim kościele podchodzi do niej szczupły chłopiec. Jest niewiele od niej wyższy, o przenikliwym spojrzeniu i szczerym uśmiechu. Ani z niego młody inteligent, ani robotnik. Mówi, że jej wiersze go poruszyły. Ona wyciąga spod pachy Powszechną deklarację praw człowieka, notuje swój adres i podaje ją, mówiąc:

– Jak będziesz w Warszawie, to wpadnij do mnie.

Potem zahukany chłopiec z Radomia puka do drzwi warszawskiej poetki przy Hibnera, zakochuje się i zostaje.

Barbara ma wtedy trzydzieści osiem lat, on – osiemnaście.

Dwa lata wcześniej przeprowadził się z rodzicami z Wrocławia do Radomia, zaczął uczyć się w liceum. Ojciec lotnik, oficer Ludowego Wojska Polskiego z ciężką ręką, trzyma go krótko, po wojskowemu. Tylko że chłopiec mu się wymyka, wagaruje, coraz gorzej się uczy. Ojciec uznaje, że wpadł w złe towarzystwo, trzeba mu pomóc, wyciągnąć go z dołka. Składa więc w sądzie wniosek o umieszczenie syna w zakładzie poprawczym.

– Chciałem, żeby wyrósł na porządnego człowieka – tłumaczył tę decyzję.

Zakład poprawczy to rodzaj więzienia dla nieletnich, mający w PRL najgorszą sławę. Trafiają tu dzieci za drobne przestępstwa, uciekinierzy z domu, notoryczni wagarowicze i chuligani, za młodzi, by ich trzymać w prawdziwych więzieniach. Posłuch wymusza się tu terrorem, poniżaniem i strachem.

Poprawczak zamiast Czarka naprawić, łamie mu życie. Nie może wytrzymać panującego tam więziennego rygoru, więc zaczynają się ucieczki, podczas nich włamania do domków letniskowych, bo trzeba

gdzieś spać, i drobne kradzieże, bo trzeba coś jeść. Jedna z ucieczek kończy się przed sądem dla dorosłych i wyrokiem więzienia. Czarek nie ma zamiaru tam trafić. Ukrywa się.

Rodzice Cezarego dowiadują się, że mieszka w Warszawie. Na spotkanie z synem jedzie matka. Wraca zszokowana. Nie tylko tym, że Czarek związał się z kobietą o wiele starszą, która mogłaby być jego matką, ale jeszcze bardziej nie podobają się jej nowi znajomi syna, ten cały dom otwarty pani Basi, przez który przewijają się podejrzane typy. Czarek mówił, że bywa tam nawet Kuroń z Michnikiem, którzy, jak wiadomo, chcą zniszczyć Polskę Ludową.

– Byliśmy w najwyższym stopniu zaniepokojeni – mówi Jan F. – Obawialiśmy się, że syn utrzymuje z tymi ludźmi kontakty, a pozostając pod ich wpływem, z głupoty i z braku doświadczenia życiowego, może być przez nich wykorzystywany do ich celów.

Uważaliśmy, że powinien koniecznie zerwać kontakty z Sadowską dla własnego dobra.

Czarek nie chce słyszeć ani o zerwaniu z Barbarą, ani o wyjeździe z Warszawy.

Jan ze Stanisławą bardzo się martwią o syna i dla jego dobra po głębokim przemyśleniu sprawy podejmują bardzo trudną decyzję, by poinformować milicję, że ich syn ukrywa się w Warszawie przy Hibnera 3.

Z mieszkania Barbary milicjanci wyprowadzili Czarka w kajdankach i zawieźli do ciężkiego więzienia w Sztumie na Pomorzu. Wyrok do odsiedzenia: dwa lata. Czy domyśla się, dzięki komu tu trafił? Czy wie, że to dla jego dobra?

Nawet w Sztumie nie udaje się odseparować go od Barbary. Ona systematycznie go tutaj odwiedza. Jeździ brudnymi pociągami, wyczekując na zimnych dworcach na przesiadkę.

Jedną z takich wizyt w Sztumie opisała na kartce wyrwanej z zeszytu:

„Niedziela wieczorem. Za późno, żeby iść do więzienia. Dzięki Bogu przenocowałam (po pięciu godzinach jazdy na stojąco) w sztumskim hoteliku. Raniutko, nakarmiwszy gawrony po drodze, pędzę do więziennej

bramy. I myśl goniąca myśl, czy zobaczę Czarka? Co będzie mówił? Jak będzie wyglądał? Jego oczy?

Więc na mrozie (jest przy bramie specjalny pulpit, półka w murze) piszę podanie do naczelnika więzienia o widzenie. Ile przy tej półeczce matek, żon, sióstr kleciło epistoły do naczalstwa. Wreszcie, proszę przyjść o dziewiątej. Naczelnik rozpatrzy! Więc do knajpy na herbatę. Wygrzać się i uspokoić rozogniony łeb.

Za pół godziny.

Za kwadrans.

Pięć minut.

Za moment.

Fotokomórka, zgrzyt wrót. Spotkanie starego z nowym. Kazamaty stare, cywilizacja nowsza.

Wchodzę na teren więzienia. Rzeczy wszystkie pozostawione. Na pierwsze piętro. Równocześnie nadjeżdża okratowana winda, w której dostrzegam Czarka. On pod jedną eskortą, ja pod drugą. W kierunku rozmównicy. Łamiemy leciutko prawo, dotykając swych rąk. Siadamy vis-à-vis o metr od długiego fioletowego stołu. Rozmowa oczu, ust, rozmowa głośna i ukryta. Mówię, że nocowałam w Sztumie tę noc. Przez okno w rozmównicy wpadają iskierki mrozu. Przez cały czas obserwuje nas dyskretnie sierżant. W pewnym momencie wpada do rozmównicy oficer milicji. Z pretensją do mnie o znaczek Solidarności, który noszę od września. Że więźniowie widzieli, że po co ta sensacja. Mówię, że nie zdejmę, bo to mój wybór, żadnej sensacji nie ma, bo taka jest cała Polska.

I czuję, że dobrze się dzieje. Trochę wiary, nadziei w ten smutny świat”[43].

Jest jeszcze gorzej niż przed więzieniem. Zamiast do Radomia Czarek jeździ na przepustki do Warszawy, a gdy na początku 1981 roku odzyska wolność, znów zacznie być częstym gościem przy Hibnera.

Ojciec ukradkiem czyta listy przywiezione przez niego z więzienia. „Kochany Czarku” – tak je zwykle tytułuje.

Wspomina w nich o postępach Grześka w szkole, o nauce gry na gitarze i pasji, jaka mu towarzyszy.

„Piszę Ci o tym, bo pasja, każda pasja, pragnienie miłości do spraw, którymi zaczynasz żyć, zmienia człowieka. Wydobywa z niego nieopisaną, nie do ogarnięcia energię”.

I dalej: „Pisałeś o niepokoju, który towarzyszy wyjściu z kryminału. O dowodzie tożsamości. (Kto z kim przestaje, takim się staje). Nie uwierzę nigdy, że mógłbyś zatracić delikatność. Wiem dobrze, że znajdujesz się na przecięciu dwóch światów, które rządzą się własnymi prawami. A wrażliwość, czułość to są cechy bardzo mocne, zakodowane w nas. Ani tego nie można zabić, ani zniszczyć”[44].

Janowi F. bardzo się te listy nie podobają. Czuć w nich rodzące się uczucie. Domaga się od syna zerwania ze starszą panią wszystkich kontaktów, domaga się opamiętania.

Czarek nic sobie z tych uwag nie robi. Jeździ nadal do Warszawy, tylko potajemnie, żeby ojciec nie widział. Z początku sporadycznie, później coraz częściej.

Rodzice wiedzą, że dostaje też listy od Barbary. Co w nich jest napisane? Nie wiadomo. Czarek chowa je głęboko przed rodzicami.

11 maja 1983 roku znów znika. Wcześniej prowokuje sprzeczkę z matką, trzaska drzwiami, nie mówi, gdzie jedzie ani kiedy wróci. Rodzice jednak się domyślają.

O śmierci Grzegorza Przemyka ojciec Czarka dowiaduje się z audycji Radia Wolna Europa. Początkowo nie kojarzy, że chodzi o syna Sadowskiej. Ale gdy kilka dni później przychodzą poszukujący Czarka milicjanci, wszystkiego się już domyśla.

Jedzie szukać go do Warszawy. Po raz pierwszy spotyka się wtedy z Sadowską. W jej mieszkaniu jest mnóstwo młodzieży. Ona cała w czerni, na twarzy ból i cierpienie. Lekko jest nieobecna i uduchowiona.

Tłumaczy Janowi F., jak ważną postacią jest teraz jego syn. Świadek koronny. Jego zeznania mogą pognębić milicję, Służbę Bezpieczeństwa,

obnażyć metody i terror komunistycznego państwa. Ukrywa się. Poszukuje go Służba Bezpieczeństwa. Wkrótce zostanie przerzucony do Francji.

Barbara mówi, że z uwagi na niebezpieczeństwo dekonspiracji nie może zaprowadzić Jana F. do syna. Co najwyżej może prosić, by napisał do rodziców list. Ojciec dostanie go kilka dni później. Czarek napisze w nim, że czuje się dobrze, ma dobrą opiekę i by rodzice się o niego nie martwili. Jak mają się nie martwić, skoro komunikaty o jego poszukiwaniu drukują gazety, a Wolna Europa i Głos Ameryki mówią, że może pogrążyć ekipę Jaruzelskiego?

Sierpień 1983

5 sierpnia, piątek

Dwa dni temu Czarek dostał wezwanie do prokuratury. Wieczorem wyjechał z Radomia, rano próbował spotkać się z mecenasem Bednarkiewiczem. Nie zastał go w kancelarii przy Smolnej, więc nie poszedł na przesłuchanie. Wieczorem, gdy siedzi przy piwie w warszawskiej Adrii, do środka wchodzi patrol MO. Milicjanci zakuwają go na oczach gości w kajdanki. Noc z piątku na sobotę Cezary spędza w milicyjnym areszcie.

Rano radiowóz odwozi go do prokuratury.

– Uważam, że jestem niewłaściwie traktowany – skarży się. – Jestem wolnym człowiekiem i nie życzę sobie, by mnie śledzono, a to się właśnie dzieje.

Czarek F. nie wie, że jego sytuacja w ciągu ostatnich tygodni bardzo się zmieniła po tym, jak prokuratora Prackiego odwiedził pułkownik Kazimierz Otłowski z komendy głównej i domagał się, by przestać się patyczkować z głównym świadkiem.

– Cezary F. – tłumaczył Prackiemu pułkownik – nie był dotychczas przesłuchiwany, tylko wysłuchiwany. Trzeba to zmienić.

Teraz jest już prawdziwe przesłuchanie, na które Czarka wprowadzają w kajdankach. Prokuratora Jana Traczewskiego bardziej interesuje to, jak trafił do zakładu poprawczego, dlaczego z niego uciekł, kiedy poznał Barbarę Sadowską i czy często się z nią spotykał, niż opis bicia na Jezuickiej.

Czarek nie wie, dlaczego prokurator go o to pyta. Prosi, by zapisał w protokole przesłuchania jego uwagę: „Uważam za niepotrzebne i nieuzasadnione protokołowanie przez prokuratora danych dotyczących mojego osobistego życia. Nie mają one nic wspólnego ze sprawą śmierci Grzegorza Przemyka”.

6 sierpnia, sobota

Biuro Polityczne KC PZPR podtrzymuje decyzję, by sprawę Przemyka prokuratura zakończyła w trybie pilnym.

8 sierpnia, poniedziałek

Skoro nie udało się przekonać innych do wersji o pobiciu w karetce, pułkownik Kazimierz Otłowski poleca podwładnym dopracować wersję o biciu na terenie stacji pogotowia przy Hożej.

Zadanie nie jest łatwe, ponieważ droga Przemyka z karetki do gabinetu doktora Willmanna została dość szczegółowo zbadana przez prokuraturę i nie budziła dotąd kontrowersji.

Wiadomo, że Wysocki zaparkował samochód przy samych schodach wejściowych, wnieśli z Szyzdkiem chłopaka do budynku, podtrzymując go za ramiona. Trochę się przy tym szamotał, próbował ich kopnąć. Przeszli przez korytarz pełen ludzi, czekali przy windzie, którą zawieźli pacjenta na pierwsze piętro. Położyli przed drzwiami gabinetu Willmanna, pomogli usadzić na krześle i na tym się ich kontakt z chłopcem skończył.

Zresztą gdyby Grzesiek doznał jakichś przykrości z ich strony, powiedziałby o tym lekarzom, matce, kolegom. A on tylko mówił o biciu na Jezuickiej.

Żaden ze świadków nie wspomniał, by sanitariusze bili chłopaka. Gdzie mieliby to zrobić? Na korytarzu? Na oczach pacjentów?

Z wytypowaniem właściwego miejsca milicyjna grupa ma problem. Do pobicia mogłoby dojść jedynie w windzie. Tylko tam Szyzdek z Wysockim mogli zadać Przemykowi śmiertelny cios w ciągu dziewiętnastu sekund, podczas których winda pokonuje drogę z parteru na pierwsze piętro. Ale tę koncepcję obalają zeznania Tadeusza Zychowicza – windziarza, który im towarzyszył. W swoich zeznaniach nic o biciu nie wspomniał. Wręcz przeciwnie – mówił, że załoga karetki podtrzymywała Przemyka w windzie.

Gdyby Zychowicz zechciał trochę zmodyfikować swoje zeznania, wszystko by pasowało. Tylko że on upiera się i pozostaje przy swoim. Nie

pomaga ani przyjacielska sugestia, ani lekkie straszenie. Pracuje nad nim cała grupa esbeków. Sześciokrotnie jest wzywany na przesłuchania i za każdym razem odpowiada stanowczo – nie było żadnego bicia w windzie.

To komplikuje sprawę, ale jej nie zamyka. Potrzebni są nowi świadkowie do zbalansowania zeznań windziarza.

Na nogi postawiona jest cała warszawska SB. Ma odnaleźć pacjentów przebywających na terenie pogotowia, gdy Wysocki z Szyzdkiem nieśli przez korytarz Przemyka. Jeśli słyszeli lub widzieli coś podejrzanego, będzie można przerzucić odpowiedzialność z Jezuickiej na Hożą.

Służba Bezpieczeństwa znajduje dziewięcioro takich świadków.

Świadek Walenc słyszała jęki dochodzące z podwórka, a świadek Domagała odgłosy szamotaniny i plaśnięcie dochodzące z windy. Trzech innych świadków – przeraźliwy krzyk, ale nie potrafią go umiejscowić. Żaden nie widział bicia.

10 sierpnia, środa

Narada w Komendzie Głównej MO. Posiedzenie milicyjnej grupy do spraw Przemyka. Spotkanie prowadzi komendant główny – generał Beim.

Mówi o szkodnikach, którzy uniemożliwiają szybkie zamknięcie sprawy, a precyzyjniej, takie jej ukierunkowanie, które odpowiadałoby kierownictwu resortu. Nazwiska szkodników są dobrze znane zebranym: to główny świadek Cezary F., pełnomocnicy Barbary Sadowskiej – adwokaci Władysław Siła-Nowicki i Maciej Bednarkiewicz – oraz nadzorujący śledztwo zastępca prokuratora generalnego Henryk Pracki.

Dlaczego Pracki? Bo zablokował ostatnio milicji dostęp do akt, odcinając tym samym grupę od bieżących informacji dotyczących śledztwa. Sytuację udało się uratować dzięki uprzejmości naczelnik Wiesławy Bardon, która regularnie pozwala fotografować akta. Wiadomo też, że prokurator Pracki ignoruje resortową wersję zdarzenia.

– Te cztery osoby zostaną wkrótce wyeliminowane – obiecuje zebranym komendant Beim i po kolei wylicza:

– Cezary F. pójdzie do wojska, Bednarkiewicz – do aresztu za pomoc dezerterowi, Siła-Nowicki – na emeryturę, a Prackiego odwoła Komitet Centralny PZPR.

14 sierpnia, niedziela

Warszawa opowiada o dobrym zomowcu. Wyjawił on matce, co naprawdę zdarzyło się przy Jezuickiej. Jak bito tam Przemyka i że on i jego koledzy mają zakaz mówienia o tym, wprowadzony przez komendanta komisariatu. By ukryć prawdziwych sprawców pobicia, nakłoniono milicjantów z Jezuickiej do podpisania nowych list obecności w komisariacie. Matka anonimowego zomowca złożyła jednak w tej sprawie szczegółowe zeznania w Komitecie Prymasowskim przy Piwnej[45]. Prawda więc wkrótce wyjdzie na jaw.

Rzeczywiście, komitet w 1983 roku próbował na własną rękę wyjaśnić śmierć Przemyka. Gromadził dokumenty, zbierał relacje świadków. W 2011 roku wszystkie te materiały trafiły do Ośrodka Karta w Warszawie. Do prymasowskiego archiwum można zajrzeć tylko za zgodą ofiarodawców. Piszę prośbę o udostępnienie akt. „Ofiarodawcy nie wyrażają zgody” – informuje mnie archiwistka Monika Lipka z Karty, pocieszając, że klauzula tajności została nałożona na pięćdziesiąt lat. Do archiwum będzie można zajrzeć już w 2061 roku.

Archiwistka wysyła natomiast wykaz dokumentów przekazanych Karcie. Są tam akta procesowe, sprawozdania z procesu, listy do i od Sadowskiej, wiersze Przemyka i notatka dotycząca okoliczności śmierci Grzegorza. Nie ma jednak zeznania jakiejkolwiek matki zomowca.

18 sierpnia, czwartek

– Roztoczyć opiekę nad Kościukiem i Denkiewiczem – poleca podwładnym zastępca szefa stołecznej milicji, pułkownik Wiesław Lubieniecki. To w związku ze zbliżającym się terminem zakończenia śledztwa. Chodzi o takie wsparcie psychiczne, które pozwoli milicjantom przygotować się do trudów zbliżającego się procesu.

Denkiewicz z Kościukiem mają być wtedy zwolnieni z wykonywania wszystkich obowiązków, by zająć się tylko czytaniem akt. Przełożeni mają przeprowadzić z nimi rozmowy instruktażowe dotyczące zachowania się podczas śledztwa i rozprawy sądowej.

Z instrukcji pułkownika Lubienieckiego: „Pouczyć, iż będąc wezwani do prokuratury, mają stawić się w określonym terminie, w ubraniach cywilnych i z chwilą przedstawienia zarzutów powinni: złożyć przed prokuratorem oświadczenie, że nie przyznają się do winy; oświadczyć, że podtrzymują swoje zeznania, jakie już złożyli, skorzystać z prawa do odmowy wyjaśnień, nie prowadzić rozmów z kolegami i członkami rodziny na temat przebiegu przesłuchań i posiadanych wiadomości. […]

Nie udzielać odpowiedzi na ewentualne pytania zadawane przez pełnomocników rodziny pokrzywdzonego oraz obrońcę pracowników pogotowia i lekarzy”[46].

To dlatego, jak pisze podziemna prasa, by nierozgarnięci milicjanci się nie pogubili, gdy wpadną w krzyżowy ogień pytań adwokatów.

27 sierpnia, sobota

O inteligencji dwudziestotrzyletniego szeregowego Ireneusza Kościuka nawet generał Kiszczak nie ma najlepszego zdania.

„Chłopak ze wsi, oderwany od pługa”[47] – mówi o nim.

Od początku trzyma się ściśle wskazówek przełożonych. Już na pierwszym przesłuchaniu wytłumaczył prokuratorowi, że odbył wielogodzinną podróż z Zamościa do Warszawy, jest bardzo zmęczony i nie może składać żadnych wyjaśnień. Potem będzie już tylko powtarzał: „Korzystam ze swojego prawa i odmawiam składania wyjaśnień”.

To samo mówi na przesłuchaniu trzydziestopięcioletni starszy sierżant Arkadiusz Denkiewicz.

Obu prokuratura oskarża dzisiaj o ciężkie pobicie Grzegorza Przemyka, w wyniku którego doznał śmiertelnych obrażeń. Z tym że Kościuk bił sam, a Denkiewicz nawoływał do bicia.

Oskarżenie milicjantów to osobisty sukces prokuratury generalnej, a szczególnie nadzorującego śledztwo Henryka Prackiego. Nie poddał się ogromnym naciskom ministra Kiszczaka ani jego zastępcy – Ciastonia.

Ale resort nie jest całkiem przegrany. Jednocześnie o pobicie Przemyka oskarżeni zostają kierowca i sanitariusz z zespołu interwencyjnego pogotowia: trzydziestoczteroletni Michał Wysocki i dwudziestopięcioletni Jacek Szyzdek. Postawiono im ten sam zarzut z kodeksu karnego (artykuł 158 paragraf 3) co Kościukowi i Denkiewiczowi. Bo w sposób niedopuszczalny ciągnęli pacjenta za nogi po korytarzu i bili go w trakcie przewożenia windą, choć tego bicia żaden ze świadków nie widział.

O nieudzielenie pomocy oskarżonych jest też dwóch lekarzy. Psychiatrze Pawłowi Willmannowi prokuratura zarzuca, że nie przebadał Przemyka, a Bronisławowi Jasickiemu, że źle go zdiagnozował.

„Widać wyraźnie – pisze podziemny dwutygodnik „KOS" – że sprawa stała się ważnym elementem we frakcyjnych walkach o władzę w PRL. Nie należy się jednak spodziewać, że ujawnienie prawdy leżeć będzie w interesie którejkolwiek ze stron. Tak jak w przypadku śmierci Stanisława Pyjasa – mimo Sierpnia i szesnastu miesięcy demokracji – nie znamy dotąd okoliczności jego śmierci"[48].

30 sierpnia, wtorek

Na żyrandolu wiszą dwa buty Grześka: ten pierwszy – malutki, dziecięcy i ostatni – schodzony, ze zdartą podeszwą.

Znajomym Barbara mówi, że widuje się z Grzesiem i czasem z nim rozmawia. Powtarza też, że czuje wokół siebie jego obecność. Nie pukają się w czoło, spuszczają zawstydzeni tylko wzrok. A ona się upiera, że to możliwe, bo te dwa światy istnieją obok siebie.

– Nie ma między nimi nawet szybki – przekonuje.

Poetce Krystynie Rodowskiej pokazała niedawno naszyjnik.

– Dostałam go właśnie od Grzesia – powiedziała. Gdy Rodowska zrobiła wielkie oczy, włączyła się Marzena, dziewczyna Grześka:

– Przyniósł go Basi – potwierdziła.

– Ale nie miały na myśli, że kiedyś – opowiada Rodowska – one twierdziły, że Grzegorz ten naszyjnik przyniósł Basi już po swojej śmierci.

– Obie z Marzeną zachowywały się tak, jakby wciąż miały z nim kontakt – wspomina Rodowska. – Były tak przekonywające, że miałam wrażenie, że lada chwila drzwi się otworzą i stanie w nich Grześ. Żyły w tej fikcji, jakby były niepoczytalne.

„Zdarzają się chwile niewiarygodnie ciężkie, poczucia głuchej tęsknoty do fizycznej obecności Grzesia – pisała Barbara w liście do Wandy Wasilewskiej. – Wtedy ze ściśniętym gardłem powtarzam sobie: Bóg dał mi łaskę wspólnego przeżycia z nim dwudziestu prawie lat”[49].

„Żyję wiarą w spotkanie przyszłe” – czytamy w listach Sadowskiej do znajomych[50].

Grzegorz

W szóstej klasie Grzesiek po raz pierwszy przyprowadza do domu Igora, swojego najlepszego kumpla z podstawówki.

– Ja miałem wtedy dwanaście lat, on był o rok młodszy, bo poszedł wcześniej do szkoły – opowiada Igor. – To są moje pierwsze dni w nowej szkole.

Jest wysoki i silny. Sprawia wrażenie, jakby niczego się nie bał. Tak go zapamiętał Igor.

A przy tym roznosi go energia. Ćwiczy godzinami tenisa, waląc piłką o drzwi na tyłach kina Relax.

W pokoju Grześka stoi wielka szafa, a na jej drzwiach papierowa tarcza. Przemyk daje lotki Igorowi i każe rzucać. Igor się boi, że podziurawią szafę, przyjdą rodzice i będzie afera.

– Basi to nie przeszkadza – uspokaja go Grzesiek.

– Traktowała go jak dorosłego, a nie jak jedenastoletniego chłopca – wspomina Igor. – To było dla mnie pierwsze zetknięcie z nowym modelem rodzica.

Grzesiek jest uczniem podstawówki numer 38 przy Świętokrzyskiej 18. Do szkoły chodzi na skróty, przebiegając przez jezdnię na Świętokrzyskiej, niedaleko Prudentialu. (Raz kończy się to nawet niegroźnym wypadkiem).

Uczy się słabo. W siódmej klasie ma na świadectwie jedną dwóję (z matematyki) i same trójе (nie licząc śpiewu i wuefu). I aż osiemdziesiąt pięć dni nieobecności.

[^] Grzegorz Przemyk (10 lat) z babcią Jadwigą Sadowską w Zakopanem, 1974 rok

Kolegom mówi, że jego ulubionym poetą jest Baczyński, zespołem Beatlesi, a filmem *Czas apokalipsy*. (Ale może o filmie mówił później, bo pierwszy raz był pokazywany w Polsce na „Konfrontacjach” w 1980 roku).

W klasie wiedzą, że jego mama jest inna. Nie musi się rano zrywać do pracy, chodzi późno spać, a przez jej dom przewijają się dziesiątki znajomych, o których mówi Radio Wolna Europa: Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń, Wiktor Woroszylski.

Gdy chodzą już do liceum, to mama Grześka pozwala im legalnie palić, a zdarza się, że też wypić.

– O to mieli pretensje nasi rodzice – dodaje Igor. – Że jest za bardzo wyluzowana.

Kuba zapamiętał, że przyszedł w Grześka imieniny, ale nie było go w domu. Matka zaprowadziła go do jego pokoju, pokazała, gdzie czajnik, gdzie herbata, i powiedziała: „Muszę wyjść, a ty zostań i zaczekaj”.

– Pierwszy raz się z czymś takim spotkałem. Że można tak traktować kolegów syna, których się pierwszy raz na oczy widzi – wspomina Kuba.

Grzesiek żyje między dwoma domami – z matką na Hibnera i z babką Jadwigą przy ulicy Bagno. Z matką odwiedza domy poetów i pisarzy, jeździ na spotkania autorskie. Jadwiga pilnuje, by odrobił lekcje, miał spakowany tornister, karmi go i ubiera.

– Bardzo był z nią zżyty – mówi kuzynka Grażyna Malatyńska-Piekarska.

Gdy Grzesiek jest w ósmej klasie, umiera na serce jego babka. W akcie rozpaczy wylewa sobie na głowę cały klej z buteleczki.

– Zrobił to, bo właśnie stracił najbliższą osobę, w której miał oparcie – wspomina przyjaciółka Sadowskiej, w milicyjnych dokumentach występuje pod inicjałami „EM”. To ona opowiada milicjantom, że Grzegorz był zaniedbanym dzieckiem. Głodny dzwonił do niej i prosił, by dała mu coś do jedzenia, bo mamy nie ma w domu.

– Miałam kłopoty rodzinne, ciężko chorowała moja matka, często przebywałam w szpitalu przy niej – tłumaczyła Barbara w prokuraturze. – Może nieco zaniedbywałam wtedy Grzegorza.

Któregoś dnia, wchodząc do mieszkania, poczuła ostry zapach rozpuszczalnika. Grześ miał dziwnie błyszczące oczy i trudności z wysławianiem. Wezwała pogotowie. Trafił do szpitala na Litewskiej, gdzie lekarze orzekli, że odurzał się zmywaczem do skór.

– Zrozumiał, że zrobił źle, i nigdy już tego nie próbował – wyjaśniała po latach prokuratorowi.

(Później do dokumentacji lekarskiej dotarła Służba Bezpieczeństwa, by zrobić z Grześka wykolejeńca i narkomana).

Po incydencie z rozpuszczalnikiem Barbara prosi o pomoc Wiktora Krzysztoporskiego:

– Słuchaj, Wiktor – mówi. – Weź go do jakiejś roboty.

Krzysztoporski to drukarz jednej z najstarszych opozycyjnych gazet – „Głosu”. Wciąga do podziemnej współpracy Grześka i jego kolegów: Igora, Pawła, Witka.

– Żeby można było drukować „Głos”, potrzebny jest papier, którego ciągle brakuje w wolnej sprzedaży – opowiada Krzysztoporski. – Ich podstawowym zadaniem jest zdobywanie papieru. Jak każdy kupi po trzy, cztery ryzy, to jest akurat tyle, że coś już można wydrukować. Mają za zadanie kupić papier, dostarczyć do magazynu i nie dać się namierzyć.

Igor mówi:

– Nas to rajcuje. Ładujemy papier do plecaków i rozwozimy po Warszawie. To skromna rzecz, ale nas wciąga. Czytamy te podziemne gazetki, coraz więcej rozumiemy, coraz bardziej się angażujemy.

W listopadzie 1979 roku idziemy z Grześkiem do katedry na Starówce na mszę w rocznicę odzyskania niepodległości. Tłum wychodzi na Świętojańską, idzie pod Grób Nieznanego Żołnierza. Krzyczymy, że chcemy wolności, niepodległości i żeby uwolnić braci Kowalczyków, którzy wysadzili aulę milicyjną w Opolu. Nikt nas nie zatrzymuje. Milicja jest kompletnie zaskoczona. To pierwsza duża manifestacja zapowiadająca sierpniowe strajki na Wybrzeżu. Jesteśmy pod wielkim wrażeniem.

Jeszcze przed sierpniowymi strajkami w 1980 roku w mieszkaniu przy Hibnera ulotki zwija się w rulony. Barbara wspina się na najwyższe piętro

wieżowca, rzuca je w dół w pasaż Wiecha, gdzie spaceruje Warszawa. Grześ obserwuje tę akcję z dołu i informuje potem mamę, kto zbiera ulotki, jak na nie reagują czytelnicy, skąd nadjechały radiowozy.

Tyle że w szkole idzie mu znacznie gorzej. Na koniec ósmej klasy ma fatalne stopnie.

– Szkołę olewa – mówi Igor. – Nie chodzi do niej, wagaruje, kompletnie go to nie interesuje. Nie daje szansy nauczycielom, by postawili mu lepsze stopnie. Co na to Basia? Co ona mogła? Myślę, że ani ona, ani pan Leopold nie byli już w stanie nic na nim wymusić. Ja byłem synem nauczyciela, to dostałem się do dobrego liceum Reya, on trafił do jednego z najgorszych – do Świerczewskiego. Z takimi stopniami nie miał szans na nic lepszego.

Zaczął się stawiać nauczycielom. Dręczyły go przedmioty ścisłe – matematyka i fizyka. Szybko sobie odpuścił. Trochę wagarował, trochę chorował na zatoki. Rzadko bywał w szkole. Więc go uwalili. Musiał sobie poszukać nowej szkoły, bo pierwszej klasy nie można było powtarzać.

* * *

W połowie drogi między Warszawą a Radomiem leżą Białobrzegi. Barbara ma tam jakiegoś znajomego nauczyciela. Załatwia Grześkowi miejscowe liceum. Mówi mu, że przez rok musi się tam przechować, a jak mu dobrze pójdzie, to wróci do Warszawy.

Od jesieni 1979 roku mieszka tam w bursie. Do Warszawy przyjeżdża tylko na niedziele.

Marta Kucharska zapamiętała: Grześ wchodzi do mieszkania z wypchaną jabłkami koszulą. Szedłem pieszo – oznajmił – bo nie mogłem złapać autostopu, ale narwałem ci, mamo, po drodze jabłek. Gdy tylko to wypowiedział, koszula pękła i rozsypały się wszystkie na podłogę.

W Białobrzegach był „egzemplarzem” egzotycznym. Gadał o Wojaczku, słuchał Brassensa, nosił z sobą chlebak legendarnego Stachury, który po jego śmierci podarowała mu Marta Kucharska.

Krystyna Rodowska wspomina:

– Wrócił odmieniony. Zaczął poważniej traktować szkołę, grał na gitarze, pisał wiersze i chował je przed Barbarą. Czasem trafiała na nie podczas

robienia porządków.

Pisze na kartkach wyrwanych z zeszytu, serwetkach, skrawkach papeterii. Po powrocie z Białobrzegów wydaje własnym sumptem swój pierwszy tomik *Oko*. W dziesięciu egzemplarzach. Dedykuje go swojej dziewczynie Marzenie i Wspaniałej Piątce. Wspaniała Piątka to on, Kuba Kotański, Igor Bieliński (za dwa lata będą mu towarzyszyć w ostatnim spacerze po warszawskiej Starówce), Witek Skierniewski i Paweł Kwiatkowski.

[^] Salon Bąkowskich, na zdjęciu od lewej: Jerzy Markuszewski, Marek Karpinski, Grzegorz Przemyk, Eugeniusz Temkin, Aleksandra Korewa i inni, Warszawa, czerwiec 1981 roku

W połowie września 1980 roku Grzesiek zjawia się w warszawskim liceum Modrzewskiego na Elektoralnej. Wysoki, zgarbiony, w rozciągniętym swetrze i z nieodłącznym chlebakiem. Tak go zapamiętała klasa druga „c”. Powiedział, że jest synem poetki. Jej nazwisko nikomu nic nie mówiło, więc niedowiarkom musiał pokazać jej stare tomiki, te z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. Później był już na nią zapis.

W klasie jest kimś wyjątkowym – zna ludzi z Solidarności, poetów, pisarzy. Wszystko się w klasie kręci wokół niego. Przyciąga do siebie. Każdy chce się do niego zbliżyć, odwiedzić to legendarne mieszkanie, gdzie wszystko młodzieży wolno.

Nie ma tam telewizora ani radia. Jest adapter i dziesiątki płyt: Brel, Wysocki, Okudżawa, Brassens, Beatlesi, Joplin, Pink Floyd.

Igor wspomina:

– Od stanu wojennego Basia traktuje nas już jak dorosłych. Mamy szesnaście, siedemnaście lat. Przesiadujemy w zadymionym pokoju Grzesia. On jest nikotynistą. Pali najmocniejsze marki: extra mocne, gitanes, gauloises. Czasami pojawiają się tam droższe alkohole – brendy Haig czy Vat 69.

O czym rozmawiamy? W rozmowach często pojawiają się nazwiska poetów: Rilke, Wojaczek, Baudelaire, Rimbaud. Kłócimy się o to, czy poetą się jest, czy poetą się bywa, i kto miał rację – Stachura czy Przyboś.

Te dyskusje specjalnie mnie nie wciągają, ale lubię tam bywać.

* * *

Nauczyciele napisali w szkolnej opinii, że był uczniem szczególnym. Charakteryzowało go niezależne myślenie, szedł pod prąd, miał swoje zdanie.

Przejawiał obojętność wobec dóbr materialnych, był niesterowalny, a jednocześnie życzliwy i tolerancyjny.

Opinia pisana była już po śmierci Grześka, więc ocena jest stonowana. Brakuje informacji, że był uczniem przeciętnym, że z ledwością przechodził z klasy do klasy, że matematyka była jego zmorą. Że nie mógł

zdążyć na pierwszą lekcję, że nie nosił zeszytów, że często był nieprzygotowany do zajęć. Widać to, gdy przegląda się arkusze ocen z początku lat osiemdziesiątych.

Marta Kucharska opowiada:

– Grześ dorasta, domaga się większej niezależności. Mówi do Barbary: „Matko nieszczęsna, obudź się”. Baśka jest niezaradna, chodzi z głową w chmurach, więc Grześ staje się z wolna głową rodziny, opiekunem mamy. Już nie ona za niego, ale on za nią czuje się odpowiedzialny. Tylko nie do końca wie, jaka to ciężka praca, opieka nad taką kobietą.

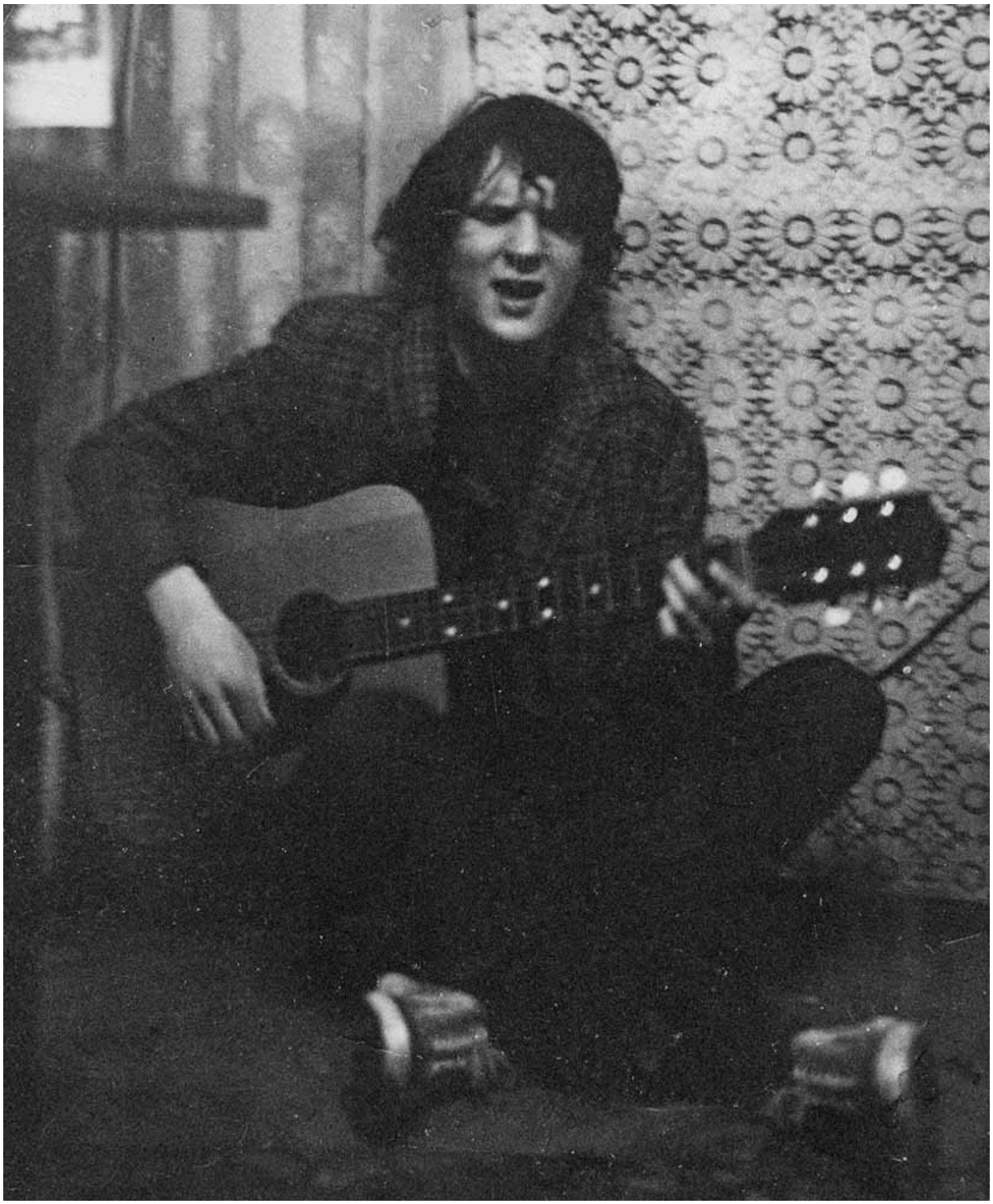

[^] Grzegorz lubił grać na gitarze piosenki Jacka Kaczmarskiego

Zobaczyłam nagle przy niej nie dziecko, ale dorosłego, dojrzałego faceta. Ucieszyłam się, że jest przy Baśce, że ma ona w końcu swojego mężczyznę, który ją ochroni i poprowadzi przez życie.

Jednocześnie ma on własne życie. Ma już swoją dziewczynę, koledzy idą powoli w odstawkę.

Grzesiek boi się tylko jednej rzeczy związanej z matką: że za jej antypaństwowe wyskoki zemszczą się na nim. Sugerują to jej podczas kolejnych przesłuchań. Barbara jest przerażona na samą myśl, że wezmą go do wojska, zamkną w jednostce na prowincji i tam zgnoją. Dlatego tak ważna jest matura, a potem egzaminy na studia. Jak zda jedno i drugie, to będzie bezpieczny i wojsko mu już nie zagrozi.

Bardziej od nauki wciąga Grześka gitara, którą dostał od przyjaciół Barbary. Ćwiczy na niej piosenki swych mistrzów: Kaczmarskiego i Kleyffa. Próbuje ich naśladować. Jego poetyckie próby koledzy mogą sami ocenić. Kartki z wierszami rozsyła po klasie. Dziewczyny czytają je pod ławkami.

Pewien poeta
Buty włożył
tak jakby do odejścia się zbierał,
podszedł
do mnie
I kopnął mnie w twarz
tak
że wypadłem przez okno
na przejeżdżający
przypadkowo
karawan

Wiersze są mroczne jak u poetów przeklętych: Rimbauda, Baudelaire’a, Wojaczka, Stachury. Jest w nich strach, krew, kryształki potu, śmierć. Gdy go pytają o ten wisielczy nastrój, uśmiecha się tylko i mówi sentencją z Nietzschego: „Wybrańcy bogów umierają młodo”, albo: „Noszę w sobie świadomość śmierci, która jest blisko”.

Czy dziewiętnastolatek może myśleć o czymś tak nierealnym i odległym?

To tylko takie szczeniackie gadanie. Szpan. Popisy przed dziewczynami. Poetycka poza – uważa dziewczyna Grześka, Marzena Urban.

Opowiada, jak wpadł kiedyś do jej mieszkania dość przestraszony. Mówił, że cudem uniknął śmierci, gdy spadająca z wieżowca szyba o mało go nie zgilotynowała.

– Słuchaj – powiedział do niej kilka tygodni przed śmiercią – ja nie chcę umierać! Ja kocham życie.

Wrzesień 1983

3 września, sobota

Czarek wraca do Radomia pełen pomysłów. Mówi rodzicom, że na stałe zamierza się przenieść do Warszawy. Będzie się uczył w prowadzonej przez księży szkole na Saskiej Kępie, a zamieszka na Bagnie w mieszkaniu, które Grzesiek odziedziczył po babce.

„Od powrotu Cezarego z Warszawy dochodzi między nim a ojcem do bardzo ostrej wymiany zdań. W rozmowach z ojcem Czarek przejawia nieprzejednaną postawę wobec funkcjonariuszy milicji, używając w rozmowach wielu wulgarnych słów" – piszą esbecy w raportach z podsłuchów.

– Milicjanci to umundurowani bandyci i złodzieje – krzyczy Czarek. Jest zły, że podczas czerwcowego najścia milicji na działce zniknęły jego listy od i do Barbary. – Strzelać należałoby do takich łobuzów z komuny – mówi.

– Rozpieprzyłbym to wasze prawicowe gniazdo – odpowiada na to ojciec. Przestrzega syna, że ta jego zabawa w opozycję może się dla niego źle skończyć. – Wy idźcie do Reagana, my zostaniemy z Rosją – mówi.

„Widać w nim chorobliwą nienawiść do wszystkiego, co wiąże się z władzą i ustrojem socjalistycznym" – pisze o Czarku kapitan Tadeusz Żabiński. Jego zdaniem ten polityczny rozdźwięk między ojcem a synem warto będzie w przyszłości wykorzystać.

10 września, sobota

„Barbara po rozmowie z byłym mężem na temat Grzegorza doznała szoku i zaczęła na sobie drzeć ubrania. Jest obecnie w fatalnym stanie psychicznym, dręczą ją wyrzuty sumienia, bo uważa, że naraziła Grzegorza na dodatkowe cierpienia, wzywając pogotowie ratunkowe do niego dopiero

rano. Nie może znieść tego pustego mieszkania i mówi, że lepiej dla niej by było, gdyby zamknięta została w więzieniu. »Rozrzucę na Marszałkowską byle jakie ulotki i niech mnie zamkną« – powiedziała.

Ze względu na bardzo złą kondycję psychiczną Sadowska w niewielkim stopniu współpracuje ze swoimi adwokatami: Władysławem Siłą-Nowickim i Maciejem Bednarkiewiczem".

Relację tę przekazał resortowi tajny informator. W 1991 roku jego oficer prowadzący Stefan Janowczyk, nie ujawniając jego nazwiska, zeznał, że była to osoba blisko związana z dziewczyną Grzegorza – Marzeną. Cztery lata później Janowczyk zmienił zdanie i stwierdził, że to znajomy Sadowskiej, który bywał w jej domu. Na co dzień informował SB o działaniach korespondentów zachodnich pracujących w Polsce. Janowczyk spotkał się ze swoim informatorem zaledwie kilka razy, nagrywając wszystkie rozmowy na magnetofon, a potem przepisując je słowo w słowo. W dokumentach SB nazywa go Albinem. Nie zachowały się żadne dokumenty w IPN pozwalające stwierdzić, kto nim był.

Albin ma bardzo szczegółowe informacje. Widać, że dobrze zna Sadowską i ma z nią bliski kontakt.

„Leopold Przemyk, inżynier elektronik, były mąż Barbary, ojciec Grzegorza, prezentuje bierną i niezaangażowaną postawę polityczną – notuje kapitan słowa informatora. – Opozycyjną działalność swojej byłej żony traktował dotychczas pobłażliwie. Śmierć syna spowodowała jednak pewną radykalizację jego poglądów. Stąd negatywnie ustosunkowany jest do obecnej rzeczywistości. Sporządził album, w którym zestawił liczne zdjęcia Grzegorza z ostatnich lat i z pogrzebu z wycinkami prasowymi zawierającymi przemówienie generała Jaruzelskiego na temat porozumienia narodowego i normalizacji sytuacji w kraju. Zarówno Przemyk, jak i Sadowska są przekonani, że śmierć Grzegorza była, przede wszystkim, następstwem pobicia go przez milicjantów na terenie komisariatu. Przyjmują, że ewentualne obrażenia, jakich doznał wskutek działań sanitariuszy, mogły tylko przyspieszyć agonię.

Według Sadowskiej jej adwokaci przed sądem będą starali się dowieść tezy, że śmierć Grzegorza była celowym i zaplanowanym działaniem SB.

Zadaniem interweniujących na placu Zamkowym funkcjonariuszy było pobicie Grzegorza w celu zastraszenia Sadowskiej. Zaś jego śmierć była tylko przypadkowym następstwem tego zaplanowanego incydentu. Na poparcie tej opinii Sadowska przytoczyła rozmowę z bliżej nieznanym oficerem SB, który w komendzie na Wilczej po jednym z zatrzymań powiedział jej, wskazując na Grzegorza: »My się jeszcze dobierzemy mu do skóry«".

14 września, środa

Komendant główny MO, generał Józef Beim, powołuje w Radomiu grupę operacyjną do „wielopłaszczyznowych działań operacyjno-śledczych", rozpracowującą Czarka. W jej skład wchodzą funkcjonariusze SB odpowiedzialni za zwalczanie działalności antypaństwowej, przestępstw gospodarczych i z wydziału kryminalnego. Kierownikiem zostaje kapitan Zdzisław Chwaszcz przysłany do Radomia z Biura Kryminalnego KGMO w Warszawie.

Wokół Cezarego pracuje na co dzień dwunastu tajnych współpracowników SB: Cichy, Stary, Ziuk, Marian, Rafał, Stolarz, Iza, Krzysztof, Taurus, Marek, Zbyszek, Paweł. Każdy z nich dostaje zadania do wykonania i ma obowiązek systematycznie przekazywać wiadomości o Czarku. Kilkunastu innych udziela o nim SB doraźnych informacji. Mieszkanie Czarka jest pod dwudziestoczterogodzinną obserwacją („B"), założono w nim podsłuch pokojowy („PP"), telefoniczny („PT") i prowadzona jest potajemna kontrola przesyłek pocztowych. Działania te mają dostarczyć materiałów, których będzie można użyć do kompromitacji Cezarego. Jednym z celów grupy jest uznanie koronnego świadka za osobę chorą psychicznie. To unieważni wszystkie jego dotychczasowe zeznania i odbierze mu wiarygodność naocznego świadka. Plan rodzi się pod kierunkiem kapitana Tadeusza Żabińskiego. Wspólnie z podporucznikiem Markiem Szamborskim mają nawiązać bliższą współpracę z szefem Wojskowej Komendy Uzupełnień (WKU) w Radomiu. To on ma, jeszcze przed rozpoczęciem procesu, wcielić Cezarego F. do wojska. Przed

wręczeniem biletu WKU skieruje poborowego na badania lekarskie między innymi do zaprzyjaźnionego psychiatry, który po badaniu zdiagnozuje u F. chorobę psychiczną.

16 września, piątek

Wieczorem odbywa się na Hibnera narada. Oprócz Barbary i Czarka, który przyjechał wczoraj z Radomia, bierze w niej udział nieznany milicji mężczyzna. (Być może to adwokat, bo wykazuje dużą orientację w sprawie). Z nasłuchu wynika, że rozmawiają o tym, czy władza jest w stanie zrzucić winę na sanitariuszy i pogotowie. Analizują to, co się działo na Hożej, wypowiedzi i zachowanie sanitariuszy oraz lekarzy, a także obecną postawę prokuratorów. Czarek zapewnia Barbarę, że z niczego się nie wycofa. Powie wszystko, co pamięta i widział:

– Ja tym zomowcom nie popuszczę – obiecuje.

Kilka dni później SB wysyła do Barbary informatora Albina. Zamelduje on, że w mieszkaniu znów pełno gości, dominuje młodzież dyskutująca o śmierci Grzegorza. Albin zwraca uwagę na nieprzejednaną postawę F., który opowiada zebranym o swoim pobycie w więzieniu w Tczewie i o tym, jak tam się hartował:

– Teraz niczego i nikogo się nie boję.

21 września, środa

W Warszawie krąży od tygodni plotka o związkach rzecznika rządu Jerzego Urbana ze sprawą Przemyka. Ponoć jego córka była narzeczoną Grześka. Jeśli Urban faktycznie jest rodzinnie w tę sprawę zaangażowany, to nie powinien jej komentować, mówi warszawska ulica. Powinien trzymać się z dala. A on od samego początku wspiera propagandowo resort, broni milicjantów i prowadzi akcję zaciemniania.

Plotki o jego rodzinnych związkach docierają nawet do rządu i na Rakowiecką. Wicepremier Mieczysław Rakowski, który zna Urbana ze wspólnej pracy w „Polityce”, doradza mu po przyjacielsku, żeby sprawę jak najszybciej wyjaśnił.

„Pozwalam sobie poinformować towarzysza generała – pisze w liście do Kiszczaka – że moja córka (imieniem Magda) nie znała w ogóle Przemyka, a Marzena Urban nie jest moją krewną. To jakaś osoba niemająca ze mną nic wspólnego”.

Kiszczak czuje się zakłopotany całą sytuacją. Odpisując Urbanowi, zaręcza, że darzy go szacunkiem i jest wobec niego lojalny: „Pragnę Towarzysza Ministra serdecznie przeprosić, jak również zapewnić, iż nie miano jakichkolwiek intencji obrażania, jak również czynienia Wam przykrości”.

27 września, wtorek

Trwa akcja zastraszania pogotowia. Przesłuchiwani są lekarze, personel, pojawiają się oskarżenia o rozbój, kradzieże i bandyckie traktowanie pacjentów. Karetki są wzywane do fałszywych pacjentów, którzy doznają cudownego uzdrowienia po przewiezieniu na Hożą. Trasy przejazdów karetek są śledzone z rozstawionych po drodze samochodów. Lekarze i sanitariusze dostają propozycję wzięcia łapówek, a kierowców karetek nieznani ludzie próbują wynająć jak taksówkarzy.

„Praca pogotowia jest całkowicie zdezorganizowana. Porozdzielano zespoły, panuje atmosfera zastraszenia i podejrzliwości” – pisze lekarz pogotowia w podziemnym „Tygodniku Mazowsze”. Jego zdaniem to próba zdyskredytowania środowiska służby zdrowia przed zbliżającym się procesem o zabójstwo Grzegorza Przemyka.

„Władza chciałaby spacyfikować środowisko służby zdrowia, które w czasie stanu wojennego zachowywało się wspaniale i przysparzało jej sporo kłopotów” – pisze lekarz[51].

30 września, piątek

Wiktor Woroszylski po odwiedzeniu Sadowskiej notuje w dzienniku:

„Wydała mi się bardziej uspokojona i »normalna« niż przez wszystkie te miesiące. Pisze wiersze (krótkie, typu »motylek«, który i mnie tak odpowiada w trudnych sytuacjach). Uspokaja [adwokata] Siłę-

Nowickiego[52], którego odsunięto od tej sprawy (i od innych) z »powodu wieku emerytalnego«, że pociągną ją jego uczniowie.

Obiecuję przyjść. Twierdzi, że je. W to najmniej wierzę”.

Barbara. Z plecakiem przez sale sądowe

Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku prawie dziesięć tysięcy związkowców trafia do obozów internowania. Tych, którzy cudem uniknęli aresztowania, poszukuje milicja i Służba Bezpieczeństwa. Władzę w Polsce przejmuje wojsko. Telefony są wyłączone, więc nie można się nigdzie dodzwonić, korespondencja jest cenzurowana, a z miasta do miasta można jeździć tylko ze specjalnymi przepustkami. Każdy, kto pojawi się na ulicy po zmroku, może zostać aresztowany, bo obowiązuje godzina milicyjna.

W odpowiedzi na to prymas Józef Glemp powołuje w Warszawie Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Prowadzi on ewidencję internowanych, aresztowanych, więzionych, odnotowuje represje i przypadki łamania praw człowieka, rozdziela przysyłaną z Zachodu żywność i leki, organizuje kolonie dla dzieci prześladowanych związkowców.

W komitecie pracują lekarze, pisarze, naukowcy i gwiazdy kina: Maja Komorowska, Daniel Olbrychski, Kalina Jędrusik. Chodzą na procesy, odwiedzają więźniów politycznych, wysyłają paczki.

Do siedziby przy Piwnej na Starym Mieście wchodzi się przez kościół Świętego Marcina. W środku dziesiątki ludzi i gwar. To jedyne takie miejsce w Polsce, gdzie zwykły człowiek może dowiedzieć się o losie bliskich, których wyciągnięto z domów w nocy z 12 na 13 grudnia, wywieziono w nieznanym kierunku i słuch o nich zaginął.

Na tablicy przy wejściu wisi plan z wyrysowanymi trasami dojazdu do tajnych obozów internowania, w których władza przetrzymuje tych, którzy przez ostatnie szesnaście miesięcy najbardziej jej zaszkodzili.

Obok jest długa lista produktów, których pilnie potrzebują internowani, z informacją, że można je zostawić w kościele, a kurierzy dostarczą do wskazanego obozu.

Na wprost – wielki drewniany stół, na którym można złożyć dary dla internowanych. Leżą na nim towary luksusowe dostępne w sklepach tylko na karty zaopatrzeniowe, wydawane przy wypłacie i cenniejsze niż pieniądze. Do stołu ktoś ciągle podchodzi, rosną stosy wszelkiego dobra: masła, cukru, papierosów, czekolad, kiełbas, mydła, cukierków, ciast, skarpetek, majtek, swetrów, butów. Co godzinę dyżurny podchodzi i zgarnia wszystko do kosza. Towar trafia do magazynu na tyłach kościoła, a potem sukcesywnie do paczkarni, gdzie rozdzielany jest na indywidualne paczki, wysyłane codziennie do czterdziestu obozów internowania.

Jednym z dziesiątków wolontariuszy zaangażowanych w tę pracę jest poetka bez wielkiego dorobku, Barbara Sadowska. To jej pierwsze pełnoetatowe, choć niepłatne, zajęcie w czterdziestotrzyletnim życiu. (Nie licząc krótkiego epizodu redaktorskiej pracy w Naszej Księgarni w połowie lat sześćdziesiątych). Może się poświęcić bez reszty, bo jest rencistką, nie wstaje rano do pracy, ma dużo wolnego czasu, a dorosły już prawie syn nie potrzebuje aż tyle uwagi.

Na Piwnej spędza każdą wolną chwilę, dyżurując od rana do nocy. Bo zawsze jest coś do zrobienia, ktoś do pocieszenia. Ma dużo zapału i niechęć do władzy, która trzyma jej przyjaciół w więzieniach.

Związek pisarzy, którego działalność została zakazana, a co bardziej znani pisarze zamknięci, wezwał swoich członków do solidarności z kolegami. Jedną z jej form ma być wolontariat w Komitecie Prymasowskim.

Komitet powstał 21 grudnia 1982 roku. Barbara jest w nim od początku. Zwykle siedzi w punkcie informacyjnym w pierwszym pokoiku tuż po wejściu do kościoła Świętego Marcina. To też jakby konfesjonał dla szlochających sióstr, żon, matek, które trzeba wysłuchać, gdy opowiadają o doznanych krzywdach, niegodziwościach, poniżeniach. Barbara to potrafi.

– Obtula ich swoją sympatią, troską i chęcią pomocy. Większość przyjeżdżała z daleka, nie miała gdzie spać, więc Baśka zabierała ich na Hibnera i od razu się z nimi zaprzyjaźniała. Uwielbiali ją, a ona czuła się

potrzebna. Cicha jak myszka, pracowita jak mrówka, bojowa jak żołnierz – mówi Ligia Urniaż-Grabowska.

Z punktu informacyjnego Barbara kieruje dalej, w głąb kościoła. Jak ktoś prosi o wsparcie dla chorego, wysyła go do sekcji medycznej, kierowanej przez doktor Zofię Kuratowską; jak o jedzenie, papierosy dla więźnia – do paczkarni prowadzonej przez Hannę Fedorowicz.

Potem, gdy można już było podróżować przez Polskę bez przepustek, rusza z plecakiem przez kraj. Jeździ na procesy polityczne. W sali rozpraw pełnej esbeków i milicjantów stara się wyróżnić od resortowego tłumu. Siada w pierwszych ławkach, jak najbliżej stołu sędziowskiego, by ci zarośnięci, wąsaci i brodaci faceci w rozciągniętych swetrach siedzący na ławie oskarżonych dobrze ją widzieli. Nie mogą mieć wątpliwości, że to chucherko z wielkim krzyżem na piersiach naprawdę się nimi interesuje. Że przyjechała do Inowrocławia, Świdnika, Lubina czy Świebodzina z samej Warszawy, że jest bardzo znaną pisarką (to nic, że nikt wcześniej o niej nie słyszał), że zna Kuronia, Michnika, może nawet samego Wałęsę, że tłukła się tu całą noc, z przesiadkami, w zimnie, żeby o ich losie poinformować prymasa, papieża, Ronalda Reagana, a być może i Wolną Europę. To też znak, że wszystkich nie dało się zamknąć, że ogień oporu się tli, że podziemie żyje, skoro centrala wysyła swoich emisariuszy na procesy do ich miasta.

Barbara nie tylko z sympatią uśmiecha się do ludzi w rozciągniętych swetrach, ale także pokazuje im palcami znak zwycięstwa. Gdy wstają i zaczynają coś bąkać pod nosem, ona ostentacyjnie wyciąga notes z torebki i stara się zapisać dokładnie ich myśli.

Dla Warszawy najważniejsze są nazwiska skazanych, paragrafy, za które siedzą, i to, co się za nimi kryje. Te informacje gromadzone są w bazie przy Piwnej i stąd rozchodzą się w świat. Gdy rzecznik rządu Jerzy Urban powie na cotygodniowej, wtorkowej konferencji prasowej o kolejnych chuliganach zatrzymanych w Polsce, będzie można zachodnim korespondentom wytłumaczyć, że chuligan X to na przykład robotnik z trzydziestoletnim stażem pracy, ojciec dzieci, którego w drodze z pracy

zomowcy skopali, bo miał przy sobie gazetkę z wykaligrafowanym logo Solidarności.

Sadowska stara się nie pozostawiać swoich podwładnych po procesie bez opieki. Śledzi ich dalsze losy i tropi więzienia, w których ich osadzono, a potem przemierza Polskę wzdłuż i wszerz, by ich tam wszystkich odwiedzić. Przywozi im papierosy, dobre jedzenie, wystaje pod więziennymi bramami po przepustki i wślizguje się na widzenie, podając się za kogoś z rodziny. Po wyjeździe prowadzi z nimi ożywioną korespondencję. Kilka listów zachowało się w archiwum Karty.

Piszą, żeby podziękowała wszystkim tym, którzy zjawili się na sprawie. Że łatwiej im będzie siedzieć, jak wiedzą, że niedaleko ma się przyjaciół. Zapewniają, że nie zegną karku i lepiej im siedzieć w więzieniu, niż tkwić w gównie. Powtarzają się życzenia upadku komuny, reżimu, WRON-y, generała „Spawacza”. Ona im odpisuje, że ich poświęcenie nie idzie na marne, że swoją nieugiętą postawą kruszą mur. Życzy im, by po wyjściu na wolność znów działali na jej rzecz.

Sadowska żyje na pograniczu dwóch światów: tego jawnego w Komitecie Prymasowskim, tolerowanego przez władzę, i tego podziemnego, z nielegalnymi drukarniami, gazetkami, konspiracją i oporem.

Zgodnie z instrukcją władz podziemnej Solidarności w czasie trwania „Dziennika Telewizyjnego” gasi światło w mieszkaniu, wystawiając w oknie zapaloną świeczkę, nie kupuje reżimowych gazet, nosi znaczek Solidarności i modli się w kościele trzynastego dnia każdego miesiąca.

Kolportuje wśród znajomych powielaczowe gazetki, w których można przeczytać, że WRON-a zaraz skona i że zima wasza, a wiosna nasza, czyli Solidarności, wszystkich teraz gnębionych.

W oczekiwaniu na tę wiosnę na Hibnera, mimo stanu wojennego, godziny milicyjnej, pałowania, inwigilowania, toczy się bujne życie towarzyskie. Z alkoholem, muzyką, śpiewami i politycznym dyskursem w tle. Zabawy trwają do rana, bo i tak wyjść wcześniej nie można, by nie zostać aresztowanym.

Nocą 19 marca 1982 roku dozorca z Hibnera prosi milicję, by uciszyli zakłócającą ciszę nocną lokatorkę spod numeru 94. O drugiej pojawia się na klatce schodowej trzyosobowy patrol milicji z pobliskiego komisariatu.

Plutonowy Jerzy Maciszewski z XVII komisariatu notuje: „Drzwi do mieszkania były uchylone. Stał w nich mężczyzna trzymający plecak w ręce. Wepchnąłem go do środka, stanąłem w drzwiach i kazałem pokazać plecak. Miał w nim trzy sztuki jajek, poduszkę elektryczną, słoik smalcu.

Gdy funkcjonariusze weszli do jednego z pokojów, ktoś krzyknął: „Niech żyje Solidarność!”.

Stojąc w przedpokoju – zanotował Maciszewski – widziałem leżącego na tapczanie młodego mężczyznę, koło którego stało kilku innych mężczyzn wznoszących wrogie okrzyki. Funkcjonariusz Badura, który wszedł do środka, zauważył na stoliku wydawnictwa Solidarności i powiedział mi o tym. Wtedy podjąłem decyzję o zatrzymaniu tych osób. Przed wyjściem przeszukaliśmy mieszkanie, czy nie ma w nim więcej wrogich wydawnictw i książek. Zatrzymane osoby śpiewały wtedy *Boże, coś Polskę*. Pieśń zawsze intonowała właścicielka mieszkania o imieniu Barbara i druga kobieta o imieniu Larysa. W komisariacie Barbara zwracała się do mnie i moich kolegów z patrolu słowami: »Wy, pachołki Breżniewa« i pytała: »Ile wam za to płaci?«”.

Za posiadanie kilku powielaczowych gazetek Sadowska trafia do aresztu na trzy miesiące. (Grozi jej pięć lat więzienia). Przerzucają ją przez tydzień z komisariatu do komisariatu, by wreszcie osadzić w areszcie śledczym na Rakowieckiej. Siedzi w nim opozycyjna elita.

Stamtąd pisze list do przyjaciółki Hanny Staszkowskiej, sanitariuszki z powstania, wspomagającej Solidarność.

„Wylądowałam w tym niebywałym miejscu. Z adaptacją nigdy nie miałam kłopotów. Mówię o kontaktach ze współaresztantkami w celi. Jest serdecznie i po ludzku. Psychicznie jestem silna jak nigdy. Próby poniżania umacniają postawę wertykalną. Bardzo bym chciała, żeby Grzesiek o tym wiedział, żeby się nie załamał, żeby ta nowa sytuacja, w której się znalazłam, nie wpłynęła na jego wyniki w nauce. Żeby go nie rozkojarzyła, bo wiem, że bardzo wszystko przeżywa”[53].

Z Rakowieckiej wyciąga ją Bieta Ficowska, która dostarcza do naczelnika aresztu wyciąg z jej karty chorobowej. Przy okazji dowiaduje się, jak ciężko chora jest jej przyjaciółka.

Sadowska ma za sobą trzy poważne operacje neurologiczne, w tym dwa otwarcia pokrywy czaszki, cierpi na niedowład, przewlekły stan zapalny opon mózgowych i mózgu, spastyczny nieżyt oskrzeli oraz ma urazy czaszki grożące jej śmiercią w każdej chwili. Te choroby sprawiają, że może opuścić Rakowiecką po dwóch tygodniach. Wkrótce jej sprawa karna zostanie umorzona, ale nękania już nie ustaną.

Rok później kolejna rewizja. 29 kwietnia, tuż przed celebrowanym przez władze świętem 1 maja, około godziny osiemnastej przychodzi do mieszkania na Hibnera trzech tajniaków i przez dwie godziny robią kipisz. Interesują ich głównie zapiski Sadowskiej i dokumenty związane z działalnością Komitetu Prymasowskiego. Sadowską z Przemykiem przewożą do komisariatu przy Wilczej, umieszczają w osobnych celach i trzymają pod kluczem regulaminowe czterdzieści osiem godzin. Matka i syn wychodzą na wolność w nocy z 1 na 2 maja.

Następnego dnia we wtorek, 3 maja, Barbara idzie do świętego Marcina na kolejny dyżur. Stare Miasto przypomina twierdzę: kordony uzbrojonych zomowców rozstawiono już w bocznych uliczkach, obok bojowe wozy z armatkami wodnymi do rozpędzania manifestacji ulicznych i tak zwane lodówy – ciężarówki do transportowania więźniów. Tak władza przygotowuje się na święto Konstytucji 3 maja.

Wśród zmobilizowanych są komandosi z brygady antyterrorystycznej MSW, których celem jest klasztor na Piwnej. Dla niepoznaki występują po cywilnemu, ubrani w czarne kurtki do pasa. Dziesięć minut po dziewiętnastej ruszają do ataku przez główną bramę.

Biją kijami i pięściami, kopią, łamią żebra, nosy, ręce, nogi, rozbijają głowy. Wyłamują drzwi, niszczą szafy, stoły, rozbijają kartony, depczą lekarstwa. Pod nogami zgrzyta szkło i walają się połamane krzesła. Napad trwa dziesięć, piętnaście minut. Oprawcy wyciągają z klasztoru czterech współpracowników komitetu, pakują ich do samochodu i wiozą w nieznane.

W drodze informują porwanych, że jadą do lasu, gdzie doły na ich ciała są już wykopane.

Również Barbara Sadowska padła w klasztorze ofiarą komandosów. Potłuczona, chodzi z ręką na temblaku, żeby chronić połamane palce i poobijany łokieć. (Chorą rękę widać na zdjęciach z pogrzebu, który odbył się dwa tygodnie po napaści na pracowników Komitetu Prymasowskiego).

W sobotę, 7 maja, Barbara wysyła Grześka do ojca, by pożyczył mu spinki do białej koszuli, w której we wtorek stanie do pierwszego maturalnego egzaminu z polskiego. Ojciec daje mu spinki, a żona ojca – Izabela – srebrny krzyżyk na szczęście.

Grzesiek, żegnając się z nimi, obiecuje, że wpadnie w czwartek opowiedzieć, jak poszła mu pisemna matura. Nie przyszedł, choć Leopold z Izabelą na niego czekali. W piątek była burza i nawałnica, a w sobotę, około drugiej, zastukała do drzwi Przemyków znajoma. Wzdrygała się przed wejściem do mieszkania. W końcu rzuciła tylko w progu:

– Grześ przed godziną umarł.

Październik 1983

5 października, środa

Ze znajomych Jana F. resort wybrał dwóch najbliższych przyjaciół: Piotra Koca i Jerzego Michalczyka. Służył z nimi w pułku lotniczym we Wrocławiu. To oni mają namówić Jana F. do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Jest to emocjonalnie bardzo skomplikowana sprawa, bo jeśli Jan się zgodzi, będzie musiał wystąpić przeciwko własnemu synowi.

Zanim do tego dojdzie, najpierw trzeba skłonić do współpracy Michalczyka i Koca. Dziś esbecy z Radomia dotarli do Wrocławia. W komendzie wojewódzkiej milicji spotykają się z pięćdziesięcioletnim Piotrem Kocem, emerytowanym pułkownikiem Ludowego Wojska Polskiego, który od razu deklaruje im swoją pomoc. Tłumaczą mu, że sprawa wymaga niezwykłej delikatności, bo w gruncie rzeczy chodzi o dobro całej rodziny F., które naraża Czarek, niepotrzebnie stając się narzędziem w rękach antysocjalistycznej opozycji. Pułkownik Koc świetnie to rozumie, chce pomóc. Tylko jak? Chodzi w zasadzie o drobnostkę. Żeby przyjechał do Radomia i po przyjacielsku porozmawiał z Janem, tak by ten zrozumiał, że w jego rękach jest przyszłość syna. Wystarczy drobna sugestia, lekka presja, by Jan zechciał tylko porozmawiać o sprawie z komendantem radomskiej milicji. Niczego więcej resort nie oczekuje od pułkownika Koca.

8 października, sobota

W swoim mieszkaniu Jan zwierza się Piotrowi Kocowi, że ta sprawa od dawna go dręczy. Mówi, że boi się o Czarka, który nagle znalazł się w oku propagandowego cyklonu. Nie wie, co robić, jak miałby mu pomóc, jak go ochronić.

Niestety, oprócz dość ogólnego meldunku nie zachowały się żadne szczegóły tej rozmowy – ani z podsłuchów, ani z notatek.

Być może Koc zaproponował Janowi podjęcie gry w otwarte karty? Może podrzucił myśl, żeby się ze służbami dogadać? Albo powiedział, że im zależy na odkryciu prawdy? Musiał być przekonujący, skoro Jan obiecał, że osobiście zgłosi się do szefa milicji w najbliższy poniedziałek.

– Czarek został przypadkowo wplątany w tę śmierć i teraz boi się zarówno jednej, jak i drugiej strony – tłumaczy milicjantom Koc po spotkaniu z Janem.

10 października, poniedziałek

O dziesiątej pod budynek Komendy Wojewódzkiej Milicji w Radomiu Jan podjeżdża dużym fiatem. Czeka już na niego pułkownik Stefan Ostapiński, zastępca komendanta do spraw Służby Bezpieczeństwa. Po suchym przywitaniu przekazuje Jana kapitanowi Zdzisławowi Chwaszczowi, kierownikowi grupy operacyjno-śledczej rozpracowującej rodzinę F.

– Największy wpływ na niego ma ta stara baba, wciągając go do tej rozgrywki. On jest zwykłym pionkiem – skarży się na Barbarę kapitanowi Chwaszczowi. Mówi, że podziemie polityczne chce wykorzystać Czarka w swojej grze, po czym, jak przypuszcza, fizycznie zostanie zlikwidowany, a winą podziemie obciąży MSW. Dlatego prosi kapitana, by służby zapewniły synowi bezpieczeństwo, rozbijając opozycyjną grupę Barbary Sadowskiej, która ma na niego zły wpływ.

– Każdy pobyt Czarka w Warszawie przekreśla nasze wysiłki zmierzające do odsunięcia go od środowiska, w którym tkwi i które na niego oddziałuje – mówi Jan.

„F. dał do zrozumienia, że gdyby została rozpracowana grupa Barbary Sadowskiej, to on by mógł dość szybko urobić syna – pisze w notatce po trzygodzinnym spotkaniu Chwaszcz. – Zaproponował swoją w tym względzie pomoc. Obawia się, że dopóki grupa Sadowskiej będzie swobodnie działać, jego wpływ na syna może być nieskuteczny.

Podczas rozmowy deklarował się jako patriota związany z aktualną rzeczywistością polityczną i zapowiedział podjęcie maksymalnych wysiłków zmierzających do ujawnienia przez syna autentycznej prawdy”.

Ta deklaracja musiała ucieszyć kapitana. W tajnych dokumentach MSW można przeczytać, że nękanie rodziny F. i Sadowskiej służy wyjaśnieniu „prawdziwego przebiegu zdarzeń” lub poszukiwaniu „autentycznej prawdy”. Dla resortu „autentyczna prawda” znaczy to samo co niewspominanie o biciu przy Jezuickiej i nieobciążanie winą milicjantów. Jan deklaruje pomoc. Prosi tylko, by nie formalizować tej współpracy i nie rejestrować go jako konfidenta.

– Robię to dla dobra syna i sprawy – mówi.

„W związku z powyższym – notuje kapitan Chwaszcz – zachodzi konieczność zmiany taktyki, ponieważ stosowane w dość szerokim zakresie czynności nękające spełniły już swoje zadanie. Należy niektóre działania nękające wstrzymać, aby nie zrazić do siebie sojusznika”[54].

15 października, sobota

„Jeśli założenia nie zostaną zrealizowane z winy F., przystąpić do szybkiego procesowego dokumentowania winy Stanisławy F. oraz spowodować nałożenie przez urząd skarbowy domiaru podatkowego na Jana F.” – notuje kapitan Chwaszcz, rozczarowany kolejnym spotkaniem z Janem. Ojciec Czarka miał go skłonić do odwołania zeznań, a teraz mówi, że mu się to nie udało. Czy to poważne?

25 października, wtorek

Siódma rano. Barbarę Makowską, lekarkę z pogotowia na Hożej, budzi w jej mieszkaniu milicja. Trzech cywilów pokazuje nakaz rewizji. Szukają pieniędzy. Potem wiozą ją na przesłuchanie na Wilczą. Po wielu tygodniach dowie się, o co jest oskarżona. Otóż o napad na Stanisława Szpądrowskiego, którego razem z dwoma sanitariuszami miała pobić i okraść. Do zajścia miało dojść miesiąc wcześniej, 27 września. Dyspozytor wysłał doktor Makowską do zgłoszonego wypadku na ulicy

Waryńskiego. Pamięta, że leżał tam kompletnie pijany i nieprzytomny człowiek z niewielką raną głowy. Załoga karetki opatrzyła poszkodowanego i odwiozła go do szpitala na Banacha. Gdy po czasie bezpieka, kontrolując karty wyjazdowe karetek z Hożej, dotarła do Szpądrowskiego, zgodził się świadczyć przeciwko załodze erki.

„Pod pretekstem odwiezienia do domu zabrano do karetki z jednej z warszawskich ulic rzemieślnika Stanisława S. – informowała Polska Agencja Prasowa. – Po obezwładnieniu zrabowano mu 155 tysięcy złotych, a poszkodowanego odwieziono do szpitala jako ofiarę rzekomego wypadku".

Wcześniej została w podobny sposób aresztowana doktor Danuta P. i dwóch sanitariuszy z pogotowia. Oni też pracują na Hożej. Są oskarżeni o napad rabunkowy na emeryta Dymitra T.

Kontrolowane przez władze media informują o bandyckich wybrykach pogotowia, hańbie, oburzeniu i domagają się przykładnego ukarania lekarzy chuliganów i sanitariuszy złodziei.

„Prasa i telewizja w owym czasie z zaciekłością podsycały wciąż nienawiść ludzi do pogotowia"[55] – pisała we wspomnieniach doktor Makowska. Przesiedziała w areszcie trzynaście miesięcy, zanim sąd ją całkowicie uniewinnił.

Tylko co to ma wspólnego ze śmiercią Grzegorza Przemyka?

Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby związek odkryć. Chodzi o upowszechnienie przekonania, że napad na Przemyka nie był wcale odosobnionym przypadkiem. Że działa prawo serii.

Zanim rozpocznie się proces Przemyka, ludzie dowiedzą się o bestialstwie innych lekarzy i sanitariuszy z Hożej. Skoro nawet lekarze okradają i biją pacjentów, to dlaczego nie mieliby tego zrobić Szyzdek z Wysockim? Dzięki procesom doktor Barbary Makowskiej i Danuty P. łatwiej będzie społeczeństwu uwierzyć, że to sanitariusze pobili Przemyka. Tak kalkuluje władza.

– Teraz przyszedł czas na was – powiedziała wtedy Michałowi Wysockiemu jego matka, gdy dowiedziała się o pierwszych aresztowaniach w pogotowiu.

– Przecież jesteśmy niewinni – odpowiedział.

– Nie chciałem wierzyć, że coś nam grozi, choć czułem, że pętla zaciska się wokół nas – opowiada dziś. – Próbowaliśmy szukać pomocy u adwokatów, ale gdzie poszliśmy, odprawiali nas z kwitkiem. Nie chcieli się w to angażować, bo sprawa Przemyka groziła kłopotami.

26 października, środa

Barbara przyjeżdża do Radomia na proces działaczy podziemnej Solidarności. Od Warszawy jest już pod ścisłą obserwacją. Monitorowany jest każdy jej krok. Stąd wiadomo, że po wyjściu z sądu idzie od razu do mieszkania F. i zostaje tam na noc.

Przy śniadaniu opowiada rodzicom Czarka o wczorajszym procesie. Jan i Stanisława słuchają tej opowieści tylko z grzeczności, nie przejawiając większego zainteresowania. Po jej wyjściu Jan komentuje:

– Choć jest to bolesne, to przecież sama wysłała tego chłopaka na śmierć.

* * *

Po południu Barbara spotyka się z Czarkiem w centrum Radomia. W restauracji NOT piją wino. Barbara jest nienaturalnie wesoła, Czarek – znudzony. Ona wyjmuje z torby notesy, zdjęcia, pisma urzędowe, a potem czyta mu wiersze, najpierw swoje, potem Grzesia.

– Moim największym marzeniem jest, żebyś był jak Grześ – mówi. Przekonuje, że Czarek nie powinien się niczego obawiać. Ona ma wystarczająco dużo pieniędzy, by wynająć najlepszych adwokatów. (Z tymi pieniędzmi to jakieś przechwałki. Sadowska żyje skromnie z inwalidzkiej renty, nie pracuje i nie zarabia. Czasem kilka franków przyśle ciotka z Paryża albo francuski poeta Bayo, który tłumaczy i publikuje jej wiersze we Francji). Choć to nie gwarantuje pomyślnego zakończenia sprawy, Barbara zdradza, że szykuje pułapkę na bezpiekę.

– I zobaczymy, kto wygra – kończy.

Czarek to ostatnia nadzieja Barbary na sprawiedliwość. Wie przecież, że cały proces będzie się trzymać na jego zeznaniach. Wie także o presji, jakiej

jest poddawany. Czy taki młody chłopak będzie w stanie to wszystko przetrzymać?

Piotr

Siedziba Związku Gmin Wyznania Mojżeszowego przy synagodze Nożyków w Warszawie. Żeby się do niej dostać, trzeba wejść do budki z weneckimi lustrami, sforsować śluzę bezpieczeństwa i wylegitymować się umundurowanemu strażnikowi. Przewodniczący gminy zupełnie nie przypomina szczupłego niebieskookiego blondyna o kręconych włosach, którego znam ze zdjęć w aktach Służby Bezpieczeństwa. Ma siwą brodę i zakola na głowie.

Mówi, że dokładnie pamięta maj 1983 roku, ale chce zacząć od historii późniejszej, tej sprzed kilku lat:

– Zadzwonił ktoś z prokuratury. Chodziło o próbę podpalenia synagogi. Pani prokurator tłumaczyła, że sprawców nie udało się wykryć, i sprawa zostanie umorzona. Dopiero kiedy powiedziała, że nazywa się Ewa Chałupczak, świat mi zawirował. Potem zapytała: „A z kim ja właściwie rozmawiałam?”.

Pani pewnie mnie pamięta, nazywam się Piotr Kadlčik – odpowiedziałem. Zapadła długa, krępująca cisza. „Pewnie tak” – powiedziała po chwili i szybko odłożyła słuchawkę.

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Jestem rocznik sześćdziesiąty drugi. Ona przesłuchuje mnie w przeddzień matury. Dobrze to zapamiętałem, bo spędziłem u niej dwanaście godzin, a następnego dnia były egzaminy.

Opowiadam jej, jak natknąłem się przypadkowo na Grześka przed klatką schodową, jak zrezygnowałem z pójścia do kina, jak pomyślałem, że to nie będzie zły pomysł, kiedy z nimi pójdę na Starówkę. O swoim przeczuciu, że stanie się coś złego, i o przeświadczeniu, że ktoś nas obserwuje.

Ją interesuje głównie to, co wydarzyło się na placu Zamkowym, gdy Grzesiek upadł i wsadzili go z Czarkiem do milicyjnej nyski. Mnie się wtedy udało wyciągnąć z radiowozu tylko Kubę i drzwi się zatrzasnęły.

W tym momencie sprawa się dla mnie skończyła. Pobiegłem do mieszkania Basi powiedzieć, że Grześ siedzi. Nie było jej na Hibnera.

Podczas przesłuchania mówię w kółko to samo, a prokurator w kółko o to samo pyta, jakby czekała na moją pomyłkę, liczyła na to, że złapie mnie na jakimś zmienionym szczególe. Chyba miała z tym przesłuchaniem kłopot, bo obok siedział obserwator z komendy głównej milicji. Nie pytał, ale wszystkiego uważnie słuchał. Może sprawdzał, co wiemy?

A na korytarzu mecenas Siła-Nowicki pocieszał moją matkę, deklamując wiersz *Do matki Polki*.

Byłem ostatnim, z którym Grzesiek rozmawiał w domu przed utratą przytomności. Co mówił? Że go boli. W łazience było słabe światło. Oglądałem jego brzuch podczas kąpieli. Miał dwa otarcia. Naciskałem i pytałem: „Boli cię?”. Brzuch był miękki. Wyniosłem go z tej wanny, położyłem do łóżka i wróciłem do swojego domu.

Gdy się dowiedziałem, że Grzesiek nie żyje, poszedłem na Hibnera. Barbara siedziała otępiała. Każdy niech się postawi w sytuacji matki, która straciła jedynego syna. Nawet dziś nie umiem o tym rozmawiać. Pojawił się też wtedy starszy ksiądz, żeby ją pocieszać. „Bóg dał, Bóg wziął” – mówił. Zdenerwował mnie tym gadaniem. Powiedziałem, żeby przestał się wygłupiać.

Do dziś pamiętam wiersze Grzesia.

„Więc wejdź w tę muzykę synu / idę, tylko tak w stopy zimno”.

Jak one powstawały? Nie wiem. Grzesiek przynosił je zapisane na kartkach z zeszytu. Mówił: „Mam nowy wiersz” i czytał. „Idę, tylko tak w stopy zimno”. Fajne. Od razu to zapamiętałem.

Na Uniwersytecie Warszawskim zorganizowałem już po jego śmierci wieczór poezji Grześka. Dobrze grał na gitarze. Uczyłem go Karela Kryla, którego sam tłumaczyłem z czeskiego. Grał go potem lepiej ode mnie.

Był długi, chudy i w ogóle niewysportowany. Próbowałem Grześka uczyć sztuk walki. Zrezygnowałem, bo on nie miał żadnej koordynacji ruchowej.

To był miły, sympatyczny, bardzo wrażliwy chłopak. Miał tylko pecha, że był synem Basi Sadowskiej – inwigilowanej i zastraszanej przez SB.

Pamiętam, jak Basia opowiadała o przebiegu jednego z przesłuchań. Esbek powiedział jej: „Ma pani takiego pięknego syna, szkoda by go było.” Gdyby nie czasy, ludzie i okoliczności, pewnie by żył. Byłby wtedy zwykłym maturzystą, zdałby maturę, rozpoczął studia.

Nie wierzę, że to było zaplanowane morderstwo, raczej „wypadek przy pracy”. Mieli poturbować, zastraszyć matkę, a że był chudy i kruchy – nie wyszło.

Miałem do siebie pretensje o to, że mogłem coś więcej zrobić. Co? Może wyciągnąć go z radiowozu? Ciągle o tym myślałem: co by było, gdybym go wtedy wyrwał?

Albo: co by było, gdybym to ja trafił z nim do komisariatu? Trenowałem wówczas karate. Ich było tylko czterech. Jeśli nie byli specjalnie szkoleni, to dałbym im radę. Pytanie, co potem? Ot, takie młodzieńcze, głupie myśli.

Pamiętam, że byłem na sztuce w Teatrze Dramatycznym. Przed wejściem czekał na mnie kolega z dzieciństwa. Wysłał go mój ojciec, żebym nie wracał do domu, bo już po mnie przyszli. Od tego momentu się ukrywałem.

Potem sprawa nabiera tempa, gdy odkryli, że posiadam pewne umiejętności, które można przeciwko mnie wykorzystać. Od dwunastego roku życia trenowałem sztuki walki. W najbardziej intensywnym okresie sześć razy w tygodniu po dwie godziny. Bardzo się napracowali, żeby dotrzeć do moich kolegów z sekcji. Próbowali nakłonić ich, żeby zeznali, że jestem agresywny i byłbym w stanie zabić Grześka. Moją dziewczynę też w tej sprawie nachodzili. Pytali, czy mógłbym zabić człowieka gołymi rękami.

Mieli ze mną kłopot. Nic nie mogli na mnie znaleźć. Ani alkoholu, ani narkotyków, ani agresji. Byłem ojcem samotnie wychowującym dziecko mimo młodego wieku i nie miałem żadnych obciążeń.

Nie wierzyłem, że proces coś zmieni. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy dowiedziałem się o obrażeniach Grześka. Czułem, że będą się wypierać.

Zapotrzebowanie było, więc zrobili proces, ale to była kpina. Nikomu nie zależało, by cokolwiek wyjaśnić.

Na drugiej rozprawie prokurator Bardonowa (nazywaliśmy ją upierścienioną ręką sprawiedliwości) pytała, dlaczego my się tak boimy

Milicji Obywatelskiej.

Kościuka, oskarżonego o pobicie Grześka, spotkałem na pierwszym procesie w sądowej toalecie. Dobrze zbudowany, wysportowany, sprawny fizycznie. Przez sekundę pomyślałem: „Jesteśmy tu przecież sami”.

Ale nawet, gdybym go wtedy uderzył, to co by to zmieniło?

Listopad 1983

1 listopada, wtorek

Wszystkich Świętych. Na cmentarzu w Siedlcach obok krzyża zwanego katyńskim jak co roku mieszkańcy ułożyli z kwiatów drugi krzyż przepasany szarfą z napisem „Solidarność”, a palące się znicze ustawione w literę V rozświetlały symbol zwycięstwa. Tym razem pojawiła się też płachta materiału z napisem: „Grzegorz Przemyk – pamiętamy”.

Na Powązkach w Warszawie kwatera numer 100, w której leży Grzesiek, grzeje jak wielkie ognisko. Setki palących się lampek tworzą pomarańczową łunę, którą po zmroku widać od samej bramy.

Zachodnie ekipy telewizyjne filmują tłumy sunące do grobu z wieńcami i zapalające przy brzozowym krzyżu świece. Świat interesuje się jeszcze wtedy Polską i chce zobaczyć, jak czcimy pamięć o ofiarach stanu wojennego. Kamery czekają już tylko na Barbarę, która zjawia się około trzynastej w towarzystwie koleżanki z ambasady hiszpańskiej Marii Teresy Zapiain Pacheco. Wieczorem będzie można zobaczyć w zachodnioniemieckiej telewizji płonące lampki, sterty kwiatów, ludzi pokazujących znak victorii i modlącą się przy grobie zabitego syna Barbarę.

4 listopada, piątek

Obrońca zomowca Ireneusza Kościuka domaga się od prokuratury ekshumacji zwłok Grześka. Adwokata Włodzimierza Mizgiera-Chojnackiego wynajęła Kościukowi milicja, bo ma duże doświadczenie we współpracy z resortem. Mecenas twierdzi, że na ubraniu chłopca mogą być jakieś mikroślady zbrodni, które pomogą wskazać prawdziwego winnego. Jakie to ślady? Mecenas dokładnie nie precyzuje. Zresztą, nawet jeśli cokolwiek się znajdzie, to będzie to dowód marginalny, bez większego znaczenia dla sprawy, nieprzesądzający o niczym. Na razie chodzi więc

tylko o rozkopanie grobu, wyjęcie ciała z trumny, rozebranie trupa i odesłanie jego ciuchów do dalszych ekspertyz, co przedłuży śledztwo o kolejne tygodnie.

Prokuratura w lipcu przypomniała sobie o ewentualnych śladach zbrodni na stroju pobitego na śmierć, czyli dwa miesiące po pogrzebie. Nęka Sadowską pismami, domagając się natychmiastowego dostarczenia ubrania, w którym Grzegorz 12 maja chodził po mieście. Barbara tłumaczy, że ubrań jej świętej pamięci syna nie może dostarczyć, ponieważ został w nich pochowany. Tylko że prokurator Wiesława Bardon domaga się na to jakichś dowodów, strasząc Sadowską, że może ją oskarżyć o utrudnianie śledztwa, tak jakby to matka sprawę torpedowała. (A przy tym, gdy mówi o jej ukochanym Grzesiu, zwykle używa słowa „denat”).

Potem do ataku przystępuje obrońca Kościuka. Wnosi o powtórzenie wizji lokalnej, o następne opinie biegłych i przeprowadzenie dowodów na prawdomówność F.

Ostatecznie nie doszło do ekshumacji, bo prokuratura nie miała prawa jej zrobić wbrew rodzinie.

5 listopada, sobota

Kapitan rezerwy Jerzy Michalczyk to drugi odnaleziony przez SB przyjaciel Jana F., z którym służył w jednostce we Wrocławiu. Ma pomóc wywrzeć presję na Czarka, by zmienił zeznania. Według instrukcji kapitana Chwaszcza Jan i Jerzy mają wziąć Czarka w krzyżowy ogień pytań w taki sposób, by wykazać mu absurdalność jego dotychczasowych zeznań.

Wizyta Michalczyka w mieszkaniu F. ma wyglądać na przypadkową. Gość od niechcenia ma zagadnąć Czarka o śledztwo, a gdy ten zacznie opowiadać o wizycie na Jezuickiej, ma tak dopytywać o szczegóły, by wykazać Cezaremu bezsens tego, co mówi o wydarzeniach w komisariacie. Podobne zadanie wyznaczono ojcu Czarka, więc kilkugodzinna rozmowa przypomina prokuratorskie przesłuchanie. Chłopcu coraz trudniej przekonać ojca i jego przyjaciela do swojej wersji wydarzeń. Ciągle mu przerywają i udowadniają, że to lub tamto wydaje im się mało

prawdopodobne. Żądają, by wytłumaczył, w jaki sposób zwykły cios w brzuch mógłby spowodować tak rozległe obrażenia.

– Przecież to niemożliwe – dodają. Czarek gubi się w dygresjach, aż zdenerwowany przyznaje:

– Może w komisariacie zaczęli tłuc, a dobili go w pogotowiu?

Próba prania mózgu przez ojca i jego przyjaciela kończy się jednak fiaskiem.

„Na obecnym etapie Cezary nie jest skłonny złożyć zeznania prostującego” – notuje kapitan Chwaszcz.

7 listopada, poniedziałek

Od świtu do nocy każdy ruch Barbary Sadowskiej jest śledzony, jej rozmowy nagrywane, a osoby, z którymi się spotyka, poddawane są kontroli. Każdy dzień obserwacji jest dokładnie opisywany, a raport trafia do różnych komórek w MSW i Komendzie Głównej MO. Stąd wiadomo, że w ostatnich dniach spotkała się z Marią Teresą Zapiain Pacheco, pracownicą ambasady Hiszpanii, światowej sławy uzdrowicielem Clive’em Harrisem, a także z przyjacielem Grzesia – Witoldem Skierniewskim, u którego była na urodzinach.

Dziś rano poleciała samolotem do Gdańska. Kontrolowanie Sadowskiej to dla resortu duże wyzwanie logistyczne, bo wymaga współpracy wielu osób i jednostek MSW z dwóch województw. Po co przyjechała do Trójmiasta? Nie wiadomo. W Sopocie spotyka się z adwokatem Jackiem Taylorem, znanym obrońcą w procesach politycznych, i działaczem Solidarności Józefem Golcem.

Z mecenasem Taylorem pojechała później na Zaspę w Gdańsku odwiedzić Lecha Wałęsę, o którym znów jest głośno z powodu przyznania mu miesiąc temu Pokojowej Nagrody Nobla.

„Macie pozdrowienia od Lecha, który nic się po Noblu nie zmienił – pisze w liście do znajomego Tadeusza i tłumaczy swą niedawną niedyspozycję: – Załamanie było chwilowe, ludzkie. Wzięłam się za siebie

i już jeżdżę po procesach. Już służbę wybieram cichutką. Radom. Gdańsk”[56].

10 listopada, czwartek

„Wszystko wskazuje na to, że dojdzie do procesu. Fakt, że milicjanci odpowiedzialni za śmierć Grzegorza Przemyka zasiądą na ławie oskarżonych, że nie będzie to kolejne milicyjne morderstwo, które zatuszowano – świadczy o tym, jak skuteczny może być nacisk opinii publicznej” – pisze podziemny „Tygodnik Mazowsze”[57].

W październiku po przeanalizowaniu sprawy w Prokuraturze Generalnej PRL prokurator Zbigniew Młynarczyk ocenia postępy śledztwa. Najsłabszy materiał dowodowy dotyczy tezy o pobiciu na terenie pogotowia. Jego zdaniem najmniej wiarygodni są świadkowie. Żaden z nich nie widział samego momentu bicia.

Kluczowym dowodem jest ekspertyza dokonana przez komisję lekarską pod kierownictwem profesora Zdzisława Marka, szefa krakowskiej Katedry Medycyny Sądowej. To ten sam profesor, któremu opozycja sześć lat temu zarzucała współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa przy tuszowaniu sprawy śmiertelnego pobicia Stanisława Pyjasa w Krakowie. Wśród opozycjonistów ma fatalną opinię osoby dyspozycyjnej i uległej. Jednak w sprawie Przemyka jego ekspertyza nie spełnia oczekiwań władzy. Pisze bowiem, że Przemyk poniósł śmierć w wyniku silnych ciosów zadawanych w brzuch i mogło się to stać wyłącznie w czasie między zatrzymaniem go przez milicję na placu Zamkowym a przyjazdem karetki pogotowia na Jezuicką. Według profesora Marka zeznania Czarka F. najlepiej opisują, w jaki sposób mogły powstać obrażenia maturzysty. Ta ekspertyza druzgocze wszystkie dotychczasowe kłamstwa produkowane przez partyjną propagandę, uderzając w milicjantów i resort.

13 listopada, niedziela

Do wydziału dochodzeniowo-śledczego stołecznej milicji dzwoni kobieta, by przekazać ważną informację o tym, że Waldemar Piwoski z ulicy

Nabielaka został pobity i okradziony przez załogę karetki pogotowia. „Nie chciała podać swojego nazwiska” – zanotował kapitan Tomasz Malowany, który przyjął zgłoszenie. Tak rozpoczyna się kolejna akcja aresztowań w pogotowiu.

Tylko że nie było żadnej kobiety, żadnego anonimowego telefonu. To esbecy odnaleźli Piwoskiego, sprawdzając karty wyjazdów karetek pogotowia, i podczas rozmowy przypomniał sobie, że pół roku wcześniej został pobity przez sanitariuszy, ale nikomu o tym nie doniósł. (Ćwierć wieku później powiedział prokuratorowi IPN, że nie wie, w jaki sposób esbecy go odnaleźli). Był pijany, spadł ze schodów, rozbił głowę. Ktoś wezwał karetkę. W trakcie transportu został pobity i okradziony. Sanitariusze wyciągnęli mu z tylnej kieszeni tysiąc dwieście złotych. Problem w tym, że jedynym świadkiem potwierdzającym tę wersję jest sam Piwoski, który po pół roku nie może sobie nawet przypomnieć, czy miał po tym starciu siniaki. Resort nie zainteresowałby się tymi mało wiarygodnymi zeznaniami, gdyby nie drobny szczegół. Otóż załoga karetki udzielającej pomocy pijanemu Piwoskiemu składała się z Michała Wysockiego i Jacka Szyzdka. Skoro poturbowali Piwoskiego, mogli również pobić Przemyka – uważa resort.

Żeby formalnie wszcząć śledztwo, potrzebne jest oficjalne zgłoszenie przestępstwa. Stąd cała maskarada z fikcyjną rozmową telefoniczną, z której kapitan Malowany robi służbową notatkę, uruchamiającą śledztwo. Dzięki niej można oficjalnie wezwać i przesłuchać Piwoskiego jako świadka.

Już na pierwszym przesłuchaniu widać, że przyswoił sobie wykreowaną przez propagandę niechęć do pogotowia.

– Obecnie – mówił – w moim środowisku w pracy i miejscu zamieszkania jest takie przekonanie, że jak się coś stanie z człowiekiem, to lepiej zadzwonić po Radio Taxi niż pogotowie, bo nie wiadomo, czy się dojedzie do szpitala.

15 listopada, wtorek

W tajnym schowku u Czarka w pokoju ojciec znajduje zwitek listów. Wszystkie są do lub od Barbary. Z ich treści wynika, że Cezarego z Barbarą łączy coś więcej niż przyjaźń. Czarek wyznaje Barbarze dozgonną wierność i obiecuje spełnić każde jej życzenie.

Jan przynosi listy na spotkanie z kapitanem Chwaszczem, którego traktuje jak powiernika. Prosi o radę, co ma dalej robić.

„Jest zaskoczony tym odkryciem, dopiero teraz wie, co naprawdę łączyło syna z Barbarą" – notuje po spotkaniu kapitan Chwaszcz, doradzając, by Jan pojechał do Warszawy i ostatecznie rozmówił się z nią, powiedział, co myśli o tym związku.

Jan prosi kapitana, by pomógł mu przygotować się do tej rozmowy, dostarczył mu cennych wskazówek i argumentów.

17 listopada, czwartek

O ministerialnej naradzie dotyczącej etyki w służbie zdrowia pisze dzisiejsze „Życie Warszawy": „Bulwersujące wiadomości o napadach, których mieli dopuścić się pracownicy warszawskiego pogotowia, zdaniem zabierających głos w dyskusji lekarzy wojewódzkich powodują wzrost negatywnych opinii o całej służbie zdrowia. Opinie te […] przyczyniają się do braku zaufania pacjentów do lekarzy, co jest zjawiskiem niebezpiecznym dla samego procesu leczenia oraz powoduje podobne odczucia personelu medycznego w stosunku do chorych. Niemal wszyscy dyskutanci pytali, komu potrzebna jest krytyka oparta na uogólnieniach i anonimowości".

25 listopada, piątek

„Ile razy przyjadę do Warszawy z Węgrowa, tyle razy spodziewam się zobaczyć Matkę Patriotycznego Męczennika, ale nigdy mi się to nie udało" – pisze dziś do Sadowskiej Wanda Wasilewska.

Do Barbary przychodzą listy od ludzi, których nie zna. Z Polski i ze świata. Te zagraniczne łatwo poznać po pastelowych, pachnących

kopertach. Te z Polski są szare lub stalowe.

Zachowały się w Ośrodku Karta, gromadzącym pamiątki z czasów komunizmu, i są przechowywane w białym pudełku. Najwięcej jest z roku 1983.

Ktoś przysłał kolorowe zdjęcie Jana Pawła II z figurą Matki Boskiej w złotej koronie. Na odwrocie zdjęcia napisał: „Ojciec Święty opowiedział Matce Najświętszej o Twoim synu. Matka Boża przyjdzie do Ciebie z pociechą duchową".

Tadeusz (nie podał nazwiska) pisze niebieskim długopisem na kartce wyrwanej z zeszytu. Ma dowody, że milicja, bezpieka i Rosjanie wspólnie mordują polskich obywateli. Przesyła nazwiska czternastu osób, które zginęły 22 stycznia 1978 roku w autobusie ze Słubic do Zielonej Góry, i prosi o interwencję. Czy Sadowska dzięki swoim kontaktom w podziemnej Solidarności mogłaby coś z tym zrobić?

Elżbieta Piątka z Krakowa dedykuje jej swój wiersz:

Warszawo droga okryta żałobą
To matka Przemyka cierpi razem z Tobą
Zabili Jej syna chłopca szlachetnego
Bo w Polsce ubeki mordują każdego

Okrutni mordercy syna ci zabili
A tobie Poetko ból pozostawili
Niech ci wynagrodzi Bóg dobry na niebie
Aby twoje pragnienia spełniły się Tobie

Z Nowogardu pisze ksiądz katecheta Stanisław Podemski. Do listu dołączył dwa swoje zdjęcia: z 1942 roku w pasiaku obozowym i z numerem na piersi (P80123) oraz obecne – w grubych szkłach okularów i sutannie.

Pociesza matkę: „Choć go nigdy nie widziałem, płakałem ja i dużo mych znajomych, gdyśmy się dowiedzieli o męczeńskiej śmierci Pani syna, świętego, niewinnego bohatera zamordowanego w tak okrutny sposób.

Niech Pani nie płacze. Ma Pani w niebie syna, męczennika, z którym kiedyś Pani się spotka, i tej radości nikt Pani nie odbierze.

Proszę ofiarować Bogu męczeńską krew syna i jego przeogromne cierpienie. A w nadchodzące Święta Wielkanocne proszę z płaczem i bólem serca śpiewać alleluja, dziękując Bogu, że dziecko Pani Bóg wybrał na męczennika”.

30 listopada, środa

Śledztwo w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka znajduje się w końcowej fazie – informuje Polska Agencja Prasowa.

„Zakończono podstawowe czynności procesowe. Po ponownym zapoznaniu podejrzanych i obrońców z aktami śledztwo zostanie zamknięte, a sprawa wraz z aktem oskarżenia przekazana do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Przewiduje się, że nastąpi to w połowie grudnia”.

Igor

Igor idzie kilkadziesiąt metrów przed resztą chłopaków i jest z nich najbliżej Krakowskiego Przedmieścia. Zatrzymuje się na moment przy kolumnie Zygmunta, obraca głowę i widzi Grześka próbującego wskoczyć Czarkowi na plecy. Robi to tak niezdarnie, że razem lądują na kostce brukowej. Z oddali obserwuje podbiegających do kolegów facetów w niebieskich mundurach i to, jak podjeżdża milicyjna nyska. Odwraca wtedy głowę i rusza przez zatłoczony plac do domu przy Mazowieckiej. Nie widzi nawet, jak milicjanci wpychają Grześka do środka i jak w ostatniej chwili wskakuje za nim Czarek. Nie widzi Kuby, który stoi jak wmurowany z klapkami Grzesia w dłoni, ani stojącego obok niego Piotrka Kadlčika.

Trzydzieści lat później.

Igor ma długie, ciemne, spadające na ramiona włosy, ciemną brodę, lekki brzuszek, ale nosi się wciąż młodzieżowo. Teraz mieszka w starej kamienicy na Powiślu. Nad jego solidnym łóżkiem wiszą fotografie z Grześkiem. Najbardziej znane to te, na których Grzesiek z rozpostartymi ramionami balansuje na drewnianej balustradzie molo w Pucku. Zrobili mu je podczas wakacyjnego wyjazdu pod namiot do Dębek w roku 1980. Drugie jest późniejsze, ale też z wakacji w Dębkach. Grzesiek na nim trzyma w rękach gitarę, ma przymrużone oczy, jakby był natchniony, i lekko uchylone usta. Na sobie peweksowską kurtkę khaki, którą dostał od Wiktora Krzysztoporskiego.

– Zostawiłeś kolegów samych na tym placu? – pytam.

– Co mogłem zrobić? – odpowiada. – Gdy do Grześka i Czarka podjechał radiowóz, pomyślałem, że wolałbym być gdzie indziej niż w komisariacie. Zwłaszcza, że niedawno trzymali mnie na Wilczej, gdy pod koniec kwietnia zwinęli nas z mieszkania Sadowskiej. Siedziałem w areszcie kilka godzin, a Basia i Grzesiek znacznie dłużej. Więc gdy zomowcy podbiegli do nich

na placu Zamkowym, to kompletnie nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji. Podobnie wieczorem na Hibnera, kiedy przywieźli pobitego Grześka z pogotowia.

Byli tam wszyscy: Czarek, Kuba i Piotrek. Grzesiek – obolały, słaby, bez kontaktu. Wspólnie ułożyliśmy go w łóżku i wróciłem do domu. Niczego złego nie przeczuwałem.

Dwa dni później zatelefonował nasz wspólny kolega Witek: „Grzesiek umiera na Solcu" – powiedział. „Stary, co ty pierdolisz!" – krzyknąłem i od razu tam pobiegłem. Na prawo od wejścia przy izbie przyjęć stał w korytarzu znany w Warszawie ksiądz Jan Sikorski. Zapytałem, do kogo przyszedł. „Do Grześka" – odpowiedział. Nogi się pode mną ugięły. „Wszystko w środku zmiażdżone. Wątroba, śledziona, otrzewna, krezka" – powiedział ksiądz.

Nie pamiętam, czy Grzesiek był wtedy jeszcze przytomny.

Wybiegłem. Mam wrażenie, że szpital był już wtedy obstawiony esbecją, ale w dupie to miałem. Przeszedłem na drugą stronę ulicy do mieszkania naszego wspólnego kolegi, by mu powiedzieć, że Grzesiek umiera. Gdy wróciłem do szpitala, zobaczyłem Barbarę i Marzenę. Wychodziły na dziedziniec. Nie podszedłem do nich. Zapytałem tylko księdza Sikorskiego, czy to już się stało. Skinął głową.

Szedłem Tamką pod górę i z oczu lały mi się łzy. Płakałem aż do samego domu. Zamknąłem się w pokoju, padłem na tapczan, zasnąłem. Śniło mi się, że Grzesiek przyszedł się ze mną pożegnać. Pocałowaliśmy się z dubeltówki i się obudziłem.

Uważałem, że nie jestem żadnym ważnym świadkiem. Że nic mi nie grozi i nie muszę się ukrywać jak inni. Dopiero po pogrzebie Barbara kazała mi zniknąć. Schowałem się na Stegnach u państwa Grzeszczyków, przyjaciół rodziców. Ujawniłem się dopiero na ustną maturę. Wiózł mnie z niej znajomy, pan Alek Sitarski. Wysadził mnie pod Supersamem na placu Unii Lubelskiej, przeszedłem przez sklep, by wyjść z drugiej strony. Tam czekał już na mnie inny samochód, który odwiózł mnie na Stegny.

Przed złożeniem zeznań dostałem od Barbary polecenie, by nie wspominać, że byłem z chłopakami na placu Zamkowym, więc zeznaję, że

mnie tam nie było. I jeszcze jedno pomijam. To, że w drodze na Stare Miasto zatrzymujemy się w moim mieszkaniu przy Mazowieckiej, pijemy tam alkohol i głośno śpiewamy. Na tyle głośno, że mój ojciec tego nie zdzierżył i po kilku ostrzeżeniach wyprosił nas z domu. Przenosimy się wtedy na boisko przy moim podwórku. Chwilę jeszcze gadamy i dopiero później wyruszamy na Starówkę.

Basia prosiła, bym o tym też nie wspominał. Dlaczego? Wiedzieliśmy już o ich machinacjach i kłamstwach. Milicja opublikowała w gazecie komunikat, z którego wynikało, że karetka zabrała Grześka wprost z placu Zamkowego, a nie z komisariatu. Był to znak, że kręcą, będą szukać dziury w całym. Nasz pobyt na Mazowieckiej dawał im dodatkowe pole do kombinacji.

Aż do śmierci Barbary w 1986 roku Igor jest częstym gościem w mieszkaniu na Hibnera, gdzie zmieniają się trochę obyczaje. Już nie można, ot tak, wziąć sobie klucza ze skrzynki licznika energii, wejść do mieszkania i zaczekać tam na nią. Gospodyni już tam klucza nie zostawia.

Igor chodzi na wszystkie rocznicowe msze do kościoła Świętego Antoniego przy Senatorskiej, na odsłonięcia pamiątkowych tablic, spotkania przy grobie. Towarzyszy Leopoldowi Przemykowi na kolejnych rozprawach. Pełni funkcję rzecznika, bo pan Leopold nie lubi rozmawiać z mediami.

Grudzień 1983

5 grudnia, poniedziałek

„Co ty i twoi współrządzący zamierzacie uczynić dla położenia kresu bestialstwu?” – zapytał w maju wicepremiera Mieczysława Rakowskiego poeta Wiktor Woroszylski. Dwa miesiące później szef MSW Czesław Kiszczak domagał się postawienia Woroszylskiego przed sądem za bezpodstawne oskarżanie władzy. Dziś poeta jest przesłuchiwany w sprawie utrudniania śledztwa, a głównym dowodem jest jego list do Rakowskiego napisany pół roku temu.

Gmach sądów przy ulicy Świerczewskiego (obecnie aleja Solidarności), czwarte piętro, pokój 406, godzina dziesiąta.

„Wysoka, tęga, ciemna kobieta po czterdziestce, w okularach, białym swetrze opinającym potężny biust – opisuje w swoim dzienniku spotkanie z prokurator Anną Jackowską, tą samą, która od niedawna prowadzi również sprawę śmiertelnego pobicia Przemyka. – Wskazała mi miejsce naprzeciw siebie, poprosiła o dowód, uderzyła w klawisze…

Przesłuchanie zaczęło się od pytania, czy napisałem list do wicepremiera Rakowskiego. W ilu egzemplarzach?

(W jednym).

Czy komuś go pokazywałem?

(Możliwe, że na etapie brudnopisu. Nie pamiętam).

W jaki sposób list trafił do polskojęzycznych rozgłośni i nielegalnej prasy?

(Nie wiem).

Skąd miałem informacje podane w liście?

(O pobiciu Barbary Sadowskiej w kościele Świętego Marcina dowiedziałem się od niej; jeśli chodzi o dalsze wydarzenia, to nazajutrz po śmierci Grzegorza Przemyka rozmawiałem z dziesiątkami ludzi i dziś już nie wiem, co od kogo słyszałem).

Czy sprawdzałem prawdziwość uzyskanych danych?

(Nie miałem takiej możliwości. Nie dysponuję aparatem śledczym, nie poszedłem też na Jezuicką i nie pytałem tamtejszych milicjantów, czy pobili Grzegorza Przemyka).

A więc nie zależało mi na prawdzie?

(Zależało).

W jakiej intencji pisałem ten list?

(Byłem wstrząśnięty tragedią młodego człowieka, którego znałem, podobnie jak jego matkę. Wobec tego, że znałem również wicepremiera Rakowskiego, uważałem za swój obowiązek zwrócenie się do niego, by wpłynął na jak najrychlejsze wdrożenie śledztwa w tej tragicznej sprawie. Uważałem, że do mnie jako pisarza należy, zgodnie z tradycją, reprezentowanie w takiej chwili głosu opinii publicznej).

Czy spowodowanie wdrożenia śledztwa było jedynym moim celem?

(Chodziło mi również o uczulenie wicepremiera Rakowskiego na częste wypadki szczególnej brutalności wobec młodzieży).

Czyjej brutalności?

(Milicji, ZOMO).

Czy chcę coś jeszcze powiedzieć?

(Zapytałem, czy w ramach prowadzonego śledztwa przesłuchuje redakcje gazet, które w ciągu tych siedmiu miesięcy publikowały wiadomości sprzeczne ze sobą albo ewidentnie fałszywe. To była mowa o zatrzymaniu dwóch mężczyzn, to samego Grzegorza Przemyka, a jego koledze pozwolono jedynie udać się do komendy. Grzegorz raz był w slipach, raz w podartych spodniach.

O swoim liście ostatnio przeczytałem, że wysłałem go do różnych adresatów, podczas kiedy adresat był jeden)".

Po przesłuchaniu Woroszylski napisał:

„Nie rozumiem, jaki związek z utrudnianiem lub udaremnianiem postępowania karnego mógł mieć mój list do wicepremiera i dlaczego pani prokurator dopytywała się, komu ten list pokazywałem. Nie rozumiem, na jakiej podstawie pani prokurator jeszcze przed procesem uważa, że moje

przeświadczenie (o pobiciu przez milicję), jak to określiła, nie polega na prawdzie”.

7 grudnia, środa

Trwają przepychanki w sprawie aktu oskarżenia. Zanim trafi do sądu, prokuratura konsultuje go z sekretarzem KC PZPR Mirosławem Milewskim i ministrem Czesławem Kiszczakiem.

Resort szczegółowe uwagi zawarł w poufnej notatce wysłanej do prokuratury.

Eksperci MSW uważają, że zomowiec Kościuk bezzasadnie został oskarżony o bicie Przemyka pałką i ręką, a milicjant Denkiewicz o podżeganie do bicia. (Nawet jeśli mówił, by bić chłopca tak, by nie zostawiać śladów, to przecież jeszcze nie przestępstwo).

Proszą, by zmienić zdanie o ciężkim stanie zdrowia chłopca przy wyprowadzaniu go z komisariatu, bo to może sugerować, że jego stan pogorszył się właśnie na Jezuickiej.

Zwracają uwagę, że zeznania F. są niewiarygodne i tendencyjne.

I najważniejszy argument: „Sposób prezentowania ustaleń i dowodów sugeruje, że prokuratura nadal uważa, że Grzegorz Przemyk pobity został w komisariacie milicji”.

16 grudnia, piątek

Prokuratura wszczyna śledztwo w sprawie pobicia i okradzenia dwudziestoczteroletniego mechanika samochodowego Waldemara Piwoskiego przez załogę karetki 02, czyli Jacka Szyzdka i Michała Wysockiego.

Kilka dni wcześniej oficjalne zawiadomienie o przestępstwie od Piwoskiego przyjął porucznik Jacek Ziółkowski ze stołecznej milicji, który od wielu miesięcy podąża tropem Wysockiego, szukając śladów, by za wszelką cenę obciążyć go udziałem w pobiciu Przemyka.

Dla milicji to dobry pretekst do aresztowania i Wysockiego, i Szyzdka. Gdy znajdą się już za kratami, zmiękną i łatwiej ich będzie skłonić do

współpracy. Tylko że w opowieści Piwoskiego pojawiają się duże luki i znaki zapytania. Nie potrafi na przykład sensownie wyjaśnić, dlaczego o kradzieży i pobiciu nie poinformował milicji siedem miesięcy wcześniej. Dlaczego nie powiedział o tym nawet własnej matce i lekarzowi, który go opatrywał w szpitalu przy ulicy Grenadierów? Gdyby o tym wspomniał, lekarz musiałby zdarzenie odnotować w książce przyjęć. A jest w niej tylko zapis o tym, że pacjent Piwoski był w stanie upojenia alkoholowego i uciekł ze szpitala.

18 grudnia, niedziela

Barbarę Sadowską odwiedza w mieszkaniu współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Feliks. Następnego dnia relacjonuje przebieg spotkania oficerowi prowadzącemu Stefanowi Janowczykowi.

„Prawie wszyscy ci, co wyglądali na inteligentnych i odwiedzali Sadowską, teraz przestali do niej przychodzić. Ci, co odwiedzają Sadowską aktualnie, to motłoch młodzieżowy” – notuje Janowczyk.

Feliks melduje, że Barbara nie jest w najlepszej formie. Martwi się i jest zaniepokojona milczeniem Czarka. Nie dał znaku życia od czasu jej październikowej wizyty w Radomiu. Nie przyjechał nawet na grób Grześka podczas uroczystości Wszystkich Świętych, choć wcześniej jej to obiecywał. To może znaczyć – sugeruje Janowczyk – że zmienił zdanie, wycofał się i gdy w lutym rozpocznie się proces, nie powtórzy swoich zeznań w sądzie.

19 grudnia, poniedziałek

Jan opowiada kapitanowi Chwaszczowi o przemianie, która dokonała się w Czarku, odkąd odciął go od warszawskich kontaktów.

– Jest szczery, spokojny, mówił dużo i konkretnie.

Wczoraj w szczerej rozmowie powiedział ojcu, że nie zamierza brać udziału w politycznej rozgrywce opozycji z władzą. I że nie dopuści do skazania ludzi niewinnych, chociaż byliby to milicjanci. Tę informację kapitan Chwaszcz przekazuje od razu do Warszawy, bo zmienia ona

zupełnie układ sił przed procesem. Bez wsparcia Czarka rozmywa się wątek pobicia Przemyka w komisariacie.

Teraz zastanawiają się wspólnie z Janem, jak tę pozytywną przemianę Czarka utrzymać do rozpoczęcia procesu. Chwaszcz proponuje, by państwo F. przy wsparciu resortu wybrali się z synem na rodzinne wczasy do Bułgarii.

– To jedyny sposób utrzymania Czarka z dala od sprawy – tłumaczy ojcu.

20 grudnia, wtorek

Wysockiego zbudził łomot do drzwi. Spojrzał przez wizjer. Na klatce stało kilku rosłych mężczyzn. Jeden z nich przyłożył do judasza swoją milicyjną legitymację.

Na nakazie zatrzymania przeczytał, że chodzi o jakiegoś Piwoskiego, pobitego siedem miesięcy temu podczas transportu do szpitala. „Nic mi to nie mówiło – wspominał Wysocki. – Nie mogłem sobie przypomnieć takiego przypadku”[58].

Kapitan Zbigniew Supryn mówi Wysockiemu, żeby wziął ze sobą dowód. Będzie potrzebny, by podpisać zeznanie. Wyprowadzają go do niebieskiego fiata 125p czekającego pod domem i jadą przez miasto.

„Szybko nie wrócę” – pomyślał Wysocki.

Prowadzą go na drugie piętro komendy w pałacu Mostowskich. Każą mu stanąć w jednym rzędzie z ludźmi sprowadzonymi właśnie z aresztu. Podchodzi do nich jakiś nieznany mu mężczyzna, wskazuje palcem na Wysockiego i mówi:

– To ten.

Kapitan Supryn każe Wysockiemu wyciągnąć sznurówki z butów i prowadzi go po schodach w dół do maleńkiej celi obok dyżurki. Mówią mu, by się rozebrał do naga, dają dwa koce, materac, prześcieradło, poduszkę, aluminiową miskę i kierują go do celi numer 23.

Wszystko było przygotowane na przyjęcie Wysockiego. Zanim jeszcze został umieszczony w milicyjnym areszcie, na biurko szefa MSW Czesława Kiszczaka trafiły akta sprawy Piwoskiego. Jeszcze przed oficjalnym

aresztowaniem resort zdecydował, że Wysocki zostanie umieszczony w podziemiach pałacu Mostowskich, a jego partner z karetki Jacek Szyzdek – w areszcie Komendy Głównej MO przy Puławskiej.

23 grudnia, piątek

Dziś akt oskarżenia skierowany został do sądu.

W ośmiu tomach znajdują się protokoły przesłuchania stu osiemdziesięciu dwóch świadków, opinie jedenastu biegłych (z zakresu chirurgii, medycyny sądowej i biomechaniki), dziewięć ekspertyz (medycznych i kryminalistycznych), sprawozdania z czterech eksperymentów procesowych i trzech wizji lokalnych.

Lekarze Bronisław Jasicki i Paweł Willmann są oskarżeni o nieudzielenie pomocy. A o pobicie maturzysty oskarżeni są nie tylko milicjanci Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkiewicz, ale także sanitariusz i kierowca z pogotowia – Jacek Szyzdek i Michał Wysocki.

Prokuratura przyjęła, że Przemyk doznał obrażeń ciała zarówno na terenie komisariatu, jak i w budynkach pogotowia. Ma jednak świadomość, że materiał dowodowy mający uprawdopodobnić pobicie chłopca na terenie stacji pogotowia jest bardzo słaby, raczej poszlakowy i łatwy do obalenia.

„Jakkolwiek bowiem są świadkowie, których zeznania sugerują taką ewentualność, to jednak brak jest pewności, że słyszane krzyki, uderzenia i klaśnięcia istotnie pochodziły z windy, którą przewożono Przemyka” – zwraca uwagę w swojej opinii nadzorujący śledztwo prokurator Zbigniew Młynarczyk z prokuratury generalnej. „Nie da się przy tym ustalić, czy sprawcami pobicia byli obecni pracownicy pogotowia, czy też tylko jeden z nich. Należy podkreślić, że nie ma w sprawie świadka, który by bezpośrednio spostrzegł fakt pobicia w windzie”[59].

Największą porażką prokuratury jest jednak to, że nie ustaliła, który z milicjantów bił Grześka łokciem w brzuch. A to właśnie te ciosy spowodowały śmierć.

* * *

W pokoju przesłuchań na Wysockiego czeka już porucznik Jacek Ziółkowski, czyli Ziółek. (Znają się, bo Wysocki kolegował się z jego bratem). Wita go bardzo serdecznie, częstuje kawą i ciastkami, a gdy aresztant skarży się na brak środków higienicznych, mówi, że nie będą mu w ogóle potrzebne.

– Zaraz przecież wychodzisz – pociesza. – Tylko najpierw musisz złożyć zeznania – mówi. Głośno czyta protokół przesłuchania Piwoskiego i komentuje: – Działałeś przecież w obronie własnej. Nic ci nie grozi – uspokaja.

I po przyjacielsku radzi, by przyznał się do tego ciosu zadanego w samoobronie. To tylko przyspieszy zwolnienie z aresztu. Więc kierowca karetki zeznaje, że gdy Piwoski rwał się do bicia, został przez niego skontrowany.

Porucznik mówi, że musi dostarczyć protokół przesłuchania prokuratorowi.

– To tylko formalność i zaraz stąd wychodzisz – zapewnia.

Wraca po kilku godzinach. Z grobową miną oznajmia, że sprawy się komplikują. On i jego partner Szyzdek zostają aresztowani na trzy miesiące.

Wysocki wraca do celi. Jeszcze się nie domyśla, że „kolega” zastawił na niego pułapkę. Sprawa Piwoskiego to tylko pretekst, by zatrzymać go w areszcie.

27 grudnia, wtorek

Trzy dni temu porucznik Jacek Ziółkowski poprosił Wysockiego, by napisał list do żony. Obiecał, że sam go jej dostarczy. Potem wezwał kierowcę karetki na przesłuchanie.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział i wyciągnął spod biurka szary pakunek: – To od żony.

Była w nim ciepła bielizna i trochę rzeczy osobistych. A dziś, gdy strażnicy przyprowadzili go z celi na kolejne przesłuchanie, porucznik Ziółek uśmiechnął się do niego jeszcze serdeczniej. Zawołał nagle:

– Gosia, pozwól tu, proszę.

Wtedy w drzwiach pokoju przesłuchań stanęła ukochana żona Michała. Wpadli sobie w ramiona.

– Siądźcie tam – pokazał na krzesła pod wieszakiem. – Nie będę wam przez moment przeszkadzał.

Tulili się potem pod tym wieszakiem przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, co robić dalej.

„Później się dowiedziałem – pisał we wspomnieniach Wysocki – że to widzenie miało swój cel i nie przypadkiem posadzono nas koło wieszaka. W rękawie wiszącej tam kurtki umieszczono bowiem mikrofon, przez który nas wtedy podsłuchiwano”.

* * *

Za kilka dni generał Józef Beim powoła ośmioosobowy zespół dochodzeniowo-śledczy do pracy z tymczasowo aresztowanymi Wysockim i Szyzdkiem. Zespół ma wypracować taką technikę przesłuchań, by nakłonić aresztowanych do przyznania się do pobicia Przemyka. Najważniejszą rolę odgrywać w nim będą inspektorzy Jacek Ziółkowski i Tomasz Bobrowicz, którzy na przemian, w dzień i w nocy, będą ich przesłuchiwać. Aż do skutku.

Jakub

Kuba to po Czarku najważniejszy świadek oskarżenia. Stał pod drzwiami komisariatu, słuchając, jak wewnątrz Grzesiek wyje z bólu. Ten krzyk go przestraszył i zatrzymał. Bał się, że też zostanie pobity. Odczekał chwilkę, aż wszystko ucichnie, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Był najbliższym przyjacielem Grześka. Może dlatego, że obaj byli „spadochroniarzami". Grzesiek przyszedł do Modrzewskiego po roku spędzonym w Białobrzegach, Kuba przyjechał do Polski z Nigerii, gdzie jego ojciec przez wiele lat pracował jako lekarz. W szkole trzymali się razem.

– Bardzo się polubili, bo nadawali na tych samych falach – mówi Igor.

Poprosiłem Igora, żeby namówił Kubę na spotkanie ze mną. Odmówił.

– Powiedział, że nie rozmawia na te tematy – mówi Igor.

Nigdy nie rozmawiał. Tak było od początku. Unika dziennikarzy. Znajomi mówią, że się odsunął.

Dlaczego?

– To wszystko wciąż w nim siedzi – mówi przyjaciółka Sadowskiej.

Napisałem list z prośbą o spotkanie. Nie odpowiedział.

Styczeń 1984

2 stycznia, poniedziałek

„Codziennie rano wyprowadzają mnie na przesłuchanie. Zawsze wygląda to w ten sam sposób. Imię, nazwisko, imię ojca, matki, miejsce zamieszkania. Następnie wałkowany jest mój życiorys” – wspomina Wysocki.

– A który z was pobił Przemyka? – pyta niespodziewanie pewnego dnia porucznik Ziółkowski. Wysocki zaprzecza, ale porucznik mruży tylko porozumiewawczo oko. Potem temat Przemyka wraca w każdym kolejnym przesłuchaniu, w dzień i w nocy. Przesłuchujący się zmieniają, ale temat przesłuchań – nie. Nikt już nie pyta o Piwoskiego. Chodzi im tylko o Przemyka.

Dopytują, czy bili go w karetce, czy w budynku pogotowia. W jaki sposób? Czy ktoś to widział?

I straszą: że odwołają teściów z placówki dyplomatycznej w Rzymie, pogrążą ciocię zakonnicę, aresztują tymczasowo brata, że dokładnie przetrzepią całą rodzinę i w końcu znajdą coś na nią, by ukręcić jakąś aferę gospodarczą, bo to najłatwiejsze.

Jest tylko jedna przyjazna osoba, którą Wysocki może prosić o radę i wsparcie. To Jacek Ziółkowski, który utrzymuje stały kontakt z jego żoną. Dostarcza od niej paczki, listy, a kiedyś przyniósł nawet różaniec. I załatwił Wysockiemu obiady z milicyjnego kasyna. Udowodnił, że jest dobrym kolegą i chce pomóc Michałowi. Dlatego gdy Wysocki zapytał, co ma zrobić, żeby przestali osaczać rodzinę, porucznik doradził od serca:

– Weź to na siebie. Tylko tak możesz ich uchronić. Przecież gdy powiesz, że nadepnąłeś na jego brzuch przypadkiem, to nic ci nie grozi. Dostaniesz dwa, trzy lata i zaraz wyjdziesz, bo będzie amnestia – tłumaczy i obiecuje nagrodę: półwolnościowe więzienie w Popowie. – Będziesz tam ratownikiem na basenie MSW. To tak, jakbyś pojechał na wczasy.

Michał Wysocki:

– Znaleźli u mnie słaby punkt – rodzinę. Potrafili to wykorzystać. Przerażenie ogarnęło mnie, kiedy dali mi do zrozumienia, że załatwią mojego syna – Piotrusia. Jak człowiek słyszy, że swojego ukochanego syna Piotrusia, którego kocha ponad życie, będzie musiał zeskrobywać z asfaltu, to zrobi wszystko, by go ratować.

Pewnej nocy powiedziałem, że chyba dojrzałem do tego scenariusza. Poprosiłem o rozmowę z Jackiem. Powiedział, że muszą być nagrane te moje zeznania. Nie miałem już odwrotu. Przyniesiono magnetofon szpulowy Grundig i zacząłem obwiniać siebie.

5 stycznia, czwartek

O dwudziestej drugiej dziesięć do mieszkania prokuratora Jana Traczewskiego dzwoni inspektor Jacek Ziółkowski. Mówi, że przebywający w areszcie Michał Wysocki chce się niezwłocznie spotkać z prokuratorem, by złożyć ważne oświadczenie. Ziółkowski wysyła więc natychmiast po Traczewskiego radiowóz.

Do pałacu Mostowskich dociera jeszcze przed północą. Wysocki czeka w pokoju 251. Mówi, że od dłuższego czasu gryzie go sumienie, bo to on winien jest śmierci Grzegorza Przemyka. I opowiada, że gdy wprowadzali chłopca do windy, ten się szarpnął, upadł na lewy bok i wtedy Wysocki, który go podtrzymywał, został pociągnięty, stracił równowagę i przypadkowo nadepnął mu prawą nogą na brzuch.

Wysocki:

– Łzy zalewały mi oczy, dostawałem spazmów, wyprowadzali mnie do łazienki, polewali zimną wodą. Zapomniałem nawet, którą nogą miałem nadepnąć Przemyka. Przesłuchanie zakończyło się nad ranem.

Prokurator Traczewski nie bardzo wierzy w tę opowieść.

– Panie Michale – mówi – niech się pan dobrze zastanowi.

6 stycznia, piątek

„Zrobiłem rzecz straszną. To przeze mnie umarł w maju ten młody chłopak. To ja nadepnąłem mu na brzuch niechcący, ale to jednak ja. Ta myśl

dręczyła mnie od dłuższego czasu. Było ciężko, dlatego jeździłem do Częstochowy. W celi zrozumiałem to jeszcze bardziej i postanowiłem zrzucić ten ciężar i powiedzieć o tym panu Jackowi [inspektorowi Ziółkowskiemu] prowadzącemu sprawę. Myślałem, że to mi ulży, ale, niestety, było mi lekko tylko przez parę dni, a teraz jest mi tak ciężko, że dłużej tego nie wytrzymam.

Gosiu, ten list otrzymasz już po wszystkim. Przekaże ci go pan Jacek. Najdroższa, rozgrzesz mnie ze wszystkiego. Nie miej do mnie żalu. Nie stchórzyłem. Niestety, nie dam rady, nie zniosę tego dłużej. Proszę cię o pochowanie mnie na Bródnie. Z kwiatów przynoś mi tylko czerwone róże. Daj sto tysięcy złotych w Częstochowie. Niech odprawią mszę świętą za mnie oraz za Grzegorza Przemyka. Pana Jacka proszę jeszcze o księdza, ale jeżeli nie będzie mi w stanie tej mojej prośby spełnić, to trudno".

Po napisaniu listu pożegnalnego Michał Wysocki zakłada na szyję pętlę wykonaną z prześcieradła, zaciska, a drugi koniec przywiązuje do łóżka. Zanim straci przytomność ratuje go z samobójczej próby współwięzień.

Od tej pory Wysocki jest najpilniej strzeżonym więźniem. Drzwi do jego celi są otwarte, ciągle świeci się światło, a podczas snu, dla bezpieczeństwa, Wysocki ma trzymać ręce cały czas na kołdrze.

Na korytarzu siedzą milicjanci z brygady antyterrorystycznej i go obserwują. Jeden milicjant trzyma w ręku duży skoroszyt, w którym zapisuje każdy ruch Wysockiego i każde wypowiedziane słowo w celi numer 4.

Przykładowy dzień Michała Wysockiego:

6.20 – sierżant Kubicki podał zatrzymanym śniadanie. Wysocki nie konsumuje, nerwowo spaceruje po celi

11.28 – zatrzymany numer 3 [Michał Wysocki] usiłował otworzyć kratki osłaniające żarówkę szczoteczką do zębów

13.30 – zatrzymany do chwili obecnej nie ruszył posiłku

19.40 – starszy oddziałowy dokonał przeszukania celi numer 4, znajdując u zatrzymanego Wysockiego pętlę wisielczą

21.35 – zatrzymany numer 3 [Michał Wysocki] odmówił przyjęcia leków

10 stycznia, wtorek

Rewelacje Michała Wysockiego prokuratura poddaje krytycznej analizie. Nadzorujący śledztwo Tadeusz Gonciarz, wiceprokurator wojewódzki, w urzędowej notatce pisze, że ujawnione przez Wysockiego zdarzenie nie ma jednak większego znaczenia.

„W świetle przeprowadzonej sekcji zwłok i opinii biegłych jest mało prawdopodobne, aby doznane obrażenia mogły być następstwem jednorazowego działania Wysockiego w sposób przez niego podany – pisze prokurator Gonciarz. – Zgon Grzegorza Przemyka jest następstwem więcej niż tylko jednego urazu, który mógł być spowodowany przez nadepnięcie na brzuch pacjenta palcami stopy obutej w tenisówki lub adidasy o miękkiej podeszwie.

Przedstawiona analiza prowadzi do wniosku, iż zdarzenie, które ujawnił Wysocki, miało charakter incydentalny w zespole innych przyczyn skutkujących zgonem i stanowi jedynie dodatkowy element obrazujący przebieg zdarzenia".

11 stycznia, środa

Wieczorem lektor czyta w „Dzienniku Telewizyjnym" komunikat:

– Dziś zostało przeprowadzone przeszukanie mieszkania adwokata Macieja B. Jest on podejrzany o nakłanianie do złożenia fałszywych zeznań, udzielanie pomocy osobie poszukiwanej listem gończym, podżeganie do ujawnienia tajemnicy państwowej i służbowej. Maciej B. został tymczasowo aresztowany.

„Aresztowanie mecenasa Bednarkiewicza pod absurdalnymi zarzutami to próba wyeliminowania go z procesu, w którym miał pełnić funkcję oskarżyciela posiłkowego"[60] – pisze podziemna prasa.

Bednarkiewicz to groźny przeciwnik, bo przez ostatnie osiem miesięcy stara się wykazać, że śmierci maturzysty winni są milicjanci. Cała jego energia nakierowana jest na udowodnienie tej oczywistej tezy, dlatego już w sierpniu generał Beim zapowiada jego aresztowanie.

Pretekstem jest sprawa dezertera z ZOMO, Janusza Bilińskiego. Pod koniec 1982 roku Biliński ucieka z warszawskiej jednostki ZOMO, tuła się po kraju, aż w końcu trafia do kościoła Świętego Marcina, w którym dyżuruje Barbara Sadowska. Mówi jej, że chce pomagać Solidarności. To dla Barbary jest najlepszą rekomendacją. Wysyła dezertera do zaprzyjaźnionego z opozycją adwokata – Macieja Bednarkiewicza. Może on coś pomoże?

Chronią go i wspomagają finansowo.

Gdy w maju ginie Przemyk, Biliński obiecuje pomóc. Ma dowiedzieć się od znajomych zomowców, co się tam naprawdę stało, i ewentualnie znaleźć milicyjnych świadków, którzy o tym powiedzą. Niestety wpada i zaczyna współpracować z milicją. Na przesłuchaniach Biliński, ratując własną skórę, gorliwie obciąża i pogrąża Sadowską oraz Bednarkiewicza. To przez jego zeznania Maciej Bednarkiewicz zostaje aresztowany. Zarzut: „Udzielanie pomocy dezerterowi” ma też postawiony Sadowska.

12 stycznia, czwartek

Rano do celi strażnik podrzuca „Trybunę Ludu”. Wysocki czyta o aresztowaniu pełnomocnika matki Przemyka – mecenasa Macieja Bednarkiewicza.

„Skoro zamknęli taką sławę, to co mogą zrobić ze mną? – myśli. – W porównaniu z nim jestem nikim”.

* * *

Dla Sadowskiej aresztowanie Bednarkiewicza to cios prosto w serce. Zwłaszcza że w czasie aresztowania mogły zginąć cenne dokumenty dotyczące śmierci jej syna.

Do Bednarkiewicza Barbara ma bezgraniczne zaufanie i wierzy, że tylko on jest w stanie tak poprowadzić rozgrywkę, by ukarać sprawców pobicia Grzesia.

Dlatego od rana na Hibnera przewalają się znajomi Baśki i trwa narada wojenna. (Jest wśród nich Feliks – informator SB). Co robić? Jak pomóc

sprawie? Gdzie szukać zastępców?

Zdenerwowana Sadowska idzie do izby adwokackiej przy Smolnej, w której pracował dotychczas Bednarkiewicz. Panuje tam strach i przerażenie. Przypadek mecenasa Bednarkiewicza, którego aresztowali, i mecenasa Siły-Nowickiego, którego odesłano na zieloną trawkę, świadczy o tym, jak niebezpieczna jest sprawa Przemyka.

Feliks melduje, że Barbara wróciła całkowicie załamana. Położyła się do łóżka z głową obłożoną zimnym kompresem. Boi się, że następnym, który wyląduje w więzieniu, może być jej świadek koronny – Czarek. Być może już go aresztowali?[61] Jest ostatnią przeszkodą w zrzuceniu całej odpowiedzialności za śmierć Grześka na sanitariuszy.

* * *

Czarek jest ogłuszony informacją, którą z niedowierzaniem czyta w gazecie. Tłumaczy ojcu, że w ten sposób został pozbawiony ochrony prawnej:

– Bednarkiewicz siedzi, de Virion siedzi, Siła-Nowicki odsunięty – wylicza. – I mnie też wkrótce pewnie zamkną w kryminale.

Zamiast się załamać, staje się bardziej bojowy i hardy:

– Pamiętam jego ostatnie słowa – mówi ojcu. – Powiedział mi, że życie jest piękne, ale, niestety, on długo już nie pożyje. Dlatego dotąd będę siedział w sali sądowej, aż skażą tych, którzy go zabili.

16 stycznia, poniedziałek

Ojciec skarży się, że aresztowanie Bednarkiewicza bardzo źle wpłynęło na Czarka. Jest nerwowy i nieufny. Gdy ogląda „Dziennik Telewizyjny”, trudno mu pohamować wybuchy gniewu. Mówi, że wszystko to prowokacja Służby Bezpieczeństwa.

„To może wynikać z rosnącej obecnie obawy o własny los” – uważają analitycy Służby Bezpieczeństwa, którzy na bieżąco opisują nastroje koronnego świadka.

„Kontynuujemy działania zmierzające do niedopuszczenia do wyjazdu Czarka do Warszawy i skontaktowania się z Sadowską, ponieważ to mogłoby zaprzepaścić nasze dotychczasowe wysiłki. Argumenty Jana muszą być użyte przez inne osoby, które Czarek darzy zaufaniem” – notuje Robert Rzemczyk w kolejnym raporcie.

Dlatego resort przygotowuje od kilku dni następną wizytę Jerzego Michalczyka. Dwa miesiące temu, kiedy wysłali go do F., by skłonił Czarka do zmiany zeznań, nie udało mu się tego dokonać, ale zyskał szacunek i zaufanie Cezarego. Teraz chodzi o to, by z tej sympatii zrobił właściwy użytek i nakłonił Czarka do korekty zeznań.

Pięć dni później Michalczyk pojawia się w Radomiu. Wieczorem w mieszkaniu F. siadają przy butelce wódki, a milicjanci przy magnetofonie rejestrującym rozmowy w domu F.

Czarek znów opowiada o dowodzie, którego Grzesiek nie chciał pokazać, o zdenerwowanym zomowcu, który wyciągnął pałę, o laniu na Jezuickiej i sierżancie, który mówił, żeby bić tak, by nie było śladów.

Michalczyk nie przerywa monologu, tylko dopytuje o drobne szczegóły. Czy dokładnie widział, kto bił? Czy to na pewno sierżant mówił o tym niezostawianiu śladów? A może ktoś inny? Skąd wiadomo, że to nie sanitariusze go bili? Przecież znani są z bicia i okradania ludzi. I sami przyznali się do używania siły wobec Grześka.

– Może warto, żebyś zgłosił się do prokuratora i sprostował trochę swoje zeznania – radzi Michalczyk.

Czarek jednak twardo odpowiada, że nikogo nie będzie bezpodstawnie oskarżał, że powie, co widział, i niech biegli dojdą do prawdy.

– Tylko się w tym nie zagalopuj – radzi Czarkowi Michalczyk.

23 stycznia, poniedziałek

Kapitan Zdzisław Chwaszcz informuje ojca Czarka, że rozprawa rozpocznie się 3 lutego. Zgodnie z umową Jan ma zeznawać w charakterze świadka, choć nic o okolicznościach śmierci Grzegorza Przemyka

powiedzieć nie może. Resort wyznaczył mu inne ważne zadanie w procesie – ma odebrać wiarygodność własnemu synowi.

Kapitan Chwaszcz pyta, czy wie, jak ma się zachować.

– Niczego nie zamierzam przemilczeć: ani związków Cezarego z Barbarą, ani działań Sadowskiej zmierzających do skompromitowania organów MO – odpowiada Jan.

– Tego właśnie oczekujemy od pana – mówi Chwaszcz.

Kapitan wyznacza kolejne zadanie Janowi F. Ma codziennie kupować gazety i szukać w nich bardzo ważnego komunikatu (nie może powiedzieć jeszcze, o co chodzi, ale Jan na pewno się zorientuje, gdy go przeczyta). Należy wtedy artykuł podsunąć Czarkowi i obserwować jego reakcję, jak się zachowuje i co mówi.

Dwa dni później Jan kupuje „Słowo Ludu” i czyta: „Nowe dowody w sprawie osób oskarżonych o spowodowanie śmierci Grzegorza Przemyka.

Ostatnio w śledztwie przeciwko pracownikom pogotowia ratunkowego jeden z podejrzanych o spowodowanie śmierci Grzegorza Przemyka przyznał się do zadania mu urazu, który mógł być śmiertelny. Te nieznane dotychczas okoliczności wymagają szczegółowego zbadania. Z tych względów sąd zwrócił akta śledztwa prokuraturze w celu uzupełnienia postępowania przygotowawczego”[62].

Ani słowa o tym, że te dowody są mało ważne.

Reakcja Czarka odnotowana przez Jana: traci pewność siebie; wypowiada się w sposób stonowany; zdradza chęć nawiązania kontaktu z jakimś adwokatem, który powie mu, jak ma się teraz zachować podczas rozprawy.

26 stycznia, czwartek

Po Warszawie krąży od kilku dni plotka, że po aresztowaniu Bednarkiewicza Czarek się załamał. Miał być w prokuraturze i odwołać zeznania. Roztrzęsiona Barbara, gdy się o tym dowiaduje, próbuje

potwierdzić te rewelacje u znajomego księdza z Radomia, w prokuraturze, rozpytuje przyjaciół Cezarego. Nic. A Czarek wciąż milczy.

Wsiada więc z przyjaciółką do samochodu i jadą do Radomia. Czarek uspokaja, mówi, że to zwyczajne babskie plotki.

– Ktoś te plotki specjalnie rozpuszcza, żeby cię wystraszyć – mówi Barbarze i zapewnia, że mogą go nawet aresztować w sali sądowej, ale on i tak powie wszystko.

Następnego dnia przyjeżdża do Warszawy. Gdy kilka minut po dziesiątej zjawia się w mieszkaniu na Hibnera, stawia na nogi warszawską bezpiekę, która natychmiast uruchamia sieć współpracowników, punkty obserwacyjne i podsłuchy.

Ze spływających informacji wynika, że Barbara z Czarkiem krążą po Warszawie, odwiedzając kolejnych prawników.

O dwudziestej drugiej przychodzi do mieszkania Barbary ojciec Czarka. Mówi, że boi się o syna i chciałby zabrać go do domu, ale u Sadowskiej już go nie ma. Tłumaczy Barbarze, że przez swój upór Czarek naraża się na aresztowanie. I to zupełnie niepotrzebnie. Bo skoro sanitariusze przyznali się do pobicia Grześka, to zeznania Cezarego nie mają już żadnego znaczenia.

– Czarkowi jest bardzo ciężko – ubolewa Jan.

– Jemu nie jest ciężko – odpowiada Barbara – bo zna prawdę.

* * *

Kilka dni temu porucznik Ziółkowski pokazał Wysockiemu oświadczenie pisane ręką Jacka Szyzdka. Nie pamięta dokładnie, co tam było napisane, ale pamięta sens: Wysocki to sadysta, zdemoralizowany bandyta, znęca się nawet nad psami.

– Drętwieję – wspomina Wysocki. – Początkowo w to nie wierzę.

Mijają kolejne dni i są nowe zeznania Szyzdka, że Wysocki to spekulant. Handluje sprzętem sportowym, który kupuje spod lady, i lewymi kartkami żywnościowymi. Śledczy mówią, że to przestępstwo gospodarcze i już tylko za to może dostać dwanaście lat. Pytają, czy odpuści Szyzdkowi.

– On we mnie kamieniem, a ja w niego chlebem – odpowiada.

Wieczorem na skrawku papieru pisze gryps do żony, przekazuje go koledze z celi. (Nie wie, że to przedstawiciel więziennej agentury, więc list trafia szybko do akt sprawy).

„Jest to bardzo pilna sprawa, proszę zadzwonić pod numer 17 07 53 i powiedzieć mojej żonie, że Jacek sypie. Mówi o mnie dosłownie wszystko. Wszystkich naszych znajomych należy natychmiast uprzedzić, żeby w ogóle na mój temat nie mówili ani swój, bo ja wszystkiemu zaprzeczam i na Jacka nic złego nie mówię. Niech uprzedzą wszystkich świadków, żeby trzymali się swoich zeznań. Jacek mówi nawet takie bzdury, że w rozmaity sposób znęcałem się nad psami. Chce mnie wrobić w sprawę Przemyka".

27 stycznia, piątek

Ze wspomnień Michała Wysockiego: „Odwołałem zeznania, w których siebie obwiniałem za śmierć Przemyka, i z pomocą oficerów śledczych złożyłem zeznania obciążające Jacka. Powiedziałem, tak jak chcieli, że Jacek uderzył Przemyka w windzie. Zeznałem, że były tam jeszcze dwie kobiety ubrane na biało. Wiedziałem, że nikt tych zdań nie potwierdzi, bo były nieprawdziwe, a poza tym nielogiczne, gdyż w windzie panowała ciasnota. Przesłuchanie skończyło się późną nocą, a właściwie nad ranem.

Następnego dnia zaprowadzono mnie w eskorcie, skutego kajdankami na drugie piętro do pokoju przesłuchań. Przed kamerą jeszcze raz powtórzyłem to samo. (Że Szyzdek najpierw zaatakował Przemyka gazem łzawiącym, a następnie go kopał). Dwa dni później na przesłuchaniu był windziarz, pan Zychowicz. Twardo i niezmiennie powtarzał, że on żadnego bicia nie widział. Mówił, że Przemyka wnieśliśmy na rękach do windy, podtrzymywaliśmy, następnie z windy wynieśliśmy na rękach".

Ku uciesze śledczych przez następne tygodnie Szyzdek i Wysocki będą siebie nawzajem oskarżać o pobicie maturzysty.

Michał Wysocki. „Nikt” dla świata

Pokoik z kuchnią na jedenastym piętrze w warszawskim blokowisku. Na ścianach święte obrazy, na podłodze hantle, sztanga i ławeczka kulturystyczna. Gospodarz przynosi karton z wycinkami prasowymi poświęconymi swojej osobie. Wyjmuje kolejne i opowiada:

– Ludziom się wydaje, że łamanie człowieka to łomot. Na jednym z pierwszych przesłuchań podpułkownik Czmoch powiedział mi: „Przyznaj się, bo dostaniesz łomot”. Panie, odpowiedziałem, strachy na Lachy. Zacząłem się śmiać. Straszyć mnie, byłego boksera, biciem? Bicia to ja się nie boję. Mogę jeszcze oddać. Tak im powiedziałem.

Jestem twardy. Nic mnie nie złamie. Umrę, a się nie poddam. Tak sobie powtarzałem w celi. Ogłaszam natychmiast głodówkę. Piję tylko wodę z wiadra.

To byli specjaliści. Znali sposoby, jak ludzi łamać. Teraz też to wiem. Trzeba znaleźć najsłabszy punkt. Dla każdego jest inny. Jedni się boją bicia, inni odosobnienia, a jeszcze inni wariują za żoną lub dzieckiem. Moim słabym punktem była rodzina.

Ziółka, czyli porucznika Jacka Ziółkowskiego, znałem dość dobrze. Z jego bratem ćwiczyłem boks na Legii. Gdy przyszedł na przesłuchanie, to się ucieszyłem, bo to była jedyna bratnia dusza w tym nieprzyjaznym środowisku. Rozmawiał ze mną jak z człowiekiem, współczuł, podtrzymywał na duchu. Zwierzałem mu się. Stał się moim więziennym doradcą.

Pytał o moje życie, myślałem, że z troski, więc mu o wszystkim opowiadałem. Po przyjacielsku radził, co może teraz grozić mnie i mojej rodzinie. Wszystko, co mówił, się sprawdzało. Teściowie, którzy byli na placówce w Rzymie, stracili pracę, a brata wylali z roboty. Kiedyś Jacek zapytał, czy nie boję się o swojego drugiego brata, tego, który był taksówkarzem. Co może mu się stać? – pytam. „Wiesz – mówi Ziółek – to

taki niebezpieczny zawód. Tylu bandziorów się teraz kręci”. Kilka dni później dowiaduję się, że brat został napadnięty przez nieznanych sprawców.

Pamiętam takie przesłuchanie: wchodzi trzech nieznanych mi cywilów. Rozmawiają ze sobą, ale tak głośno, żebym i ja słyszał. Opowiadają, jak się topił Piotr Bartoszcze, działacz Solidarności, którego znaleźli martwego w rowie, o którym cała Polska huczała, że go SB wykończyło. Oni też mówią, że to nie przypadek. Żartują sobie z tej śmierci, śmieją się na głos. Nagle jeden z nich pyta: „Czy Piotruś sam wraca ze szkoły? To takie niebezpieczne – mówi. – Tyle dziś wypadków na drogach”. Znali jego imię i wiedzieli, do jakiej chodzi szkoły. Zdrętwiałem. Wyczuli moją słabość. Trafili w najczulszy punkt. Wracam do celi i już o niczym innym nie myślę, tylko o Piotrusiu. Czy jest bezpieczny? Czy nikt go nie skrzywdzi? Jak go ochronić?

Oni zaś drążą. Przesłuchania trwają całymi dniami, czasem nocą. Byłem przemarznięty, otępiały, zaszczuty i wygłodniały. Prowadziłem głodówkę.

Wiedzieli o mnie wszystko. Najdrobniejsze szczegóły z życia: od podstawówki aż do ostatnich dni w pogotowiu.

I sączyli we mnie strach kropelka po kropelce. Nie o mnie, ale o rodzinę. Trudno zrozumieć to komuś, kto tego nie przeżył. Jak człowiek siedzi zamknięty, nie ma znikąd pomocy, to nawet brzytwy się chwyci. A moją brzytwą jest Ziółek. Złapałem się go jak ostatniej nadziei. Był przecież już wtedy moim przyjacielem. „Jacek – zapytałem – czy oni mogą zrobić Piotrusiowi krzywdę?”

„Na pewno – odpowiedział. – Oni mogą wszystko. Stoją ponad prawem”.

Wtedy poprosił, bym wziął wszystko na siebie.

Tylko jak ja się po czymś takim ludziom na oczy pokażę? „Michał, nie takie bryły przed nami były” – Ziółek zamieniał w żart moje wątpliwości.

To było jeszcze w pałacu Mostowskich. Uratować rodzinę czy żyć w hańbie? Byłem jak w matni. Wróciłem do celi i poprosiłem Włodka, kolegę z celi, żeby mi plecy obił. Chciałem poczuć ból, by zagłuszyć

myślenie. Trochę pomogło. Bo jak pieką plecy, to nie myśli się o niczym innym.

A ja wciąż myślałem o tej hańbie, którą będę nosić, i o samobójstwie, które rozwiązałoby wszystkie kłopoty. Chciałem zakończyć tę mękę. Pętlę skręciłem w nocy z kawałków prześcieradła. Cichutko umieściłem na drucianej siatce, czułem, jak unoszę się nad celą i patrzę na siebie z góry. Zanim całkiem odpłynąłem, obudziło mnie walenie do żelaznych drzwi celi. To Włodek, kolega z celi, widząc moje załamanie, zawiadomił wcześniej strażników i czuwał przy mnie przez całą noc. Wziąć na siebie winę za śmierć Przemyka i chronić w ten sposób rodzinę, ale też umrzeć, by nie poczuć i nie przeżywać konsekwencji hańby – wydawało się jedynym rozwiązaniem. Kilka razy po nie wtedy bezskutecznie sięgałem.

Pamiętam, jak sędzia Lewandowski na rozprawie wyjął z koperty tę pętlę, z którą mnie odcięli, i zapytał, co to miało znaczyć. Tłumaczyłem, że swoją śmiercią chciałem pogodzić zwaśnione społeczeństwo: Solidarność z władzą.

Dopiero potem zrozumiałem, że oni mnie ratowali we własnym interesie. Nie mieliby kogo pokazać na procesie. Wyjaśnił mi to podczas przesłuchania porucznik Tomasz Bobrowicz. „Panie Michale – powiedział – wiem, że chce pan odejść z tego świata. Ale najpierw niech pan weźmie na siebie winę za tych chłopaków z milicji, którzy są w to uwikłani. Jak się wszystko dobrze ułoży i dobrze pan będzie zeznawał, to pozwolimy panu odejść”.

Od chwili pierwszej próby samobójstwa wyjątkowo dobrze mnie strzegli. Pilnowali mnie w dzień i w nocy. Przed celą siedział jeden milicjant i dwóch z brygady specjalnej, a w środku – dwóch kapusiów osadzonych ze mną w celi.

Kiedy uznałem, że nie mam szans? Kiedy podrzucili mi do celi gazetę, w której przeczytałem, że pełnomocnik matki Przemyka, adwokat Maciej Bednarkiewicz, został aresztowany. To mnie załamało. Czy nie żałuję, że się wtedy przyznałem? Długo o tym myślałem.

Gdybym nie obciążył siebie, to wykończyliby mi rodzinę, a na pewno synka Piotrusia, którego kochałem ponad życie. Czy mógłbym być

wówczas na jego ślubie? A ślub w 1994 roku był piękny. Najważniejszym gościem był na nim mój przyjaciel Ziółek. Porucznik Jacek Ziółkowski był już wtedy kapitanem. Przyjacielem naszego domu pozostawał do czasu, aż na procesie dowiedziałem się o jego prawdziwej roli.

* * *

Wielkim sukcesem milicji było to, że zaczęliśmy się z Jackiem Szyzdkiem obwiniać nawzajem. Jackowi mówili, że to ja jego sypię, a mnie, że Jacek. Przed rozprawą powiedziałem Ziółkowi, że nie będę kłamał. Wycofałem się ze wszystkiego. Myślałem, że Jacek zrobi to samo. Nie zrobił. Gdy zeznawał, byłem tak zdenerwowany, że miałem ochotę rzucić się na niego i zatkać mu usta.

Kiedy nas odwozili suką do aresztu, zapytałem go, dlaczego tak nakłamał. Nie odpowiedział. Po latach, czytając akta, dowiedziałem się, że on też był naciskany. Jego ojciec był pułkownikiem w wojsku. Wezwali go do komendy głównej i zażądali, by przekonał syna. Wtedy ojciec poprosił Jacka, żeby za śmierć Przemyka obwinił mnie, bo jeśli tego nie zrobi, to wyrzucą go z wojska, a i matka straci pracę w kantynie oficerskiej.

W lipcu Jacka skazali na dwa lata więzienia, a mnie na dwa i pół roku. Długo nie siedzieliśmy. Zaraz ogłosili amnestię. Wyszedłem z więzienia 26 lipca 1984 roku. Nigdy nie dostałem uzasadnienia wyroku, więc nie mogłem się od niego odwołać. Miałem za sobą pięćdziesiąt siedem dni głodówki. Schudłem dwadzieścia cztery kilogramy. Byłem znerwicowany i zahukany. Najprostszych spraw nie potrafiłem załatwić. Do żadnej pracy nie chcieli mnie przyjąć. Nawet do kopania grobów w zakładzie pogrzebowym. Nigdzie. Miałem znaną twarz, bo proces był pokazywany w telewizji, więc gdy tylko się gdzieś pokazałem, od razu mnie rozpoznawali. Nazwisko też było znane z gazet. Dostałem w końcu pracę w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania, ale tylko dlatego, że tam nikt nie chciał pracować. Przyjmowali wszystkich. Najgorszy element. Samochody miały na wylot dziury w podłodze i urwane wycieraczki. Jeździłem nocą, po dwanaście godzin, a czasem dłużej.

Dawni koledzy się ode mnie odwrócili. Jednym z niewielu, który wtedy przy mnie został, był Ziółek. Pytałem go czasem: Jacek, a co by było, jakbym ja się wówczas nie przyznał? „Nic by to nie zmieniło”, odpowiedział. „Musiałeś być oskarżony, bo Kiszczak za tym osobiście chodził”.

* * *

Żona nie rozumiała, że poświęciłem się dla bezpieczeństwa rodziny. Gdy po paru latach po moim wyjściu z aresztu odchodziła ode mnie, powiedziała, że nigdy mi nie wybaczy, że wziąłem winę na siebie. Prawdę mówiąc, po wyjściu byłem już innym człowiekiem. Zmieniłem się, stałem się poważny i żadne zabawy nie były mi w głowie. Zostałem sam. Zdrowie zaczęło mi szwankować, miałem dwie operacje kręgosłupa, wszczepiane endoprotezy stawów biodrowych i dwa zawały serca.

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych przeczytałem swoje tajne akta. Złapałem się za głowę. Dowiedziałem się między innymi, że już w lipcu 1983 roku, dziesięć miesięcy przed rozpoczęciem procesu, Kiszczak wyznaczył mnie na głównego oskarżonego.

Wszystko, czego dowiedzieli się o mnie, powiedział im Maciek, który długo jeździł ze mną na nocnej zmianie w pogotowiu. Okazało się, że był tajnym współpracownikiem SB, który donosił na mnie. Spotkałem go dwa lata temu. Szedł z żoną i wyciągnął rękę na powitanie. Nie potrafiłem jej ostentacyjnie odtrącić. Nie chciałem mu sprawiać przykrości i nie powiedziałem mu nawet, że wiem.

Włodek P., mój towarzysz z celi, którego nazwisko poznałem dopiero z akt, też był tajnym współpracownikiem, a dokładniej należał do agentury celnej. Miał pilnować, żeby nic mi się nie stało. I dobrze się z tej roli wywiązywał. Wiedziałem, że ma schowaną w obcasie buta żyletkę. Prosiłem, żeby mi ją dał, ale powtarzał, że jeszcze nie czas. Po latach przeczytałem w swoich aktach, że nie dostał takiego rozkazu. Wcześniej taką samą rolę jak przy mnie odgrywał w areszcie na Rakowieckiej przy księdzu Popiełuszce.

Z Jackiem Szyzdkiem, z którym siedziałem na ławie oskarżonych, nie utrzymuję kontaktów. Wiem, że jest wciąż ratownikiem medycznym i maratończykiem. Widziałem go niedawno w telewizji. Brał udział w maratonie warszawskim i zajął tam jakieś dobre miejsce.

Czy pan wie, że o każdym moim kroku informowany był Jaruzelski i Kiszczak? Wysyłali codziennie do nich raporty. Chodziło za mną prawie trzystu esbeków! Dowiedziałem się też, że Ziółek kolegował się ze mną tylko służbowo. Przez wiele lat Jacek był przyjacielem naszej rodziny. Mój syn Piotruś bawił się z jego córkami. Odwiedzaliśmy się w domach.

Pyta pan, czy powiedziałem mu prosto w oczy, że już wszystko wiem, że poznałem prawdę? Nie. Ja takich przykrych rzeczy, że ktoś jest świnią, nie potrafię nikomu powiedzieć. Każdy wie, co robił ze swoim życiem, nie trzeba mu przypominać. Ponadto jestem teraz zakonnikiem – nie przystoi mi, żebym takie rzeczy robił.

Przestałem jednak do niego dzwonić. I on też zamilkł. Kontakt się urwał. Nigdy go już potem nie spotkałem. Słyszałem tylko, że szybko awansował w latach dziewięćdziesiątych. Był nawet komendantem policji w całej dzielnicy Mokotów. Potem odszedł na emeryturę i dostał jakiś medal za zasługi od Leszka Millera. Został działaczem SLD i przez wiele lat szefował klubowi partii na Mokotowie. Widywałem go nieraz w telewizji. W radzie dzielnicy zajmował się praworządnością.

Gdy dowiedziała się o tym przyjaciółka Sadowskiej, Ligia Urniaż-Grabowska, przyszła do mnie i powiedziała, że coś trzeba z tym zrobić. Ale nie wiem, czy zrobiła. Pyta pan, skąd my się wszyscy znamy? Od lat spotykamy się na mszach za Grzegorza. Koledzy Grześka, koleżanki Barbary, zwykli ludzie. Ja też na nie chodzę.

* * *

Kiedy zostałem sam, a Piotrek był już dorosły, postanowiłem wstąpić do zakonu zamkniętego. Wybrałem franciszkanów, bo jak jeździłem na rowerze do Niepokalanowa, to poczułem bliskość z ojcem Maksymilianem. On oddał za kogoś swoje życie i ja też chciałem oddać. Zapukałem do klasztornej furty. Gwardian zapytał, ile mam lat. Pięćdziesiąt –

odpowiedziałem. „Za stary jesteś do nas”, powiedział, ale wskazał zakon, do którego mnie przyjmą. Jestem już w nim kilkanaście lat. To jest zakon otwarty i każdy może do niego wstąpić. Bracia mieszkają w swoich mieszkaniach, chodzą w cywilnych ciuchach i spotykają się na wspólnych mszach. Mam na to czas, bo już nie pracuję.

Sprawa Przemyka złamała mi życie, ale też związała z nim na zawsze. Nie znałem go, a modlę się za niego, daję na mszę za spokój jego duszy i dużo o nim myślę.

Wiele lat analizowałem minione wydarzenia i wciąż trudno mi znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego to wszystko mnie spotkało. Dlaczego mnie niszczyli?

Niedawno dowiedziałem się, jak wielka rzesza ludzi na to pracowała. Prokuratorzy, esbecy, milicjanci, najwyżsi dostojnicy państwowi traktowali mnie jak pionek na szachownicy. Nie rozumiem, dlaczego nikt z nich nie poniósł kary.

Czy szukałem odwetu za swoje krzywdy? Nie chcę tych wszystkich ludzi osądzać, bo nie jestem sędzią. Wybaczyłem, ale zapomnieć nie mogę.

Luty 1984

1 lutego, środa

Barbara pisze list do swojej ciotki Marii Mrożkiewicz, mieszkającej w Paryżu.

„Staram się być mocna mimo brutalności, ordynarnej kampanii, której jestem obiektem. Bóg zabrał mi dziecko, a ja je wciąż osłaniam przed gromadą szczurów działających w majestacie prawa i państwa.

Aha, Jean Paul przekazał nieprawdziwe informacje o Czarku – że jakoby zmienił pod presją swoje zeznania. To nie jest prawda – byłam w Radomiu i rozmawiałam z nim. Nic takiego nie miało miejsca. Piszę o tym, bo cioci kuzyn opowiadał, że bardzo tym się ciocia przejęła.

Z nowin: w końcu podpisałam pełnomocnictwa (w miejsce mecenasa Siły-Nowickiego, którego odesłano w myśl nowych przepisów na emeryturę) z mecenasem Jerzym Woźniakiem. Woźniak jest adwokatem pokroju Macieja Bednarkiewicza. Darzę go zaufaniem i szacunkiem.

Pani Barbara, która była u cioci (przekazała 200 franków – dziękuję), opowiadała o manifestacji związanej z uwięzieniem Macieja [Bednarkiewicza], a także mówiła o działalności »grzesiowego komitetu«. Na ulotce zobaczyłam też cioci nazwisko. Nie umiem wyrazić wzruszenia. Chciałabym przez ciocię podziękować całemu komitetowi za trud i za tę bezinteresowną ludzką pomoc.

Moje życie nie uległo zmianie. Mówię o swojej pracy na rzecz uwięzionych i represjonowanych w ramach Prymasowskiego Komitetu. Wczoraj wróciłam z odwiedzin (widzenie) w więzieniu w Strzelinie (pod Wrocławiem). W tym więzieniu przerwano głodówkę po 69 dniach. Weszłam za mury cudem jako osoba będąca na liście korespondencyjnej i chyba dzięki nieobecności naczelnika. Nie sposób wyrazić, co się czuje, widząc wychudzone twarze, pożółkłych przyjaciół. Twarze, z których bije

wiara w przyszłe zwycięstwo. Takich twarzy, pięknych twarzy ludzi, którzy żyją zgodnie ze swoim sumieniem, jest w Polsce wiele.

I jeszcze jedno: dostałam zaproszenie z francuskiego Pen Clubu, żeby sobie pobyć w Paryżu miesiąc w dogodnym dla mnie terminie. Bardzo im dziękuję, ale to w tych warunkach nierealne. Władza mogłaby mi uniemożliwić powrót do kraju. Poza tym głupio bym się czuła wobec przyjaciół”[63].

3 lutego, piątek

Resort realizuje koncepcję wcielenia Cezarego do wojska. Na czas trwania procesu ma być pod stałą kontrolą. Dostał już kartę powołania. Ma zgłosić się za dwa tygodnie w jednostce wojskowej w Lublinie. W radomskiej Wojskowej Komendzie Uzupełnień dowiedział się, że polecenie natychmiastowego wcielenia go do armii przyszło z Warszawy.

– Nie o wojsko tu chodzi, ale o sprawę Przemyka – mówi Czarek znajomym. Twierdzi, że milicja czyni od wielu miesięcy różne zabiegi, by go złamać. – Widocznie muszę być dla nich kimś niezwykle ważnym – żartuje.

Ojciec daje mu do zrozumienia, że gdy tylko o to poprosi, załatwi odroczenie wojska. Warunek jest jeden: wycofa się ze sprawy Przemyka i zerwie kontakty z Barbarą Sadowską.

– Teraz gdy przekonałem się, jak fałszywa jest Służba Bezpieczeństwa, nie ma nawet mowy o wycofaniu – odpowiada ojcu.

11 lutego, sobota

Nad ranem Cezary wraca do domu pobity. Ma zapuchnięte oczy, złamany nos, przeciętą wargę i zakrwawione ubranie. Wolna Europa mówi, że znów do akcji wkroczyli „nieznani sprawcy”, sugerując, że za pobiciem stoi milicja. Czarek nie chce powiedzieć nawet ojcu, kto go pobił, ani zgłosić pobicia na milicji. Początkowo odmawia nawet pójścia do lekarza. Mówi ojcu, że sam się z nimi policzy. (Później okaże się, że to cięgi od męża jego byłej dziewczyny).

Zwolnienie lekarskie pozwala mu chwilowo uniknąć wojska i pokrzyżować plany resortu.

13 lutego, poniedziałek

Nadzorującemu śledztwo prokuratorowi Tadeuszowi Gonciarzowi Wysocki opowiada, że scenę pobicia Przemyka w budynku pogotowia widziało dwoje pracowników. To ważny ślad, bo dotychczas oprócz wzajemnych oskarżeń Szyzdka i Wysockiego nikt tego faktu nie mógł potwierdzić. Ale gdy prokurator zapytał Wysockiego o te dwa nazwiska, ten zasłania się niepamięcią.

Na kolejne przesłuchanie prokurator Gonciarz przynosi do aresztu album z dwustu osiemdziesięcioma siedmioma fotografiami wszystkich pracowników pogotowia z Hożej. Wysocki ma wskazać tych, którzy byli świadkami pobicia. Nerwowo przerzuca kolejne kartki. Omiata wzrokiem fotografie i twierdzi, że dziś nikogo już nie może rozpoznać.

– Nabrałem wtedy podejrzeń, że ich zeznania mogą być fałszowane – mówi Gonciarz[64].

16 lutego, czwartek

W obronie aresztowanego Macieja Bednarkiewicza list otwarty do premiera Wojciecha Jaruzelskiego pisze siedemdziesięcioletni mecenas Władysław Siła-Nowicki. W czasach stalinizmu sam był skazany na karę śmierci i zanim został obrońcą w procesach politycznych, w komunistycznych więzieniach spędził dziewięć lat.

Siła-Nowicki pisze: „Przebrała się miara nieprawości, lekceważenia woli społeczeństwa i amoralności w działaniu niektórych ogniw władzy państwowej, stawiających się ponad wszelkim prawem.

Sytuacja odnośnie do działania organów ścigania w zakresie dążenia do ukrycia sprawców przestępstwa jest również oczywista. Wszelkie poszlaki wskazują, że Grzegorz Przemyk odniósł śmiertelne obrażenia w toku bicia go na posterunku milicji przy Jezuickiej, przy czym skutek śmiertelny nie był przez sprawców zamierzony. Niestety, organa ścigania przez szereg

miesięcy dążyły wszelkimi możliwymi sposobami, dozwolonymi lub niedozwolonymi, nie do wyjaśnienia stosunkowo prostej, niemal oczywistej sprawy, ale do zaciemnienia, skomplikowania i niedopuszczenia do tego, aby właściwi sprawcy czynu w ogóle zasiedli na ławie oskarżonych. Szeroki oddźwięk społeczny, olbrzymia liczba ludzi na pogrzebie, który przybrał charakter potężnej manifestacji, spowodowały, że nie można umorzyć tej sprawy po prostu »z braku dowodów winy«. […] Lecz zamiast przeprowadzenia normalnego postępowania przygotowawczego i skierowania sprawy do sądu w celu wyjaśnienia jej w drodze normalnego procesu i stosownego ukarania tych, którym wina zostanie udowodniona, puszcza się w ruch ogromny mechanizm organizacyjny, począwszy od blokowania mieszkania matki, a skończywszy na najrozmaitszych sposobach wywierania nacisku na świadków, groźbach, zastraszaniach”.

List Siły-Nowickiego robi światową karierę. Cytuje go BBC, pisze o nim „New York Times”, mówi Głos Ameryki i Radio Wolna Europa. Władza szaleje. Wydział śledczy MSW domaga się nawet tymczasowego aresztowania sędziwego adwokata. Na przesłuchania Służba Bezpieczeństwa wzywa warszawskich korespondentów zachodnich mediów: Johna Kifnera z „New York Timesa”, Kevina Ruane’a z BBC i jego polskiego współpracownika Karola Małcużyńskiego. Skąd mają list?

– Na zmianę przesłuchuje mnie dwóch kapitanów SB: Janas i Fonfara – wspomina Małcużyński. – Pierwszy bluzga, krzyczy, grozi aresztowaniem, drugi łagodnie namawia do złożenia zeznań, że i tak wszystko wiedzą, że nie mogę się zasłaniać tajemnicą dziennikarską. Właściwie nie wiem, czego ode mnie oczekują, że zakabluję własnego ojca, który mi ten list przekazał?

Kilka dni później prokurator oskarża Siłę-Nowickiego o rozpowszechnianie w kraju i za granicą listu otwartego zawierającego „oszczerstwa poniżające naczelne organa władzy państwowej”. Grozi mu osiem lat więzienia. Ale jak pisze John Kifner w „New York Timesie”, adwokat nie przejmuje się wysoką karą, bo po wojnie czterokrotnie już był skazywany przez komunistów na karę śmierci.

22 lutego, środa

Czy Sadowska może liczyć na sprawiedliwy proces, gdy czyta o nagonce na pogotowie? Podziemna prasa[65] pisze o drakońskich wyrokach, które właśnie zapadły, na sanitariuszy i lekarkę oskarżonych o ograbienie pacjenta. A to przecież tylko wprowadzenie do właściwej rozgrywki. Członkowie załogi Ch. i M. zostali skazani na pięć lat więzienia, a lekarka P., której jedyną winą było to, że nie zareagowała na szamotaninę z pijakiem, na cztery lata.

W powielaczowej, podziemnej gazetce „CDN" może jeszcze przeczytać, że wyroki zapadły mimo braku świadków i dowodów, a sam proces był farsą.

„Oskarżenie oparło się wyłącznie na zeznaniach dwóch osób: pijanego pacjenta T. oraz byłego sanitariusza z pogotowia, odsiadującego wyrok za oszustwo i kradzież, który o samej sprawie niewiele mógł powiedzieć, bo w czasie domniemanego napadu przebywał już w więzieniu".

Propagandowa histeria rozpętana przez władzę odbija się nie tylko na pracownikach pogotowia, ale też na zwykłych pacjentach.

„Personel karetek nie chce sprawdzać dokumentów ludzi, którzy zasłabli na ulicy, żeby nie być posądzanym o chęć kradzieży" – alarmuje „Trybuna Ludu"[66].

27 lutego, poniedziałek

Rano Czarek zjawia się na Hibnera w Warszawie. Opowiada Barbarze o nieudanej próbie wcielenia go do wojska, śmieje się, że jednocześnie wykiwał dwa ministerstwa: MON i MSW.

Dzięki podsłuchowi SB dowiaduje się też o tym, że Czarek ma już dość stałej kontroli ojca, że chciałby się uwolnić, ukryć, schować, odseparować. Tylko jak, skoro otoczony jest armią donosicieli, jego rozmowy są podsłuchiwane, a każdy krok śledzony? Gdy Barbara mimo to proponuje mu pomoc Tadeusza Rzeszótki, działacza podziemia ze Świebodzina, to zanim Czarek podejmie decyzję, o wszystkim już wie resort. Więc kiedy jadą razem do Świebodzina, esbecy przekazują ich sobie jak list polecony.

Za potwierdzeniem. I już kilka dni później milicja zatrzymuje Czarka pod pretekstem, że jest osobą zaginioną. Tłumaczą, że o jego zniknięciu poinformował milicję ojciec i do czasu wyjaśnienia sprawy musi zaczekać w milicyjnym areszcie. Odzyskuje wolność po interwencji zaprzyjaźnionego z Rzeszótką adwokata, ale milicja stawia warunek: w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musi się zgłosić na posterunku w rodzinnym Radomiu.

28 lutego, wtorek

– List otwarty Siły-Nowickiego to najnowszy atak reakcji na Służbę Bezpieczeństwa – tłumaczy generał Czesław Kiszczak. Trwa posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, najwyższego organu rządzącej partii. Są premier i ministrowie. Mają rozmawiać o przestrzeganiu prawa i umacnianiu praworządności, ale dyskusję zdominowała sprawa Przemyka.

Sekretarz KC Mirosław Milewski tłumaczy, że gdy sąd akta sprawy Przemyka zwrócił do uzupełnienia prokuraturze, ta zaprotestowała, składając skargę do Sądu Najwyższego. Łaje prokuratora generalnego Franciszka Ruska, którego prosił o wycofanie skargi, ale ten odmówił, czym wsparł nie tylko pełnomocników Sadowskiej, lecz także propagandę Radia Wolna Europa.

Milewski mówi o potrzebie przestrzegania prawa, ale zaraz dodaje, że trzeba brać pod uwagę też okoliczności i to, że na sprawę Przemyka należy patrzeć politycznie.

– Od początku była wykorzystywana do obłędnego ataku na nasz ustrój i osłabiania morale pracowników Służby Bezpieczeństwa – dodaje Kiszczak i mówi, że prokuratura lekceważy zalecenia Biura Politycznego w sprawie szybkiego zamknięcia śledztwa. – W więzieniu siedzi dwoje ludzi, którzy wzajemnie oskarżają się o śmierć Przemyka, i tu, paradoks, nikt nie chce ich przesłuchać.

Prokurator Rusek się broni. Wytyka Kiszczakowi, że resort naciskał na prokuraturę, by sfałszowała swój komunikat tak, by pominąć fakt, że Przemyk w ogóle był w komisariacie milicji.

– A Wysocki, który w końcu zeznał, że doprawił Przemyka – ciągnie Rusek – dziesięć razy może zmienić zeznania.

29 lutego, środa

Nad odpowiedzią na list otwarty Siły-Nowickiego pracuje od kilku dni cały wydział prasowy MSW. Efekty są mizerne, bo wygląda to na politrucką agitkę, a nie na błyskotliwą szermierkę. Odpowiedź ma być przecież opublikowana jako tekst redakcyjny w „Życiu Warszawy". Generał Kiszczak prosi o pomoc byłego dziennikarza, ciętego felietonistę, a dziś rzecznika rządu – Jerzego Urbana. Chodzi o dodanie polotu, stonowanie ideologicznego jadu, ale też o dołożenie bezczelnemu mecenasowi.

„Napisałem po swojemu, stroniąc od cytatów z Siły-Nowickiego, bo część opinii publicznej zaaprobowałaby jego sformułowania"[67] – informuje Urban komendanta głównego milicji.

„Wiem, że uznacie ten tekst za mniej ostry i za bardzo tłumaczący się. Uważam jednak, że nie jest ważne, żeby dosunąć Sile-Nowickiemu tak, aby poczuł, ale że adresatem jest opinia społeczna. Ta zaś raczej jest podatna na fakty niż ostre słowa".

Tekst ukazuje się następnego dnia w „Życiu Warszawy". Podpisany jest pseudonimem „Jerzy Nowomiejski". Tak podpisuje się Urban, gdy pracuje na zlecenie MSW.

Czytając odpowiedź rzecznika, trudno się oprzeć wrażeniu, że chodzi o coś więcej niż zmieszanie z błotem i ośmieszenie sędziwego adwokata.

„Najnowsza sensacja prasy zachodniej – pisze Urban – a przede wszystkim Wolnej Europy jest taka, że pewien emerytowany mecenas napisał list i nazwał go otwartym. Za tydzień być może pies partyjnego pokąsa panią Wałęsinę. Tego rzędu ewenementy służą do podniecania światowej opinii sprawą polską, której nie ma. Emerytowany adwokat Władysław Siła-Nowicki przekazał do zachodnich rozgłośni list ukazujący Polskę jako kraj rządzony policyjną prowokacją. Ponieważ jest adwokatem i człowiekiem otrzaskanym z metodami propagandowymi dostarczycieli bujdy dla Wolnej Europy, więc jego list nie może być błędem stroskanego

obywatela dobrej woli, lecz jest świadomym kłamstwem i potwarzą. Jakiekolwiek gesty czy odruchy o charakterze humanitarnym w stosunku do ludzi tak zajadłych jak Bednarkiewicz czy Siła-Nowicki są bezcelowe”[68].

Maciej Bednarkiewicz. Adwokat, którego bał się Kiszczak

Kancelaria Prawna Bednarkiewicz, Wilczyński i Wspólnicy w kamienicy na warszawskim Żoliborzu. Mecenas Maciej Bednarkiewicz siedzi przy długim stole. Opowiada o telefonie, który wyrwał go ze snu w nocy z 11 na 12 maja 1983 roku. Ze szpitala na Solcu dzwoniła Sadowska, prosząc, by przyjechał do umierającego Grzesia. Sadowska jest z rodziną Bednarkiewicza zaprzyjaźniona, mają dzieci w tym samym wieku, odwiedzają się w domach.

Tego samego dnia po południu o okolicznościach zatrzymania Bednarkiewicz rozmawia z trzema kolegami Grzesia: Jakubem, Czarkiem i Piotrem. Adwokat zapisuje ich szczegółową relację dotyczącą bicia w komisariacie na Jezuickiej.

– Początkowo prokuratura prowadzi śledztwo w sposób rzetelny i skrupulatny. Nie mam do nich żadnych zastrzeżeń. Dopiero w lipcu, gdy sprawę przejmuje prokuratura wojewódzka, zaczynają się problemy. To przełomowy moment. Znak, że polityka wzięła górę nad sprawiedliwością.

Prokurator Jackowska i prokurator Bardon odcinają mnie wtedy od informacji. O tym, że rozważają wersję pobicia przez sanitariuszy, przeczytałem w gazecie.

Dowiaduję się, że Czarek i jego rodzina są inwigilowani, a prokuratura zamiast śmiercią Grześka zaczyna zajmować się prywatnym życiem Sadowskiej.

Czy miałem świadomość, że to niebezpieczna sprawa także dla mnie? Tak, od lipca, gdy wezwano mnie na przesłuchanie do MSW. Puścili mi taśmę z przesłuchania Janusza Bilińskiego, dezertera, który uciekł z ZOMO. Przyjechał do Warszawy z Krakowa, szukał pomocy. Trafił do kościoła Świętego Marcina, gdzie spotkał Barbarę, a ona skierowała go do mnie.

Chciał, żebym go ukrył. Podczas spotkania ostrzegł mnie: „Ale jak mnie złapią, powiem im wszystko, co będą chcieli. To panu gwarantuję”.

Ostrzegałem, że kancelaria jest pod obserwacją, ale on nic sobie z tego nie robił i co jakiś czas przychodził do mnie w odwiedziny na Smolną. Złapali go właśnie pod kancelarią.

Słowa dotrzymał. Na tym nagraniu, które mi puścili, słyszałem, jak opowiadał o milicyjnej radiostacji, którą chciałem rzekomo od niego kupić, by podsłuchiwać radiowozy. Mówił, że chciałem znać skład zespołu funkcjonariuszy w komendzie przy Jezuickiej. Skąd on miał znać ludzi z Jezuickiej, jak nie był z Warszawy? To jakieś bzdury.

Powiedzieli mi, że jeśli do 1 stycznia nie ujawnię swojej wrogiej działalności, to będę miał kłopoty. Odpowiedziałem: „Pocałujcie mnie w nos”.

Aresztowali mnie 11 stycznia. Zawieźli na Rakowiecką, gdzie zwykle bywałem jako obrońca. Teraz prowadzą mnie przez korytarze, przekraczając kolejne kraty. Przy ostatniej czekał na mnie następny funkcjonariusz więzienny. Jeden z tych, który mnie tu prowadził, wcześniej podał mi rękę i powiedział: „Bardzo pana przepraszam, ja nie mam z tym nic wspólnego”.

Zrobili wszystko, żeby mnie nie było na procesie. Bali się, że mam jakieś dokumenty, które pokażę i które zmienią bieg wydarzeń.

Przesłuchiwał mnie sam szef Biura Śledczego MSW pułkownik Zbigniew Pudysz. Najbardziej interesowało go, gdzie się ukrywał Cezary F. Wciąż o to pytał. Bali się, że zostawił jakąś relację i ona wypłynie.

Siedziałem aż do momentu, kiedy sąd zamknął przewód w sprawie śmierci Przemyka. Rano, gdy proces się kończył, powiedzieli, że wychodzę. Przenieśli mnie z celi do przechowalni, gdzie czeka się na załatwienie ostatnich formalności. Czekam tam godzinę, dwie, sześć i ciągle nie ma decyzji o uwolnieniu, choć to przecież tylko formalność.

Potem dowiedziałem się, dlaczego moje wyjście z aresztu się przedłużało. W południe sędzia wznowił sprawę. Bali się, że prosto z celi przyjdę do sali rozpraw, coś pokażę, odwrócę losy procesu i cała sprawa zacznie się od nowa. Dlatego trzymali mnie do ostatniej chwili.

Czy mogłem zmienić tok procesu? Posiadałem dwa ważne dokumenty: oświadczenie Cezarego F. złożone zaraz po śmierci Przemyka i oryginalne zaświadczenie lekarskie wystawione po operacji Grześka. Z jednego i drugiego wynikało, że maturzystę pobili milicjanci w komisariacie.

Miałem pomysł, jak rozwiązać tę sprawę. Wszyscy milicjanci z Jezuickiej powinni być skazani za nieudzielenie pomocy. Ten komisariat był jak z greckiej tragedii: zamknięte miejsce, zamknięty czas. W ich obecności pobito tam chłopca i żaden z nich nie udzielił mu pomocy. Cała dwunastka, która była wtedy w komisariacie, musiała wiedzieć o pobiciu. Ich obowiązkiem było udzielenie pomocy w zagrożeniu życia. To można było wykorzystać. Cały komisariat powinien za to siedzieć. I wtedy albo państwo by się przyznało, że ma tak słabą milicję, albo wskazałoby tych, którzy bili. Ludziom było obojętne, za co będą siedzieć. Chcieli tylko zobaczyć milicjantów z wyrokami. To byłoby potwierdzeniem tego, o czym wszyscy wiedzieli – że milicja jest zbyt brutalna i nadużywa swojej władzy.

Pyta pan, który bił? To mnie nigdy nie interesowało. Nie próbowałem tego dochodzić, bo poniósłbym klęskę. Gdybym uznał, że milicjanci działali w celu pozbawienia życia, byłoby to bardzo trudne do udowodnienia z formalnego punktu widzenia. Nie sposób było wskazać, który, gdzie i z jaką siłą zadawał ciosy. Sami musieliby to dokładnie opowiedzieć, a ja nie wierzyłem w to, że oni w ogóle się przyznają.

Sprawa skończyła się tak, jak z założenia władzy miała się skończyć. Według rządzących milicja nie mogła być winna. Wygrała więc koncepcja, by za wszelką cenę milicjanci pozostali niewinni.

Miesiąc po moim zwolnieniu sprawę pomagania dezerterowi umorzyli na mocy amnestii. Nie mogłem się nawet odwołać, bo nie trafiła do sądu.

Z Barbarą widywałem się jeszcze po procesie, ale ona już nie miała do nikogo zaufania. Miała poczucie winy, ogromne wyrzuty sumienia. Mówiła, że Grzesiek przez nią został pobity na śmierć. Straciła wolę życia. Po prostu nie chciała dalej żyć i czekała na swój koniec. Gasła.

Marzec 1984

4 marca, niedziela

Wieczorem Radio Wolna Europa inscenizuje proces zabójców Grzegorza Przemyka. Słuchowisko ma być próbą osądzenia sprawców pobicia maturzysty.

– Już teraz widać, w jakim kierunku zmierza polityka MSW, działalność aparatu ścigania i wymiaru sprawiedliwości – mówi spiker. – Za zabójstwo Grzegorza Przemyka mają odpowiadać tylko pracownicy pogotowia ratunkowego. Osadzono i odizolowano ich w areszcie, a władze więzienne nie dopuszczają do nich adwokatów. Wymuszane jest na nich przyznanie się do winy. Ich zeznania są sprzeczne. Według jednej wersji sanitariusze mieli maltretować i kopać pacjenta po przywiezieniu go do budynku przy ulicy Hożej, według innej mieli kopać i bić w karetce pogotowia. Nikt nie próbuje uwzględnić prawdziwych okoliczności tragedii, jej początków i motywów, jakie doprowadziły do zbrodni[69].

9 marca, piątek

Kapitan Zdzisław Chwaszcz naciska na Jana, by jak najszybciej zabrał syna z Warszawy. Jego zdaniem Sadowska ma na chłopca bardzo zły wpływ. Stał się hardy i nieustępliwy, co wobec zbliżającego się procesu może przysporzyć dodatkowych kłopotów.

Doradza, by do Warszawy zabrał teściową, która ma z Czarkiem bardzo dobry kontakt, i zachęca, by z Sadowską już się nie patyczkować, pójść na ostro, tak by zostawiła na zawsze Czarka w spokoju. Rolę złego milicjanta ma odgrywać babka Czarka. Tylko że gdy przyjeżdżają na Hibnera, Barbary nie ma. Są jedynie jej znajomi i Czarek. Wszyscy od wzburzonej babki usłyszą, że jedyną osobą winną śmierci Grzesia jest jego matka – Barbara.

– Zaniedbywała go przez całe życie – krzyczy. – Nie pozwolę, by podobny los spotkał Czarka, którego wykorzystuje do swoich politycznych rozgrywek – oznajmia zdębiałym gościom. I grozi, że jeśli Barbara nie przestanie manipulować jej wnukiem, to „tę całą prawdę" przedstawi generałowi.

„Mimo tej kombinacji operacyjnej Cezarego F. nie udało się nakłonić do powrotu" – zanotował kapitan Zdzisław Chwaszcz.

„Ustalono operacyjnie – pisze dalej Chwaszcz – że Sadowska przygotowała dla F. zastępcze mieszkanie w Warszawie przy ulicy Białobrzeskiej 16. [Mieści się tam pracownia plastyczna Magdaleny Ficowskiej, córki Jerzego]. Istnieje domniemanie, że w tym mieszkaniu może się w przyszłości ukrywać F.".

12 marca, poniedziałek

Prokurator Tadeusz Gonciarz po raz kolejny przesłuchuje Wysockiego w mokotowskim areszcie. Są sami w pokoju przesłuchań, bez zwyczajowej asysty milicjantów. Prokurator daje do zrozumienia, że nie wierzy w samoobciążające zeznania kierowcy karetki. Wysockiemu zaczynają trząść się ręce. Płacze.

– Jest załamany, wzburzony, niespokojny – zapamiętał Gonciarz. Mówi prokuratorowi, że odwołuje wszystko, co niedawno powiedział. Naciskany dodaje, że dziś już nic więcej nie powie i nie odpowie na żadne pytanie. Ale zapewnia, że podczas kolejnej wizyty prokuratora opowie mu całą prawdę. Nie chce nawet powiedzieć, dlaczego dotychczas kłamał.

– Wszystko podczas następnego spotkania – obiecuje.

– To tylko utwierdza mnie w przeświadczeniu, że sprawa ma drugie dno – mówi Gonciarz. – Mam poczucie, że istnieje jakiś ośrodek kierujący akcją dezinformacji w tym śledztwie, ale nie potrafię go zlokalizować.

O dziwnym zachowaniu Wysockiego melduje szefowi prokuratury wojewódzkiej Zygmuntowi Papierzowi. Razem jadą do Henryka Prackiego, zastępcy prokuratora generalnego. Gdy w gabinecie Prackiego trwa narada, co dalej zrobić z chwiejnymi zeznaniami Wysockiego, kurier z komendy

głównej dostarcza najnowszy odcinek jego zeznań. Złożył je milicjantom już po wyjściu prokuratora. Wynika z nich, że teraz z kolei odwołuje wszystko to, co powiedział Gonciarzowi.

– Ktoś w tę sprawę ingeruje – zauważył Gonciarz. Inaczej trudno zrozumieć, dlaczego Wysocki zmienia w tak krótkim czasie wyjaśnienia.

Wkrótce prokurator Gonciarz znów jedzie na Rakowiecką. Wysocki stwierdza, że po przemyśleniu podtrzymuje swoje przyznanie się do winy, i opowiada, że Przemyka pobili z Szyzdkiem przy wejściu do windy. Ale już następnego dnia zmienia zeznania. Zapewnia, że pobili chłopaka w windzie, gdy wieźli go na pierwsze piętro.

Gonciarz zauważa, że gdy tylko pojawiają się wątpliwości co do zeznań Wysockiego, ten zaraz je koryguje, przedstawiając nową wersję, która próbuje rozwiać zastrzeżenia prokuratora.

Nie tylko opowieść, ale i jej zmienność podważają wiarygodność podawanych faktów.

Gonciarz po przesłuchaniu jedzie nawet na Hożą zobaczyć windę. Już na pierwszy rzut oka wydaje mu się zbyt mała na to, by można w niej pobić człowieka w taki sposób, jak opisuje oskarżony. A na dodatek windziarz Zychowicz z uporem twierdzi, że żadnego bicia nie widział.

Prokuratura przeprowadza później w windzie eksperyment procesowy z udziałem świadków i oskarżonych. Eksperyment potwierdza przypuszczenia Gonciarza. Biegli lekarze też twierdzą, że obrażeń Przemyk nie mógł doznać w windzie.

Tadeusz Gonciarz dodaje:

– Miałem wtedy już pewność. Wysocki nie mówi prawdy.

14 marca, środa

Kiedy Jan dojedzie do Warszawy, ma zadzwonić do kapitana Chwaszcza, który powie mu, czy Sadowska jest w swoim mieszkaniu. W końcu pozostaje pod stałą obserwacją i każde wyjście z domu i wejście do niego jest odnotowywane. Jan melduje gotowość o godzinie trzynastej trzydzieści cztery, ale zanim dotrze na miejsce, Sadowska wychodzi z mieszkania

„w towarzystwie starszego mężczyzny i kobiety w średnim wieku”. Wraca o piętnastej dwadzieścia pięć.

Rozmowa Jana z Barbarą trwa trzy godziny.

Barbara zapamięta dokładnie to spotkanie, bo trzy miesiące później opowiedziała o nim w sądzie.

– Krzyczał, że nie życzy sobie, aby jego nazwisko było szargane, że za pieniądze Wolnej Europy manipuluję jego synem i że Czarek jest przez to zagrożony. Tłumaczyłam, że nie mam wpływu ani na oszczercze informacje w prasie krajowej, ani na informacje płynące z różnych zagranicznych stacji. Opuszczając mój dom, zagroził mi, że jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, to on mnie załatwi[70].

Precyzyjniejsza jest w tej sprawie notatka z podsłuchu: „Jan zagroził Sadowskiej, że gdy nie zostawi jego syna w spokoju, to ją zniszczy. Powiedział, że ujawni wszystkie jej świństwa oraz to, że przez siedem lat demoralizowała jego syna. Zagroził, że uda się do biskupa albo napisze list otwarty i opisze w nim wszystkie sprawy, które dla Sadowskiej są kompromitujące. Sadowska początkowo zachowywała się dość agresywnie, ale wraz z upływem czasu jest zakłopotana i przestraszona. Zaczyna płakać”.

Ten list otwarty, o którym mówi Jan, to pomysł szefa stołecznej Służby Bezpieczeństwa, pułkownika Józefa Muniaka. Już w lutym zaproponował podwładnym, by skłonili Jana, który ma wystąpić w procesie jako zatroskany o losy ojczyzny oficer rezerwy LWP, żeby opisał kłopoty wychowawcze z synem, który jest demoralizowany i manipulowany przez kręgi wrogiej opozycji. Początkowo list miał być kierowany do premiera Jaruzelskiego, ale ostatecznie Jan napisał go do komendanta głównego milicji, generała Beima.

„Jestem do tego stopnia zbulwersowany zaciekłymi i perfidnie kłamliwymi atakami opozycji na władzę, a zwłaszcza na jej stróżów, że czuję się w obowiązku, jako obywatel naszej Ojczyzny i ojciec, napisać ten list i tą drogą może uda mi się wyhamować oszczerstwa w sprawie Grzegorza Przemyka. […] Ponieważ znam wiele faktów we wspomnianej sprawie i mam faktyczne dowody, chcę przeciwstawić prawdę kłamstwu.

Sądzę, że te fakty, które znam, ochronią przed tragedią nie tylko mojego syna, ale także inne młode osoby, które są oszukiwane przez dojrzałych ludzi z opozycji” – pisze Jan, zgłaszając milicji swą gotowość do pomocy w śledztwie. (Wkrótce zostanie w sprawie pobicia Przemyka przesłuchany).

24 marca, sobota

Od dwóch tygodni dzielnicowy z przebranym w mundur pracownikiem operacyjnym Służby Bezpieczeństwa prowadzą rozmowy z sąsiadami Barbary Sadowskiej, mieszkającymi w wieżowcu przy Hibnera 3. Pukają do każdego z ponad dwustu mieszkań i pytają, czy z lokalu numer 94 dochodzą odgłosy libacji alkoholowych. Jaki tryb życia prowadzi Sadowska? Czy zakłóca ciszę nocną? Czy ktoś dziwny do niej przychodzi?

Chodzi o wytypowanie takich sąsiadów, którzy mogliby o lokatorce spod dziewięćdziesiąt cztery powiedzieć coś naprawdę kompromitującego podczas zbliżającego się procesu. Coś, co sprawi, że gdy Sadowska zaatakuje resort, ich zeznania odwrócą uwagę. Sprawią, że będzie można spytać: czy komuś takiemu jak ona można ufać?

W całym bloku znalazły się tylko dwie osoby gotowe zeznawać przeciwko Sadowskiej: Maria Galas spod jedynki i Irena Klepuszewska spod trzydzieści jeden. Pierwsza zgodziła się zeznać, że Sadowska prowadzi się niemoralnie i zaniedbywała syna; druga, że widuje ją w towarzystwie młodych mężczyzn i słyszała o orgiach pijackich odbywających się pod dziewięćdziesiąt cztery.

Dodatkowe wytyczne otrzymali też funkcjonariusze wydziału B prowadzący obserwację jej mieszkania. Gdyby stwierdzili, że wychodzi z domu pod wpływem alkoholu, mają poinformować o tym milicjantów dyżurujących w radiowozie pod jej klatką. Ci ją wylegitymują, przebadają alkomatem i odwiozą do izby wytrzeźwień przy ulicy Kolskiej. Gdyby tak się stało, informację o pobycie Sadowskiej w izbie wytrzeźwień należy upublicznić w trakcie procesu.

28 marca, środa

Wobec sprzecznych zeznań prokurator Tadeusz Gonciarz przeprowadza dziś konfrontację podejrzanych: sanitariusza Jacka Szyzdka i kierowcy Michała Wysockiego. Wysocki opowiada, w jaki sposób transportowali Przemyka z Jezuickiej na Hożą. Mówi, że na wysokości Domu Mody, gdy dojeżdżali już do pogotowia, chłopak przemówił. „Ja już tu byłem" – powiedział. W trakcie szarpaniny Szyzdek złapał go chwytem za głowę.

Prokurator Gonciarz: – Na czym ten chwyt polegał?

Wysocki: – Nie mogę, panie prokuratorze. Jacek płacze.

Szyzdek: – Co robię?

Wysocki: – Nie wiem. Łzy z oczu ci lecą.

Prokurator: – Nie przerywajcie, panowie. Nie przerywajcie.

Czarek

Nie miał imienia, nazwiska i nie wiadomo było nawet, jak wygląda i ile ma lat. Dla mnie i moich kolegów ze szkoły morskiej w Darłowie był bohaterem. O tym, że w ogóle istnieje, dowiedzieliśmy się z Wolnej Europy i podziemnych gazetek. Stąd też wiadomo było, że nie da się zastraszyć i że jak przyjdzie czas, to opowie o wszystkim, co wie, w sądzie, pogrążając milicję, ZOMO, bezpiekę, czyli ogólnie reżim. Nie wiem, skąd się brało to przekonanie. Bo do mojego nadmorskiego miasteczka z dużym opóźnieniem docierały wieści z Warszawy. Sprawa Przemyka poruszyła nas, często rozmawialiśmy o niej w szkole. Jeździliśmy na koncerty rockowe i doświadczaliśmy na własnej skórze brutalności milicji.

Widzieliśmy, że są ścieżki zdrowia, że biją w komisariatach i w zaułkach ulic. To, co się stało z Przemykiem, było bardzo prawdopodobne.

Że mieszkał w Radomiu i nazywał się Cezary F., dowiedziałem się kilkanaście lat później, gdy pracowałem jako dziennikarz w „Gazecie Wyborczej”. W 1997 roku dotarł do niego mój redakcyjny kolega Wojciech Tochman. Czarek F. miał wtedy trzydzieści pięć lat, był bezrobotny. Posmutniały, posiwiały, postarzały. Tak go opisywał Tochman. Znów był najważniejszym świadkiem, którego zeznania miały pogrążyć Ireneusza Kościuka i Arkadiusza Denkiewicza. Tochman opowiadał, że F. jest nieufny i wciąż się boi o życie swoje i najbliższych – żony i dzieci. Mówił Tochmanowi, że niedawno spłonął mu zakład stolarski, który prowadził z ojcem. Twierdził, że mógł to nie być przypadek, dlatego prosi reportera, by nie ujawniał w tekście jego nazwiska.

„Jest zgorzkniały, każde zdanie zanim wypowie, przemyśli pięć razy. Zero emocji, pełna kontrola” – pisze o nim reporter.

Rozczarowało go nowe śledztwo i proces.

– To wszystko fikcja, a nie sprawiedliwość – stwierdził. Mówił, że obecne działania prokuratury niewiele różnią się od tych z lat

osiemdziesiątych.

– Muszę dojść prawdy – powtarzał Tochmanowi.

* * *

Cezary F. obliczył, że rozpracowywało go dwustu czterdziestu esbeków. Efekty ich pracy znajdują się dziś w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej pod kryptonimem: Sprawa Operacyjnego Rozpracowania „Junior”. Osiem grubych teczek dokumentów leży teraz przede mną w czytelni IPN przy Marszałkowskiej w Warszawie.

Najważniejszy dokument to ten pierwszy, z doklejonym legitymacyjnym zdjęciem, na którym widać chłopca z pierwszym wąsem wyhodowanym z młodzieńczego meszku, chłopca w białej koszuli pod krawatem. Podejrzany jest o składanie tendencyjnych zeznań obciążających milicję odpowiedzialnością za śmiertelne pobicie Przemyka.

W teczce są informacje, do jakiej szkoły chodził, z kim się kolegował, dlaczego przeniósł się z ojcem z Wrocławia do Radomia, jak poznał Barbarę i Grześka, o czym pisała listy do niego, a on do niej, o czym rozmawiał przez telefon w domu, w rodzinnej pralni (to wiadomo z założonych podsłuchów). Są intymne szczegóły z życia opowiadane przez koleżanki, kolegów, przyjaciół rodziny, znajomych, wychowawców i każdego, kto mógłby cokolwiek złego o nim powiedzieć.

Analizując te informacje, eksperci z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej próbują wskazać słabe punkty figuranta, jak w esbeckiej nomenklaturze nazywa się rozpracowywanego człowieka, czyli takiego, o którym Służba Bezpieczeństwa chce wszystko wiedzieć, by móc manipulować informacjami dla osiągnięcia z góry założonego celu. W przypadku Czarka chodzi o to, żeby wszelkimi możliwymi sposobami skłonić go do wycofania zeznań, a jeśli się nie uda – zebrać tyle „komprmateriałów” (kompromitujących materiałów), by całkowicie odebrać mu wiarygodność.

Czarek od początku sprawia milicjantom i esbekom problemy, bo nie da się na niego wpłynąć ani groźbami, ani przyjacielskimi radami, ani przekupstwem.

Otoczony jest armią donosicieli informujących SB o każdej jego aktywności, więc nie sposób cokolwiek przeoczyć. Z każdego dnia SB przygotowuje raport dotyczący tego, co robił, co mówił, z kim się spotykał, o czym rozmawiali, co planuje.

Jeśli F. zapowie w pralni, że wybiera się do Warszawy, tego samego dnia informator z pralni melduje o tym swojemu oficerowi prowadzącemu, a ten przekazuje wiadomość radomskim przełożonym. Jeśli jest pilna, od razu wysyłają ją teleksem do Warszawy. Każdego dnia dziesiątki ludzi pracują nad tym, by wiedzieć, co F. zamierza. Gdy wsiada do pociągu, towarzyszy mu radomski funkcjonariusz i dopiero po przyjeździe do Warszawy przekazywany jest resortowym kolegom ze stolicy. Każdy jego wyjazd to dwie, trzy strony dodatkowej dokumentacji. Trzeba notować, z kim się spotkał, który dom odwiedził i jakimi ulicami przeszedł.

Tę ośmiotomową rozprawę o machinie państwa próbującej przemielić jednostkę czyta się jak polityczno-kryminalny thriller, pomijając siermiężny język tajnych służb, którym to wszystko napisano. Wciąga. Bo główny bohater nie jest żadnym cukierkowym lalusiem, ma pokręcony życiorys i mimo młodego wieku nieźle się poobijał na zakrętach życia. Ma swoje za uszami, nie jest aniołem, ale jak przychodzi godzina próby, jest twardy, nieugięty, nieufny i cała ta armia donosicieli i esbeków niewiele może mu zrobić. Opowieść urywa się niespodziewanie i bez puenty tuż po zakończonym procesie w 1984 roku. Resort traci nim zainteresowanie. W teczkach jest jeszcze informacja, że Cezary F. rozpocznie wkrótce służbę wojskową w oddziałach obrony cywilnej. I tyle. Powoli znika z Warszawy, tracąc kontakt z Barbarą i jej znajomymi. Po jej śmierci próbuje sobie ułożyć życie. W 1986 roku poznaje Iwonę. Dwa lata później biorą ślub. Mają trójkę dzieci, mieszkają we wsi pod Radomiem. Czarek pracuje we własnej stolarni, dopóki budynek nie spłonie w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Z cienia wychodzi na początku lat dziewięćdziesiątych. Jego listy do sądu znalazłem w aktach sprawy Ireneusza Kościuka. Pisze niebieskim długopisem, że telewizja wciąż pokazuje spreparowane przez SB materiały dotyczące jego prywatnego życia, że szkaluje się jego dobre imię i pamięć

o świętej pamięci Grzesiu i Barbarze Sadowskiej, że prokurator Jerzy Jaskiernia ignoruje jego skargi. I że teraz będzie domagał się odszkodowania za te wszystkie krzywdy z lat osiemdziesiątych (pod pismami z żądaniem odszkodowania podpisał się też Jan F., który, jak wynika z dokumentów, ofiarą czuć się nie powinien).

Cezary F. ma teraz pięćdziesiąt pięć lat i jest Polską rozgoryczony.

– Tak jak każdy, kto nie ma pracy i nie może jej znaleźć – zauważa przyjaciółka Barbary Ligia Urniaż-Grabowska, która nieprzerwanie od ponad trzydziestu lat utrzymuje z Cezarym kontakt.

Opowiada o paraliżującym strachu o Czarka, kiedy okazało się, że jest jedynym świadkiem pobicia Grześka, i ukrywał się przed milicją po jego śmierci.

– My wtedy naprawdę myśleliśmy, że wykończą go, gdy wpadnie w ich ręce – mówi.

I o powrocie tego strachu w latach dziewięćdziesiątych, kiedy znów był koronnym świadkiem i w niewyjaśnionych okolicznościach spaliła się jego stolarnia. Że bał się o żonę i dzieci, gdy ktoś zaczopował im komin w domu i o mało się nie podusili. Iwona, żona Czarka, odbierała wtedy anonimowe telefony. Męski głos nieznanego sprawcy po drugiej stronie słuchawki informował, że ich dni są policzone. Wszyscy zostaną zagazowani lub spłoną. To rujnowało im życie.

– O takich historiach czyta się w książkach, ale póki się człowiek nie otrze o nie, nie ma pojęcia, jak niszczą ludzi, jak wielkie czynią wokół spustoszenie – dodaje Ligia Urniaż-Grabowska.

Od przyjaciółki Barbary dostaję numer telefonu do Jana F., który może mnie skontaktować z synem. Ostrzega jednak, że nie będzie łatwo, bo Jan niechętnie godzi się na rozmowy Czarka z dziennikarzami, a bez jego akceptacji jest to niemożliwe.

Głos w słuchawce jest niski i pewny.

Opowiada o krzywdach, których wciąż doznaje rodzina F. w polskich sądach. Jan mówi, że to draństwo. Jest pełen pretensji. Szczególnie wobec sądu, który odmawia wypłacenia odszkodowania.

– Gdzie jest sprawiedliwość? – pyta. – Nie może być tak, że wyroki w naszej sprawie wydaje stary komuch, który skazywał opozycjonistów. Czy taki facet ma moralne prawo orzekać, czy myśmy z synem walczyli o Polskę?

Jan o krzywdach, które spotkały Czarka, mówi w liczbie mnogiej: nękano nas, straszono, próbowano złamać, ale my byliśmy nieugięci.

– Właśnie o tym chciałbym porozmawiać z Czarkiem – przerywam Janowi F.

– Skontaktuję się z synem i damy znać, czy będziemy chcieli o tym rozmawiać – mówi F.

Dzwonię po tygodniu. W słuchawce ten sam niski głos:

– Nie, nie będziemy rozmawiać – mówi kategorycznie F. – Nie jesteśmy osobami publicznymi, mieliśmy przez to nieprzyjemności, dlatego nie chcemy.

– Może sam Czarek się na to zgodzi? – pytam nieśmiało.

– To decyzja moja i Czarka – odpowiada Jan.

Po kilku miesiącach dzwonię ponownie. Jestem już po lekturze akt w IPN. Przeczytałem tam o esbeckiej próbie wciągnięcia rodziny F. w aferę gospodarczą, ale też o częstych rozmowach Jana z esbekami na temat Czarka.

– Wodziłem ich za nos jak trzeba – bagatelizuje Jan.

– W aktach to inaczej wygląda – zauważam.

– W to, co oni piszą, wierzyć nie można. Konfabulują. Tłumaczyłem Czarkowi, że muszę z nimi rozmawiać, inaczej nas wszystkich zabiją. To nie były żarty. Niejeden niewygodny świadek gryzie ziemię, bo naraził się komunistycznemu reżimowi – mówi Jan F.

– Ale pan się z nimi spotykał dość systematycznie – przypominam.

– Spotykałem się tyle, ile trzeba. Dużo pieniędzy wydałem na wódkę, by ich spić i czegoś się dowiedzieć, ale to są moje prywatne sprawy. Nie będę o tym rozmawiał – ucina.

* * *

Jak dotrzeć do Czarka, omijając ojca? Iwona F., żona Cezarego, obiecuje przekazać mu mój list.

„Panie Czarku – piszę do F. – moi rozmówcy mówią, że gdyby nie Pana twarda postawa, to procesu zabójców Grześka w ogóle by nie było. Był Pan najtwardszym ogniwem i nigdy się nie ugiął. Wiem z dokumentów, jakiego arsenału nacisków użyto, by zmienił Pan zeznania. Podziwiam hart ducha. Niewielu by się na coś podobnego zdobyło”.

– Nic z tego nie będzie – mówi po czasie Iwona F.

– Dlaczego?

– Mąż oderwał się od teraźniejszości i żyje w latach osiemdziesiątych. Razem z ojcem pielęgnują w sobie doznaną krzywdę.

– Czy mąż wie, że ojciec na bieżąco opowiadał o nim funkcjonariuszom służb?

Iwona F. odpowiada:

– Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Mówił mi tylko, że „tata robił ich wszystkich w trąbę”. Dawniej, gdy próbowałam z nim o śmierci Grześka rozmawiać, to musiał potem sobie dzień albo dwa popić. Wywabiał smutek alkoholem. Tak odreagowywał. Teraz nie pije, ale wiem, że przeżywa tę historię, jakby wydarzyła się przed chwilą.

Jak mój mąż spotka się z rodzicami, za każdym razem rozmawiają o sprawie Przemyka. Żyją w innym świecie. Dla nich jest wciąż rok 1983. Komuniści, walka, prześladowania. Nic się dla nich nie zmieniło. Nie da się tak żyć. Bardzo długo męża wspierałam. Na Wszystkich Świętych razem jeździliśmy na grób Grześka. A gdy urodziły się dzieci, braliśmy je ze sobą.

W latach dziewięćdziesiątych towarzyszyłam mu podczas każdej rozprawy w sądzie, każdego przesłuchania w prokuraturze. To był dla niego koszmar, bo znajomi, przyjaciele, rodzina, no, niestety, okazali się agentami. Przychodzili do domu, rozmawiali, a potem o wszystkim donosili. Najlepszy przyjaciel jego ojca też okazał się donosicielem. Ciągle o tym gadają, bo mąż opiekuje się rodzicami i się do nich wprowadził. Nasza córka Ania jeździ tam często. Mówi, że jak tylko wejdzie, to jest jeden temat – Grzesiek Przemyk, SB i lata osiemdziesiąte. Godzinę posiedzi i ucieka, bo ma dość.

Życia przecież na to szkoda, mówię. Trzeba żyć teraźniejszością, a nie przeszłością. Ktoś musi być wsparciem dla rodziny i stać twardo na ziemi. Jestem ostatnią dla niego gałązką, której może się chwycić, by wydobyć się z przeszłości, jeśli kiedyś zechce.

Kwiecień 1984

3 kwietnia, wtorek

Czarka nie uda się skłonić do wycofania zeznań, ale można próbować je złagodzić – uważa resort. Trudnej misji podejmuje się podpułkownik Wiesław Lewandowski, naczelnik wydziału śledczego z Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Przyjechał z Warszawy do Radomia, by przeprowadzić rozmowę z F.

Cezary został wezwany do komendy pod pretekstem przesłuchania w sprawie jego lutowego pobicia. Po złożeniu wyjaśnień do pokoju numer 108 wchodzi podpułkownik Lewandowski i rozpoczyna trzygodzinny monolog o sprawie Przemyka. (Rozmowę rejestruje departament techniki MSW. Zachował się z niej trzydziestosześciostronicowy stenogram).

Podpułkownik Lewandowski:

– Panie Czarku, to jest rozmowa w cztery oczy i poza nas nigdzie nie wyjdzie. Zbyt pana szanuję, żebym czynił jakieś próby przekonania pana. Chodzi mi tylko o pana dobro. Ktoś pana chce wpuścić w maliny. Takie rzeczy mogą się źle skończyć dla pana. Musi być pan wyczulony.

Pana kolega wyszedł z komisariatu o własnych siłach, normalnie, został zaprowadzony do karetki, proszę pana, a w karetce, jak pan wie, doszło do szamotaniny. Oni go tam poskramiali. Pan przecież wie, że oni często używali wobec pacjentów siły. Dlatego są aresztowani w innej sprawie o pobicie. Pan myśli, że to jakaś zagrywka, tak? Niech pan zrozumie, przecież oni mogli się przyczynić do tej sytuacji, która się tak tragicznie zakończyła dla pana kolegi. Oni mają skłonności do tego typu zachowania. To nie jest ich pierwszy przypadek. Wiemy o podobnych sześciu czy siedmiu.

Czarek:

– Nie wiedziałem.

Podpułkownik Lewandowski:

– Takich zdarzeń było wiele, jeśli chodzi o tę załogę. Dlatego wyrażam przekonanie o słuszności podejrzeń co do ich roli w sprawie Grzegorza. To nie ulega wątpliwości. Wychodzi chłopak o własnych siłach z komisariatu. (Nie musiał się przecież tak źle czuć, skoro w karetce rzucił się na sanitariuszy). Jakoś niezrozumiałe jest dla mnie, że on miał zostać pobity w komisariacie. No ale to rzeczą sądu będzie zajęcie stanowiska w tej sprawie.

Wie pan, sytuacja w komisariacie była dość zagmatwana. Szybko to wszystko przebiegało, prawda, panie Czarku? Ale na ile jest pan dziś przekonany, że pana kolega Grzegorz w tym komisariacie został pobity? Ja też, przechodząc ulicą, widząc kogoś skulonego na ławce, mogę pomyśleć, że go brzuch boli. Ale może go boli coś innego?

Wzywając karetkę, milicjanci powiedzieli, że to jakiś wariat. Krzyczy, szarpie się. A co miała milicja powiedzieć, że księdza mają, który siedzi i się modli?

A pan raz mówi, że w komisariacie trzymano kolegę za obydwie ręce, drugi raz, że tylko za przegub ręki. To dużo zmienia. Pan jest najważniejszym świadkiem i musi pan sobie z tego zdawać sprawę.

Gdy pan pierwszy raz zeznawał w prokuraturze, był pan strasznie bojowy, a nawet agresywny. Dlatego te pana pierwsze zeznania są bardzo emocjonalne. Zastanawiam się, czy to nie był wyskok emocji.

Panie Czarku, przecież pani Sadowska nie lubi milicji. Więc być może dlatego opowiadała wszystkim przyjaciołom o pobiciu w komisariacie?

Potem próbowała nas przekonać, że zabrała syna do domu, bo nie miała zaufania do lekarzy, prawda? Każdy, będąc na jej miejscu, wiedząc o tym, że chłopak został pobity w komisariacie, zareagowałby identycznie. Ale gdybym dowiedział się, że mojego syna pobiła Solidarność, to co ja bym zrobił? Ja, proszę pana, zawiózłbym go do szpitala, do kogoś, do kogo mam zaufanie, i powiedziałbym mu: „Zobacz, opisz, udokumentuj wszystko, bo ja zrobię z tego użytek.” Tak ja bym zrobił. A ona? Jej reakcja jest trochę wątpliwa, prawda?

Panie Czarku, nie może pan ulegać emocji. Jeśli pan widział, że było jedno uderzenie, albo nie widział uderzenia, tylko szamotaninę, to pan to

musi w sądzie powiedzieć. Wierzę w pana sumienie, bo wiem, że pan stara się dotrzeć do prawdy i nie skrzywdzi pan niewinnych funkcjonariuszy.

Najbardziej mi zależy, żebym był dobrze zrozumiany przez pana. Bo intencją tej rozmowy jest to, żeby pan przedstawiał wszystko we właściwym wymiarze i we właściwy sposób. Pan musi być przekonany o tym, co pan mówi. Gdy będzie pan zeznawać, musi się pan ograniczyć do tego, co pan widział, bo jak pan będzie upiększał, to zabrnie pan w sytuację bez wyjścia.

Po wyjściu Cezarego w resorcie bardzo wysoko oceniono profesjonalizm podpułkownika Lewandowskiego.

„Rozmowa przebiegała zgodnie z naszymi przewidywaniami – zanotował kapitan Zdzisław Chwaszcz. Jeśli chodzi o sposób przesłuchania i klimat rozmowy, Cezary nie mógł wyjść z podziwu, że tacy ludzie pracują w milicji. Podpułkownik Lewandowski ma szansę w dalszych spotkaniach z Cezarym wywrzeć na niego duży wpływ, co może zdecydować o zmianie treści zeznań. Celowe byłoby dalsze destruktywne oddziaływanie na grupę Sadowskiej, by w ten sposób sami odsunęli się od Cezarego”[71].

5 kwietnia, czwartek

„MSW za wszelką cenę chce dowieść, że milicjanci są niewinni” – notuje w dzienniku wicepremier Mieczysław Rakowski. Dziś odwiedził go prokurator generalny Franciszek Rusek, który skarży się, że MSW chce z prokuratury zrobić swoją filię. Ale on już nic zrobić nie może, bo miesiąc temu Rada Państwa wysłała go na przymusowy urlop. Powiedziano mu, żeby się w prokuraturze nie pokazywał. Jego obowiązki przejął zastępca, Józef Żyta, który w sprawie Przemyka wykazuje większe zrozumienie dla oczekiwań MSW.

Rusek opowiada Rakowskiemu, jak próbowano wymusić na nim, żeby w komunikacie o zatrzymaniu Przemyka pominął informację o pobycie w komisariacie.

– A przecież – mówił Rakowskiemu – komendant i inspektor wyskoczyli ze swoich pokoi, ponieważ usłyszeli krzyk bitego.

– W ostatniej fazie śledztwa – twierdzi Rusek – pojawił się jakiś Wysocki, który przyznał się do pobicia Przemyka i że to chyba on spowodował jego śmierć. Miał takie wyrzuty sumienia, że pojechał do Częstochowy, by dać na mszę świętą za duszę chłopca.

Rusek ironizował na ten temat – zanotował Rakowski – ponieważ Wysocki kilka razy zmieniał zeznanie.

„Nie ulega wątpliwości, że jest to człowiek, którego MSW zdołało »przekonać«, żeby złożył takie zeznania. Rusek opowiada mi o różnych formach nacisku wywieranych na niego przez Kiszczaka, Ciastonia, Milewskiego. Z przerażeniem słuchałem jego relacji".

10 kwietnia, wtorek

Jedną z pierwszych decyzji następcy Ruska, Józefa Żyty, jest próba wyplątania milicjantów ze sprawy śmierci Przemyka. Na jego zlecenie dyrektor Departamentu Postępowania Karnego Stanisław Wyciszczak szuka w aktach sprawy odpowiednich argumentów na uzasadnienie stwierdzenia, że milicjanci są niewinni. Jego analiza dociera dziś do prokuratora Żyty i stanie się tarczą chroniącą milicjantów. Dyrektor Wyciszczak uważa, że nie ma żadnych podstaw do objęcia aktem oskarżenia ani zomowca Ireneusza Kościuka, ani milicjanta Arkadiusza Denkiewicza, bo żaden z nich nie popełnił przestępstwa.

Co prawda, obciążają ich zeznania naocznego świadka Cezarego F., ale są one, jego zdaniem, niewiarygodne. Dlaczego? Bo świadek leczył się psychiatrycznie i był przyjacielem pobitego oraz jego matki. „Mógł ulegać poglądom i opiniom domu [Sadowskiej] oraz panującej w nim atmosferze politycznej"[72] – napisał.

Jego zdaniem to niemożliwe, by milicjanci pozwolili F. oglądać scenę bicia Przemyka, a tym bardziej powątpiewa, że Denkiewicz mógł w jego obecności wypowiadać wskazówki dotyczące tego, jak to robić.

Równie niewiarygodne dla Wyciszczaka są zeznania Jakuba Kotańskiego. Dlaczego? Bo nerwica, na którą cierpi, powoduje zaburzenia koncentracji. A ponadto zauważył, że Kotański rozpoznał krzyk Przemyka

jako wielokrotność dźwięku „a”. „Tymczasem proste doświadczenie życiowe uczy, że w takiej sytuacji nie można rozpoznać nawet głosu osób najbliższych” – napisał.

Najważniejszy jednak dowód logiczny prokurator Wyciszczak wysnuł z faktu, że o pobiciu przez sanitariuszy Grzegorz Przemyk nikomu nie powiedział. Ani matce, ani kolegom, ani lekarzom ze szpitala.

„Oczywiście, pobicie w pogotowiu ratunkowym kłóciło się z tą mistyfikacją polityczną, dlatego o nim milczano” – twierdzi Wyciszczak.

18 kwietnia, środa

Ostatnią przeszkodą do wyciszenia udziału milicjantów jest opinia biegłych. Wciąż się upierają, że śmiertelnych obrażeń Przemyk doznał w komisariacie, bo wcześniej nie zdradzał żadnych symptomów urazu jamy brzusznej. Siedmioosobowy zespół lekarzy jednomyślnie uznał, że pierwsze objawy chorobowe pojawiły się w momencie wyprowadzania chłopca z budynku komisariatu. „Zachowywał się jak człowiek będący w stanie rozwijającego się wstrząsu” – wspominał profesor Zdzisław Marek, kierownik Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego[73].

Opinia biegłych jest dla resortu jeszcze bardziej druzgocąca, bo lekarze stwierdzają w niej, że nawet jeśli doszłoby później do szarpaniny w karetce lub pobicia, to pacjent mógł doznać co najwyżej dodatkowych obrażeń.

Resort próbuje więc naciskać na profesorów, by zmienili swoją opinię. Do dwóch najbardziej wpływowych biegłych – profesora Andrzeja Jaklińskiego (specjalisty krajowego w dziedzinie medycyny sądowej) i profesora Stefana Raszei (przewodniczącego Towarzystwa Medycyny Sądowej) – MSW wysyła swoich przedstawicieli, by skłonić ich do zmiany zdania.

Profesora Jaklińskiego próbuje przekonać jego dawny uczeń, a dziś podpułkownik MO Aleksander Iwaszkiewicz. Wmawia profesorowi, że chłopiec został jednak pobity w stacji pogotowia, a więc ustalenia biegłych są nieprawidłowe.

– To jakaś mętna sprawa i próba wykręcania kota ogonem – odpowiada na to profesor Jakliński.

W kwietniu biegli zostają ponownie zaproszeni do Warszawy. Do zmiany opinii ma ich przekonać film wideo nakręcony podczas wizji lokalnej w pogotowiu. Ma on ilustrować prawdziwy przebieg zdarzenia.

Na prośbę prokuratury przygotowują jeszcze jedną ekspertyzę. „Podtrzymujemy wnioski zawarte w poprzednich opiniach" – piszą w niej.

„Niezadowolenie zleceniodawców było widoczne. Trzeba jednak przyznać, że nikt już nie zaprotestował. Tylko jeden raz podszedł do biegłych pracownik MSW, który w ramach łagodnej perswazji wyjaśniał nam, że te opinie są krzywdzące dla uczciwych oraz pełniących trudną i odpowiedzialną służbę funkcjonariuszy, którzy nie popełnili czynu im zarzucanego" – napisał w swoich wspomnieniach profesor Zdzisław Marek.

19 kwietnia, czwartek

Chodzi nie tylko o to, by zaszkodzić Sadowskiej, ale przede wszystkim o przekonanie sądu, że główny świadek oskarżenia jest osobą niewiarygodną. Zadanie to resort powierza ojcu Czarka, Janowi F. Dwa dni przed przesłuchaniem w prokuraturze Jan spotyka się z dobrze znanym sobie kapitanem Zdzisławem Chwaszczem i podpułkownikiem Wiesławem Lewandowskim, który niedawno próbował ugłaskać Czarka. Tłumaczą Janowi, jak ważna dla przebiegu procesu będzie jego postawa. Chodzi o przekonanie sądu, że Czarek nie jest świadkiem bezstronnym, bo zbyt wiele go łączy z Barbarą i Grześkiem, oraz zasugerowanie, że może być pod dużym wpływem podziemia.

Dziś Jan wywiązuje się w prokuraturze ze swoich zobowiązań. Mówi o nadużywaniu przez syna alkoholu, jego związkach z marginesem społecznym i zakładzie poprawczym, do którego trafił, gdy ojciec nie mógł sobie z nim poradzić.

Jan mówi, że wszystko, co najgorsze, spotkało jednak syna, gdy poznał Barbarę Sadowską. To ona sprowadziła go na złą drogę, zapoznając

z Jackiem Kuroniem, Adamem Michnikiem i innymi opozycjonistami. I ukrywała go, gdy był poszukiwany przez milicję. Jan przywiózł ze sobą list, który przed laty Barbara wysłała do Czarka. Pokazuje prokurator Annie Jackowskiej nagłówek i mówi, że nieprzypadkowo pisze do niego „kochanie”.

– Wielokrotnie ostrzegałem syna – zeznaje Jan – aby nie dał się wciągnąć w jakąś grę polityczną, bo sprawie śmierci Grzegorza Przemyka opozycja, znajomi Sadowskiej i ona sama chcą nadać wymiar polityczny.

„Zeznania zgodne z naszymi oczekiwaniami” – zanotuje kapitan Chwaszcz, gdy kilka dni później protokół dotrze do resortu.

26 kwietnia, czwartek

Nadzorujący śledztwo prokurator Tadeusz Gonciarz, który kończy pisać akt oskarżenia, zostaje niespodziewanie wezwany do siedziby Komitetu Centralnego PZPR w Alejach Jerozolimskich na spotkanie z ministrem Czesławem Kiszczakiem.

O randze spotkania świadczą towarzyszący ministrowi uczestnicy: sekretarz Biura Politycznego KC PZPR do spraw bezpieczeństwa Mirosław Milewski i komendant główny milicji Józef Beim. Jest też prokurator generalny PRL Franciszek Rusek.

Kiszczak jest zły na prokuraturę, bo dowiedział się, że nie zamierza zrezygnować z oskarżenia milicjantów. Rozpoczyna się połajanka i próba złamania Gonciarza.

Minister pyta prokuratora, czy ma polityczną świadomość tego, co zamierza zrobić. Czy wie, że podpiłowuje gałąź, na której wszyscy siedzą? Czy zdaje sobie sprawę z nieprzewidywalnych następstw w przypadku rzucenia podejrzeń na milicję? Czy wie, jakie to może pociągnąć za sobą skutki społeczne?

Generał Kiszczak tłumaczy prokuratorowi, że milicjanci są niewinni, bo do pobicia Przemyka przyznali się już sanitariusze. Dlaczego więc wciąż nęka się chłopców z Jezuickiej?

– Przecież zeznania F. są niewiarygodne – twierdzi generał. Sadowska natomiast rozpowiada plotki, bo jest wrogiem PRL, a lekarze ze szpitala na Solcu, którym Przemyk miał opowiadać o biciu w komisariacie, kłamią, bo współdziałają z podziemiem.

Gonciarz milczy. Argumenty Kiszczaka stara się odpierać prokurator Rusek. Po każdej jego krytycznej uwadze lakonicznie odpowiada:

– Dowody są, akt oskarżenia będzie.

Akt oskarżenia prokurator Gonciarz pod koniec kwietnia przekazał do akceptacji swojemu szefowi Zygmuntowi Papierzowi. Prokurator Papierz prosi o wprowadzenie drobnych poprawek, by złagodzić udział milicjantów w pobiciu, a główną winę przerzucić na sanitariuszy z pogotowia: Szyzdka i Wysockiego. Tadeusz Gonciarz wprowadza sugerowane poprawki, łagodzi pewne kategoryczne stwierdzenia dotyczące milicjantów, ale, jak twierdzi, nie osłabia przyjętej linii oskarżenia wobec Denkiewicza i Kościuka. Podpisuje akt oskarżenia i jest przekonany, że właśnie w takiej formie trafi do sądu.

Barbara. Wilczyca z wyrwanym płodem

Pokój Grzesia wygląda, jakby chłopiec za chwilę miał się tu zjawić, wziąć opartą o biurko gitarę, usiąść na materacu i grać *Obławę* Kaczmarskiego aż do zsinienia palców.

– Basia jest ubrana na czarno, stara się nie dać poznać po sobie, że cierpi, wokół kręci się mnóstwo ludzi – zapamiętał Aleksander Jurewicz, który przyjechał do stolicy kilka dni po pogrzebie Grześka. Sadowską poznał dwa lata wcześniej w czasie Warszawskiej Jesieni Poezji i odtąd czasem zatrzymywał się u niej.

– Urżnęliśmy się tego wieczoru – opowiada. – Następnego ranka obudziłem się w łóżku Grzesia. Otworzyłem oczy i zobaczyłem dziecięcy bucik na żyrandolu, odstawioną gitarę i wykaligrafowaną na ścianie *Modlitwę bohaterów* Rafała Wojaczka. Wyglądało to tak, jakby Grzesiek przed chwilą stąd wyszedł. Wstałem z łóżka, wziąłem flamaster i napisałem na sąsiedniej ścianie: „Grzesiu, szkoda, że cię nie zastałem", wróciłem do Gdańska, napisałem wiersz i rozesłałem znajomym. (Przypisywano go potem Grześkowi jako ostatnie przed śmiercią zapisane przez niego słowa).

Kiedy tak siedzimy ciasnym kręgiem
w tym mieszkaniu jakby wiszącym
nad Warszawą zasnutą upałem i strachem
pośród coraz to nowych kwiatów, ludzi
wśród muzyki i tylu książek w których
nie znajdziemy żadnej odpowiedzi
na to co się stało
Kiedy tak żywi patrzymy na siebie
z obawą czy jutro albo pojutrze
nadal będziemy razem słuchać *Epitafium*
dla Wysockiego lub po raz któryś
odczytywać ten wiersz przepisany na ścianie
„Na brednię naszą i naszą nędzę
Na zatwardziałość w naszym szaleństwie…"

w tym ciasnym pokoju z którego nie odchodzi
śmierć jakby nas wszystkich
jakby do naszych ściszonych rozmów
dochodziły z ulicy odgłosy zbiorowej agonii,
jakby nam wszystkim naraz
strzaskano wątroby, odebrano powietrze,
jakby nam mowę zamieniono
w urzędowy bełkot, jakby nas
uśpiono nie każąc pamiętać…
I kiedy nowy świt jak wynajęty morderca
skrada się do drzwi
jeszcze umieramy razem.

* * *

Są dwie Basie. Ta pierwsza jest radosna, pogodna, uśmiechnięta, obracająca w żart każde życiowe niepowodzenie, ma jasne oczy, nosi wysoko głowę.

Ta druga jest szara, przygarbiona, z wystającymi kolanami, sinymi workami pod oczyma, wypalonymi oczami, przygnieciona ciężarem, bez uśmiechu, bez iskry życia.

Przyjaciółka Marta Kucharska wspomina:

– Po jego śmierci pękło jej serce. Wszystko się pokręciło. Ukochane jej dziecko nie żyje, winnych nie ma, sprawę władza zamiata pod dywan, zło zwycięża. Cały świat stanął na głowie.

Była jak wilczyca, której wyrwano płód z trzewi. On przecież był jej częścią. Nadzieją na ciąg dalszy. Na Jezuickiej zatłukli najpiękniejszą jej cząstkę.

Piła więcej wina, paliła jeszcze więcej papierosów, po prostu chciała, żeby dusza przestała ją boleć. Jak się napiła, szła spać i na moment zapominała. A potem przychodził świt, trzeźwiała i znów bolało.

Był czas, że już nie chciała być mamą Grzesia, to znaczy tą postacią, z której robią matkę Polkę, modlącą się na mszach za ojczyznę i chodzącą w patriotycznych procesjach. Nie mogła unieść tego ciężaru, tych oczekiwań, żeby nią była.

Któregoś wieczoru naszło do niej tych świętych bab, zaczęły gadać o męczeństwie Basi i ofierze Grzesia. Nie mogłam tego słuchać, wyszłam, położyłam się w łóżku Grzesia w drugim pokoju i zasnęłam. Nagle poczułam obok mnie Baśkę. Była cała rozedrgana, trzęsła się po prostu. Wyła jak zwierzę i wtulała się we mnie, jakby chciała odciąć się od całego świata. Objęłam ją mocno i ukoiłam. To były rzadkie momenty, kiedy pozwalała sobie na okazanie bólu, bo przeważnie po prostu dobrze udawała.

Zdesperowana mówiła mi: „Wiesz, chyba zmienię nazwisko". Dlaczego? – pytałam. „Żeby nie być dłużej Barbarą Sadowską, mamą Grzesia, symbolem cierpienia". Ale jednego dnia mówiła tak, a nazajutrz zmieniała zdanie. „Byłoby bardzo krzywdzące dla Grzesia – stwierdzała – gdyby się go wyparła własna matka".

Ten dramat nie miał dobrego końca. Żadna rola nie mogła jej go zapewnić. Konsekwencji w jej zachowaniu czy tym, co mówiła, nie było. Żadnej. Jak dopadało ją kościelne grono, to miękła i godziła się znów grać matkę Polkę. Gdy miała wziąć udział w patriotycznej procesji, bardzo się stresowała. Piła dla rozprężenia. Ale kiedyś przesadziła. Choć się ledwo trzymała na nogach, uparła się, że musi pójść, bo to jej obowiązek. Co miałam zrobić? Zatrzymać ją siłą? Poszłam z nią, by być przy niej.

Zjechałyśmy windą w dół, czekamy na taksówkę i nagle Baśka zaczyna śpiewać: „Gdy nie wrócę, niechaj wiosną rolę moją sieje brat…". Prowokowała mundurowych. Śpiewała jak dawna Baśka. Ludzie się gapią, ja się boję, że ją rozpoznają i będzie skandal.

Za chwilę mdleje, upada na ziemię, proszę o pomoc przechodniów i niesiemy ją do sklepu medycznego przy Moniuszki. Tam Baśka dochodzi do siebie. Proszę ją wtedy, byśmy wróciły do domu, odpoczęły, nabrały sił, ale ona nie słucha. Mówi, że musi być.

Poszłyśmy w tej procesji, ale ona ledwo powłóczyła nogami. Z jednej strony podtrzymuję Baśkę ja, z drugiej strony – Hania Staszkowska, jej przyjaciółka, sanitariuszka z powstania warszawskiego. Tachamy ją we dwie, a ona słabnie, bo jest napita jak beczka winem. Ratunek wypatrzyłam, gdy przechodziliśmy koło furtki przy Krasińskiego, gdzie mieszkał Kuroń.

Mówię wtedy: „Basia, Jacek nas na whisky zaprasza”. Udało mi się ją tam zwabić.

Starsza o szesnaście lat Hanna Staszkowska (pseudonim „Grażyna”, obwód „Radwan”, batalion „Miłosz”, kompania pierwsza, pluton „Truka”) jest dla Sadowskiej więcej niż przyjaciółką. Zastępuje jej matkę, wyciąga z kłopotów, spędza z nią święta, weekendy, pomieszkują razem.

Każdego wieczoru Barbara, wychodząc z domu na spacer z Gasiem, przechodzi na drugą stronę Marszałkowskiej, idzie do bloku przy ulicy Królewskiej 45 i skrobie w drzwi z numerem 46. Tam zdaje Hannie Staszkowskiej codzienną relację z kończącego się dnia. Zanim Staszkowska umrze w marcu 2009 roku, spisze swoje wspomnienia, w których Barbarze poświęca sporo miejsca[74].

„Basia wychowana była w domu matki w duchu domu otwartego i taki sam chciała utrzymać na Hibnera, ale tam ton nadawała matka, a tu przychodzili różni ludzie i nadużywali gościnności Basi. Często przychodzili z alkoholem i wizyty nie zawsze kończyły się przyjemnie. Po prostu – za często piło się alkohol. Basia alkoholu nie kupowała, ale nigdy nie zwróciła uwagi nikomu, że jej dom nie jest miejscem do picia, stąd może poszła fama, że tam jest ciągłe pijaństwo.

Po śmierci Grzesia całe tłumy odwiedzały Basię i uważały za swój obowiązek, że trzeba przyjść z butelką w torbie czy kieszeni. Kiedy jej nalewano, piła, bo chciała po prostu nie istnieć.

To ludzie źle rozumieli swoje współczucie. Korzystali z jej domu, nadużywali gościnności, prowokowali do spotkań alkoholowych. Potem rosła fama o nieustającym pijaństwie, było to wyolbrzymiane, wielu ludziom zależało, żeby Basię szkalować, żeby zrobić z niej alkoholiczkę, żeby z Grzesia zrobić narkomana.

Ja poznałam inną Basię. Już po śmierci Grzesia mieszkała u mnie przez dwa miesiące. Nigdy nie wypiła kieliszka alkoholu, nigdy nie przyszła pijana. Basia jak mogła, to nie piła, ale przychodziły momenty tak strasznych załamań, a przy tym pokusa, bo ktoś przyszedł i akurat przyniósł, że często ona jej ulegała.

Były też takie momenty, że nie chciała nikogo widzieć, nikogo przyjmować u siebie, kiedy siedziała na podłodze i najzupełniej przytomna biła głową w ścianę. Z bólu i rozpaczy. Wtedy zamykała się jak śmiertelnie zranione zwierzę w swojej skorupce, żeby ludzie dali jej spokój, żeby mogła się oddać rozpaczy, której już w żaden sposób nie mogła opanować. Wywieszała wtedy kartkę: »Proszę nie pukać, chcę być sama«. Nie wszyscy to rozumieli. Walili w drzwi, pukali, domagali się otwarcia, ale Basia wtedy już nie reagowała. Miała żal, że nie potrafią uszanować jej bólu.

Pojawiały się znajome Basi, które miały w domu zdrowe i całe dzieci. Pocieszały ją: »Trudno, stało się, ale musisz żyć dalej«. Wtedy zupełnie sztywniała i po wyjściu takich „pocieszycielek” mówiła do mnie: »Widzisz, jakie to przerażające, że człowiek może być tak okrutny?«”.

Nie mówcie przy mnie
o maju
o dzieciach
o maturach
o bohaterstwie
o przyszłości
nie mówcie przy mnie
o obumarłym ziarnie
które wyda owoc

– pisała w wydanym w 1984 roku podziemnym tomiku *Słodko być dzieckiem Boga*.

Ten i siedemnaście innych wierszy to najbardziej znane jej utwory. Są monotematyczne. Dużo w nich Grześka, bezsilności, śmierci, zmagań z Bogiem. Wyziera z nich smutek i beznadzieja.

– Ona jest już wtedy martwa, nie chce żyć, ale nie ma odwagi odebrać sobie życia – opowiada Ligia Urniaż-Grabowska. – Nie je, gaśnie, traci kontakt z otoczeniem. Zośka Kuratowska w szpitalu na Barskiej aplikuje jej systematycznie kroplówki, by utrzymać ją przy życiu.

Przy życiu utrzymują ją dwie osoby: ksiądz Jerzy i Marzenka.

Jeżeli człowiek może być duchową podporą dla innych, to kimś takim był dla niej ksiądz Jerzy Popiełuszko. Pomagał jej przetrwać w najgorszych

momentach i staje się sensem jej życia. Trwała przy nim do końca, najdłużej ze wszystkich wierzyła, że nic złego stać mu się nie mogło.

Gdy zaginął w październiku 1984 roku, wszyscy zbiegliśmy się do kościoła Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu, czuwając i modląc się, by szczęśliwie do nas powrócił. Baśka spała wtedy na kościelnych ławkach, podłodze i nawet na moment nie oddaliła się od kościoła. Gdy ktokolwiek wspomniał, że być może księdzu coś złego zrobili, gotowa była oczy wydrapać i strasznie się piekliła. „Na pewno żyje, nic mu nie jest” – przekonywała.

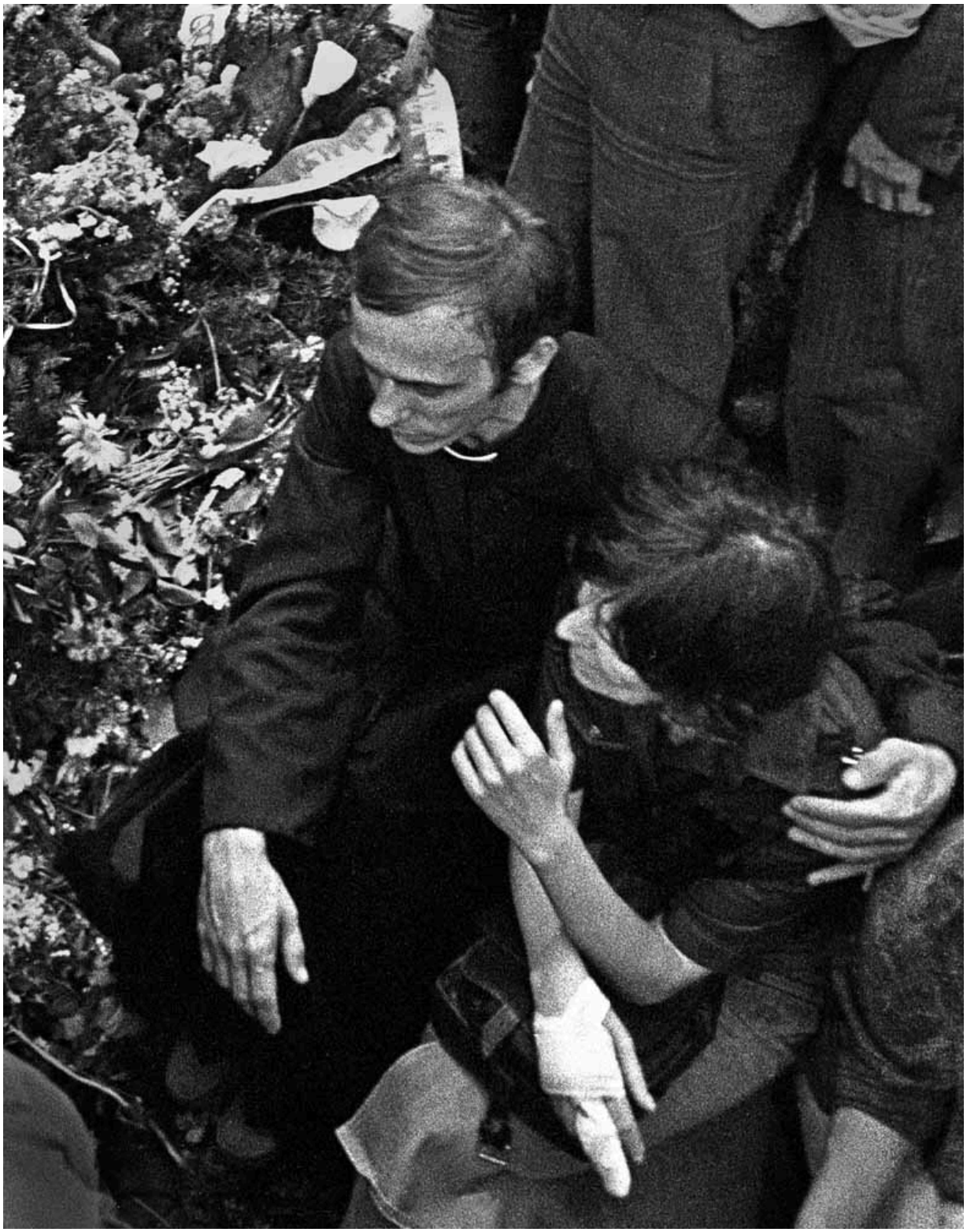

[^] Warszawa, cmentarz Powązki, 19 maja 1983 roku. Pogrzeb Grzegorza Przemyka, ksiądz Jerzy Popiełuszko i Barbara Sadowska

Pamiętam ten moment, bo stałam na zewnątrz przy wejściu do zakrystii. Wpadł na kościelny dziedziniec Andrzej Fogg, syn Mieczysława, piosenkarza, krzycząc, że znaleźli ciało księdza Jerzego. Za sobą usłyszałam wtedy rozpaczliwy skowyt, obróciłam się i zobaczyłam osuwającą się po drzewie Basię. Na kolana. Pomyślałam, że ona tego nie przetrzyma.

Wtedy pojawiła się ostatnia nitka trzymająca ją przy życiu, Marzenka, wielka miłość Grzesia. Wyznała, że ma wielki problem. Była przerażona, nie wiedziała, czy sobie da radę, pytała Basię, co ma robić.

„Marzenka – powiedziała Sadowska – w trudnych momentach pomyśl o Grzesiu, a ja ci pomogę". To Basię na chwilę przytrzymało przy życiu.

Bo jak się ma wszystkiego dość, to trzeba się czegoś złapać, ona uczepiła się Marzenki. Znów poczuła sens życia.

Potem już gasła. Znowu straciła apetyt, przestała jeść, zaczęła chudnąć, stała się nieobecna.

W lipcu 1984 roku wydział propagandy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych publikuje tajną broszurę o sprawie Przemyka (*Grzegorz Przemyk – fakty i mity*). Ma to być podstawowe źródło informacji kształtujące wiedzę na ten temat w oficjalnej propagandzie.

Grzesiek jest tam przedstawiony jako psychicznie chory narkoman z rozbitej rodziny, a jego koledzy świadkowie jako nieuki, kryminaliści, margines społeczny wykorzystywany do dywersji ideologicznej.

O Sadowskiej resort spraw wewnętrznych napisał, że sama jest winna śmierci syna, bo nie zgodziła się na szpitalne leczenie Grześka. O tym, że miał być odesłany do szpitala psychiatrycznego, autorzy tej publikacji już nie wspominają, koncentrując się głównie na wybielaniu milicjantów.

Echa tej publikacji można znaleźć w „Trybunie Ludu", „Żołnierzu Wolności", „Życiu Warszawy", gdzie w podobny sposób, chowając się za pseudonimami, komentatorzy obarczają matkę odpowiedzialnością za śmierć syna. (Dziś wiadomo, że większość tych publikacji powstawała w MSW, a gazety z obowiązku udzielały im tylko łamów).

Mieszanie Barbary z błotem trwa do jej śmierci.

W 1986 roku rzecznik rządu Jerzy Urban, prowadząc prasową polemikę i próbując udowodnić tezę, że opozycja ogłasza wielką literaturą wszelkie literackie śmiecie, podparł się przykładem Sadowskiej.

„Ktokolwiek walczy z socjalizmem, jest obwoływany przez tak zwaną opozycję wielkim lub wybitnym. […] Panią Sadowską ogłoszono wielką poetką w toku kampanii politycznej, rozpętanej wokół tragicznej śmierci jej syna. Do tej chwili na rynku literackim nie istniała i bez tej tragedii nie wyszłaby z niebytu".

„Na miejscu ministra Urbana nie powoływałabym się na nazwisko Barbary Sadowskiej – broni poetki Józefa Hennelowa z »Tygodnika Powszechnego«, pisząc dalej: – W tym momencie zostaje przekroczona jakaś granica. Nad trumną…[75]" Tu urywa się jej myśl, bo zamiast tekstu jest informacja, że ten fragment na podstawie ustawy o kontroli publikacji i widowisk (artykuł 2 punkt 5 z 31 lipca 1981 roku) został przez cenzurę usunięty. Argumentów Hennelowej poznać nie możemy. Tak jak jej ówcześni czytelnicy.

Maj 1984

3 maja, czwartek

Do Tadeusza Gonciarza dzwoni niespodziewanie prokurator generalny Józef Żyta. Chwali go za przygotowany akt oskarżenia, ale zaraz dodaje, że potrzebne będą jeszcze pewne drobne poprawki. Korekta – mówi przez telefon Żyta – dotyczy zarzutu postawionego milicjantom. Chodzi o to, żeby nie odpowiadali za pobicie chłopca, a tylko za nieudzielenie mu pomocy. To zasadnicza zmiana, bo uwalnia ich od odpowiedzialności za śmierć.

Gonciarz odpowiada, że się z tym nie zgadza i nie wykona polecenia.

Żyta wysyła do prokuratury wojewódzkiej Stanisława Wyciszczaka, dyrektora Departamentu Postępowania Karnego Prokuratury Generalnej. Ma przekonać Gonciarza do ustępstw i podpisania zmienionego aktu oskarżenia. Gonciarz jest nieustępliwy. Odmawia i jeszcze tego samego dnia rezygnuje, pisze podanie o zwolnienie.

Łagodniejsze zarzuty dla milicjantów to efekt porozumienia prokuratora generalnego z resortem spraw wewnętrznych. Prokurator Żyta akt oskarżenia posłał do konsultacji komendantowi głównemu milicji Jerzemu Grubie, a ten przesłał go ministrowi Kiszczakowi. Na przesłanym dokumencie Kiszczak naniósł ręcznie dzisiejszą datę i zakreślił adnotację: „Dziękuję – zgodnie z rozmową wariant nr 2”.

Ostatecznie Denkiewicz i Kościuk zostali oskarżeni o pobicie, ale niemające związku ze śmiercią. Grożą im tylko trzy lata więzienia, w odróżnieniu od sanitariuszy, którzy odpowiadać będą za pobicie ze skutkiem śmiertelnym (kara – do piętnastu lat więzienia).

Po rezygnacji Gonciarza nie ma kto podpisać aktu oskarżenia. Wtedy Wiesława Bardon wyznacza swoją najbardziej zaufaną podwładną – trzydziestopięcioletnią Annę Jackowską. Prokurator Jackowska podpisuje akt oskarżenia, chociaż nie zna nawet wszystkich akt sprawy[76]. Dlaczego

Jackowska? Z opinii, które wystawiali jej ówcześni przełożeni, wynika, że jest osobą pryncypialną, w szczególności jeśli chodzi o sprawy polityczne. Prowadzi postępowania przeciwko wrogom PRL z Solidarności, Solidarności Rolników Indywidualnych i przeciwko księdzu Jerzemu Popiełuszce, który jest podejrzany o nadużywanie wolności sumienia na szkodę interesów PRL.

7 maja, poniedziałek

Przed zbliżającym się procesem Komenda Główna Milicji Obywatelskiej wysyła do zomowców biorących udział w zatrzymaniu Przemyka trzyosobową delegację (podpułkownika Stanisława Sawickiego, kapitana Ryszarda Czesaka i kapitana Zbigniewa Supryna). Mają sprawdzić, czy zomowcy są dobrze przygotowani do procesu.

Wszystkie spotkania wyglądają jak egzaminy ustne, podczas których egzaminowani zomowcy odpowiadają na pytania milicyjnej komisji dotyczące 12 maja. Komisja porównuje odpowiedzi egzaminowanych z ich zeznaniami, które złożyli kilka miesięcy temu podczas śledztwa. W razie pomyłki wytyka błąd i prostuje wypowiedź. Prosi, by nie powtórzyło się to w sądzie.

W ten sposób zostaje przesłuchanych pięciu zomowców biorących udział w biciu Przemyka. Delegaci z komendy głównej docierają między innymi do oskarżonego Ireneusza Kościuka, który po skończeniu służby w ZOMO stara się teraz o przyjęcie do milicji w Zamościu, i jego najbliższego przyjaciela Bogusława Bielca, obecnie ślusarza w Zakładach Metalowych w Dynowie.

14 maja, poniedziałek

„Pierwsza rocznica śmierci Grzegorza Przemyka. We Wrocławiu uczniowie liceów i techników przyszli dziś do szkoły ubrani na czarno z wpiętymi w mundurki znaczkami z literą »G«”[77].

Na warszawskich Powązkach grób Przemyka zasypywany jest kwiatami.

„Rozpętana przez władze akcja propagandowa, aresztowanie pełnomocnika rodziny zamordowanego, sfingowane procesy przeciwko pracownikom pogotowia ratunkowego, zastraszanie świadków wskazują na dążenie do ukrycia prawdziwego oblicza tego morderstwa” – pisze w oświadczeniu podziemna Solidarność z Mazowsza.

* * *

Proces rozpocznie się za dwa tygodnie, 31 maja, i już wiadomo, że skupi na sobie uwagę świata. Kilkunastu zachodnich korespondentów, którzy stacjonują w Warszawie, będzie nadawać każdego dnia relacje dla swoich telewizji, gazet, serwisów informacyjnych. Jak nad tym zapanować, radzi rzecznik rządu Jerzy Urban[78].

Zdaniem Urbana zagraniczni dziennikarze powinni móc obserwować proces, bo jeśli nie będą mieli takiej możliwości, to rozgłoszą na świecie, że sprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych. A i tak będą mieć dostęp do informacji z procesu od zaprzyjaźnionych ludzi z podziemia, adwokatów i publiczności. Będzie to jednak wtedy przekaz jednostronny.

Lepiej więc zgodzić się na ich udział, ale w sposób kontrolowany i ograniczony. To wymaga dokładnych przygotowań.

[^] Warszawa, ulica Koszykowa; „wojna na murach", lata 1984–1985. Na zdjęciu napis „14 V 10.00, św. Kostka, msza za Przemyka. KPN"

Urban proponuje, by wielotygodniowy proces podzielić na segmenty, tak by z góry było wiadomo, co się każdego dnia może wydarzyć. Na każdy dzień procesu dziennikarze będą dostawać wejściówki w ten sposób, by władza mogła sterować medialnym przekazem z sądu. „Stosować zasadę: fragmenty procesu, które chcemy, aby Zachód słyszał, są dostępne dla trzech, czterech dziennikarzy zachodnich. Fragmenty procesu, którym nie chcemy nadawać rozgłosu, obsadzone są przez specyficznie dobranych dziennikarzy (np. Chińczyk, Hindus) albo w ogóle nie będzie na nie zaproszeń" – zaleca Urban.

25 maja, piątek

Szef MSW Czesław Kiszczak powołuje siedmioosobowy zespół milicjantów, który ma dopilnować procesu Przemyka. Na jego czele stoi zastępca komendanta MO Jerzy Gruba. Zespół ma rozpoznawać działania przeciwników politycznych i je paraliżować, współdziałać z obrońcami

milicjantów, z każdego dnia sporządzać szczegółowy raport nie tylko o tym, co się dzieje w sali, ale także o nastrojach głównych świadków, Barbary Sadowskiej, jej przyjaciół, komentarzach prasy podziemnej i Radia Wolna Europa. O randze procesu świadczy też to, że notatki przygotowywane przez zespół każdego dnia będą trafiać do najważniejszych dziesięciu osób w państwie: od premiera Wojciecha Jaruzelskiego po szefa MON Floriana Siwickiego.

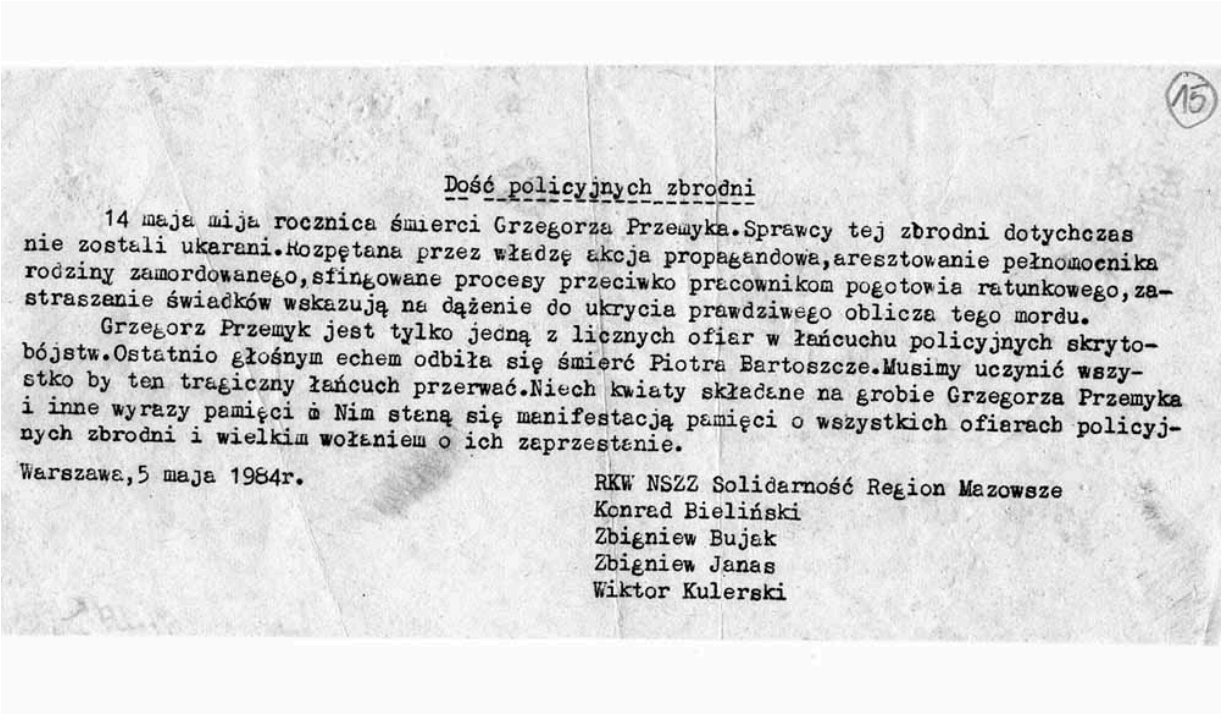

15

Dość policyjnych zbrodni

14 maja mija rocznica śmierci Grzegorza Przemyka. Sprawcy tej zbrodni dotychczas nie zostali ukarani. Rozpętana przez władzę akcja propagandowa, aresztowanie pełnomocnika rodziny zamordowanego, sfingowane procesy przeciwko pracownikom pogotowia ratunkowego, zastraszenie świadków wskazują na dążenie do ukrycia prawdziwego oblicza tego mordu.

Grzegorz Przemyk jest tylko jedną z licznych ofiar w łańcuchu policyjnych skrytobójstw. Ostatnio głośnym echem odbiła się śmierć Piotra Bartoszcze. Musimy uczynić wszystko by ten tragiczny łańcuch przerwać. Niech kwiaty składane na grobie Grzegorza Przemyka i inne wyrazy pamięci o Nim staną się manifestacją pamięci o wszystkich ofiarach policyjnych zbrodni i wielkim wołaniem o ich zaprzestanie.

Warszawa, 5 maja 1984r.

RKW NSZZ Solidarność Region Mazowsze
Konrad Bieliński
Zbigniew Bujak
Zbigniew Janas
Wiktor Kulerski

[^] Oświadczenie Solidarności Region Mazowsze

30 maja, środa

Za kilka godzin rozpocznie się jeden z najważniejszych procesów stanu wojennego. Śledztwo trwało rok, zeznania dwustu świadków zapisane są w dwunastu tomach akt. Rok wystarczył, by odebrać wiarygodność kluczowym świadkom, zagmatwać sprawę, zatrzeć tropy i znaleźć sanitariuszy, którzy przyznali się do winy za niepopełniony przez nich czyn.

SPRAWA PRZEMYKA

...nie bądź bezpieczny,
poeta pamięta
możesz go zabić —
NARODZI SIE NOWY

[^] Ulotka

[^] Ulotka

Wieczorem w mieszkaniu przy Hibnera, na jedenastym piętrze wieżowca, oskarżyciel posiłkowy Barbara Sadowska wystukuje na maszynie swój prywatny akt oskarżenia.

„Nie chcę firmować swym udziałem procesu i legitymizować tego, co dzieje się w tej sprawie – pisze przez kalkę, by następnego dnia rozdać kopie znajomym. – Udział mój [w procesie] stał się dla władzy wygodnym parawanem dla nadania pozorów prawa – złej woli, która przejawia się w śledztwie od samego początku. […] Zamiast pierwszego dnia skierować do komisariatu na Jezuicką ekipę prokuratorów, którzy by wysłuchali osobno każdego z milicjantów, pozwolono na operetkowe w naszej rzeczywistości odmowy zeznań.

Cały kraj wie, że milicja bije ludzi po komendach. Władza mówi: udowodnijcie to, jakby nie wiedziała, że ludzie boją się zemsty, oskarżenia o zniesławienie w procesach, w których sędziowie dają zawsze wiarę milicjantom.

Chodzi o to, aby inni zomowcy i milicjanci nie poczuli się zagrożeni, aby bezkarnie wykonywali swoje czynności służbowe, nie bojąc się odpowiedzialności. […] Z prostej sprawy, w której są oczywiste dowody, zrobiono – poprzez umiejętne zachwianie proporcji, wyolbrzymienie pewnych momentów, tuszowanie innych, jednym słowem: przez znane nam działania manipulacyjne – potworną sprawę, w której nie ma już szans na sprawiedliwy wyrok.

Mój syn w szoku bólowym, szoku, który zniósł cierpienie i przywrócił mu przytomność – mówił, że bito go w komisariacie.

Wycia bólu słuchał daremnie dobijający się do komisariatu jeden z kolegów. Drugi widział bicie. Zrobiono jednak wszystko, co jest w ludzkiej mocy […], przedstawiając głównego świadka jako niewiarygodnego, krzyki bólu jako okrzyki karateki, wyciągano wszystko, co może mnie, matkę zakatowanego przez ludową milicję syna, zniesławić lub skompromitować, podobnie jak obciążających milicję świadków.

Nie ma już wątpliwości. Obrzydliwym cynizmem władzy jest oskarżanie milicjantów o pobicie mojego świętej pamięci syna, ale bez związku z jego śmiercią.

Z takimi ludźmi nie można rozmawiać, przekonywać ich, przedstawiać racji. Dla nich istnieje tylko doraźna polityka, utrzymywanie swych stanowisk, władzy nad ludźmi i nieograniczone możliwości posługiwania się aparatem ucisku społecznego – bez względu na prawdę.

Spaczenie materiału dowodowego, sprowadzenie go na boczne tory, zła wola zakazują mi z moralnych pobudek partycypowania w procesie, który dąży nie do wyjaśniania, ale zatarcia okoliczności zabójstwa mojego świętej pamięci syna Grzegorza.

Ludzie o miedzianym czole, utożsamiający milicję z władzą, postanowili poświęcić prawdę dla swoich doraźnych korzyści, skompromitować wymiar sprawiedliwości w Polsce cynicznymi manipulacjami, które będą kiedyś książkowym przykładem niesprawiedliwości.

Nie przypuszczam, żeby nastąpiło to prędko. Będzie to w takich czasach, kiedy systematyczne bezczeszczenie grobu mojego świętej pamięci syna Grzegorza będzie już tylko haniebnym znakiem dzisiejszej rzeczywistości”.

31 maja, czwartek

Po porannym apelu strażnik otworzył drzwi celi na Rakowieckiej. Do środka wszedł fryzjer i ogolił głównego aktora, który zdjął już więzienny drelich i włożył przyniesioną przez żonę szmaragdową koszulę. Na parterze pawilonu trzeciego czekają na niego milicjanci. Krępują mu kajdankami ręce na plecach i prowadzą długim korytarzem do zaparkowanej przed wejściem więziennej nyski. Tam już siedzi drugi z oskarżonych – sanitariusz Jacek Szyzdek. (Ubrany jest w ciemny sweter, spod którego wystaje kołnierzyk koszuli).

W eskorcie dwóch polonezów nyska wiezie Michała Wysockiego i Jacka Szyzdka z Rakowieckiej do sądu przy alei Świerczewskiego. W sądzie Wysocki spotyka porucznika Ziółkowskiego, któremu mówi, że wszystko przemyślał. Nie będzie kozłem ofiarnym i swoje zeznania odwoła. „Decyzja jest ostateczna” – dodaje na kilkadziesiąt minut przed rozpoczęciem rozprawy.

O ósmej w holu sądu czeka już grupka przyjaciół Sadowskiej i kilku zachodnich dziennikarzy. Gdy woźny odsunie tarasujące wejście ławki, pobiegną schodami na trzecie piętro do pokoju 303, gdzie wydawane są przepustki na proces Wysockiego i innych. (Przepustki nie dostaje ani ksiądz Jerzy Popiełuszko, ani mecenas Władysław Siła-Nowicki). Numerowane karty z podpisem prezesa sądu i nazwiskiem osoby uprawnionej są w kolorach: pomarańczowym, zielonym, białym, czerwonym – na każdy dzień procesu inna. Formalnie proces jest otwarty, ale już w holu na drugim piętrze przylegającym do sali rozpraw stoją strażnicy i dokładnie sprawdzają zgodność przepustki (dziś jest seledynowa) z dowodem osobistym. Nie wolno wchodzić z większymi torbami, a mniejsze, czy to damskie, czy męskie, są przeszukiwane.

Rozprawa odbywa się w największej i najlepiej wyposażonej sali rozpraw – numer 252. (Dwieście osiem metrów kwadratowych powierzchni, osobne wejście dla oskarżonych, adwokatów i prokuratora, osobne dla publiczności, osobne dla sędziów. Tu odbywały się w 1956 roku procesy rehabilitujące ofiary stalinizmu, tu w 1965 roku sąd skazywał na karę śmierci dyrektora centrali Miejskiego Handlu Mięsem Stanisława Wawrzeckiego za udział w aferze mięsnej, tu w 1980 roku zarejestrowano związek Solidarność. To jedyna sala, w której zamontowano nagłośnienie).

O dziewiątej trzydzieści strażnicy wprowadzają oskarżonych. Duszno. Świecą reflektory. Pracują kamery telewizji polskiej, amerykańskiej ABC, niemieckiej ZDF. W sali około stu osób. Dziennikarki Marta Miklaszewska z „Przeglądu Katolickiego” i Hanna Krall z „Tygodnika Powszechnego”. (Krall nie napisze nigdy reportażu z sali sądowej. Swoje obserwacje z procesu umieści w powieści *Okna*). Jest przyjaciółka Barbary, Hanna Staszkowska, i obecny narzeczony Barbary – Wojciech Świderski.

Oskarżonych jest sześciu. Szyzdek z Wysockim siedzą na najwyższej ławie, pod oknem. Niżej oskarżeni lekarze i zomowcy.

Ten spięty, siedzący najbliżej widowni, w jasnym lilaróż garniturze, to doktor Bronisław Jasicki. Za nim, w ciemnobrązowym garniturze, psychiatra Paweł Willmann. Łysiejący z podłużną twarzą i wystającymi policzkami. Milczący, nawet na przerwach unika kontaktu z ludźmi.

Za nim, w jasnym garniturze z wyszukanie przystrzyżoną brodą milicjant Arkadiusz Denkiewicz, który kazał bić bez pozostawiania śladów. Patrzy przed siebie spod lekko nastroszonych brwi.

I na końcu, ledwo widoczny z głębi sali, na pozór sympatyczny niebieskooki blondyn z dziecięcą twarzą i lekko drwiącym uśmiechem. To Ireneusz Kościuk, zomowiec, który bił Grzegorza Przemyka.

Tęga kobieta z tlenionymi włosami, której spod togi wystaje sukienka w kwiatki, to postrach podziemia – prokurator Wiesława Bardon. Nieco młodsza, w wielkich okularach z mocno pomalowanymi na niebiesko powiekami, to Anna Jackowska, która zaraz odczyta sześćdziesięcioczterostronicowy akt oskarżenia.

Naprzeciw zomowców siedzi nieruchoma Barbara Sadowska, a obok wspomagający ją – oskarżyciela posiłkowego: Ryszard Siciński, Jerzy Woźniak, Ryszard Berus.

Sadowska ma na sobie zbyt dużą dżinsową bluzę z podwiniętymi rękawami, spod której wystaje czarny krzyż na piersi. Na czterdziestoośmiosekundowym filmie, który nadany zostanie w wieczornym „Dzienniku Telewizyjnym”, na ekranie pozostanie przez pięć sekund. Wyprostowana jak struna, z nieruchomą twarzą, z wbitym w zomowców wzrokiem. Między jej dłońmi, opierającymi się na stole, leży szara koperta. Gdy ten fragment ogląda się w zwolnionym tempie, widać, jak prawa dłoń Sadowskiej zaciska się w pięść.

Za moment, czego nie zobaczymy na filmie, podejdzie do stołu sędziowskiego i wręczy przewodniczącemu szarą kopertę. Sędzia Janusz Jankowski patrzy na list przez swoje grube szkła, otwiera go powoli, czyta i głos mu się łamie. Mówi, że oskarżyciel posiłkowy, czyli matka zabitego Grzegorza, wycofuje się ze sprawy. Na te słowa jej adwokaci wstają, kłaniają się sądowi i wychodzą z sali. (Sadowska odczyta swój list już na korytarzu).

Przez następną godzinę prokurator Jackowska czyta monotonnym głosem akt oskarżenia, z którego najważniejsze dla władzy są dwa akapity:

– Po uruchomieniu dźwigu Grzegorz Przemyk usiłował przyjąć pozycję siedzącą, podpierając się rękami. W momencie unoszenia ciała stojący obok

pacjenta Jacek Szyzdek zadał mu kilka szybkich kopnięć w rejon brzucha. Przemyk pochylił się do przodu i w tym momencie Szyzdek kopnął go dwukrotnie w okolice pleców, co spowodowało, iż pokrzywdzony gwałtownie się naprężył i ponownie upadł na wznak.

– O uczestnictwie Kościuka i Denkiewicza w pobiciu świadczą zeznania Cezarego F., które są w wielu fragmentach rozbieżne.

– W akcie oskarżenia jest za dużo o sanitariuszach, a za mało o milicjantach – mówi Barbara po wyjściu z rozprawy.

Zachodnia prasa pisze następnego dnia głównie o rezygnacji Sadowskiej z udziału w stronniczym procesie, brutalności polskiej milicji i jej bezkarności.

„Matka młodego zwolennika Solidarności, śmiertelnie pobitego w milicyjnym areszcie, oskarża komunistyczne władze o ukrywanie sprawców” – informuje z Warszawy korespondent Associated Press.

Barbara. Rzeczy złożone, kroplówki odstawione

– Była bezbronna wobec tego bezlitosnego ataku propagandowego, spalała się i coraz bardziej zapadała w sobie – mówi wrocławianin Józef Pinior.

Poznał ją po wyjściu z więzienia, w listopadzie 1984 roku, gdy pojechał do Suchowoli odwiedzić rodzinną miejscowość księdza Popiełuszki. On był wtedy legendą podziemia, która ocaliła związkowe miliony, ona poturbowaną przez los poetką, której współczuła cała Polska. Polubili się. Ona pomieszkiwała u Piniorów przy Piastowskiej, gdy jeździła do Wrocławia wspierać w sądach zamykanych związkowców, on na Hibnera, gdy przyjeżdżał do Warszawy na konspiracyjne nasiadówki.

Wielkanoc roku 1986 przypadła na 30 i 31 marca. Piniorowie – Józef i Maria – spędzili ją z Barbarą i Hanną Staszkowską w mieszkaniu przy ulicy Królewskiej.

– Była w dobrej formie – wspomina Pinior.

To, że jest chora, dowiedziała się chwilę potem. Kaszlała, była coraz słabsza, coś działo się w płucach. Trafiła do szpitala w Otwocku pod Warszawą. Prześwietlenie niczego nie wykazało. Dopiero bronchoskopia wyjaśniła wszystko. Lekarze nie ukrywali przed nią, że to rak i że lepiej już raczej nie będzie. Miała się dobrze odżywiać, wzmocnić, żeby można było przeprowadzić resekcję płuca. Tymczasem orzekli, że już za późno na operację. Zofia Kuratowska, która jej doglądała, sprawiła, że już nie wożono jej do warszawskiego szpitala przy Płockiej. Lepiej się czuła psychicznie w Otwocku.

Odwiedzili ją tam Piniorowie.

– O śmierci nic nie mówiła. Spacerowaliśmy po przyszpitalnym parku, rozmawialiśmy o książkach i wierszach, ale widać było, że jest bardzo osłabiona – mówi Józef.

Zachował z tego spotkania fotografię. Siedzą na tle zdezelowanej fontanny skąpanej w ostatnich promieniach letniego słońca. On w czarnym garniturze, ona w bawełnianych spodenkach i bluzie dresowej. Lewą ręką podpiera brodę, prawą – opuszczoną – trzyma papierosa. Jeśli to sierpień, zostały jej dwa miesiące życia, jeśli wrzesień – niecały miesiąc.

W sierpniu porywa ją ze szpitala Bieta Ficowska. Wiezie na prawdziwy obiad do Falenicy zamiast szpitalnych racji z kotła.

– Ani ja, ani tym bardziej Basia o śmierci nie wspominamy. Prawdę mówiąc, nie zdaję sobie sprawy z jej stanu. Wiem, że jest chora, że leży w szpitalu, ale nie w takich tarapatach zdrowotnych już była i spadała na cztery łapy. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

– Niczym się nie zdradziła? – pytam Bietę Ficowską. – Ona przecież wiedziała.

– Znając Basię, chciała mi tego oszczędzić. Po co psuć humor przyjaciółce chorej na optymizm?

W tym samym czasie odwiedza ją jeszcze Marta Kucharska.

– Snuła plany na przyszłość, była pogodna i paliła jak smok. Im tam chyba palić nie było można, bo wyciągała ode mnie papierosa za papierosem.

Siedziałyśmy pod krzakiem głogu, zrywała czerwone owoce i mówiła, że jesienią tu jeszcze raz przyjedzie nazrywać ich na świetne wino. Choć przecież obie wiedziałyśmy, że jesieni raczej już dla niej nie będzie.

W poniedziałek, 29 września, Wiktor Woroszylski notuje w swoim dzienniku: „Bardzo złe wiadomości od Basi Sadowskiej (przywiezione pod moją nieobecność przez Dużą Basię).

[^] Barbara Sadowska dwa lata przed śmiercią, październik 1984 roku

Przerzut do wątroby, straszne bóle, ale odmawia przyjmowania środków znieczulających. Skoro Bóg zesłał jej ból, to po to, żeby go znalazła, jak Grzesio.

Mimo wszystko bez jej wiedzy podają jej jakieś środki, ale nie tyle, ile otrzymałaby, gdyby to było jawne, za jej zgodą. Lekarz mówi, że jak zapyta, trzeba będzie się przyznać – i jak wtedy odmówi, trzeba będzie się podporządkować, bo ma prawo do własnego ciała i bólu.

Nerki i krążenie w porządku, więc być może potrwa to nie dni, lecz tygodnie. Ale jest bardzo słaba, ciągle śpi, może to być już śpiączka wątrobowa. Nie chce nikogo widzieć, ludzie ją męczą. Pani Bieta [Ficowska] jeździ do niej i mówi, że bardzo się zmieniła: mała, pomarszczona staruszka…”.

Dużą Basię z dziennika pomaga mi odnaleźć córka Wiktora Woroszylskiego – Natalia. To historyk sztuki, była dyrektorka warszawskiej Zachęty Barbara Majewska.

W środę, 1 października 1986 roku, do szpitala przyszedł ksiądz, żeby wyspowiadać Barbarę. Czekał dość długo, aż się obudzi. Spojrzała na niego i wyszeptała:

– Wkrótce będzie dobrze. – To były ostatnie jej słowa[79].

Chwilę później wpada do szpitala doktor Urniaż-Grabowska.

– Szłam szpitalnym korytarzem i słyszałam szlochające baby. Pomyślałam: „Boże święty, chyba się coś z Baśką stało”. Jej łóżko było zasłane, rzeczy złożone, kroplówki odstawione.

– Przed godziną odeszła – powiedziała przez łzy jej sąsiadka z sali.

Czerwiec 1984

4 czerwca, poniedziałek

Pierwszy ma zeznawać Michał Wysocki. Tylko że jeśli, jak zapowiadał, odwoła swoje zeznania, to rozsypie się układanka od miesięcy misternie składana. Zarzuty o pobicie przez sanitariuszy oparte są głównie na wzajemnych oskarżeniach Wysockiego i Szyzdka. Wysocki jako jedyny miał widzieć, jak Szyzdek kopał Przemyka w windzie, Szyzdek natomiast opowiadał prokuratorom, że to Wysocki kopnął Przemyka przed wejściem do windy. Jeżeli teraz Wysocki powie, że to nieprawda, to i Szyzdek może zmienić zdanie. Dlatego prokurator Bardonowa walczy, by pierwszy zeznawał sanitariusz Jacek Szyzdek. Tłumaczy sądowi, że to z powodu jego choroby wrzodowej i stresu, który będzie przeżywać podczas wystąpienia Wysockiego. Liczy, że jak Wysocki zostanie przyparty do muru, to może też zmieni zdanie. Sąd jednak jest nieugięty.

Michał Wysocki mówi łagodnym, lekko zachrypniętym głosem, ale tak cicho, że nie słyszą go nawet sędziowie. (Mikrofon nie działa).

Opowiada, że przyznał się do winy, bo miał wyrzuty sumienia. Wiedział, że z powodu śmierci chłopca jest niepokój społeczny, więc postanowił wziąć winę na siebie, a potem się zabić (trzy próby samobójcze zakończyły się niepowodzeniem). Obciążył sanitariusza Jacka Szyzdka, ponieważ milicja pokazała mu protokół przesłuchania sanitariusza, z którego wynikało, że to Szyzdek pomawia go o to pobicie. Zadziałał instynkt samozachowawczy i chciał się zemścić.

Wysocki składa swoje zeznania na stojąco. Nie siada nawet wtedy, gdy jego zeznania ze śledztwa odczytują kolejni asesorowie i sędziowie. Sprawia wrażenie bardzo zmęczonego – notują wysłanniczki Komitetu Helsińskiego Hanna Ossowska i Maria Owczarska, które ukradkiem wniosły do sali zakazany dyktafon i nagrywają całą rozprawę, przepisując potem słowo w słowo z taśmy magnetofonowej.

(Kilka dni później Wysocki wyśle gryps do żony, w którym napisze, że jeśli sąd uzna go za winnego śmierci Przemyka i skaże na więzienie, to popełni samobójstwo. Już nawet wybrał dzień – święto PRL, 22 lipca).

„To punkt zwrotny procesu" – pisze potem o wystąpieniu Wysockiego podziemna prasa. Jego zeznania osłabiły i tak wątłe podstawy aktu oskarżenia[80].

Nie miało to jednak wpływu na zeznania sanitariusza Szyzdka, który opowiada, że Wysocki czuł się winny śmierci Przemyka, bo kopnął go w brzuch.

Mówi też, że Wysocki miał tendencje do koloryzowania, a jako przykład podaje wręcz maniakalne przeświadczenie, że jest śledzony.

Pozostali czterej oskarżeni (dwaj milicjanci i dwaj lekarze) do winy się nie przyznają. Kościuk w ogóle odmawia zeznań, a Denkiewicz w krótkim oświadczeniu tłumaczy, że do tej pory milczał, ponieważ cokolwiek by powiedział, zostałoby to wykorzystane przez antypaństwową propagandę, pod której wpływem pozostaje człowiek, który kłamiąc, oskarża milicję o działanie wbrew prawu. Opowiada, że gdy usłyszał krzyki, wyszedł z dyżurki i zobaczył Przemyka. Brudnego i bez butów.

„Zachowuje się dziwnie, może jest narkomanem?" – pomyślał.

7 czerwca, czwartek

To jeden z najważniejszych dni procesu.

O dziewiątej czterdzieści pięć zaczyna zeznawać dziewiętnastoletni kudłaty brunet – Jakub Kotański. To on, stojąc przed komisariatem, słyszał przeraźliwe krzyki bitego Grześka, więc prokurator Bardonowa sprawdza teraz, czy coś mu się nie pomyliło.

Prokurator Bardonowa: – Jakie to były krzyki?

Kotański: – Głośne, krzyki bólu.

Bardonowa: – Ciągłe czy urywane? W jakiej tonacji?

Kotański: – Nie rozumiem.

Bardonowa: – Czy aaa, czy ooo?

Kotański: – Czy mam tutaj tak krzyknąć?

Bardonowa: – Nie. Czy aaa?

Kotański: – Bliżej aaa.

Bardonowa: – Czy były przerwy w tym krzyku?

Kotański: – Mówiłem. Urywane. Głośne.

Bardonowa: – Co wpłynęło, że świadek ocenił to jako krzyk bitego? Czy świadek słyszał wcześniej krzyk bitego Przemyka?

Kotański: – Nie. Nie słyszałem wcześniej takiego krzyku u Grzegorza.

Bardonowa: – To skąd świadek wiedział, że to krzyk bitego Przemyka?

Kotański: – Znam go. Znam jego głos. Byłem całkowicie pewny, że to on jest bity.

Bardonowa: – Czy te krzyki, które świadek słyszał, przypominały okrzyki karate?

Kotański: – Nie.

Bardonowa: – Czy może świadek bliżej określić, jakich nieartykułowanych dźwięków używał Przemyk, czy też ten, kogo świadek słyszał?

Kotański: – Był to krzyk nieartykułowany.

Bardonowa: – Czy świadek nie słyszał krzyku z innych powodów, nie bicia? Skąd świadek wie, że to był krzyk bitego?

Kotański: – Słychać, że się bije. Byłem pewien, że jest bity.

[^] Warszawa, proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka (zdjęcie zrobione nie później niż 4.06.1984 – to data wpłynięcia tego zdjęcia do archiwum PAP)

* * *

Po przerwie główny świadek – Czarek F. Spięty, ale opanowany. Waży każde słowo.

– Grześ złapał za pałkę, gdy milicjant się na niego zamierzył – mówi wolno i precyzyjnie. – Chwilę później doskoczyło do niego kolejnych dwóch. Kiedy go bili, podskakiwał do góry z bardzo głośnym, nieartykułowanym okrzykiem. Gdy skończyli bicie, posadzili Grześka na krześle, z którego osunął się na bok.

Wyręczając obrońców milicjantów, do ataku rusza prokurator Bardonowa:

– Teraz świadek nie jest pewien, czy bił ten, czy tamten wydał rozkaz, a wskazał ich świadek podczas konfrontacji.

– Podczas konfrontacji pokazano mi ponad sześćdziesięciu umundurowanych milicjantów. Miałem wskazać tych, którzy byli

w komendzie. Poznałem dwóch – odpowiada Czarek.

– Czy świadek sugeruje, że nie pokazano mu wszystkich? – spytała Bardonowa.

– Niczego nie sugeruję. Poznałem jedynie dwóch, ale nie tylko ten, którego poznałem, bił – odpowiada i tłumaczy, dlaczego zgłosił się tak późno do prokuratury.

– Bałem się. Wiedziałem, że za mną chodzą. Bałem się nawet przejść przez plac Zamkowy.

Przed przesłuchaniem Sadowskiej Wiesława Bardon wygłasza monolog, że wydała wyrok na milicję, że dała się wykorzystywać przez wrogie ośrodki i że utrudniała śledztwo, nie chcąc oddać rzeczy denata do ekspertyzy.

Sadowska staje przed sądem z krzyżem na piersiach. Mówi bez emocji, spokojnie, patrząc w oczy przewodniczącemu:

– Gdy byłam aresztowana, dostarczono tam moją dokumentację lekarską, z której wynikało, że miałam czterokrotnie trepanację czaszki. Wiedziałam, że nic mi nie zrobią, ale bałam się o syna, żeby nie miał kłopotów. Śledczy wtedy powiedział: „Wam, Sadowska, nie możemy nic zrobić, ale syna wam zgnoimy".

– Myślę – mówi dalej Barbara – że główni świadkowie ukrywali się nie bez powodu. Zatrzymano nawet woźnego, który wywiesił po śmierci Grzegorza czarną flagę w jego szkole. A ja także wtedy, gdy udaję się na cmentarz ze swoimi bliskimi, jestem obserwowana i fotografowana, a moim znajomym nieznani sprawcy przecinają opony w samochodzie. Czy to też po to, żeby mnie nękać?

8 czerwca, piątek

Drugim punktem zwrotnym jest opinia zespołu dziewięciu biegłych – najwybitniejszych w Polsce autorytetów w dziedzinie medycyny sądowej.

Składa ją w imieniu zespołu w trakcie rozprawy profesor Zdzisław Marek.

Zdaniem biegłych przyczyną śmierci Przemyka była seria ciosów zadanych w przednią ścianę brzucha. Grzegorz mógł być bity obutą nogą, pięścią, łokciem lub kolanem. Z trzech miejsc – komisariat, korytarz pogotowia i winda – gdzie Przemyk mógł być pobity, biegli wskazują, że najprawdopodobniej stało się to przy Jezuickiej.

„Za słusznością tej wersji przemawia to – tłumaczył profesor Marek – że Grzegorz Przemyk, dotąd zdrowy, opuścił komisariat milicji z zauważalnymi objawami chorobowymi, a mianowicie z wyraźnie utrudnionym kontaktem psychicznym z otoczeniem i zaburzeniami sprawności fizycznej”.

Ponadto biegli wykluczyli możliwość zadania śmiertelnych ciosów w windzie służb ratunkowych. Co prawda, dopuścili, że mogły być wymierzone na parterze budynku pogotowia, jednak musiałoby się to odbyć w zupełnie innych okolicznościach, niż to w swoich zeznaniach opisywał Wysocki, gdy brał całą winę na siebie.

To, że biegli podważyli główną tezę oskarżenia o pobiciu w windzie, dla dalszego procesu nie ma żadnego znaczenia. Na kolejnych rozprawach prokurator Bardonowa nadal forsuje tę wersję zdarzeń aż do ostatniej swej mowy.

14 czerwca, czwartek

Zeznają zomowcy i milicjanci z Jezuickiej.

Pierwszy jest Bogusław Bielec – były zomowiec, obecnie ślusarz-spawacz. To on, siedząc w radiowozie, zauważył F., który niósł na plecach Grześka. Gdy się przewrócili, podbiegł do nich i zażądał dokumentów i to jemu Grzesiek miał powiedzieć:

– Już wam niewiele pozostało.

Na Jezuickiej siedział przy stoliku i uzupełniał notatnik służbowy, gdy nagle usłyszał hałas wywracanego krzesła, a kiedy się odwrócił, zobaczył Przemyka, który stał w postawie karateki. Teraz mówi, że żadnych jęków i wycia bólu nie słyszał. Słyszał tylko wznoszone przez maturzystę okrzyki karate.

Dziś jest dzień triumfu profesora Józefa Borgosza z Wojskowej Akademii Politycznej. To właśnie jego zespół rok temu przygotował na zlecenie MSW ekspertyzę, w której radził, jak odsunąć podejrzenia od milicji i odnieść propagandowe zwycięstwo. Jednym z kluczowych problemów do rozwiązania były krzyki bitego Przemyka. Co z nimi zrobić? Jak to wyjaśnić? Nie można powiedzieć, że ich nie było, bo słyszał je Kuba Kotański. Zespół profesora Borgosza sugerował, by uznać ten skowyt bólu za okrzyk karate. I tego trzymają się dzisiaj kolejni przesłuchiwani milicjanci: od zomowca Bogusława Bielca po komendanta komisariatu na Jezuickiej Konstantego Machnowskiego, który widział w Przemyku tylko narkomana-karatekę, zachowującego się niezwykle dziwnie. Nie bardzo wiadomo było, co robić z tym wariatem – zeznają zgodnie. Dlatego wezwali pogotowie.

Barbara przysłuchuje się z końca sali. Wyjmuje z torby ołówek, notuje coś na pomarańczowej przepustce do sądu i podaje ją sąsiadowi z ławy. „Waldek. Nie martw się. Zwyrodnialcy potopią się we własnych ekskrementach”.

19 czerwca, wtorek

Zastępca szefa stołecznej milicji Jerzy Araźnik zjawił się w sądzie na wniosek prokuratury, by raz na zawsze zdementować rozpuszczane przez Barbarę Sadowską i opozycję plotki o rzekomej jej inwigilacji. Zaprzecza, żeby wobec Sadowskiej podejmowano jakieś działania oprócz rutynowych czynności zmierzających do ustalenia miejsca pobytu Cezarego F.

Nie było żadnej obstawy jej mieszkania ani obserwacji domu.

– Po prostu – tłumaczy sądowi – okolice Domów Towarowych Centrum, gdzie mieszka Sadowska, są zawsze silnie patrolowane ze względu na specyfikę tej okolicy.

Po nim dwaj literaci: Jan Józef Szczepański, prezes Związku Literatów Polskich, i Wiktor Woroszylski – przyjaciel Sadowskiej. Obaj trzynaście miesięcy temu zaprotestowali przeciwko brutalności milicji, napisali listy publikowane przez podziemną prasę i mają kłopoty.

Poetę Wiktora Woroszylskiego prokurator Bardonowa pyta, skąd wiedział, że to milicja pobiła Przemyka, skoro nie prowadził własnego śledztwa i nie ma żadnych dowodów. Świadek tłumaczy, że zna wiele przykładów brutalności milicji. List napisał do wicepremiera Rakowskiego, by zaprotestować przeciwko tej bezwzględności. Tak jak przed wojną w podobnych sprawach występowali literaci: Żeromski, Kuncewiczowa czy Strug.

– Byli wyrazicielami opinii publicznej i nikt nie uważał, że mają prowadzić własne śledztwo – mówi Woroszylski, który ubolewa, że nie doczekał się do dziś odpowiedzi od wicepremiera na swój list. Zamiast tego sam stał się ofiarą szykan, pogróżek i chamskich ataków przez oficjalną prasę.

Nie inaczej jest i teraz. Kilka dni później Woroszylski dostaje list w niebieskiej kopercie, na której nie ma adresata. „Ty wszawa gnido – pisze anonim. – Na naszą milicję to potrafisz pisać skargi, a dlaczego nie piszesz o gestapo, o Niemcach i ich wyczynach, jak mordowali twoich braci w gettach, w obozach zagłady.

Ty pierdolony wyrodku, nasza milicja powinna lać takich gnojków jak ty i tobie podobni, a nie głaskać was. Gdyby to była przedwojenna policja, toby rozprawiła się z wami w dwadzieścia cztery godziny i zapanowałby spokój.

Wy pierdolone płatne pachołki dolarowe, jak wam się nie podoba w tej naszej ojczyźnie, to wypierdalajcie z niej do Kohla i Reagana. Ty zdrajco naszego narodu, ty wszo na ciele naszej ojczyzny”.

27 czerwca, środa

Jest jeszcze całe mnóstwo osób, którym Grzegorz przed śmiercią opowiadał o swoim pobiciu na Jezuickiej. Nie można tego ani przemilczeć, ani temu zaprzeczyć. Wielu kolegów Grzegorza, którzy zetknęli się z nim przed śmiercią, potwierdziło to w ubiegłym tygodniu w sądzie. Tak samo pielęgniarki i lekarze ze szpitala na Solcu.

– Założenie, że Grzegorz pomawia milicjantów, żeby się na nich zemścić, jest absurdalne – tłumaczy doktor Filip Grzejszczyk, operujący tamtej nocy Przemyka. – On nie miał powodu kłamać, bo nie planował swojej śmierci.

Więc jak to wytłumaczyć? Jak unieważnić oskarżenia zmarłego? Jak odsunąć podejrzenia od milicji?

Obrońca Kościuka mecenas Mizgier-Chojnacki powołuje dwóch biegłych psychiatrów, którzy od dwóch tygodni przysłuchują się rozprawie. Obaj są związani z resortem. Józef Mielczarek jest psychiatrą więziennym w szpitalu na Rakowieckiej w Warszawie, a Stanisław Krzak – w Olkuszu. Próbują ratować milicjantów.

Biegły Mielczarek uważa, że zachowanie Przemyka w komisariacie było dziwne, nie ze względu na pobicie, ale z powodu zaburzeń psychicznych o typie reakcji dysforycznej. Przebija go jednak biegły Krzak, który próbuje przekonać sąd, że chłopiec na komisariacie był w stanie upojenia atypowego i cierpiał na zaburzenia psychiczne w postaci encefalopatii (miał w związku z tym obniżoną tolerancję alkoholu).

Dowodem na to ma być odmowa podania milicjantom swojego nazwiska.

– On po prostu zapomniał swoje dane personalne – tłumaczył sądowi doktor Krzak. – Przy tego typu zaburzeniach łączność chorego z otoczeniem słabnie, obniża się bowiem gwałtownie sprawność intelektualna, tok myślenia ulega zwolnieniu, pogarsza się pojmowanie i kojarzenie, pojawia się bezkrytycyzm i obserwuje się skłonności chorego do perseweracji, czyli do powtarzania gestów, słów lub zdań.

Krzak wygłasza karkołomną tezę o niepamięci wstecznej Przemyka.

– Nie mógł odtworzyć zdarzeń w komisariacie na Jezuickiej, bo przy takich zaburzeniach nie mógł ich w ogóle pamiętać – mówi.

– Dlatego zeznania świadków dotyczące wypowiedzi Grzegorza Przemyka przed śmiercią nie mogą mieć wartości dowodowej – dodaje.

Przez następne trzy godziny biegły odpowiada na pytania sądu i obrońców, doprowadzając raz po raz salę do wybuchów śmiechu.

Z wypowiedzi biegłego sąd dowiaduje się też, że Przemyk cierpiał na encefalopatię wczesnodziecięcą, ponieważ urodził się z wagą o sto gramów niższą od normy (2400 gramów zamiast 2500), że do atypowego upojenia alkoholowego nie potrzeba nawet alkoholu, bo na tym polega atypowość upojenia, że jest nietypowe.

Tylko nie potrafi odpowiedzieć, dlaczego w stanie niepamięci wstecznej Przemyk opisał tak dokładnie zadawane mu ciosy, że zgadzały się z obrażeniami, które podczas sekcji u niego stwierdzono.

* * *

Z dotychczasowego przebiegu rozprawy wynika, że Grzegorz nie został pobity ani w komisariacie, ani w karetce, ani nawet w budynku pogotowia. Do takiego wniosku można dojść, słuchając obrońców oskarżonych.

Dwie panie prokurator występują w obronie systemu. Grzegorza nie broni nikt – pisze podziemny „Tygodnik Mazowsze".

„Oficjalna prasa pomniejsza znaczenie zeznań składanych przez Sadowską, jego kolegów i pracowników szpitala na Solcu. Natomiast wychwytuje i obszernie relacjonuje te momenty, które mogą stwarzać wrażenie małej wiarygodności świadków.

Dyskredytowaniu świadków służy również rozpętana przez prasę nagonka na Barbarę Sadowską, którą oskarża się o kierowanie w czasie śledztwa i procesu własnymi celami politycznymi, utrudnianie poznania prawdziwego przebiegu zdarzeń.

Sadowska może jedynie liczyć na zachodnich korespondentów, ale ich unika. Wczoraj była u niej dziennikarka z Republiki Federalnej Niemiec (RFN) i przez trzy godziny próbowała nakłonić Barbarę do udzielenia jej wywiadu.

Sadowska kategorycznie odmawia. Mówi, że nie ma takiej potrzeby, bo dziennikarze przekręcają jej słowa i piszą bzdury"[81].

Barbara. Sztandary jej już nie chcą

Poniedziałek 6 października 1986 roku jest pochmurny, ale niezbyt zimny i nie pada. Gazety piszą dziś o pożarze, który wybuchł na radzieckim okręcie atomowym przenoszącym rakiety balistyczne i o wystąpieniu generała Czesława Kiszczaka na konferencji PZPR w Koninie. Tłumaczy się z decyzji o zwolnieniu więźniów politycznych. Trudno to pojąć aktywowi, bo przez ostatnie trzy lata Kiszczak z Jaruzelskim przekonywali ich raczej do tego, by wichrzycieli z byłej Solidarności, KOR, KPN[82] trzymać pod kluczem, bo inaczej spalą ludową ojczyznę. To pierwsze, jeszcze nieśmiałe sygnały wysyłane do opozycji, że władza chciałaby się jakoś dogadać.

Po przekartkowaniu porannych gazet pięćdziesięciodziewięcioletni poeta Wiktor Woroszylski wprowadza ostatnie poprawki do przygotowanego wczoraj przemówienia. Kreśli, poprawia, wstawia brakujące słowa i akapity, by zdążyć przed mszą rozpoczynającą się o dwunastej. Z mieszkania Woroszylskiego przy Mickiewicza do kościoła Świętego Stanisława Kostki, gdzie jest już wystawiona trumna, są zaledwie dwa kroki. Po drodze spotyka znajomych Basi: Lothara Herbsta, Ryszarda Krynickiego, Bietę Ficowską, Marię i Józefa Piniorów, Zofię Kuratowską. Wspólnie przedzierają się przez tłum stojący pod kościołem. Kościelna służba porządkowa znajduje dla Woroszylskiego miejsce w ławce. Siedzi w jednym z pierwszych rzędów od ołtarza, obok młodej lekarki, która, jak mówi, do ostatnich dni opiekowała się Basią w Otwocku.

Przed ołtarzem stoją poczty ze sztandarami Solidarności z miast, do których Sadowska jeździła jako emisariuszka Komitetu Prymasowskiego: z Konina, Łowicza, Białegostoku. Mszę koncelebruje szesnastu księży – jest wśród nich duszpasterz środowisk twórczych ksiądz Wiesław Niewęgłowski, ksiądz poeta Jan Twardowski i przyszły biskup ksiądz Bronisław Dembowski, który zna Sadowską z komitetu na Piwnej, bo nim od początku kieruje.

Woroszylski słucha homilii księdza Dembowskiego. Mówi w niej o wielkim sercu, któremu los nie szczędził cierpień, o wznoszeniu się ponad własne cierpienia, o pomocy potrzebującym i o pocieszeniu, które Barbara niosła.

Z kościoła na cmentarz Powązkowski Woroszylskiego podwozi doktor Kuratowska. Tam znowu tłumy i czekanie, aż pieszy kondukt dotrze do mogiły. Trwa to dwie godziny, bo trumna przemierza ulice Warszawy na ramionach niosących ją osób.

Woroszylski rozgląda się wokół. Na cmentarzu razem z nim czekają poeci – Tomasz Jastrun i Antoni Pawlak (przyjechał z Gdańska), literaci – Jacek Bocheński i Andrzej Drawicz, korowcy – Jan Lityński, który wybrał pogrzeb koleżanki zamiast przesłuchania, i Jacek Kuroń, doktor Ligia Urniaż-Grabowska, dziennikarka Ewa Milewicz i towarzyszący jej Wiktor Kulerski. Poza tym tysiące innych, którzy Sadowskiej mogli nie znać osobiście, ale o niej słyszeli.

Przy mogile gęsto i ciasno. Woroszylskiego wypychają na pagórek nad otwartym grobem, wkładają w ręce charczący mikrofon i proszą o głos. Wyjmuje z kieszeni płaszcza zgiętą kartkę, czyta:

„Basia była człowiekiem przyjaźni, współczucia, pomocy. Często ponad przeciętność, zdolność zrozumienia tego i odwzajemnienia. Obdarzała bliźnich hojnością swojej duszy, a także, gdy zachodziła potrzeba, dzieliła się tym, co materialne, wymierne, choćby dachem nad głową, przygarniając bezdomnych i zabłąkanych.

W tym, jak żyła na co dzień, w tej niekonwencjonalności i nieprzystosowaniu, wręcz fizycznej niezdolności do elementarnego konformizmu życiowego, też przejawiała się jej niezwykła, szlachetna poetycka natura. Była kimś rzadkim, nie literatką, a poetką właśnie, nieznającą granicy między własnym istnieniem a słowem…

Była w niej kruchość, a zarazem ogromna siła. Był smutek i zarazem, mimo ciosów spadających na nią przez wszystkie lata z jakąś mściwą regularnością, mimo chorób, nieszczęść, krzywd, strat, była w niej jakaś żywiołowa radość, promienność, witalność, choć trudno w to może

uwierzyć pamiętającym Basię dopiero po ostatnim morderczym ciosie z maja 1983. […]

Była w swojej poezji zbyt niezależna od gustów, nurtów, mód, fal, zbyt wolna, zbyt czujnie wsłuchana we własny głos wewnętrzny, w jego prawdę, w jego konieczność, żeby mieć powodzenie.

Ale nie była egocentryczna, odwrócona od wspólnoty, obojętna na poryw i ból społeczny. […] Tam, gdzie potrzebna była pomoc prześladowanym i cierpiącym, w wielkiej i małej historii naszych czasów. Basia tam była. Całą sobą. Ofiarna, niezmordowana, odważna. […]

Żegnaj Basiu, dziecko Boga, męczeńska matko Grzesia, człowieku wielkiego ducha, nasza przyjaciółko, poetko, której prawdziwy wymiar odsłoni się jeszcze niejednym oczom. Spoczywaj spokojnie pod tym niebem w tej warszawskiej ziemi”[83].

Pod brzozowym krzyżem wbitym w mogiłę Wojciech Ziembiński, jeden z założycieli KOR, intonuje *Mazurka Dąbrowskiego*. „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy” – śpiewają głośno Powązki, gdy Woroszylski opuszcza cmentarz.

W podziemnej prasie po pogrzebie można przeczytać, że Barbara była wyjątkowa, dlatego nigdy nie zostanie zapomniana.

Dwa lata później powołano kapitułę nagrody Barbary Sadowskiej, która ma zadbać o to, by o niej pamiętano. Od tego samego roku kapituła ma przyznawać młodym poetom nagrodę imienia Sadowskiej i w ten sposób promować jej nazwisko. Wiadomo, że o przyznaniu nagrody będzie pisała prasa, będą szczycili się nią laureaci i tak utrwali się jej nazwisko w przestrzeni publicznej. Przetrwa pamięć o niej.

Pieniądze na uhonorowanie pierwszych laureatów daje przyjaciółka Basi – Bieta Ficowska.

– Potem pieniędzy już nie miałam – mówi – a nikt inny nie chciał tej nagrody sfinansować. I taki był jej koniec.

* * *

Mieszkanie Sadowskiej na jedenastym piętrze wieżowca po jej śmierci zajęła dziewczyna Grzesia – Marzena – ze swoją rodziną. Przez ostatnie

lata Barbara była z nią najbliżej. Oprócz mieszkania w testamencie zapisała jej prawa do swoich utworów.

W reportażu Wojciecha Tochmana z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przeczytałem, że była wtedy menadżerem kas w supermarkecie.

Zdobyłem numer jej telefonu. Próbowałem z nią porozmawiać. Dzwoniłem, wysyłałem SMS-y, napisałem list. Nie odpowiadała. Poprosiłem jej znajomych, by pośredniczyli w umówieniu naszego spotkania. Nie zgodziła się.

Dziewczyna Grzesia ma dzisiaj pięćdziesiąt trzy lata.

* * *

Ostatni tomik wierszy ukazał się w niewielkim nakładzie w 1997 roku, w małym warszawskim wydawnictwie. Jej hermetyczne wiersze z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zostały zapomniane. Tak samo jak te o Grzegorzu z lat osiemdziesiątych.

Spróbujcie spytać kogoś, czy słyszał o Sadowskiej.

– Została całkowicie zapomniana – mówi Józef Pinior.

– Dlaczego?

– Nie pasuje na sztandary ani lewicy, bo jest zbyt konserwatywna, ani prawicy, bo zbyt rozrywkowa. Jest zupełnie poza dzisiejszym podziałem polityczno-kulturowym. Nikt nie jest w stanie jej adoptować, bo nie ma tej Polski, do której ona kiedyś należała.

Lipiec 1984

2 lipca, poniedziałek

W telewizorze w sali rozpraw sąd ogląda wizję lokalną w budynku pogotowia na Hożej. Milicyjna kamera pokazuje szare korytarze, wnętrze windy, pozorantów i głównych aktorów widowiska: Jacka Szyzdka w więziennym drelichu i Michała Wysockiego w białym golfie, dżinsach i adidasach.

Łysiejący mężczyzna czesany na pożyczkę zachęca oskarżonych, by spontanicznie opowiadali o tym, co się wydarzyło. Biorą to sobie do serca. Przez następne półtorej godziny obrzucają się wzajemnie oskarżeniami, szorując pozorantem w stalowym kombinezonie podłogi między parterem a pierwszym piętrem.

Obaj oskarżeni sanitariusze nie patrzą w telewizor. Mają spuszczone głowy, jakby było im wstyd, że dali się podejść i tak nawzajem się pogrążyć.

9 lipca, poniedziałek

Wstaje oskarżony Jacek Szyzdek. Mówi, że chce złożyć ważne oświadczenie, które dotyczy wczorajszego filmu z konfrontacji. Po jego obejrzeniu doszedł do przekonania, że jego wypowiedzi obciążające Wysockiego wynikały z napięcia nerwowego, emocji i nie były poparte żadnymi faktami. W rzeczywistości, wtedy przy windzie, gdy transportowali Przemyka na pierwsze piętro, widział tylko unoszącą się nad brzuchem chłopca nogę Wysockiego. Nie widział ani kopnięcia, ani żadnego uderzenia. Mówi, że wszystko, co wcześniej mówił, czyli zeznania o rzekomym kopaniu pacjenta przez Wysockiego, były tylko interpretacją faktu zawieszenia nogi nad tułowiem pacjenta. I jeszcze raz zapewnia, że żadnego kopania nie widział.

Wyznanie Szyzdka oznacza całkowite załamanie linii oskarżenia tuż przed ostatecznym zakończeniem postępowania dowodowego. Zwłaszcza że już na początku procesu odwołał swoje zeznania drugi z głównych oskarżonych – Michał Wysocki. A całe oskarżenie oparte jest na tym, co milicjantom i prokuratorom udało się wycisnąć z oskarżonych, napuszczając ich nawzajem na siebie.

10 lipca, wtorek

W czarnej todze z czerwonym żabotem, krokiem kawalerzysty, wczesnym wtorkowym rankiem do sali rozpraw wypełnionej po brzegi kamerami, reflektorami, mikrofonami radiowymi wchodzi przysadzista tleniona blondyna – prokurator wojewódzka Wiesława Bardon, zwana Bardonową. Jeszcze podczas trwania procesu przed kamerą telewizyjną sugerowała, kto ponosi największą winę za śmierć maturzysty, kto pozwalał nadużywać dziecku alkoholu, kto z kim się rozwiódł i kogo z kim łączyła bliska zażyłość.

Gdy zbliża się moment jej wystąpienia, z ław publiczności podrywa się Barbara Sadowska i grupa towarzyszących jej kobiet.

„Jest całkowicie zrezygnowana, nie wierzy w ukaranie milicjantów” – piszą w raporcie do Kiszczaka zabezpieczający proces esbecy. „Opowiada, że uczestniczy w procesie dlatego, aby zachować twarz wobec opinii publicznej, ponieważ jest to proces w sprawie śmierci jej syna”.

Gdy prokurator Bardonowa rozpoczyna po południu swą oskarżycielską mowę, kierują się na nią wszystkie obecne w sali 224 obiektywy i mikrofony. (Prokuratorki podzieliły między siebie zadania oskarżycielskie: Bardonowa zajmuje się sprawą główną – oskarżeniami przeciwko milicjantom i załodze karetki, Jackowska – lekarzami).

– Tragiczna śmierć młodego człowieka została cynicznie wykorzystana przez wrogie ośrodki dla celów politycznych. W szczególności przez Radio Wolna Europa, nielegalne wydawnictwa na bazarowym poziomie, do których nie wahają się pisać wybitni intelektualiści – mówi stanowczym, tubalnym głosem.

Teraz kieruje swój atak na najbardziej sponiewieraną z ofiar:

– Sadowska przed sądem wykroczyła poza uprawnienia świadka i wygłosiła przemówienie polityczne – grzmi czarna postać z czerwonym żabotem. – Stwierdziła, że śmierć syna to zemsta za jej działalność polityczną. Mówiła o groźbach powołania syna do ZOMO i dlatego jakoby zgłosiła się z nim do psychiatry. Jaka jest jej wiarygodność? Została zatrzymana trzydziestego kwietnia, a u psychiatry była jedenastego i dwudziestego czwartego kwietnia.

Zresztą Sadowska była w areszcie tylko przez dziesięć dni i została zwolniona. To jej cała działalność polityczna. A przecież mamy nie takich działaczy opozycji i jakoś ich rodzinom nic się nie dzieje – szydzi Bardonowa.

– Legenda o pobiciu Przemyka – tłumaczy sądowi – zrodziła się wtedy, gdy Barbara Sadowska spotkała Jakuba Kotańskiego, który na podstawie nieartykułowanego krzyku usłyszanego pod komisariatem uznał, że Przemyk został pobity. Był to argument odpowiadający koncepcji określonego środowiska reprezentowanego przez Wiktora Woroszylskiego i Jana Józefa Szczepańskiego.

Nie ma już wątpliwości, kogo Bardonowa oskarża, a kogo broni.

Świadkowie, którzy mówią o biciu Grześka w komisariacie, są dla niej zupełnie niewiarygodni. Kpi z ukrywającego się po śmierci Przemyka Cezarego F.:

– Czyżby i w prokuraturze bili?

– Ukrywa się – wyjaśnia Bardonowa – bo się musiał nauczyć swojej roli.

Zresztą F. jest dla niej niewiarygodny też z powodu przebywania w poprawczaku, zakładzie karnym i przez to, że kocha poezję, a nigdzie na stałe nie jest zatrudniony.

Następnemu świadkowi – Jakubowi Kotańskiemu – też nie można ufać, bo leczy nerwicę w ośrodku w Zagórzu. Coś tam słyszał, ale nie wiadomo co. Jakiś nieartykułowany okrzyk indiański albo karate. Ale dla niego to od razu krzyk bitego Grzegorza Przemyka.

– Po prostu – pręży się Bardonowa – Kotański usłyszał o biciu od innych i sam zaczął powtarzać tę wersję.

Tylko dlaczego miałby to robić?

– Bo całe to środowisko uznaje zasadę: cel uświęca środki.

A celem, jak wiadomo, jest oczernienie władzy ludowej, której Bardonowa jako prokurator broni już od wielu, wielu lat, zamykając czołówkę KOR, Solidarności i KPN.

Są jeszcze koledzy Grześka i lekarze, którym opowiadał o biciu w komisariacie. Czyżby ich okłamał? Był tak przebiegły, że przewidziawszy swoją śmierć, chciał pogrążyć milicję, opowiadając o ich bestialstwie wszystkim, których spotkał?

– Nie zasługują na zaufanie – mówi o tych świadkach Bardon.

Ale przecież wszyscy oni zeznali przed sądem, że na własne uszy słyszeli, jak Grzesiek opowiadał im o biciu. Marzena, Kuba, Czarek, Piotrek, doktor Grzejszczyk, pielęgniarki. Kłamali? Byli w zmowie? Zapis o biciu przez milicję jest przecież w szpitalnej karcie choroby. Czyżby została sfałszowana?

To prokurator Bardonowa potrafi z łatwością wyjaśnić:

– Przemyk powtarzał nie to, co pamiętał, ale to, co mu podpowiedziała matka, cierpiał bowiem na zaburzenia pamięci. Z powodu niepamięci wstecznej powtarzał słowa matki.

Dlatego mówił o pobiciu w komisariacie, a nie w pogotowiu, co jest pewne w świetle dowodów, a co nie pasowało do koncepcji środowiska.

Są jeszcze zeznania biegłych patomorfologów, wskazują oni na komisariat jako jedyne miejsce, w którym mogło dojść do śmiertelnego pobicia. Ich zeznania też trzeba odrzucić.

– Nie mają prawa oceniać dowodów – denerwuje się Bardonowa. – A tak zrobili, opierając się na zeznaniach F.

Zarzuca im, że znając skutek, domniemywali o przyczynie, czyli znając obrażenia, dopasowali zdarzenie, które najlepiej do tych obrażeń przystawało.

Skoro tyle jest wątpliwości, to czy w tak ważnej sprawie można komukolwiek zaufać?

Można. Bardonowa twierdzi, że tylko zeznania funkcjonariuszy zasługują na wiarę.

– Cóż to zresztą za funkcjonariusze – wykrzykuje, wskazując na wysokiego blondyna o wyglądzie wiejskiego ministranta siedzącego ze spuszczoną głową w ławie oskarżonych. – To po prostu żołnierze. Umieją tylko patrolować i legitymować. Przemyk krzyczał, więc go posadzili. Oto cała historia. Nawet poczęstowali go papierosem.

I dopiero w pogotowiu rozgrywa się dramat na oczach licznych pacjentów. Bardonowa nie informuje sądu, że to SB ich wszystkich odnalazła i przeprowadziła pierwsze rozmowy. Mówi, że znaleziono ich w wyniku żmudnej i rutynowej pracy organów śledczych.

To prawda, że żaden ze świadków nie widział bicia, a tylko słyszał wyraźne krzyki bitego Przemyka. (W tym przypadku Bardonowa nie uważa, że można pomylić je z okrzykami indiańskimi lub karate). Prawdą też jest, że w zeznaniach są drobne rozbieżności, bo świadkowie nie mogą się zdecydować, czy sanitariusze ciągnęli Przemyka za ręce, czy raczej za nogi, czy krzyczał z parteru, czy pierwszego piętra i czy sanitariusze byli w białych, czy niebieskich fartuchach.

– To są naturalne błędy postrzegania i tylko podnoszą wiarygodność świadków – wyjaśnia te drobne nieścisłości sądowi.

W tym samym tonie – dwa dni później – będą przemawiać obrońcy milicjantów.

Adwokat Kościuka, mecenas Włodzimierz Mizgier-Chojnacki, będzie próbował przekonać sąd, że na tej śmierci opozycja robi dobry interes, że Przemyk krzyczał na Jezuickiej nie z bólu, ale z braku kultury osobistej, której nie wyniósł z domu, i że Sadowska jest wszystkiemu winna, bo źle wychowała syna i obca jej była instytucja matki.

– Dobra matka zaniosłaby chorego syna na własnych plecach do lekarza – mówi Mizgier-Chojnacki.

Obrońca Denkiewicza, adwokat Józef Kuczyński, stwierdził, że śledztwo ukierunkowane było przez opozycję, która w usta F. włożyła słowa nigdy niewypowiedziane, „żeby bić bez pozostawiania śladów”.

„Wystąpienia prokurator Bardonowej oraz obrońców obu milicjantów: Włodzimierza Mizgiera-Chojnackiego i Józefa Kuczyńskiego dorównywały stalinowskim wzorom lat pięćdziesiątych” – pisze podziemny „Tygodnik

Mazowsze”. „Dla tych trojga oskarżonymi byli w pierwszej kolejności Grzegorz Przemyk i jego matka Barbara Sadowska, a dopiero w drugiej – dwaj sanitariusze”[84].

13 lipca, piątek

Ostatnie słowo oskarżonych.

Michał Wysocki:

– Proszę o uniewinnienie z obydwu zarzuconych czynów.

Jacek Szyzdek:

– Nie poczuwam się w żadnej mierze do imputowanych mi czynów. Stojąc przed wysokim sądem, nie apeluję o sprawiedliwość, ponieważ głęboko wierzę, że znajdę ją w wydanym orzeczeniu. Nie potrzebuję prosić o obiektywność, a to z tych przyczyn, iż uważam postawienie mnie w stan oskarżenia za nieporozumienie i prawną pomyłkę.

Ireneusz Kościuk:

– Chciałem prosić o uniewinnienie.

Arkadiusz Denkiewicz:

– To, co miałem do powiedzenia, to już powiedziałem. Nie czuję się winny śmierci Grzegorza Przemyka i proszę o uniewinnienie.

Paweł Willmann:

– Proszę wysoki sąd, by nie pozbawiał mnie czci i dobrego imienia rzetelnego lekarza i uznał w majestacie prawa za niewinnego.

Bronisław Jasicki:

– Proszę wysoki sąd o sprawiedliwe rozstrzygnięcie.

16 lipca, poniedziałek

Po prawie rocznym śledztwie i półtoramiesięcznej rozprawie sąd ogłosi dziś wyrok.

Znów strażnicy przy drzwiach przeszukują torebki w poszukiwaniu dyktafonów. Sala jest pełna. Wśród zgromadzonych są dziennikarze krajowi, zagraniczni, fotoreporterzy. Obiektywy kamer wypatrują w tłumie Sadowskiej, żeby złapać zbliżenie jej twarzy wyrażającej emocje w chwili

ogłoszenia wyroku. Nie przyszła. To symboliczna nieobecność. Pokazuje brak wiary w sprawiedliwy wyrok.

Orzeczenie sądu odczytuje przewodniczący składu orzekającego Janusz Jankowski. Po lewej siedzi sędzia Andrzej Lewandowski, po prawej Ewa Gutowska-Sawczuk – przysłuchują się w skupieniu.

Funkcjonariusze milicji Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkiewicz zostają uniewinnieni. Lekarze – Jasicki i Willmann – winni, ale tylko niedopełnienia obowiązków lekarskich. Sąd uznaje, że to nieumyślne przestępstwo i postępowanie karne przeciwko nim umarza.

Sanitariusze Szyzdek i Wysocki – niewinni śmiertelnego pobicia Przemyka, ale winni jego brutalnego traktowania w pogotowiu. Za to zostają skazani na dwa oraz dwa i pół roku więzienia.

Sędzia Jankowski tłumaczy, że na podstawie zebranego materiału dowodowego trudno byłoby uznać sanitariuszy za winnych śmiertelnego pobicia Przemyka. Zostali więc skazani za brak należytej troski o powierzonego ich opiece pacjenta. Ale można mieć wątpliwości, czy popełnili ten czyn, bo dowody przedstawione w sądzie były bardzo mizerne.

„Kara wymierzona pracownikom pogotowia była swego rodzaju oddaniem im sprawiedliwości za to, jak zachowywali się w śledztwie. Zostali ukarani za głupotę i brak odporności charakteru”[85] – pisał tuż po ogłoszeniu wyroku „Tygodnik Mazowsze”.

W uzasadnieniu wyroku sędzia Jankowski mówił, że sąd nie oceniał, czy krzyk Grzegorza Przemyka był krzykiem bólu, czy okrzykiem karate.

– Z samego tego faktu nie można wyciągnąć żadnego wniosku – twierdzi. – Nie można też przyjąć, że słowa: „Bijcie tak, żeby nie było śladów”, zostały w ogóle wypowiedziane.

Mówi, że zeznania Cezarego F. i Jakuba Kotańskiego nie mogą być podstawą ustaleń faktycznych. Nie można też przyjąć, że zeznania funkcjonariuszy milicji są nieprawdziwe, choć między tymi zeznaniami występują pewne rozbieżności.

Sąd nie znalazł odpowiedzi na najważniejsze pytanie: kto śmiertelnie pobił Przemyka? Nie wysunął nawet w tej sprawie żadnej hipotezy. Bo jeśli

nie milicjanci, nie sanitariusze – to kto?

„Sentencję wyroku można uznać za formę sprawienia przez sędziów satysfakcji własnemu skołatanemu sumieniu, natomiast ustne uzasadnienie wyroku – za daninę spłaconą żądaniom władzy” – pisała dziennikarka Marta Miklaszewska[86].

Po wyroku sąd wstaje i znika za drzwiami za stołem sędziowskim. Sala 252 pustoszeje, wychodzi publiczność, dziennikarze, obsługa techniczna demontuje mikrofony i reflektory. Pod salą stoi jednak wciąż grupka widzów, jakby w oczekiwaniu na inną sprawiedliwość. Podchodzi do nich sądowy strażnik. „Proszę państwa, proszę się rozejść, proces jest skończony, nic już więcej nie będzie” – mówi pełnym wyrozumiałości głosem.

Sędzia Andrzej Lewandowski, który jest dziś adwokatem, nie chce odpowiedzieć na pytanie, czy wyrok zapadł jednogłośnie, czy sędziowie spierali się przed podjęciem decyzji, czy mieli wątpliwości.

– Tajemnica sędziowska – odpowiada na wszystkie pytania. – Nic więcej sąd w tej sprawie nie mógł zrobić – dodaje.

Opowiada o majstersztyku, którego sędzia Jankowski dokonał, uzasadniając wyrok, i zaprzecza, że były na sąd jakiekolwiek naciski.

* * *

Następnego dnia po ogłoszeniu wyroku odbywa się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR – najwyższej władzy w partii.

„MSW niezadowolone z wyroku w sprawie Przemyka” – notuje w dzienniku Mieczysław Rakowski. Dwaj milicjanci zostali uniewinnieni, ale oczywiście nie z tego powodu MSW jest niezadowolone. W dyskusji głos zabrał Milewski, który powrócił do sprawy Przemyka. Jego zdaniem swoiste zdziwienie budzi fakt, że ludzie o autorytecie partyjnym (chodzi mu chyba o urzędników MSW) nie znaleźli posłuchu u sędziów.

– Część składu sędziowskiego była pod wpływami środowisk nam niechętnych – mówił. Z jego wypowiedzi wynika, że chciałby zrobić kolejną czystkę w aparacie wymiaru sprawiedliwości.

Kilka miesięcy później, już po zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki przez kapitana Grzegorza Piotrowskiego i jego kolegów z SB, Rakowski zapisał: „Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem to, że właściwi sprawcy śmierci Przemyka uniknęli surowej kary, nie zachęciło Piotrowskiego i jego kompanów do popełnienia tego zbrodniczego czynu”.

Część 2

2015

Matactwa

Telefon w gabinecie wiceministra spraw wewnętrznych zadzwonił pod koniec kwietnia 1990 roku.

– Puławska. Komenda Główna Policji. Parter. Pokój numer 6. W szafie za drzwiami po prawej stronie – tłumaczy Krzysztofowi Kozłowskiemu pierwszy zastępca prokuratura generalnego Aleksander Herzog.

Obaj są z ekipy, która od kilku miesięcy rozmontowuje w Polsce komunizm. Po zwycięskich dla Solidarności wyborach 4 czerwca 1989 roku stary świat się wali. Pierwszym niekomunistycznym premierem od zakończenia II wojny światowej zostaje Tadeusz Mazowiecki, ale komuniści zagwarantowali sobie przy okrągłym stole obecność w najważniejszych resortach siłowych: MON i MSW. Jednym z beneficjentów tej umowy jest minister spraw wewnętrznych generał Czesław Kiszczak. Przez wiele lat był najbliższym współpracownikiem generała Wojciecha Jaruzelskiego, którego okrągły stół wyniósł do stanowiska prezydenta PRL.

Kiszczak ma wciąż ogromną władzę, podlegają mu milicjanci i esbecy, a formalnie także solidarnościowy wiceminister Krzysztof Kozłowski.

Pod nadzorem Kiszczaka odbywała się od kilku miesięcy akcja masowego palenia akt kompromitujących autorów stanu wojennego, ukazujących przestępstwa władzy, kulisy działania systemu.

W nowym Sejmie zaś działa komisja specjalna Jana Rokity do wyjaśnienia przypadków tajemniczych zgonów z okresu 1982–1989.

Jedną z niewyjaśnionych zagadek stanu wojennego jest śmierć dziewiętnastoletniego maturzysty i zatuszowany udział w niej milicjantów.

– Nie wiem nawet, czy te akta jeszcze tam są – mówi do słuchawki prokurator Herzog, zalecając Kozłowskiemu ostrożność i pośpiech, dowiedział się bowiem, że dokumenty mają być w każdej chwili spalone.

Kozłowski wie, że nie ma co się oficjalnie zwracać do komendy głównej, bo jak to zrobi, to akta faktycznie znikną. Wzywa kierowcę i jadą z Rakowieckiej na Puławską do komendy głównej. Dyżurny prowadzi ministra do pokoju numer 6.

Wszystko się zgadza. Szafa stoi za drzwiami po prawej stronie, a w niej dwadzieścia osiem teczek tajnych akt sprawy Grzegorza Przemyka. Wynika z nich, że tuszowaniem zbrodni i chronieniem milicjantów zajmował się cały sztab ludzi, od szeregowych esbeków po ministra spraw wewnętrznych. Stworzono ogromną machinę milicyjną, sztaby kryzysowe, grupy terenowe, zakładano podsłuchy telefoniczne, domowe, inwigilowano, szantażowano po to tylko, żeby zrzucić winę na sanitariuszy z pogotowia.

– Z akt wynika – tłumaczył dziennikarzom prokurator Herzog – że działania zmierzające do uwolnienia milicji od odpowiedzialności za pobicie Przemyka prowadzone były odgórnie, za wiedzą Kiszczaka. Uważałem za obowiązek poinformować o tym premiera Mazowieckiego. W końcu dotyczyło to ministra w jego rządzie.

Wyciąg z odnalezionych akt trafia na biurko premiera Mazowieckiego, a prokurator Herzog zreferował ich zawartość, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką w sprawie odegrał Kiszczak.

– Był tym poruszony – zauważa Herzog.

„Stało się jasne, że Kiszczak musi odejść” – notował w swoich wspomnieniach Waldemar Kuczyński, najbliższy doradca premiera.

Gdy 6 lipca 1990 roku na wniosek premiera Mazowieckiego Czesław Kiszczak zostaje odwołany z rządu, nie kryje rozgoryczenia. Po raz ostatni spotyka się w gabinecie ze swoim następcą, Krzysztofem Kozłowskim, który się właśnie wprowadza.

– Zrobił mi pan świństwo, wyciągając te akta – mówi na pożegnanie do nowego ministra spraw wewnętrznych.

To bolesny upadek. Rok wcześniej Kiszczak był kandydatem na premiera i o mało nim nie został. Resort spraw wewnętrznych traktował jako tymczasową placówkę, na przeczekanie, przed wielkim skokiem w wielką karierę. Sprawa Przemyka jest jednak gwoździem do jego politycznej trumny.

– W sensie politycznym sprawiedliwości stało się zadość, ale w sensie prawnym już nie – mówi Herzog.

Trzy miesiące wcześniej, 5 kwietnia 1990 roku, Cezary F. składa ustne zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w 1983 i 1984 roku w trakcie śledztwa prowadzonego w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka. Namawia go do tego dziennikarz Jerzy Jachowicz, który na łamach „Gazety Wyborczej" opisuje kulisy tego postępowania.

Czarek ma obawy.

– To jeszcze za wcześnie. Będziemy mieć kłopoty – mówi Jachowiczowi, gdy ten próbuje przekonać go do wizyty w prokuraturze.

– Jurek go przekonał, że dłużej nie ma co zwlekać – mówi Iwona F., żona Czarka. (Zanim zacznie się śledztwo, Czarka i jego rodziców prokuratura poprosi o napisanie oświadczenia, że nie będą skarżyli tych, którzy ich w latach osiemdziesiątych nękali, by przyspieszyć sprawę i skrócić ławę oskarżonych. „Tak to by cały naród z sądu nie wychodził" – powiedział im prokurator).

Trzy tygodnie później, 25 kwietnia 1990 roku, do prokuratury zgłasza się kolejny ważny świadek – były oficer milicji Jerzy Kulczycki. W roku 1983 został członkiem specjalnej grupy, którą MSW powołało w Biurze Dochodzeniowo-Śledczym Komendy Głównej MO. Mówi, że jej podstawowym i jedynym zadaniem była obrona milicjantów przed zarzutem spowodowania śmierci Przemyka. Milicjanci wpływali na wyniki postępowania przez reżyserowanie najważniejszych przedsięwzięć procesowych, spychając śledztwo na fałszywe tory. Chodziło o zrzucenie odpowiedzialności na sanitariuszy.

Mówi, że zanim jeszcze prokurator przystąpił do przesłuchania milicyjnych świadków, byli instruowani, jak mają zeznawać i co mówić. Kulczycki twierdzi, że jego przełożony wywierał na niego presję, by dostarczył fałszywych dowodów. Jego zadaniem było przygotowanie ekspertyzy, że możliwe było pobicie Przemyka w karetce pogotowia. Ale gdy zameldował swojemu przełożonemu, że eksperyment wykazuje coś zupełnie przeciwnego, ten bardzo się zdenerwował.

– Za Stalina kazałbym cię rozstrzelać – powiedział.

W prokuraturze działał już wtedy zespół prokuratora Herzoga, analizujący śledztwa ze stanu wojennego, w których MSW mogło nadużyć swojej pozycji. Rutynowo przesłuchiwani byli milicjanci z komendy głównej milicji. Jeden z nich – podpułkownik Henryk Czmoch – zeznał, że przełożony polecił mu zniszczyć akta operacyjne sprawy Przemyka, by ukryć dowody bezprawnych działań MSW[87].

Przełożonym był pięćdziesięciosiedmioletni pułkownik Kazimierz Otłowski, były dyrektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego KGMO, który milicyjną karierę zaczął w 1953 roku, ale już po śmierci Stalina. Teraz jest jednym z kandydatów na najważniejsze stanowisko w odnowionej moralnie policji – komendanta głównego policji. Dlatego zapewnia ministra Krzysztofa Kozłowskiego, że w czasach komunizmu nie robił nic niegodnego, a szczególnie nie ma nic wspólnego z manipulacjami przy śledztwie dotyczącym śmierci Przemyka.

Zeznania Kulczyckiego nie tylko grzebią karierę pułkownika Otłowskiego, ale także doprowadzają go na ławę oskarżonych.

W 1993 roku zostaje oskarżony o to, że od listopada 1989 roku do lutego 1990 roku jako dyrektor Biura Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Głównej MO utrudniał postępowanie sejmowej komisji nadzwyczajnej do zbadania działalności MSW w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka, chroniąc w ten sposób sprawców jego pobicia.

Obok pułkownika na ławie oskarżonych siedzi dwóch milicjantów uniewinnionych w procesie w 1984 roku: Ireneusz Kościuk i Arkadiusz Denkiewicz.

Trzydziestojednoletni Kościuk w momencie rozpoczęcia procesu jest nadal pracownikiem resortu, zajmując stanowisko milicjanta kompanii patrolowej Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Zamościu.

Natomiast czterdziestodwuletni Denkiewicz jest od trzech lat milicyjnym emerytem. Odszedł z resortu ze względu na bardzo zły stan zdrowia i próbuje teraz szczęścia w handlu. Ma przyczepę kempingową, z której sprzedaje dzieciom lody i słodycze.

Razem z Kościukiem oskarżony jest o śmiertelne pobicie Grzegorza Przemyka, przy czym udział Denkiewicza ogranicza się tylko do

nawoływania do bicia. Z Kościukiem sprawa jest bardziej skomplikowana. Co prawda, jest oskarżony o bicie łokciem w brzuch, ale akt oskarżenia opiera się głównie na starych zeznaniach Cezarego F., więc udowodnienie winy będzie poszlakowe, F. bowiem nie rozpoznał Kościuka jako jednego z bijących. Jego identyfikację umożliwił fakt, że był tym funkcjonariuszem, któremu Przemyk próbował wyrwać pałkę. Prowadzący śledztwo prokurator Błażej Sobierajski stwierdził, że oprócz Kościuka chłopca biło dwóch innych milicjantów. Którzy? Tego nie udało się ustalić, bo zomowcy i milicjanci na ten temat milczą.

Rozpoczynający się w 1993 roku drugi proces w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyka to jedno z najważniejszych postępowań rozliczeniowych ostatnich dekad komunizmu. Tak samo ważny jak proces Ciastonia i Płatka, generałów MSW zamieszanych w morderstwo księdza Popiełuszki, plutonu specjalnego MO odpowiedzialnego za śmierć dziewięciu górników w kopalni Wujek oraz zomowców z Lubina strzelających do manifestantów jak do kaczek.

Sprawa toczy się w tej samej sali 252 warszawskiego sądu, w której dziewięć lat temu sąd uniewinnił milicjantów. Od pierwszego dnia w sali rozpraw są kamery telewizyjne, mikrofony radiowe, dziennikarze prasowi relacjonujący każdy dzień, opisujący szczegółowo zeznania świadków, zachowania oskarżonych. Otłowski, Kościuk i Denkiewicz stają się głównymi bohaterami przekazów prasowych. Ich zdjęcia można niemal codziennie oglądać w prasie, jak siedzą na ławie oskarżonych: Otłowski sztywno, nie okazując emocji, Kościuk spięty, a Denkiewicz wsłuchany w zeznania świadków, jakby to chodziło o kogoś innego[88]. Protestują przeciw temu ich adwokaci, zauważając, że permanentnie łamane jest prawo oskarżonych do ochrony wizerunku.

Już od pierwszego dnia procesu czuć, że ława oskarżonych jest zbyt krótka. Że brak tam kilku osób z kierownictwa państwa i partii, że decyzje o fałszowaniu dowodów nie mogły zapadać na poziomie pułkownika Kazimierza Otłowskiego. Z akt śledztwa wynika niezbicie, że o wszystkim wiedział szef MSW generał Kiszczak, wiele działań sam inspirował lub je akceptował. Domagał się aresztu dla sanitariuszy, wzywał na odprawy

szefów milicji, referował sprawę na posiedzeniu rządu. Obciążają go też zeznania jego bliskiego współpracownika, pułkownika Romualda Zajkowskiego, który opowiadał śledczym, jak próbował przekonać Kiszczaka do postawienia przed sądem zwyrodnialców z milicji, ale minister zdecydował inaczej i bronił ich do końca.

W trakcie procesu świadek koronny Cezary F. pisze list otwarty[89]: „Dziś jest bardzo trudno mówić o szczegółach tej sprawy. Minęło dwanaście lat. W pamięci zostały tylko drastyczne sceny z komisariatu i krzyk Grzegorza. To, o czym należy pamiętać, stało się natomiast później. Była to ostra walka o prawdę, godność, zdrowie. Czy można nie zapytać, dlaczego na ławie oskarżonych siedzi tylko pułkownik, i to w dodatku były milicjant? Czy to wszyscy? Kto prowadził śledztwo, szykanował, groził, upadlał w prasie i telewizji, jakie siły naciskały na moją rodzinę, kto nas inwigilował, groził utratą życia, straszył? Kto obiecywał wyjazdy, obce szkoły, aż w końcu w ostateczności mówił, tuż przed pierwszą rozprawą, „że to na nic i tak nie wygracie procesu”. Kiedy pan Kiszczak poznał moją rodzinę, co o niej pisał w swojej książce, dla jakich celów wzywał świadków do MSW, do pokoju, w którym wisi mapa z miastem Stalinogród?”.

[^] Od lewej w drugim rzędzie: Arkadiusz Denkiewicz, Ireneusz Kościuk i Kazimierz Otłowski na ławie oskarżonych w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie tuż przed ogłoszeniem wyroku w 1997 roku. Żaden z nich nie przyznał się do winy.

Dlaczego Kiszczak nie zasiadł na ławie oskarżonych?

– Analizowaliśmy to pod względem prawnym – mówi prokurator Aleksander Herzog. – Kiszczaka można było jedynie ścigać za utrudnianie śledztwa, ale po pięciu latach powód uległ przedawnieniu.

Wyrok zostaje ogłoszony 4 kwietnia 1997 roku, siedem lat po wszczęciu śledztwa. Kazimierz Otłowski dostaje półtora roku więzienia za próbę zniszczenia milicyjnych akt Przemyka, Arkadiusz Denkiewicz – dwa za podżeganie do bicia, a Ireneusz Kościuk zostaje uniewinniony. Po ogłoszeniu wyroku zachowuje się tak, jakby nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Na kamiennej twarzy trudno mu powstrzymać uśmiech.

Przewodnicząca składu orzekającego Barbara Sierpińska w ustnym uzasadnieniu wyroku przyznaje się do porażki. Nie była w stanie wskazać osoby, która zadała śmiertelny cios maturzyście, choć z całą pewnością stało się to w komisariacie przy Jezuickiej. Kto bił Przemyka? Tego sąd nie ustalił.

– Wszystkie wątpliwości muszą przemawiać na korzyść oskarżonego Kościuka – tłumaczy sędzia Sierpińska.

– Tak jest, gdy zbyt późno próbuje się wymierzyć sprawiedliwość – mówi Herzog. – W tym przypadku było jeszcze gorzej, bo panowała zmowa milczenia. Bez jej przełamania trudno było tę sprawę wyjaśnić, a milicjanci nie mieli interesu mówić prawdy.

Prokuratura nie ustępuje, składa kolejne apelacje, które niczego nie zmieniają. Kolejne sądy uniewinniają Kościuka.

W styczniu 2001 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie uznaje, że sprawa Kościuka się przedawniła, więc nawet nie bada merytorycznych zarzutów wobec zomowca. Sąd Najwyższy uchyla ten wyrok we wrześniu 2001 roku i sprawa znów trafia na wokandę.

W 2008 roku Kościuk zostaje uznany za winnego pobicia Przemyka i skazany na osiem lat więzienia. (Z powodu amnestii wyrok jest złagodzony o połowę). Do więzienia jednak nie trafia, bo obrońca zomowca podnosi w apelacji znów kwestię przedawnienia.

Ostatecznie sprawa Kościuka kończy się w lipcu 2010 roku. Dwadzieścia siedem lat po pobiciu Grzegorza Przemyka Sąd Najwyższy umarza definitywnie jego sprawę.

– Matactwa z czasów komunistycznych okazały się skuteczne – powiedziała w ostatnim słowie sędzia Małgorzata Gierszon.

Kto zabił?

Prowadzący rozprawę w 1984 roku sędzia Janusz Jankowski, uzasadniając wyrok, powiedział, że w wyniku przeprowadzonego śledztwa nie można wskazać winnych spowodowania śmierci Grzegorza Przemyka. Czy rzeczywiście materiał dowodowy był tak ubogi? Czy nie można było się pokusić o wskazanie napastników?

Dwie rzeczy pozostają pewne:

1. Że dobiegające krzyki chłopca wywabiły z dyżurki Denkiewicza, który poradził zomowcom: „Bijcie tak, żeby nie było śladów". Był on starszy od pozostałych milicjantów, miał charakterystyczny zarost, więc F. dokładnie go zapamiętał.

2. Że w biciu uczestniczył zomowiec, którego Przemyk próbował powstrzymać, łapiąc za pałkę wymierzoną w jego stronę. Cezary F. nie rozpoznał go podczas konfrontacji, ale z zeznań innych zomowców (Bielca, Jarmułowicza, Dalmaty) wynika, że funkcjonariuszem, z którym Przemyk szarpał się o pałkę, był szeregowy Ireneusz Kościuk. Stąd logiczny wniosek, że to on uczestniczył w biciu maturzysty. Niejasne jest tylko, czy trzymał on od tyłu Przemyka za ręce, czy stał z przodu i wymierzał mu ciosy łokciem w brzuch. Tego Czarek dokładnie nie pamiętał.

Gdy dziś analizuję zeznania Cezarego F. i milicjantów z Jezuickiej sprzed trzydziestu lat, widać, że krąg podejrzanych jest bardzo wąski.

Trochę przypomina to układanie puzzli, kiedy to z drobnych, nieczytelnych fragmentów tworzy się szczegółowy obraz, z dobrze widocznymi detalami, tłem.

Tylko że przy sprawie Grześka puzzle są trochę niekompletne, bo w 1983 i 1984 roku nikomu nie zależało na ich ułożeniu. Ani prokuraturze, ani sądowi. Widać, że protokoły przesłuchań zomowców i milicjantów są dziurawe. Nikt ich nie docisnął, nie dopytał, nie doprecyzował odpowiedzi, choć trzeba było to wtedy zrobić. Sporo jednak mimo to można wyczytać.

Po wprowadzeniu Cezarego F. i Grzegorza Przemyka na korytarzu komisariatu pozostają z nimi dwaj zomowcy: Bogusław Bielec i Ireneusz Kościuk. Przemyk siada na krześle przy stoliku, przy którym wypełnia swój służbowy notes trzeci z zomowców – Krzysztof Dalmata. To właśnie on, gdy usłyszy od Grześka, że nie musi nosić dowodu osobistego, zerwie się z krzesła i krzyknie do kolegów:

– Trzeba gówniarza nauczyć.

Można to potraktować jako wezwanie do bicia.

I tak chyba zostało potraktowane, bo przy Grześku pojawia się dwóch mundurowych. Jednym z nich jest szeregowy Kościuk, który już na placu Zamkowym tłukł pałką po plecach krnąbrnego obdartusa, gdy zapierał się w drzwiach radiowozu. Potem obdartus bezczelnie się odgraża, że ich dni są policzone. Czy człowiek noszący przy sobie pałkę mógł ze spokojem słuchać tych chamskich zaczepek? Czy można się dziwić, że chwyta ją teraz za rękojeść, próbuje wyciągnąć, by zadać nią ostrzegawczy cios gówniarzowi? Tylko że gówniarz ma refleks i łapie ręką pałkę, zanim jeszcze zawiśnie nad jego głową. Wtedy ci dwaj pozostali – ten, który stał przed chwilą przy Kościuku, i Krzysztof Dalmata – próbują nauczyć gówniarza. Cezary F., który stara się bronić Grześka, dostaje kilka razów pałką i zostaje rzucony na to samo krzesło przy stoliku, przy którym przed chwilą siedział Przemyk.

Milicjant, który towarzyszy Kościukowi, tłucze teraz Grześka pałą po plecach tak, że biała lola, jak ją nazywają czule zomowcy, aż zawija się mu na piersiach. Chłopak drze się przeraźliwie, w końcu z dyżurki wyskakuje sierżant Arkadiusz Denkiewicz i instruuje młokosów:

– Bijcie tak, żeby nie było śladów.

Wtedy zmieniają technikę. Dwóch trzyma chłopaka z tyłu za ręce, jeden staje z przodu i uderza go przedramieniem w brzuch. Biją tak długo, aż chłopak upada zemdlony na posadzkę. Wtedy podnoszą go za ręce i sadzają na krześle.

Żaden z milicjantów w zeznaniach nie wspomina o biciu, ale mówią, że po szarpaninie z Kościukiem funkcjonariusze posadzili Przemyka na

krześle. Wystarczy więc ustalić, który z nich odprowadził Grześka do krzesła, by dowiedzieć się, kto go bił.

W zeznaniach powtarza się tylko jedno nazwisko – zomowca Krzysztofa Dalmaty.

Według Bogusława Bielca Przemyka do krzesła odprowadzają Kościuk i Dalmata.

Według Witta Jabłońskiego – Kościuk i Bielec, ale Dalmata stoi tuż przy nich.

Według Jarmułowicza – Dalmata i porucznik Grzegorz Poręcki.

Drugim bijącym, prócz Kościuka, był zomowiec Krzysztof Dalmata. Te informacje można bez trudu znaleźć w aktach sprawy z 1984 roku.

Zagadką pozostaje jedynie, kto był tym trzecim.

To mógł wiedzieć kapitan Jerzy Kulczycki, który w 1983 roku zbuntował się przeciwko manipulacjom w śledztwie i został wyrzucony z milicji. W 1990 roku był jedynym funkcjonariuszem, który współpracował ze śledczymi. Opowiedział o wstępnej wizji lokalnej przy Jezuickiej, gdzie szlifowano wersję dla prokuratury. Być może wtedy pojawił się jakiś szczegół identyfikujący tego trzeciego?

Kulczycki ma siedemdziesiąt sześć lat, mieszka na jedenastym piętrze wieżowca na warszawskim Mokotowie, ale o sprawie Przemyka nie chce rozmawiać.

– Nie interesuje mnie to – spławia mnie bez finezji.

Mecenas Maciej Bednarkiewicz tłumaczy mi natomiast, że próba rozwikłania zagadki, który z zomowców bił, była w roku 1984 ślepą uliczką.

– Sytuacja była dynamiczna, rozgrywała się bardzo szybko, ukaranie winnych byłoby bardzo trudne – tłumaczy.

Winnych pobicia próbowali na gorąco ustalić koledzy Grześka, obserwując uważnie przebieg pierwszej rozprawy. Stawiali na Dalmatę. Zauważyli, że ma łapy wielkie jak bochny chleba i nerwowo ugniata je, zanim stanie przy barierce dla świadków.

Podczas przesłuchania też zachowuje się dziwnie. Trzęsą mu się ręce, drży głos, mówi, że niewiele pamięta. Trzeba mu odczytywać kwestie ze

śledztwa.

Zapamiętuje go także sędzia Andrzej Lewandowski, zasiadający w 1984 roku w składzie orzekającym.

– Widać było, że ma coś na sumieniu – mówi.

Dlaczego więc w latach dziewięćdziesiątych, gdy wznawiano postępowanie, żaden prokuratur nie zainteresował się udziałem Dalmaty w pobiciu? Prowadzący ówczesne śledztwo prokurator Błażej Sobierajski zmarł w 2013 roku. Jego wielkim sukcesem było doprowadzenie sprawy do końca mimo zmowy milczenia i wniesienie aktu oskarżenia do sądu. Czytając akt oskarżenia, widać jego mozolną pracę przy próbie odtworzenia wypadków z Jezuickiej. Rzuca się w oczy również niechęć zomowców do jakiejkolwiek współpracy. Sobierajski skupia się na udowodnieniu winy Kościukowi i Denkiewiczowi, co jest niezmiernie trudne, bo zomowcy wciąż milczą. Proces więc będzie poszlakowy. To znaczy trzeba będzie przedstawić wątłe dowody tak, by stanowiły ciąg logicznych zdarzeń następujących po sobie. Sąd natomiast oceni ich wiarygodność. Być może mieszanie do sprawy Dalmaty, próba stawiania mu zarzutów jeszcze bardziej utrudniłyby zabieg?

Sąd na zeznania milicjantów z Jezuickiej, które są podstawą do znalezienia winnych, patrzy z dużym dystansem. Kolejne składy orzekające uważają, że ich zeznania są niewiarygodne. Dlaczego? Bo ich celem była realizacja planu operacyjnego, zakładającego tylko gmatwanie sprawy i wybielenie zomowców. Nie wiadomo, gdzie prawda, gdzie fałsz. Na tej podstawie nie można nawet przyjąć, że Ireneusz Kościuk brał czynny udział w biciu Grzegorza Przemyka, więc w kolejnych apelacjach jest uniewinniany.

Wyłomu w tym sposobie myślenia dokonuje dopiero w 2008 roku sędzia Monika Niezabitowska-Nowakowska, przewodnicząca składu orzekającego w warszawskim sądzie okręgowym, w którym od 2004 roku toczyła się rozprawa odwoławcza. Sędzia Niezabitowska-Nowakowska ponownie analizuje wszystkie zeznania świadków z Jezuickiej i dochodzi do wniosku, że z zebranego materiału dowodowego bezspornie wynika wina Ireneusza Kościuka. To on był tym, który zadał śmiertelne ciosy Grzegorzowi

Przemykowi – uważa sąd i skazuje go za udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym (artykuł 158 paragraf 3 kodeksu karnego) na osiem lat więzienia. Na mocy amnestii karę zmniejsza o połowę.

Do więzienia Kościuk nie trafi, bo jego adwokat złoży apelację, w której podniósł, że sprawa się przedawniła, a Sąd Najwyższy przyznał mu rację.

Sędzia Monika Niezabitowska-Nowakowska wskazała wtedy również imiennie drugiego z napastników, który pomagał w biciu, trzymając Przemyka za ręce od tyłu. Gdy chłopiec zemdlał, posadził go, zwijającego się z bólu, na krześle przy stoliku. Tym drugim był właśnie szeregowy Krzysztof Dalmata z Hrubieszowa.

Sędzia Niezabitowska-Nowakowska była bliska znalezienia ostatniego z puzzli. W pisemnym uzasadnieniu wyroku napisała, że Kościukowi i Dalmacie towarzyszył w biciu jeszcze jeden funkcjonariusz, ale nie udało się go sądowi zidentyfikować.

Akta prowadzonego przez IPN śledztwa dotyczącego śmierci Grzegorza Przemyka liczą osiemdziesiąt trzy tomy i 16 275 kartek. Są tam wszystkie protokoły przesłuchań najważniejszych świadków z trzydziestu lat, zdjęcia, tajne dokumenty z lat osiemdziesiątych, notatki Kiszczaka, teksty pisane dla SB przez Urbana, filmy, analizy. Przeczytałem wszystko, szukając jakiegoś śladu, sugestii, wskazówki naprowadzającej na tego trzeciego. Znalazłem poszlakę, cieniutką jak pajęcza nitka. To w zasadzie jedno zdanie, ale wypowiedziane przez człowieka, który tym gigantycznym, wielowątkowym kłamstwem zarządzał – generała Czesława Kiszczaka.

14 lipca 1983 roku w Komitecie Centralnym PZPR sekretarz KC Mirosław Milewski zwołał naradę poświęconą sprawie Przemyka. Gospodarz zaprosił do siebie na spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych Czesławem Kiszczakiem prokuratorów i milicjantów pracujących nad sprawą Grzegorza. Kiszczak apeluje o rozprawienie się z przeciwnikami politycznymi, którzy obwiniają milicję za śmierć maturzysty. Tłumaczy, że resort jest niewinny. (Jego słowa zostają zaprotokołowane).

„Bielec i Kościuch – mówi generał, przekręcając nazwisko drugiego zomowca – są po prostu żołnierzami z poboru. Gdybyśmy chcieli się

rozprawić z Przemykiem, wzięlibyśmy fachmanów”.

Już samo to, że minister spraw wewnętrznych, stojący na czele potężnego resortu, zna nazwiska dwóch szeregowców, musi budzić zdziwienie. Jeśli chodzi o Kościuka, można to jeszcze zrozumieć, bo jest on od samego początku śledztwa podejrzewany o pobicie maturzysty. Jego nazwisko mogło zatem pojawiać się w resortowych dyskusjach. Ale Bielec? Skąd minister mógł znać dwudziestotrzylatka pochodzącego z Podkarpacia? Dlaczego zapamiętał jego nazwisko? Czy Bielec pomagał Kościukowi bić Przemyka? Z kontekstu wypowiedzi Kiszczaka tak mogłoby wynikać.

Do Dynowa, niewielkiego miasteczka położonego w połowie drogi między Łańcutem a Ustrzykami Dolnymi, jedzie się wąskimi, krętymi drogami, prowadzącymi przez górzysty teren. Tę samą drogę, tuż przed rozpoczynającym się w 1984 roku procesem o śmiertelne pobicie Przemyka, pokonali dwaj oficerowie Komendy Głównej MO, by przeprowadzić z Bogusławem Bielcem rozmowę i poinstruować go, jak powinien zachować się podczas rozprawy. Rozmowa musiała być bardzo istotna, skoro ważni stołeczni funkcjonariusze spędzają kilkanaście godzin w samochodzie, by dotrzeć do dwudziestoczteroletniego byłego zomowca.

Bielec jest wykwalifikowanym spawaczem po zawodówce. Trafił z poboru do jednostki wojskowej w Sanoku, ale był tam tylko kilkanaście tygodni. Miał pecha, bo odesłano ich do Warszawy, wyposażono w plastikowe tarcze i białe pały – tłumacząc, że to też jest wojsko, tylko trochę inne. Zamiast marnować czas na poligonach, będą patrolować ulice i bronić stolicy przed chuliganami próbującymi systematycznie wywoływać zamieszki na Starówce. Co tam jeszcze robił? Nigdy o tym w domu nie opowiadał.

W 1984 roku zakończył służbę i wrócił do Dynowa, choć go dowódca kompanii ZOMO próbował zatrzymać, namawiając, by został w stolicy na stałe.

Tak jak trzydzieści lat temu mieszka z matką na końcu ulicy w małym brązowym domku, z umocowaną na ścianie anteną satelitarną. Przed wejściem w głębokim fotelu siedzi stara kobieta zapatrzona w kwitnące przed domem kwiaty.

Bielec jest w pracy, w miejscowej Spółdzielni Inwalidów im. Jana Kilińskiego, gdzie na pół etatu pracuje jako krojczy.

– On bardzo przeżywał tragedię tego zabitego chłopca – mówi matka. – Boguś był dwa, trzy lata starszy od niego i cały jego pech polegał na tym, że miał tego dnia służbę na placu Zamkowym. Mówił, że ten wypadek zdarzył się na korytarzu komisariatu.

Czy o czymś jeszcze wspominał?

– Nie chciał o tym rozmawiać, a ja nie wypytywałam – mówi stara kobieta. – Nie pytałam, bo czułam, że mu rozmowa o tej tragedii sprawia przykrość, że to go gryzie i jak się pojawia temat, to od nowa go przeżywa.

Po namyśle dodaje:

– Ale wiem na pewno, że on w tym palców nie maczał.

– Skąd ta pewność?

– Bo gdyby maczał, to byłby winny, zamknęliby go i dostałby jakąś karę.

Kiszczak i inni

Podejrzany podał następujące dane o sobie:

Wzrost: 171 cm.

Oczy: niebieskie.

Inne cechy rysopisu: nie posiada widocznych cech szczególnych.

Imiona rodziców i nazwisko rodowe matki: Jan i Rozalia z domu Orkisz.

Data i miejsce urodzenia: 19 października 1925.

Obywatelstwo: polskie.

Wykształcenie: wyższe (Akademia Sztabu Generalnego w Warszawie).

Zawód wyuczony: generał broni (obecnie w stanie spoczynku).

Zajmowane stanowisko: –

Miejsce poprzedniej pracy: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Karalność: niekarany (według oświadczenia).

– Ogłoszony mi w dniu dzisiejszym zarzut w sensie gramatycznym nie bardzo zrozumiałem – skarży się prokuratorowi Marcinowi Gołębiewiczowi, ale zaraz dodaje, że do niczego i tak się nie przyznaje. Nie będzie też składał wyjaśnień ani odpowiadał na pytania. – Bardzo źle się dziś czuję – dodaje i prosi o przesłanie prokuratorskich zarzutów listem.

Generał Czesław Kiszczak może w nim przeczytać, że jest oskarżony o przekroczenie uprawnień, utrudnianie śledztwa, inicjowanie prześladowań rodziny F., akceptowanie znęcania się nad Michałem Wysockim i Jackiem Szyzdkiem oraz o działanie na szkodę wymiaru sprawiedliwości. Byłemu szefowi MSW grożą za te przestępstwa trzy lata więzienia, ale dla osiemdziesięcioczteroletniego generała nie jest to informacja podnosząca ciśnienie, bo proces Przemyka jest jednym z wielu, w których grozi mu więzienie. I wcale nie najważniejszym.

Najważniejszy dla niego jest katowicki proces, w którym jest oskarżony o przyczynienie się do zastrzelenia dziewięciu górników z kopalni Wujek w grudniu 1981 roku. Prokuratura zarzuca mu, że wydał milicjantom

rozkaz użycia ostrej amunicji wobec cywilów okupujących Wujka. Sprawa toczy się bez mała dwadzieścia lat, a kolejne instancje sądowe skazują lub uniewinniają generała i odsyłają sprawę do ponownego rozpatrzenia. Ostatecznie proces kończy się w 2011 roku, po trzydziestu latach od zabicia górników. Kiszczak zostaje uniewinniony z braku dowodów.

Od początku lat dziewięćdziesiątych trwają też próby rozliczenia ekipy wprowadzającej stan wojenny w Polsce w grudniu 1981 roku. Byłego szefa MSW, obok premiera Wojciecha Jaruzelskiego i przewodniczącego Rady Państwa PRL Henryka Jabłońskiego, posłowie próbują postawić za to przed Trybunałem Stanu. Skórę ratuje mu zmiana władzy w 1993 roku i rozpięty nad autorami stanu wojennego parasol ochronny przez Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Tę sprawę po latach podejmie pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej, oskarżając członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego o działanie przestępcze w związku o charakterze zbrojnym. I za to Czesław Kiszczak zostanie w 2012 roku skazany na dwa lata więzienia. (Sąd odstąpi od wyegzekwowania kary ze względu na wiek generała).

Oskarżenie Kiszczaka o tuszowanie zabójstwa Grzegorza Przemyka ma charakter symboliczny i możliwe jest tylko dzięki temu, że nowa ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej z roku 1998 uznaje to, co się działo wokół sprawy Przemyka, za nieprzedawnioną zbrodnię komunistyczną. Na tej podstawie działająca przy IPN Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu przejęła z prokuratury okręgowej wątki związane z przekroczeniem uprawnień, utrudnianiem śledztwa, nakłanianiem świadków do składania fałszywych zeznań, fałszowaniem dowodów. Od tego momentu nietykalni dotąd esbecy, milicjanci, urzędnicy MSW jeden po drugim trafiają przed oblicze prokuratora w charakterze podejrzanych. Zwykle nic nie pamiętają, a jeśli już, to tylko to, że nigdy nie złamali prawa. Najwyższym rangą wśród podejrzanych jest były minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. (Komendant główny MO Jerzy Gruba, który osobiście sterował całą akcją, zmarł w 1991 roku). Oprócz Kiszczaka prokurator Gołębiewicz przedstawił zarzuty popełnienia przestępstwa dwudziestu jeden funkcjonariuszom. Są bardzo podobne do

siebie: przekroczenie uprawnień, utrudnianie śledztwa, groźby pod adresem świadków. Najwyższy możliwy wyrok, który im za to groził, to trzy lata więzienia. Nikomu jednak włos z głowy nie spadł. Prokurator nie zdążył nawet sporządzić aktu oskarżenia, bo w 2010 roku Sąd Najwyższy ogłosił, że zbrodnie komunistyczne zagrożone wyrokiem do pięciu lat więzienia są już przedawnione.

Ostatecznie sprawa „Kiszczaka i innych" zostaje umorzona postanowieniem z 25 października 2012 roku. Na osiemdziesięciu ośmiu stronach uzasadnienia prokurator Marcin Gołębiewicz szczegółowo opisał cały proces zamiatania sprawy śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyka pod dywan. Lektura ta robi ogromne wrażenie, gdy czytelnik sobie uzmysławia, jak wielkich sił i środków użyto, by zafałszować śledztwo w tej w gruncie rzeczy drobnej sprawie.

Po upadku komunizmu Czesław Kiszczak unikał pytań o śmierć maturzysty. Raz zrobił to na początku lat dziewięćdziesiątych w książkowym wywiadzie pełnym przekłamań, półprawd, niedopowiedzeń, powtarzając te same kłamstwa, które kilka lat wcześniej jego resort publikował w mediach przez usłużnych dziennikarzy.

Jerzy Skoczylas i Witold Bereś pytają go o sprawę Przemyka:

– Zamknął pan sanitariuszy, a milicjantów nie.

Kiszczak:

– Nie ja ich zamykałem, lecz prokuratura, która uznała, że są ku temu pełne podstawy […].

Skoczylas i Bereś:

– Milicjanci nawet nie zostali zawieszeni w obowiązkach służbowych.

Kiszczak:

– Gdybyśmy chcieli zamykać wszystkich milicjantów w Polsce oskarżanych o pobicie, to sparaliżowalibyśmy całą milicję. […] Każdy pijak, wobec którego używa się siły, twierdzi, że został pobity przez milicję.

Skoczylas i Bereś:

– Na fali podejrzeń wobec służby zdrowia posadziliście niewinną lekarkę na rok.

Kiszczak:

– Wielu się z tym nie zgadza, że niewinnie. Sąd przyjął wykładnię, że jest niewinna, nie mam podstaw do kwestionowania wyroku. Prywatnie mogę panu powiedzieć, że wniósł przeciwko niej skargę człowiek, który – według jego zeznania – został przez nią obrabowany.

Skoczylas i Bereś:

– Był pijany w siwy dym.

Kiszczak:

– […] Wszyscy świadkowie przeciwko milicjantom też są mało wiarygodni. Główny świadek oskarżenia, kochanek matki, rówieśnik i przyjaciel ofiary, przez siedem dni się ukrywał. Czekano na sekcję zwłok, by ustalić, w wyniku jakich obrażeń Przemyk zmarł, i dopiero do tych obrażeń świadek dopasował swoje zeznania.

Skoczylas i Bereś:

– A dlaczego powołano specjalną grupę operacyjną MSW?

Kiszczak:

– Tak się zawsze robiło i robi aktualnie we wszystkich trudnych śledztwach, kiedy są trudności z wyjaśnieniem sprawy konwencjonalnymi metodami.

Skierowaliśmy akt oskarżenia przeciwko dwóm milicjantom, dwóm sanitariuszom i dwóm lekarzom. Rzeczą sądu było wyłuskać sprawców.

Skoczylas i Bereś:

– Ale sąd nie był zupełnie niezawisły i pan też naciskał na ten sąd.

Kiszczak:

– Na sąd nie naciskałem.

Skoczylas i Bereś:

– Na prokuraturę?

Kiszczak:

– Naciskałem na prokuraturę, żeby operatywnie i obiektywnie wyjaśniła wszystkie wersje, a nie tylko trop milicyjny. To był mój obowiązek.

Skoczylas i Bereś:

– Naciskał pan też na oskarżonych milicjantów. Szkolono ich, jak mają zeznawać.

Kiszczak:

– Jeżeli oficerowie grupy operacyjnej w jakimś stopniu pomagali oskarżonym milicjantom przygotować się do rozprawy sądowej, to nie miało to żadnego wpływu na sprawę. Milicjanci od samego początku do winy się nie przyznawali. Pomagano im tylko z uwagi na ich brak wiedzy prawniczej i nieobycie z salą rozpraw w roli oskarżonych, jak należy zwracać się do sądu, jak zachowywać w czasie rozprawy, jak tytułować prokuratora, obrońców, co wolno, a czego nie wolno oskarżonemu[90].

Leopold Przemyk. Ojciec

Jest jeszcze ktoś. To ten wysoki, lekko zgarbiony mężczyzna o platynowych włosach, który jest na każdej rozprawie. Siedzi zwykle przycupnięty na ławie, wsłuchując się uważnie w zeznania kolejnych świadków. Nie komentuje, nie krytykuje, w ogóle się nie odzywa. Po rozprawie próbuje niepostrzeżenie wymknąć się obok zastawionych na niego kamer i mikrofonów. Niechętnie kontaktuje się z dziennikarzami.

– Z panem też by nie rozmawiał – mówi jego druga żona, Iza.

Gdy w szpitalu na Solcu umiera jego najstarszy syn Grzegorz, Leopold Przemyk ma czterdzieści dwa lata, drugą żonę i dwoje z nią dzieci: dziesięcioletniego Michała (teraz lekarza weterynarii) i trzyletnią Agnieszkę (obecnie pianistkę).

Kiedy urodził się Michał, Grześ miał dziewięć lat. Przyjechał rowerem pod porodówkę przy Karowej i zawołał:

– Ciociu, pokaż mi mojego braciszka.

Iza podeszła wtedy z noworodkiem do okna.

– Ładny – krzyknął Grzesiek i popedałował dalej.

Osiem lat później napisał Michałowi w pamiętniku coś na wzór dekalogu:

1. Na razie słuchaj starszych, bo mają więcej lat i mogą cię ustrzec od błędów i niebezpieczeństw strasznych.
2. Nie oszukuj i nie ożartowywuj nikogo (staraj się żyć w zgodzie ze sobą).
3. Nie strasz siostry, a opiekuj się nią.
4. Śmiej się dużo, ale szczerze, nie złośliwie.
5. Nie bądź mazgaj (chyba nie jesteś).
6. Nie bądź sknera i pazerus, bo to nie przystoi.
7. Ucz się muzyki i pokochaj ją, bo ona wielka i czyni człowieka wielkim (choćby na chwilę).

8. W szkole i pośród innych obowiązków bądź na tyle sumienny, abyś zmartwień, zmarszczek i przedwczesnych siwych włosów najbliższym oszczędził.
9. Nie bierz przykładu z brata starszego, dopóki nie stanie się godzien tego.
10. Do pamiętnika jeszcze raz zajrzyj za jakiś dłuższy czas.

Podpisał się: „kochający cię brat – Grzegorz”.

19 maja 1983 roku Leopold z żoną i dziesięcioletnim Michałem idą do kościoła Świętego Stanisława Kostki pożegnać Grzesia. Ona z Michałkiem wystrojonym w białą koszulę, z zawiązaną pod szyją aksamitką, siedzi w dalszych rzędach. On siedzi w ławce najbliżej trumny, obok Barbary i Marzeny Urban. Kiedy wyjdą z kościoła i ruszą aleją Krasińskiego, na czele konduktu zostaje już tylko Barbara. To ona pozostanie też w centrum uwagi: cierpiąca, pochylona nad mogiłą, w objęciach księdza Jerzego, podtrzymywana przez dziewczynę Grzesia – Marzenę. Fotoreporterzy starają się uchwycić na jej twarzy łzę, grymas bólu. Na niego nie zwraca się uwagi. Tak jest przez lata.

– Pozostawałem w cieniu tych tragicznych wydarzeń – mówił po latach.

Był czas, że miał żal, że o nim się nie pamięta, a on też cierpiał. Gdy Grzesio był mały, był mu przecież ojcem i matką. A potem, w tej tragedii, jakby nie istniał, jakby go nigdy nie było, jakby Grześ miał tylko matkę poetkę i narodził się bez udziału ojca inżyniera. Ona jest śmiertelnie zranioną matką Polką i siostrą Hioba. Nad nim nikt się nie użala. Nawet nie pyta, co czuje, jak cierpi, jak sobie z tym bólem radzi.

Krążą tylko plotki, że ojciec się Grzesiem nie zajmował, że się od niego odciął, nie widywał go.

– Na początku bardzo go bolało to gadanie, więc zamknął się w sobie, nie chciał rozmawiać z obcymi. I tak już mu zostało, bo jak miał prostować te bzdury? – mówi żona.

Na spotkanie do kawiarni Iza Przemyk przynosi ze sobą ciężkie albumy. Wyciąga fotografie Grzesia: z pluszowym misiem, na rękach taty, ze wspólnych wczasów i rodzinnych wyjazdów, i te późniejsze, gdy zdjął już śpiochy, włożył dżinsy, zapuścił włosy i wziął do ręki gitarę.

Gdy nauczył się pisać, wysyłał pocztówki z kolonii. Pisał krzywymi kulfonami na końcu kartki: „Pozdrów też Ciocię [tak do niej mówił]

i Michałka”. Zawsze o nich pamiętał.

Leopold Przemyk jako ojciec Grzesia narodził się dla mediów dopiero w latach dziewięćdziesiątych po śmierci Barbary. Drugi proces zaczął się w 1993 roku. Leopold jest w nim oskarżycielem posiłkowym. Na rozprawie siada obok swojego pełnomocnika, adwokata Andrzeja Zalewskiego, naprzeciwko oskarżonych: Kościuka, Denkiewicza, Otłowskiego. I patrzy na nich piwnymi, zimnymi, ale spokojnymi oczami przez całą rozprawę.

– Przyglądam się twarzom katów mojego syna i próbuję wyczytać z nich, czy mogą spać spokojnie – mówi.

I tak przez cztery lata, bo wznowiona sprawa się ciągnie. Przy barierce stają dziesiątki świadków, eksperci, biegli. Najważniejsi świadkowie przesłuchiwani są bardzo długo i dokładnie, by żaden szczegół nie umknął. Sąd dopytuje z pozoru o mało istotne detale. Wszystkich wysłuchuje, starannie naświetla temat, zanim ukarze winnych. Tak to sobie jeszcze wtedy tłumaczy ojciec zabitego Grześka.

Wyrok zapada w 1997 roku. Zomowcy są uniewinnieni. Robi to na Przemyku duże wrażenie.

– Beznadzieja, daremny nasz trud – powtarza rozżalony.

– Wie przecież, kto bił jego syna. Wie, gdzie go pobili. Tylko zrozumieć nie może, dlaczego znowu nie ma winnych – opowiada żona. – Bo on tą sprawą żyje. Nie daje mu ona spokoju. Na każde wznowienie patrzył z nadzieją.

Leopold wycina z gazet artykuły poświęcone procesowi, pęcznieją segregatory z dokumentami i pismami wysyłanymi do sądów i adwokatów. Leżą w mieszkaniu Przemyków w bloku za Żelazną Bramą na półce z innymi pamiątkami po Grześku: jego pocztówkami z kolonii, świadectwem szkolnym, legitymacją dołączoną do Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, który nadał chłopcu pośmiertnie prezydent Lech Kaczyński.

Na regale, obok zdjęć Agnieszki i Michała, stoi portret Grześka. Ten z gitarą, z zamkniętymi oczami.

Nadzieja w końcu umiera w lipcu 2010 roku. Sąd Najwyższy umarza ostatecznie sprawę śmiertelnego pobicia Grzegorza Przemyka z powodu

przedawnienia. Jedynym winnym pozostaje Arkadiusz Denkiewicz, ale nie może odbyć kary, bo choruje.

Leopold nie składa broni. Osiem miesięcy później wnosi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka skargę przeciwko Polsce. Pisze w niej, że prokuratura i sądy działały opieszale i niestarannie, co w konsekwencji doprowadziło do przedawnienia karalności czynu i uniknięcia odpowiedzialności przez sprawców.

W porównaniu z polskimi standardami wyrok zapada błyskawicznie. Po dwóch latach 17 września 2013 roku Trybunał orzekł, że Polska naruszyła artykuł 2 Europejskiej konwencji praw człowieka. Postępowanie karne w sprawie śmierci Grzegorza było przewlekane i nie zmierzało do odnalezienia sprawców. W ramach rekompensaty Trybunał nakazuje wypłacić odszkodowanie ojcu zakatowanego maturzysty.

Informacja ze Strasburga dotarła do Leopolda Przemyka, gdy był już śmiertelnie chory. Jak ją przyjął?

– Że postępowanie było przewlekłe, to on najlepiej wiedział, bo spędził na ławach sądowych prawie trzydzieści lat – mówi Izabela Przemyk. – Nie czuł satysfakcji. Raczej rozgoryczenie. Trybunał tylko potwierdził to, o czym doskonale wiedział. Zresztą bardzo źle się już wtedy czuł. Zmarł dwa miesiące później, pod koniec listopada 2013 roku. – Cieszyłam się, że w ogóle zdążył poznać ten wyrok – dodaje.

Teraz o Grzesia pyta syn Michała, trzynastoletni Jaś. Próbuje się dowiedzieć od babci Izy, co się tak właściwie stało.

– Niby wszystko wiadomo, ale trudno to wyjaśnić – odpowiada babcia.

Cichy z Czerkasów

Jedyny skazany na bezwzględne więzienie Arkadiusz Denkiewicz nigdy za kratki nie trafił. Zaraz po wyroku zaczął się leczyć psychiatrycznie i dostał od specjalistów zaświadczenie dla sądu, że wciąż brak postępów w jego terapii.

Jest przygnębiony, smutny, zamknięty w sobie, w nastroju depresyjnym i wszystko widzi w czarnych kolorach. Lekarzom mówi, że jego życie nie ma sensu, bo został niewinnie skazany.

Nie wychodzi z domu, nie ogląda telewizji, nie czyta prasy, nie ma żadnych zainteresowań, słabo sypia, ma myśli samobójcze.

Umieszczenie w obecnym stanie w zakładzie karnym może zagrażać jego życiu i zdrowiu – piszą psychiatrzy w kolejnych opiniach dla sądu.

W 2004 roku sąd w procesie Ireneusza Kościuka powołał Denkiewicza na świadka i próbował przesłuchać.

Na pytanie sądu, czy wie, w jakiej sprawie jest wezwany, świadek milczy i nie odpowiada na pytanie.

Na pytanie, czy pamięta zatrzymanie Grzegorza Przemyka, świadek odpowiada:

– Nie wiem.

Na pytanie sądu, gdzie pracował w roku osiemdziesiątym trzecim, świadek odpowiada:

– Nie pamiętam.

Na pytanie sądu, czy pamięta, że pracował w komisariacie milicji przy Jezuickiej, świadek odpowiada:

– Chyba tak. Chyba pracowałem. Nie pamiętam.

Na pytanie sądu, czy pamięta, za co został skazany, świadek odpowiada:

– Nie.

Na pytanie sądu, czy imię i nazwisko „Grzegorz Przemyk” coś mu mówi, świadek odpowiada:

– Nie.

* * *

Przez ostatnie trzydzieści lat Ireneusz Kościuk miał tylko jedną chwilę słabości. Zdarzyła się ona trzy dni po śmierci Grześka, rano 17 maja 1983 roku.

Dzień wcześniej spędzał jeszcze urlop we wsi Czerkasy pod Zamościem, przy samej granicy ze Związkiem Radzieckim, gdy w gospodarstwie rodziców zjawił się miejscowy milicjant z rozkazem, by Irek pilnie wracał do jednostki w Warszawie. Wsiadł wieczorem w pociąg i o świcie był już w jednostce ZOMO na warszawskim Golędzinowie przy ulicy Stalingradzkiej.

Od kolegów dowiedział się, że są jakieś kłopoty.

– Myślałem, że chodzi o moją zgubioną legitymację służbową, ale dowódca powiedział, że sprawa jest poważniejsza. Zmarł jeden z tych, których doprowadzałem do komisariatu – tłumaczy prokuratorowi. Nie za bardzo nawet wie, jak się ten chłopak nazywa, więc mówi o nim „mężczyzna bez butów”.

Szeregowy Ireneusz Robert Kościuk, XIII kompania ZOMO, numer służbowy 4768, ma wtedy dwadzieścia jeden lat i jest tylko o dwa lata starszy od swojej ofiary, ale jedyne, co ich łączy, to to, że obaj urodzili się w maju.

Dla Grześka służba w ZOMO to szczyt obciachu, wstyd i plama na honorze. Wie o tym każdy w miarę rozgarnięty warszawski chłopak, a na pewno Grzesiek Przemyk, którego mamę raz po raz nękają esbecy.

Od początku stanu wojennego może obserwować zomowską brutalność, bo regularnie chodzi na solidarnościowe manifestacje na Stare Miasto i na własnej skórze doświadcza zomowskich pał. O bestialstwie zomowców krążą legendy. Ponoć przed akcją faszerowani są środkami pobudzającymi, cieknie im z ust piana i nawet nie widzą, kogo biją. Oczy mają przekrwione i obłędne. Lepiej nie podchodzić im pod rękę, bo używają gumowych pałek z wtopionym w środek prętem stalowym i są szkoleni do bicia

w specjalnych obozach na terenie Czechosłowacji. Tam ich uczą, jak fachowo rozprawiać się z demonstrantami.

„Ćwiczą się w walce wręcz, podczas gdy z głośników dobiegają okrzyki »Gestapo« – w ten sposób przygotowuje się ich do rozpraszania demonstracji”[91].

ZOMO nie tylko strzela z granatów łzawiących i bije demonstrantów, ale też stosuje wobec zatrzymanych tortury. O ich okrucieństwie trąbi Wolna Europa, pisze podziemna prasa, a także zachodni korespondenci z Polski.

„Podczas przesłuchania musiałem klęczeć na stołku ze związanymi rękami – opowiadał niemieckiemu dziennikarzowi o spotkaniu z zomowcami jeden z przywódców nielegalnego strajku w Polsce. – Prawie przy każdym pytaniu bito mnie pałką w podeszwy stóp. Potem w bezpośredniej bliskości opryskano mi twarz żrącą cieczą”[92].

Więcej o ZOMO można przeczytać tylko w zachodniej prasie: „To najbardziej znienawidzone jednostki specjalne, które wykonują codzienną nudną robotę dla rządu Jaruzelskiego. Mają na sumieniu od czasu wprowadzenia stanu wojennego co najmniej sześćdziesiąt ofiar śmiertelnych. Robotnicy, studenci i gospodynie domowe zostali podczas starć z ZOMO zastrzeleni lub zamęczeni i śmiertelnie pobici podczas przesłuchań”[93].

„Otoczenie, zwłaszcza z dużych miast, rzadko przychylnie reaguje na wiadomość, że się idzie służyć w ZOMO”[94] – pisze Barbara Pietkiewicz w „Polityce”, opisując los absolwenta jednego z renomowanych warszawskich liceów, który wstąpił na ochotnika do ZOMO. Natychmiast odwrócili się od niego wszyscy znajomi, łącznie z przyjaciółmi od serca. Z depresji pomogła mu wyjść dopiero najbliższa rodzina i koledzy z ZOMO, dzięki którym odżył psychicznie.

Żali się reporterce: „O nas nikt, niestety, w gazecie nie pisze. W prasie cywilnej pozamilicyjnej przez całe lata nie ukazuje się o ZOMO ani słowo, »Dziennik Telewizyjny« omija starannie nazwę naszej jednostki. A czy obywatel nie byłby ciekaw wiedzieć coś więcej o człowieku, którego widział w akcji ulicznej?”[95].

Obywatele o brutalności i głupocie zomowców opowiadają dowcipy. Na przykład taki: „Zomowiec po zajrzeniu do lodówki pałuje swoją żonę. Robi tak codziennie, choć żona uzupełnia systematycznie lodówkę. Wreszcie zapłakana pyta, o co chodzi. »W końcu nauczę cię gasić światło w lodówce« – odpowiada zomowiec". Albo inny: „Ostatnio zomowcy uratowali studentowi życie. W jaki sposób? Przestali go bić". Zomowiec opowiada reporterce również o tym, że nie jest łatwo. „Uważam się za uczciwego człowieka, choć odkąd służę w ZOMO, koledzy mówią do mnie: »Ty skurwysynu«"[96] – ubolewa.

Ireneusz Kościuk takich moralnych dylematów nie ma. Służba w ZOMO to dla niego cywilizacyjny awans, szansa na zobaczenie wielkiego świata, czyli Warszawy, i wyrwanie się ze wsi.

Gdyby został w Czerkasach, to po swojej ślusarskiej zawodówce mógłby co najwyżej liczyć na etat w pobliskim POM-ie w Łaszczowie, naprawiałby traktory i kombajny. A tak trafił do stolicy, dostał stalowy mundur, w którym przyjeżdża na przepustki, ma dach nad głową, szanse na awans, a po dwóch latach służby – pewną robotę w milicji.

W Czerkasach nikt nie zastanawia się, co to takiego ZOMO. Nie czytają tu ani „Spiegla", ani podziemnych gazetek. Dla ludzi ze wsi Irek zwany tutaj Darkiem jest człowiekiem sukcesu, robiącym karierę w samej stolicy.

W lipcu 1982 roku, pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego, rozpoczął służbę w Warszawie. Skoszarowany jest przy ulicy Stalingradzkiej 5, w największych koszarach ZOMO w Polsce. To prawdziwy kombinat. Pełno tu chłopaków z białostockich, lubelskich, rzeszowskich i zamojskich wiosek. Dalmata i Bielec trafili tu w podobny sposób. Są w tej samej kompanii i trzymają się razem aż do zakończenia służby.

Ale tylko Irek po zakończeniu służby zgodził się zostać w milicji na stałe, choć szef MSW Kiszczak nie miał o nim najlepszego zdania. „Chłopak ze wsi, oderwany od pługa" – mówił o nim.

Przed zakończeniem procesu, 14 lipca 1984 roku, Kościuk zostaje przeniesiony do Zamościa. Tu dostaje służbowe, milicyjne mieszkanie, żeni się i zostaje na stałe.

Kłopoty zaczynają się w latach dziewięćdziesiątych. Na wokandę wraca sprawa Przemyka, a Kościuk na ławę oskarżonych.

W kwietniu 1990 roku milicja przekształca się w policję. Kościuk staje się kłopotem wizerunkowym. Definicja mówi, że dopóki nie zostanie skazany, może czuć się niewinny, ale rośnie społeczna presja, by się go jakoś pozbyć, bo przecież skalał stalowy mundur i nosi na sobie piętno sprawy Przemyka. Można o nim przeczytać w gazecie, usłyszeć w radiu lub zobaczyć go w telewizji. Kolejni komendanci policji tolerują jego obecność w szeregach.

Kościuk zajmuje najniższe stanowisko w policyjnej hierarchii – jest funkcjonariuszem patrolowym, czyli krawężnikiem, bez możliwości awansu. (Z uwagi na toczący się w Warszawie proces jest często nieobecny w pracy).

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zostaje przeniesiony do komisariatu w Biłgoraju, oddalonego od Zamościa o pięćdziesiąt kilometrów.

W 2004 roku, po dwudziestu dwóch latach służby w resorcie, przechodzi na emeryturę. Z policyjnych dokumentów wynika, że robi to z powodów zdrowotnych.

Po odejściu z policji zakłada firmę czyszczącą dywany i samochodowe tapicerki. Pomaga mu w tym żona, która właśnie straciła pracę szwaczki w miejscowych zakładach włókienniczych. Firma mieści się na czwartym piętrze w dawnym milicyjnym bloku na obrzeżach miasta, ale drzwi są zamknięte. Sąsiedzi mówią, że właściciel zamknął ją rok temu i wyjechał z rodziną gdzieś z Polski. Więcej może wiedzieć jego starszy brat, mieszkający blisko ukraińskiej granicy.

Pojechałem do Czerkasów. Chciałem wiedzieć, jak sobie poradził z tym zasiadaniem przez dwadzieścia sześć lat na ławie oskarżonych i co w ogóle teraz myśli o tej sprawie.

Dom Kościuków z czerwonym krasnalem w ogrodzie wskazali mi ich sąsiedzi. Brat – łysiejący, na oko sześćdziesięciolatek z pooraną bruzdami twarzą – pił herbatę w ogrodzie, ale mówiła tylko jego żona.

Że jej szwagier Irek był cichy, miły, uczynny, najspokojniejszy z całej rodziny. Że na ZOMO namówił go ojciec i miał rację, bo Irek dzięki temu

zobaczył trochę świata, czyli Warszawę, i zrobił karierę, czyli poszedł do milicji.

Na pytanie, czy tej kariery nie pokrzyżowała Irkowi sprawa Grzegorza Przemyka, pani Kościukowa odpowiedzieć nie może.

– Na ten temat się w rodzinie w ogóle nie rozmawia – mówi. Może tylko dodać, że Irek z Polski nie uciekł.

Najpierw do Włoch pojechała Henryka. Opiekuje się tam schorowanymi, starszymi ludźmi. I dopiero potem ściągnęła męża.

Mówi, że są szczęśliwi. Nikt nie pyta ich o stare sprawy. Przysyłają rodzinie kolorowe fotografie z palmami, cyprysami i turkusowymi falami Adriatyku. Można je zobaczyć też na facebookowym profilu Henryki. Oglądając je, warto zwrócić uwagę na pogodny wyraz twarzy mężczyzny w średnim wieku stojącego przy Henryce. To właśnie Ireneusz Kościuk. Nie jest zbyt podobny do tego człowieka, którego znam ze zdjęć z sali sądowej. Tam zawsze był zasępiony, bez uśmiechu, z szarymi oczami bez wyrazu. Tu na każdej fotografii się śmieje. Być może dlatego, że na żadnej ławie oskarżonych już nie zasiądzie.

Podziękowania

Był pierwszą osobą, do której zadzwoniłem, prosząc o rozmowę na temat sprawy Grzegorza Przemyka. Zgodził się niechętnie. Ma świetną pamięć, ale był dla mnie kimś więcej niż świadkiem zdarzeń. Podpowiadał mi, z kim warto rozmawiać. Podsuwał tropy i dzielił się swymi przemyśleniami. Chciałbym mu podziękować za tę pomoc, ale boję się, że gdy wymienię choć jego imię, to przysporzę mu dodatkowych kłopotów, a tego bym nie chciał. [Ty wiesz, że chodzi o Ciebie. Bardzo Ci dziękuję za wsparcie i pomoc].

Natalii Woroszylskiej za udostępnienie dzienników swojego ojca Wiktora Woroszylskiego. Dzięki nim mogłem wczuć się w atmosferę tamtych dni.

Prokuratorowi Marcinowi Gołębiewiczowi z Instytutu Pamięci Narodowej, który prowadził przez wiele lat śledztwo przeciwko generałowi Czesławowi Kiszczakowi i innym funkcjonariuszom MSW zaangażowanym w sprawę Przemyka. Zgromadził w tej sprawie tysiące dokumentów. Zanim się w nie zanurzyłem, powiedział mi, co jest w nich ważne. To pomogło mi sprawnie poruszać się w sprawie.

Archiwistce Monice Lipce z Ośrodka Karta w Warszawie, która pomagała mi wyszukiwać podziemne publikacje dotyczące Przemyka i sprawnie korzystać z udostępnionych archiwów. W piwnicy, przy wielkim drewnianym stole, gdzie mieści się czytelnia Zbiorów Ośrodka Karta, spędziłem kilka tygodni. Dzięki temu wiem, że jest to miejsce, gdzie niezwykle przyjaźnie traktuje się badaczy.

Wandzie Lacrampe, która tłumaczyła mi listy pewnego poety wysłane do Barbary Sadowskiej. A nie było to proste, bo poeta używał strasznie zawiłej składni. A także za to, że udostępniła mi telefony kilkudziesięciu swoich znajomych, którzy mogli w sprawie Grzegorza i Barbary coś mi powiedzieć.

Justynie Bednarek, która w moim imieniu pisała do francuskiego poety płomienne listy, by przekonać go, by porozmawiał ze mną, za pośrednictwem tłumacza, o Barbarze Sadowskiej, której przez wiele lat pomagał. Niestety, nasze wspólne wysiłki poszły na marne.

Małgorzacie Weiss, kierowniczce działu nagrań muzycznych i słownych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie, za perfekcyjną pomoc w przeszukiwaniu archiwów prasowych.

Ewie Winnickiej, za obecność.

I wszystkim innym, którzy mi w pracy nad książką pomogli.

Bibliografia

Ważniejsze artykuły

Czerniawski R., *Fakty i niejasności*, „Prawo i Życie” 1984, nr 24

Małcużyński K., *Mój rok 1984*, wspomnienia, niepublikowane

Miklaszewska M., *Sprawiedliwość w smudze cienia*, „Przegląd Katolicki”, cykl artykułów, sierpień 1984

Romaszkan A., *Proces w sprawie Grzegorza Przemyka*, „Polityka”, cykl artykułów, czerwiec–lipiec 1984

Tochman W., *Świadek*, „Gazeta Wyborcza”, 16 września 1995

Wrzalińska A., *…Idę, tylko tak w stopy zimno*, „Konfrontacje” 1989, nr 4/27

Żurek E., *Tak dużo wątpliwości*, „Przegląd Tygodniowy” 1984, nr 24

Książki

Albert A., *Historia Polski 1914–1993*, Warszawa: Świat Książki, 1995

Bereś W., Skoczylas J., *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1991

Bereś W., Burnetko K., *Gliniarz z „Tygodnika”. Rozmowy z byłym ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Kozłowskim*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1991

Ciołek E., *Polska. Sierpień 1980 – sierpień 1989*, Warszawa: Editions Spotkania, 1990

Czycz S., *Ajol i Laor*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1996

Dudek A., Gawlikowski M., *Leszek Moczulski. Bez wahania*, Kraków: Krakowski Instytut Wydawniczy, 1993

Ile śmierci…, oprac. M. Radecka, Warszawa: Spółka Wydawnicza X, 1984

Komorowska M., Sobolewski T., *Pytania, które się nie kończą*, Warszawa: Mazowiecki Instytut Kultury, Czuły Barbarzyńca Press, 2014

Krajewski A., *Cicerone*, Warszawa: Wydawnictwo Most, 1987

Krall H., *Trudności ze wstawaniem. Okna*, Warszawa: Wydawnictwo Alfa, 1990

Kto jest kim w Polsce. Informator biograficzny, Warszawa: Wydawnictwo Interpress, 1984

Kuczyński W., *Zwierzenia zausznika*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1991

Makowska-Witkowska B., *Wezwanie*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 1988

Marek Z., *Głośne zdarzenia w świetle medycyny sądowej*, Kraków: Wydawnictwo Medyczne, 2009

Moje spotkania z Janem Pawłem II, red. ks. W. Niewęgłowski, Warszawa: Wydawnictwo Rok Corporation, 1991

Przemyk G., *W dniu, w którym przyjdziesz po mnie*, Warszawa: Wydawnictwo Nowy Świat, 2008

Pytlakowski P., *Republika MSW*, Chicago–Toronto–Warszawa: Oficyna Wydawnicza Andy Grafik, 1991

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1981–1983*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 2004

Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1984–1986*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 2005

Raport Rokity. Sprawozdanie Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW, wstęp: J. Rokita, posłowie: A. Dudek Kraków: Wydawnictwo Arcana, 2005

Ruane K., *Racja stanu: zabić księdza*, tłum. D. Chylińska, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2004

Sadowska B., *Otwarte niebo, wieczny sen*, Warszawa: Spółdzielnia Wydawnicza Anagram, 1997

Siedlecka J., *Wypominki*, Warszawa: ABC Future, 1996

Tochman W., *Schodów się nie pali*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2000

Widacki J., *Czego nie powiedział generał Kiszczak*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1992

Wysocki M., *Osaczony*, Warszawa: Wydawnictwo von Borowiecky, 1997

Wysocki M., *Osaczony złem*, Warszawa: Wydawnictwo Bodiliani, 2000

Akta

Akta postępowania IPN S 51/01/Zk przeciwko Czesławowi Kiszczakowi i innym

Akta postępowania prokuratorskiego Pg Śl 132/82 przeciwko Barbarze Sadowskiej

Akta sprawy sądowej VIII K 372/04 przeciwko Ireneuszowi Kościukowi i innym

Archiwa

IPN BU 1585/1045 – Grzegorz Przemyk – zabójstwo, pogrzeb, działania dochodzeniowo-śledcze…

IPN BU 2215/5 – Archiwum rodziny Komierowskich

Przypisy

[1] Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej (ZOMO).

[2] Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego – organ administrujący Polską w czasie stanu wojennego (WRON).

[3] Zeznania Barbary Sadowskiej w prokuraturze, czerwiec 1983 roku.

[4] Zeznania Filipa Grzejszczyka w sądzie wojewódzkim 11 października 1995 roku. Akta sprawy.

[5] Zeznania złożone w śledztwie w 1983 roku przez doktora Marka Bagniewskiego.

[6] Zeznanie Ligii Urniaż-Grabowskiej przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie 9 października 1995 roku.

[7] Wspomnienia Marzeny Urban, archiwum rodziny Komierowskich, IPN BU 2215/5.

[8] Tamże.

[9] Zawiadomienie prokuratora o zgonie chorego z 14 maja 1983 roku.

[10] Milicja Obywatelska (MO).

[11] Wspomnienia Marzeny Urban, archiwum rodziny Komierowskich, IPN BU 2215/5.

[12] Chodzi o napaść Służby Bezpieczeństwa (SB) na Komitet Prymasowski przy ulicy Piwnej w Warszawie 3 maja 1983 roku. Między innymi Barbara Sadowska, która tam pracowała, została wówczas poturbowana.

[13] Na podstawie nagrania udostępnionego przez Video Studio Gdańsk.

[14] Chilijski bard zamordowany przez juntę Augusta Pinocheta.

[15] Notatka służbowa kapitana Konstantego Machnowskiego z 15 maja 1983 roku.

[16] Komitet Obrony Robotników (KOR).

[17] Audycja Radia Wolna Europa (RWE) z 16 maja 1983 roku, cytat za: *Sprawa Grzegorza Przemyka – mity i rzeczywistość*, „Informacja Polityczna” 1984, nr 10.

[18] Notatka Barbary Sadowskiej sporządzona po złożeniu zeznań w sądzie 7 czerwca 1984 roku. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[19] A. Krajewski, *Cicerone*, Warszawa: Wydawnictwo Most, 1987.

[20] Wypowiedzi Romualda Zajkowskiego pochodzą z protokołów jego przesłuchań w latach 1991–2007.

[21] Na podstawie zeznań Franciszka Ruska z 1991 i 1995 roku.

[22] Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR).

[23] Komitet Centralny (KC) – organ kierowniczy w PZPR.

[24] M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981–1983*, t. 8, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 2004.

[25] Grażyna Kuroń, żona Jacka Kuronia. Zmarła 23 listopada 1982 roku.

[26] J. Borgosz, J. Michalczak, *Rekomendacje ds. sposobu wyjaśnienia zejścia śmiertelnego G. Przemyka*. Opracowanie przygotowane przez naukowców WAP na zlecenie MSW.

[27] Listy Barbary Sadowskiej opublikował Stanisław Czycz związany w latach sześćdziesiątych XX wieku ze środowiskiem Orientacji Hybrydy. Stanisław Czycz, *Ajol i Laor*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1996.

[28] Pożegnanie wygłoszone przez Wiktora Woroszylskiego nad grobem Barbary Sadowskiej 6 października 1986 roku.

[29] J. Łukasiewicz, *Barbara Sadowska „Nad ogniem”*, „Tygodnik Powszechny” nr 46, 17 listopada 1963.

[30] J. Siedlecka, *Wypominki*, Warszawa: ABC Future, 1996.

[31] Z. Jerzyna, „Mój brat Hiob” – przedmowa do tomiku wierszy Barbary Sadowskiej, *Otwarte niebo, wieczny sen*, Warszawa: Spółdzielnia Wydawnicza Anagram, 1997.

[32] J. Siedlecka, dz. cyt.

[33] J. Siedlecka, dz. cyt.

[34] List Barbary Sadowskiej do Jadwigi Sadowskiej, 12–13 listopada 1974 roku. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[35] W. Tochman, *Schodów się nie pali*, Kraków: Wydawnictwo Znak, 2000.

[36] Notatka ze spotkania konsultacyjnego z 3 czerwca 1983 roku.

[37] M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1981–1983*, t. 8, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 2004.

[38] *Moje spotkania z Janem Pawłem II*, red. ks. W. Niewęgłowski, Warszawa: Rok Corporation, 1991.

[39] Zeznania Pawła Willmanna przed sądem 4 października 1995 roku.

[40] Notatka pułkownika Józefa Muniaka, podpułkownika Zdzisława Kryszkowskiego, majora Wiesława Lewandowskiego.

[41] B.a., *Kulisy śledztwa w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyka*, „KOS”, 6 listopada 1983

[42] M. Wysocki, *Osaczony złem*, książka, a raczej broszura przygotowana i wydana przez autora w 2013 roku. Jest to rozszerzona o dokumenty MSW wersja książki M. Wysockiego *Osaczony złem*, Warszawa: Wydawnictwo Bodiliani, 2000.

[43] Notatka Barbary Sadowskiej z grudnia 1980 roku. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[44] List Barbary Sadowskiej do Cezarego F. z września 1979 roku. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie. Na kopercie adnotacja, że osadzony nie przebywa pod wskazanym adresem więzienia.

[45] A. Krajewski, *Cicerone*, Warszawa: Wydawnictwo Most, 1987.

[46] *Plan przygotowań do rozprawy i zabezpieczenia przebiegu rozprawy w sprawie zejścia śmiertelnego Grzegorza Przemyka*, przygotowany przez zastępcę Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych (SUSW) Wiesława Lubienieckiego. Archiwum IPN.

[47] W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1991.

[48] B.a., *Kulisy śledztwa w sprawie zabójstwa Grzegorza Przemyka*, „KOS”, 6 listopada 1983.

[49] List Barbary Sadowskiej do Wandy Wasilewskiej z Węgrowa. Zbiory Ośrodka Karta.

[50] List Barbary Sadowskiej do Tadeusza [brak nazwiska i adresu]. Tamże.

[51] Lekarz, *„Przywracanie porządku" w pogotowiu*, „Tygodnik Mazowsze", 17 grudnia 1983.

[52] Z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego adwokat Władysław Siła-Nowicki, który był obrońcą w wielu procesach politycznych, musiał przejść na emeryturę. Władza zabroniła mu wykonywać zawód adwokata.

[53] List Barbary Sadowskiej do Hanny Staszkowskiej z 28 marca 1982 roku. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[54] Zapiski kapitana Chwaszcza. Teczka Sprawy Operacyjnego Rozpracowania „Junior".

[55] B. Makowska-Witkowska, *Wezwanie*, Warszawa: Wydawnictwo Iskry, 1988.

[56] List Barbary Sadowskiej do Tadeusza [brak nazwiska i adresu]. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[57] mr, *Przed zamknięciem sprawy Grzegorza Przemyka*, „Tygodnik Mazowsze", 10 listopada 1983.

[58] M. Wysocki, *Osaczony złem*, Warszawa: Wydawnictwo Bodiliani, 2000.

[59] Opinia z 13 października 1983 roku w sprawie dotyczącej śmierci Grzegorza Przemyka, autorstwa prokuratora Zbigniewa Młynarczyka.

[60] „Tygodnik Mazowsze", 12 stycznia 1984, notatka bez tytułu i podpisu autora.

[61] Raport tajnego współpracownika (TW) Feliksa z 12 stycznia 1984 roku.

[62] Komunikat Polskiej Agencji Prasowej (PAP), „Słowo Ludu", 25 stycznia 1984.

[63] List Barbary Sadowskiej do Marii Mrożkiewicz. Zbiory Ośrodka Karta w Warszawie.

[64] Na podstawie zeznań Tadeusza Gonciarza złożonych w śledztwie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

[65] „CDN. Głos Wolnego Robotnika".

[66] bim, *Przybywa wezwań – brakuje lekarzy,* „Trybuna Ludu", 4–5 lutego 1984 .

[67] List rzecznika rządu Jerzego Urbana do generała Gruby i gabinetu ministra spraw wewnętrznych.

[68] J. Nowomiejski, *O środkach godnych celu*, „Życie Warszawy", 1 marca 1984.

[69] *Sprawa Grzegorza Przemyka – mity i rzeczywistość*, „Informacja Polityczna" 1984, nr 10.

[70] Po wyjściu z sądu 9 czerwca 1984 roku Sadowska spisała relację ze swoich zeznań na trzech stronach maszynopisu.

[71] Sprawa Operacyjnego Rozpracowania „Junior".

[72] Tajna notatka sporządzona przez doktora Stanisława Wyciszczaka, dyrektora Departamentu Postępowania Karnego Prokuratury Generalnej.

[73] Z. Marek, *Głośne zdarzenia w świetle medycyny sądowej*, Kraków: Wydawnictwo Medyczne, 2009.

[74] Wspomnienia zostały zdeponowane w IPN.

[75] J. Urban, *Wyjaśnienie* i odpowiedź J. Hennelowej, „Tygodnik Powszechny", 4 maja 1986.

[76] Zeznania Anny Jackowskiej przed prokuratorem IPN 9 lutego 2007 roku.

[77] „Wyrostek", pismo wrocławskiej młodzieży szkolnej, maj 1984.

[78] List Jerzego Urbana do sekretarza Komitetu Centralnego Jerzego Główczyka z 14 maja 1984 roku.

[79] H. Komorowska, *Musisz wiedzieć*, Rzym: Fundacja Jana Pawła II, Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, 1989.

[80] *Proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka*, „Tygodnik Mazowsze", 21 czerwca 1984.

[81] B.a., *Proces w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka*, „Tygodnik Mazowsze", 21 czerwca 1984.

[82] Konfederacja Polski Niepodległej (KPN).

[83] Mowę pożegnalną Wiktora Woroszylskiego opublikował „Tygodnik Powszechny" i „Tygodnik Mazowsze".

[84] Paragraf, *W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*, „Tygodnik Mazowsze", 26 lipca 1984.

[85] Paragraf, *W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*, „Tygodnik Mazowsze", 26 lipca 1984.

[86] Marta Miklaszewska była obserwatorką procesu. Pod pseudonimem „Monika Orda" wydała w podziemiu relację z procesu pt. *Sprawiedliwość w cieniu pałki*, Warszawa: Wydawnictwo Głos, 1985.

[87] B. Wróblewski, *Bałem się strasznie o te dzieci*, wyborcza.pl, http://wyborcza.pl/magazyn/1,132056,13652751,Balem_sie_strasznie_o_te_dzieci.html (data dostępu: 29 marca 2013).

[88] J. Jachowicz, B. Wróblewski, *Wyrok na milicję*, „Gazeta Wyborcza", 5 kwietnia 1997.

[89] List otwarty Cezarego F. w aktach sprawy.

[90] W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa: Polska Oficyna Wydawnicza BGW, 1991.

[91] *Recht auf Grausamkeit* [*Prawo do okrucieństwa*], „Der Spiegel", 6 czerwca 1983.

[92] Tamże.

[93] Tamże.

[94] B. Pietkiewicz, *Koszary, służba, dom*, „Polityka", 19 kwietnia 1986.

[95] Tamże.

[96] Tamże.

Źródła fotografii

s. 8, 70, 71, 74, 76, 125, 131 – Archiwum rodzinne
s. 38, 39, 240, 241 – Archiwum Ośrodka Karta, Teczka osobista Grzegorza Przemyka, AO III/22.
s. 42 – Wojtek Łaski / East News
s. 44 – IPN / East News
s. 46 – Chris Niedenthal / Forum
s. 68 – Archiwum Ośrodka Karta, Kolekcja Barbary Sadowskiej, AO III/23.5
s. 78 – Archiwum rodzinne rodziny Komierowskich, IPN BU w Warszawie
s. 80 – Wiesław Sadurski / wisarts.com
s. 83, 104 – Akta sprawy sądowej VIIIk 372/04 przeciwko Ireneusz Kościuk i inni, Sąd Okręgowy w Warszawie
s. 129 – Tomasz Michalak / FOTONOVA
s. 233, 248 – Erazm Ciołek / © Agata Ciołek
s. 239 – Krzysztof Wojciechowski, zbiory Ośrodka Karta
s. 253 – Wojciech Frelek / PAP
s. 283 – Adam Urbanek / PAP / CAF

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa,
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52,
info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I